



J.T. Ellison

ZŁODZIEU  
DŁONI

Kobieta: z ręką  
ludzkich biorę  
pociechę, pomoc  
i podporę.

*Ellison J.T.*

## *Złodziej Dłoni*

*Sadystyczny seryjny morderca wybiera kolejną ofiarę – dziewczynę z Nashville. Pani porucznik z wydziału zabójstw, Taylor Jackson, oraz jej przyjaciel, analityk FBI, doktor John Baldwin, wspólnie prowadzą śledztwo w tej sprawie. Dusiciel z Południa morduje kolejne osoby, a na miejscu zbrodni zostawia ponurą wizytówkę – dłoń poprzedniej ofiary. Ambitna dziennikarka telewizyjna Whitney Connolly jest przekonana, że sprawa Dusiciela z Południa pomoże jej w karierze i umożliwi wyjazd z Nashville. Posiada informacje, które mogą zmienić kierunek dochodzenia. Nie przypuszcza jednak, że sprawa będzie dotyczyć także jej osobiście, a za swoje ambicje zapłaci wysoką cenę... Nikt nie potrafi powstrzymać zwyrodnialca, ale wszyscy zaczynają sobie uświadamiać, że prawdziwe zło rodzi się z zakłamania.*

## ***Rozdział pierwszy***

- Proszę tego nie robić - szeptała, jakby się modliła. - Proszę tego nie robić. Znowu. Na ustach dziewczyny pojawiły się bańki powietrza, wydawało się, że słowa ześlizgują się jej z języka.

Nawet w obliczu śmierci Jessica Ann Porter zachowywała się nienagannie uprzejmie. Nie podjęła walki, nie szlochała, tylko błagalnie patrzyła lśnącymi, czekoladowymi oczami, niczym psiak, który pragnie zadowolić właściciela. Nie chciał teraz myśleć o szczeniakach. Kiedyś miał małego psa. Pozwalał mu się lizać po rękach, patrzył, jak skacze i domaga się uwagi. To nie jego wina, że pies miał kruche kości i podczas zabawy odprysk żebra wbił mu się w serce. Oczy szczeniaka jaśniały, a potem zgasły, gdy zdechł w trawie, na podwórzu za domem. Podobnie zajaśniały cynamonowe oczy Jessiki, kiedy życie powoli z niej umykało. Potem skoła.

Obojętnie patrzył na pojawiające się oznaki śmierci. Zsiniałe usta. Szkarłatne plamki wylewu krwotocznego na twardówce oczu. Wydawało się, że ciało momentalnie ostygło, choć wiedział, że minie trochę czasu, zanim temperatura znacząco się obniży. Energiczna, choć nieśmiała osiemnastolatka zmieniła się teraz w polec mięsa, który wkrótce trafi do piachu. Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz. Niech ci ziemia lekką będzie, gdy cię zaczną toczyć czerwie. Życie znowu zatoczy koło.

Otrząsnął się z rozmyślań. Nadeszła pora, by wziąć się do pracy. Rozejrzał się i zawiesił wzrok na podręcznym zestawie narzędzi. Nie przypominał sobie, żeby go przewracał. Może pamięć go zawodziła? Czyżby ofiara jednak stawiała opór? Chyba nie, lecz w kluczowych chwilach mąciło mu się w głowie. Zastanowi się nad tym później, gdy nic innego nie będzie mu zaprzętało myśli. Na razie wspominał tylko jej promiennie lśniąco oczy, gdy gasła. Wymacał palcami piłę i uniósł bezwładną dłoń dziewczyny.

„Proszę tego nie robić”. Cztery słowa, z pozoru całkiem nieszkodliwe, pozbawione podtekstów, oczyszczone z etycznych rozterek. „Proszę tego nie robić. Proszę tego nie robić”. Do przodu, do tyłu. Raz i dwa.

„Proszę tego nie robić”. Wspominaj te słowa i śnij o piekle.

## ***Rozdział drugi***

W ten ciepły, letni wieczór całe Nashville wstrzymało oddech. Po czterokrotnie odraczanej egzekucji odliczanie ponownie się rozpoczęło. Porucznik Taylor Jackson z wydziału zabójstw obejrzała transmisję konferencji prasowej, na której przekazano informację, że gubernator nie zamierza ponownie zawieszać wykonania wyroku, po czym wyłączyła telewizor. Zamyślona podeszła do okna maleńkiego gabinetu w Ośrodku Ścigania Przestępstw Kryminalnych. Popatrzyła na niebo nad Nashville, bezustannie rozświetlane feerią jaskrawych barw. Widowiskowy pokaz fajerwerków należał do największych i najbardziej spektakularnych w kraju. Wszyscy obchodzili Dzień Niepodległości, najbardziej amerykańskie z amerykańskich świąt. W parku Riverfront zebrały się nieprzebrane tłumy, aby wysłuchać koncertu Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Nashville i nacieszyć oczy popisami specjalistów od pirotechniki. Uroczystości miały

się już ku końcowi. Taylor dobiegły dźwięki „Uwertury 1812 roku” Piotra Czajkowskiego, utworu skomponowanego na cześć niepodległej Ameryki. Wzdrygała się przy każdym armatnim wystrzale, perfekcyjnie zsynchronizowanym z odpaleniem rakiet.

Powszechny entuzjazm ją przygnębiał, podobnie jak to święto. Dawniej przepadała za fajerwerkami, watą cukrową i zabawą na całego. Po latach zatęskniła za tamtym utraconym dzieckiem w sobie i rozpaczliwie próbowała odnaleźć zagubioną niewinność. Bez powodzenia.

Niebo stało się już całkiem ciemne. Ludzie masowo powracali do zaparkowanych gdzie popadnie samochodów, dzieci podskakiwały między zmęczonymi rodzicami, w nocy z daleka było widać fluorescencyjne opaski i świecące patyki. Wkrótce ci poczciwcy mieli dotrzeć do swoich domów i z radością zasnąć we własnych łóżkach, pokrzepieni świadomością, że sprawili radość pociechom. Taylor nie mogła liczyć na takie szczęście. W każdej chwili spodziewała się telefonu. Przeczucie jej podpowiadało, że gdzieś po mieście krąży snajper, przecież fajerwerki doskonale zagłuszały huk wystrzału. Tak sobie powtarzała, ale w gruncie rzeczy tkwiła w gabinecie z innego powodu. Ochrona miasta była dla niej tylko wymówką. Czekala.

Nagle ożyło wspomnienie, nieproszone i niechciane. W zasadzie przebrzmiałe, lecz jego istota nadal przenikała ją do głębi. „Gdy byłem dziec-

kiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce". Mężem albo niewiastą. Jej dni niewinności były już bezpowrotnie stracone.

Po raz ostatni rzuciła okiem na szybko zapadający zmrok, zasunęła żaluzje i ciężko usiadła na krześle. Westchnęła i przeczesła palcami długie, jasne włosy. Zastanawiała się, po co tkwi w biurze wydziału zabójstw, skoro mogłaby teraz bawić się na imprezie. Dlaczego ciągle siedzi na posterunku. Położyła głowę na stole i zamarła w oczekiwaniu na telefon. Po chwili się wyprostowała, ponownie włączyła telewizor.

Przed więzieniem o zaostrowym rygorze w Riverbend zebrał się niespokojny tłum. Policja rozdzieliła kordonami więzienne podwórze, i tak z jednej strony znaleźli się orędownicy kary śmierci, z drugiej zwykli, spokojni obywatele, z trzeciej dziennikarze. Za ostatnim kordonem stali członkowie Amerykańskiego Związku Swobód Obywatelskich, których transparenty informowały o dokonującej się niesprawiedliwości. Potrząsający nimi ludzie wykrzykiwali obelgi pod adresem konkurencji. Słowem, wszystko było gotowe do egzekucji. Jeszcze się nie zdarzyło, aby skazańcowi odebrano życie bez obowiązkowej obecności tłumu, w którym każdy wyrzaskiwał swoje racje.

Młody dziennikarz z Programu Drugiego wydawał się zadyszany, jego oczy błyszczały z podniecenia. Klamka zapadła. Dwie godziny temu

gubernator odrzucił wniosek o ponowne odroczenie egzekucji. Tej nocy Richard Curtis miał wreszcie zapłacić najwyższą karę za swoją zbrodnię.

Taylor popatrzyła na zegar ścienny o białej tarczy, na której wskazówki pokazywały jedenastą pięćdziesiąt dziewięć. Za minutę północ. Wśród publiczności zapanowała głucha cisza. Nadeszła pora.

Taylor odetchnęła głęboko, gdy obie wskazówki zrównały się na dwunastce. Nawet sobie nie uświadomiła, że wstrzymuje oddech do chwili, gdy wskazówka przeskoczyła na dwunastą jeden. Stało się. Skazaniec dostał truciznę. Richard Curtis zaraz zapadnie w spokojny sen, a ostatnie uderzenie jego serca zostanie odnotowane w annałach.

Taylor uważała, że śmierć tego łotra była zbyt łagodna. Należało go raczej wybebeszyć i poćwiartować, a wnętrzności spalić na jego brzuchu. Drań nie zasłużył na to, aby się z nim pieścić, podawać mu starannie opracowany koktajl anestezjologiczny i w miłej atmosferze przekazywać go w objęcia Posepnego Żniwiarza.

Już. Właśnie oficjalnie ogłoszono wykonanie wyroku. Curtis opuścił ten świat piątego lipca, sześć minut po północy.

Taylor wyłączyła telewizor. Pomyślała, że może teraz otrzyma wezwanie do następnego zadania. Nadal cierpliwie czekała. Zmęczona, znowu położyła głowę na biurku i pogrążyła się w rozmyślaniach o pogodnej siedmioletniej dziewczynce o imieniu Martha. To ona padła ofiarą brutalnego porwania, gwałtu i morderstwa. Jej sprawa była



debiutem Taylor w wydziale zabójstw. Marthę odnaleziono po niespełna dobie od zniknięcia, na piaszczystej działce w północnej części Nashville. Miała połamane kości i była ciężko pobita. Richarda Curtisa schwytano kilka godzin później. Na ławce w jego ciężarówce znaleziono lalkę Marthy, z klamki zdjęto ślady po łzach dziewczynki. Do buta Curtisa przyczepił się długi, miodowy włos siedmiolatki. Sprawa była jasna, Taylor po raz pierwszy posmakowała sukcesu i niewątpliwie dobrze się spisała na nowym stanowisku. Teraz, dzięki jej ciężkiej pracy, Curtis smażył się w piekle. Czuła się usatysfakcjonowana. Przez siedem lat czekała na tę chwilę. Dla niej Martha na zawsze pozostała małą dziewczynką, która nigdy nie dorośnie. Teraz kończyłaby czternaście lat. Sprawiedliwości stało się zadość.

Jakby z szacunku dla jednego ze swoich, bandyci z Nashville zachowywali się tej nocy wyjątkowo spokojnie. Najwyraźniej znaleźli coś lepszego do roboty niż zabijanie się nawzajem i dostarczanie zajęcia Taylor. Balansowała na krawędzi snu i jawy, rozmyślała o swoim życiu, aż wreszcie z ulgą uświadomiła sobie, że dzwoni telefon. Właśnie minęła pierwsza w nocy.

- Spotkamy się? - spytał niski, szorstki głos w słuchawce.

- Za godzinę - odparła, spoglądając na zegar. Potem się rozłączyła i uśmiechnęła, po raz pierwszy tego wieczoru.

### ***Rozdział trzeci***

- Co za ulga, że nie mieszkamy w Kalifornii.

Inspektorzy Pete Fitzgerald, Lincoln Ross i Marcus Wade zabijali czas. Półświatek Nashville najwyraźniej postanowił zafundować sobie wakacje. Od prawie dwóch tygodni nie popełniono ani jednego morderstwa. Miasto nietypowo przycichło, nawet Dzień Niepodległości nie zaowocował żadnymi zabójstwami. Nikt nie miał się stawić w sądzie, a otwarte sprawy były rozwiązane albo wstrzymywane przez laboratorium kryminalistyczne. Słowem, wiało nudą.

Trzech policjantów wcisnęło się do gabinetu przełożonego, aby pooglądać telewizję. Wszyscy się zgadzali, że to najlepsza forma spędzania wolnego czasu, zwłaszcza odkąd dyrekcja wydziału podpisała umowę z telewizją kablową. Zasadniczo telewizory powinny być nastawione na całodobowe programy informacyjne, ale policjanci permanentnie zmieniali kanały. Zwykle dlatego, że chcie-

li zaspokoić potrzebę codziennego oglądania tasiemcowych seriali, od których niejeden z nich był uzależniony.

Tego dnia uwagę trzech inspektorów przykuł pościg samochodowy ulicami Los Angeles. Widowisko okazało się fantastyczne. W grę wchodziło porwanie, bandyta był uzbrojony w półautomatyczny pistolet i w dodatku ukradł czerwonego jaguara. Samochód pędził autostradami i właściwie nie zwalniał poniżej stu dziesięciu kilometrów na godzinę, a podnieceni komentatorzy bez końca się zastanawiali, czy ofiara porwania znajduje się w aucie, czy nie. Zespół z wydziału zabójstw zagrzewał do akcji kolegów z drogówki.

Fitz uniósł mięsistą rękę i popatrzył na zegarek. Pościg trwał już od prawie dwóch godzin.

- Pięć minut temu rozwinęli kolczatkę. Niedługo rajdowiec podziurawi koła.

- Już po nim. - Marcus wskazał palcem ekran, na którym widać było, jak potężny kawał opony odrywa się od tylnego koła jaguara i o centymetry mija radiowóz. Jego brązowe oczy lśniły.

Fitz uśmiechnął się szeroko. Marcus był jeszcze taki młody.

- Uczestniczyłeś kiedyś w pościgu? - spytał Marcusa, odchylił się na krześle i podparł rękami pokazne brzuszysko.

- Nie, ale przeszedłem całe wymagane szkolenie. Człowieku, nawet nie wiesz, jak dobrze sobie radzę za kółkiem.

- Przypomnij mi, żebym nie dawał ci kluczyków.

Już po wszystkim. - Lincoln Ross wstał, przeciągnął się i wygładził niewidzialną zmarszczkę na grafitowym garniturze od Armaniego. - Jedzie na felgach. Teraz wykonają manewr poślizgowy i obezwładnią gościa. Patrz, już się biorą do roboty. Samochód pościgowy natarł na jaguara niczym czarno-biały wąż i delikatnie stuknął go w prawy tylny błotnik. To była podręcznikowa sytuacja - kierowca porwanego pojazdu stracił panowanie nad kierownicą, obrócił się i wpakował na barierę ochronną. W rezultacie stracił błotnik i znieruchomiał przodem do nadjeżdżających samochodów. W okamgnieniu otoczyły go radiowozy, z których wyskoczyli gliniarze ze strzelbami i pistoletami, wycelowanymi w porywacza. Koniec pościgu. Reporterzy telewizyjni pogratulowali sobie dobrej prezentacji dramatycznego zdarzenia i wyrazili opinię, że pat potrwa od pięciu minut do pięciu godzin. W związku z tym skoncentrowali się na zaproszonych specjalistach, byłym funkcjonariuszu oraz negocjatorze policyjnym. Rozmowa dotyczyła przeszłości porywacza. Gdzieś w Nowym Jorku wydawca programu przerwał im jednak bezceremonialnie i na ekranach ponownie ukazał się jaguar, w którym właśnie otwierały się drzwi. Ze środka wyskoczył bandyta i przez drzwi od strony kierowcy wywlókł za włosy porwaną kobietę. Dookoła zapanowało poruszenie. Kordon błyskawicznie zacieśniał się wokół porywacza. Bandyta popatrzył w niebo, upewnił się, że kamerzysta miał dość czasu, aby nagrać jego szeroko uśmiech-

niętą twarz. Potem zmusił kobietę, żeby się wyprostowała, uniósł dłoń i strzelił jej w głowę. Policjanci przeszli go kulami, zanim jeszcze porwana osunęła się na ziemię. Przekaz się urwał, lecz już po chwili widzowie ujrzeli pozieleniałą twarz wstrząśniętego komentatora.

- Zawsze mówiłem, co za ulga, że nie mieszkamy w Kalifornii - wymamrotał Fitz. Zadzwoił telefon. Fitz podniósł słuchawkę, uważnie wysłuchał rozmówcy i coś zapisał w notesie.

- Na mnie pora - oznajmił.

- Co jest? - Marcus tak daleko odchylił się na krześle, jakby lada moment miał się razem z nim przewrócić na plecy.

- Zwłoki w Bellevue. Jadę. Z samochodu zawiadomię Taylor.

Lincoln i Marcus bez namysłu zerwali się z miejsc.

- My też jedziemy - oświadczył Marcus. - Nie ma sensu tutaj tkwić. Dobrze mówię, Lincoln?

- Bardzo dobrze.

Energicznie wymaszerowali z gabinetu, po drodze zgarniając marynarki i kluczyki.

Lincoln uśmiechał się od ucha do ucha.

- Przynajmniej nie grozi nam pościg samochodowy - zauważył.

Było parno i duszno, wilgotność sięgała dziewięćdziesięciu procent, na horyzoncie zbierały się deszczowe chmury. Niebo przysłaniała gęsta,

szaroniebieska mgła, za którą skrywało się słońce. Letnie Nashville w pełnej krasie. Na miejscu zbrodni roilo się od spoconych ludzi. Poruszali się spokojnie, wręcz ocieźale, nikomu się nie śpieszyło. Kilka osób nosiło maski, aby uchronić wrażliwe powonienie przed fetorem. Rozkładające się ciało w ponadtrzydzie-stopniowym upale mogło wzbudzić odruchy wymiotne nawet u najodporniejszego zawodowca.

Policjanci zebrali się na łące, tuż przy zjeździe z siedemdziesiątki na siedemdziesiątkę południową, nieopodal najbardziej wysuniętego na zachód punktu okręgu Davidson. Tę okolicę, oddaloną o zaledwie kwadrans od centrum, nazywano Bel-levue. Parę kilometrów dalej i sprawą zajęłyby się służby okręgu Cheatham, zgłoszenie dotarło jednak do miejskiego wydziału zabójstw. Taylor nie miała nic przeciwko temu. Podobnie jak koledzy, nie mogła już znieść nudy.

Stanęła nad zwłokami, aby jeszcze raz uważnie im się przyjrzeć. Długie, jasne włosy ściągnęła gumką w nieco rozczochrany koński ogon. Była szczupła i wysoka, jej cień częściowo niknął w wysokiej trawie. Nie nosiła maski, ale tak mocno zacisnęła palcami nos, że cały zbiełał. Oddychała ustami, żeby nie czuć woni śmierci. Niezidentyfikowana kobieta była młoda, miała brązowe, skudlone włosy i już nabrzmiałe ciało. Zmętniałe, niegdyś czekoladowe oczy patrzyły spod rozchylonych powiek. Robaki częściowo nadzierały zwłoki,

złożyły w nich jaja i zdążyły się rozmnożyć. Z ust trupa wypadła wijąca się biała larwa. Taylor niemal zwymiotowała, wyobraziwszy sobie takiego robaka na własnym języku. Rozkojarzona, niechcący odetchnęła głęboko przez nos. Wzdrygnęła się i na moment odwróciła. Wokół niej roило się od ludzi, ale zazwyczaj energiczni policjanci dzisiaj grzebali się jak muchy w smole. Fitz spokojnie podszedł do zwłok, zerknął na nie, zasłonił usta, uprzejmie przeprosił Taylor i oddalił się. Zauważyła, że Marcus i Lincoln rozmawiają, ich sylwetki zdawały się falować w upale. Technicy przenosili do samochodów brązowe papierowe torby, mundurowi stali plecami do zwłok. Wszyscy zdawali się pracować na zwolnionych obrotach - wszyscy z wyjątkiem jednego człowieka. Wysoki mężczyzna o ciemnych włosach rażno maszerował prosto ku Taylor. Po drodze zatrzymał się przed jednym z policjantów, machnął odznaką w skórzanym portfelu i przedstawił się na tyle głośno, że Taylor usłyszała jego słowa.

- Agent specjalny John Baldwin, FBI.

Mundurowy się odsunął, żeby nie blokować mu drogi do Taylor. Baldwin wsunął odznakę do kieszeni na piersi i z wyciągniętą ręką podszedł do policjantki. Mrugnął, podając jej dłoń, a Taylor nieoczekiwanie poczuła, jak przeszywa ją prąd. Wyprostowała się jeszcze bardziej, z dumą prezentując ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Tyle zwykle wystarczało, aby górować nad mężczyznami. Ten jednak był wyższy o co najmniej dziesięć

centymetrów i musiała podnosić wzrok, aby patrzeć mu w oczy. Miały wyjątkowo dziwny kolor, odcień zieleni intensywniejszy od jadeitu i jaśniejszy od szmaragdu. Pomyślała, że koty mają podobne tęczęwki.

Jej serce zabiło odrobinę szybciej. Nieświadomie położyła prawą dłoń na szyi.

Dziesięciocentymetrowe rozcięcie ledwie się zdążyło zagoić, pozostawiając po sobie pokaźną bliznę. Wspomnienie po nożu oszalałego podejrzanego. Ta pamiątka z ostatniej sprawy pozostanie na jej ciele do końca życia. Taylor wzięła się w garść, odrzuciła koński ogon na plecy i uśmiechnęła się do Baldwina, nieco rutynowo, ale życzliwie.

- Co tu robi FBI? Nie prosiłam o wsparcie. To zwykłe morderstwo. - Umilkła na moment, zdezorientowana jego miną. Dobrze знаła ten rodzaj spojrzenia. - Chyba się nie mylę, prawda? To morderstwo jakich wiele?

- Bardzo bym sobie tego życzył.

- Czekają nas oficjalne rozmowy? - Zerknęła mu przez ramię.

Spośród jej znajomych policjantów tylko nieliczni nie znali Johna Baldwina. Jej zespół - Fitz, Marcus i Lincoln - współpracował z nim już wcześniej.

- Obawiam się, że tak. Chyba wiem, jak się nazywa denatka. - Niemal nonszalancko wskazał ręką ciało u ich stóp.

- Ach, tak. Jak rozumiem, dziewczyna z innego stanu. W ostatnich tygodniach nie otrzymaliśmy żadnych zgłoszeń o zaginionych osobach.



- Dziewczyna spoza stanu, tak. Z Missisipi. Baldwin najwyraźniej błędził myślami gdzie indziej. Okręzał zwłoki, starał się zapamiętywać wszystkie detale. Pomimo zaawansowanego rozkładu wokół szyi dziewczyny widać było wyraźne siniaki. Baldwin jeszcze raz obszedł zwłoki i pokiwał głową. Morderca odciął ofierze dłonie.

- To zapewne dzieło naszego chłopaka.

- Waszego? - zdumiała się Taylor. - Wiesz, kto to zrobił? Kim jest wasz chłopak?

- Mogę jej dotknąć? - Ponownie zignorował pytania.

- Tak. Technicy na razie zakończyli pracę, teraz czekamy na lekarza, który zabierze zwłoki. Chciałam po raz ostatni rzucić na nią okiem.

Baldwin sięgnął do kieszeni i wyciągnął białe, lateksowe rękawiczki. Przykucnął obok ciała i uniósł prawą rękę denatki, przy okazji strącając na ziemię kilka czerwi.

- Wasz chłopak? - powtórzyła Taylor.

- Mhm. Nie znam go z nazwiska, ale rozpoznaję jego styl.

Taylor uklękła na jedno kolano.

- Robił to już wcześniej? - spytała. Mówiła cicho, nie tylko dlatego, że w pobliżu znajdował się personel. Po prostu wolała uniknąć przecieków. Taki miała zwyczaj.

- Dwukrotnie, z tego, co wiem, ale od miesiąca panował spokój. Nazwaliśmy go Dusicielem z Południa, bo nic lepszego nie przyszło nam do głowy. Sama wiesz, że my, federalni, rzadko miewamy

oryginalne pomysły. - Usiłował się uśmiechnąć, lecz tylko skrzywił usta.

- Dlaczego nie słyszałam nic o tym... Dusicielu?

- Na pewno słyszałaś. Pamiętasz sprawę z Alabamy, sprzed kilku miesięcy? A dokładnie z kwietnia? Z kampusu miejscowego uniwersytetu zniknęła ładna, drobna studentka pielęgniarstwa. Znaleźliśmy ją w...

- Luizjanie, pamiętam.

- Właśnie. Druga osoba zaginęła w ubiegłym miesiącu, w Baton Rouge. Znaleźliśmy ją w Missisipi.

Taylor usiłowała wygrzebać z pamięci szczegóły tamtej sprawy. Informacje o niej przewinęły się przez wszystkie ogólnokrajowe sieci telewizyjne. Policjantka nie wiedziała jednak, że istnieje związek między obiema sprawami. Na pewno nie łączył ich żaden z komentatorów w mediach. Powiedziała o tym Baldwinowi.

- Między jednym a drugim minęło dość dużo czasu, żeby dziennikarze nie powiązali obu porwań. Poza tym utrzymaliśmy kilka spraw w tajemnicy. Na przykład nikomu nie wspomnieliśmy o dłoniach.

- Dlaczego, na litość boską? Czyż nie powinniście wyjawić prawdy, żeby takie lokalne szaraczki policyjne jak my wiedziały o groźnym przestępcy na wolności? - Sarkazm Taylor chybił celu.

Baldwin tylko skinął obojętnie głową.

- I jeszcze środek nawilżający. Wychodzimy

z założenia, że w grę wchodzi seks za przyzwoleniem ofiary, bo sprawca używa nawilżanych prezerwatyw. Lekarz, który będzie badał zwłoki, powinien na to zwrócić uwagę.

Taylor pokręciła głową z niedowierzaniem. Tylko tego brakowało. Na jej terenie zagościł seryjny morderca. Nie sądziła, że będzie musiała utrzymywać tę sprawę w częściowej tajemnicy.

- Dzwoniłam już do Sam, ona się zna na rzeczy.

- Doktor Samantha Owens Loughley zajmowała stanowisko głównego lekarza sądowego w środkowym Tennessee i przyjaźniła się z Taylor. - Powiedziałeś, że wiadomo, kim jest ta dziewczyna.

- Ruchem brody wskazała zwłoki.

- Nazywa się Jessica Ann Porter, pochodzi z Jackson w Missisipi. Zniknęła zaledwie trzy dni temu.

Taylor opuściła wzrok na trupa. Trzy dni? Rozkład wydawał się zbyt zaawansowany jak na tak krótki czas. Baldwin od razu się domyślił, co ją dręczy.

- Tak to jest - westchnął. - Wysoka temperatura powietrza znacznie przyspiesza procesy gnilne. Trzy tygodnie by wystarczyły, aby z dziewczyny zostały same kości. Mamy szczęście, że tak szybko znaleziono ciało. Za tydzień musielibyśmy się nieźle nagimnastykować przy ustalaniu tożsamości.

- Powiedz mi coś więcej.

- Niewiele jest do dodania. Facet lubi młode brunetki. Wszystkie trzy dziewczyny miały brązowe

oczy i około dwudziestki. Trudno powiedzieć, dlaczego padło właśnie na nie. Żadna nie należała do grupy ryzyka, nie widywano ich z nieznajomymi. Z dnia na dzień przepadły jak kamień w wodzie. Dotąd byłem na bieżąco informowany, ale osobiście nie angażowałem się w dochodzenie. Teraz, przy trzeciej ofierze, zapewne przejmę śledztwo całkowicie.

Taylor usłyszała chrzęst opon na żwirze na poboczu drogi. Zwłoki, a raczej Jessica, sprostowała w myślach, spoczywała zaledwie dziesięć metrów od jezdni. Ekipa wozu transmisyjnego zapewne bez trudu zrobi wyraźne zdjęcia ofiary. Zbyt wyraźne. Taylor pomachała do Marcusa, który stał przy samochodzie, i ręką wskazała mu telewizyjną furgonetkę. Słowa nie były potrzebne. Marcus momentalnie ruszył do wozu transmisyjnego i kazał mu odjechać. Taylor patrzyła, jak wóz cofa się na bezpieczną odległość, z której dziennikarze na pewno nie mogli dostrzec zwłok. Uśmiechnęła się do siebie. Do diabła z telewizją.

Baldwin wyciągnął notatnik z tylnej kieszeni i pośpiesznie coś zapisywał.

- Czy znaleźliście... - Zawiesił głos, widząc, że funkcjonariusz w mundurze daje Taylor rozpaczliwe znaki.

Przez chwilę obserwowała Baldwina. Tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie ma sprawy. Wahala się jeszcze przez ułamek sekundy, lecz ostatecznie ruszyła do roztrzęsione-

go policjanta. Nawet z odległości dwudziestu kroków widać było, jak bardzo jest blady.

- Coś pan znalazł? - spytała. Nie rozpoznała go, najwyraźniej dopiero co ukończył akademię.

- Tak jest, pani porucznik - zameldował. Jego grdyka poruszyła się nerwowo.

Taylor zatrzymała się obok i powiodła wzrokiem za wyciągniętym palcem mundurowego. W trawie leżała ludzka dłoń.

Taylor zrobiła krok do tyłu, ale Baldwin z zainteresowaniem pochylił się nad ręką.

- Skoro jeszcze przed chwilą brakowało dwóch rąk, a teraz mamy jedną, to w pobliżu powinniśmy natrafić na drugą, prawda? - Taylor postanowiła zachować spokój. Przykry ucisk w żołądku nie pozwalał jej jasno myśleć.

Z każdą chwilą nabierała coraz głębszego przekonania, że z tą sprawą wiązą się tajemnice, których Baldwin jeszcze jej nie zdradził. Chwilę później te przypuszczenia się potwierdziły. Ruchem dłoni odprawiła policjanta, który oddalił się z wyraźną ulgą.

- Powinniśmy, ale nie natrafimy. - Baldwin spojrzał na nią ze smutkiem. - Możesz zarządzić poszukiwania, ale one nic nie dadzą.

- Jak to, do cholery? Morderca odcina dziewczynie dłonie, zostawia jedną w trawie, a drugą zabiera ze sobą? Co to ma być, jakieś trofeum?

Baldwin potwierdził skinieniem głowy.

- Owszem, trofeum. Jest tylko jeden problem. Przez ułamek sekundy Taylor próbowała sobie

wyobrazić, co psychopata mógł zrobić z pokiereszowaną dłonią, ale błyskawicznie otrząsnęła się z ponurych wizji.

- Jeden problem? - spytała. - Jaki?

- Ta dłoń nie należała do Jessiki.

### ***Rozdział czwarty***

Baldwin się oddalił, aby zatelefonować do Quantico, a Taylor zawołała Fitzę.

Przemaszerował przez łąkę niczym generał, z trudem dźwigając przed sobą wielgachne brzuszysko.

- Co tu robi federalny? - spytał pozornie obojętnym tonem.

Taylor przeszło przez myśl, że w tym pytaniu może się skrywać drugie dno, lecz twarz Fitzę wydawała się równie obojętna, jak jego głos. Doszła do wniosku, że to pytanie jest tym, czym się wydaje. Zwykłym pytaniem.

- Zgadnij. - Taylor osłoniła oczy i powiodła wzrokiem za Baldwinem, który szedł przez trawę.

- Przyjechał opracować profil mordercy, bo powtarza się schemat - odparł Fitz i również spojrzał na oddalającego się agenta. Federalny mógł się mieszać do lokalnego zabójstwa tylko z jednego powodu.

- To już trzecia kobieta, ale przynajmniej

znamy jej prawdopodobną tożsamość. Nazywa się Jessica Ann Porter, pochodzi z Missisipi. Gdzie Lincoln?

- W samochodzie, razem z Marcusem.

- Musi spędzić parę minut przy komputerze. Powiedz mu, że potrzebuję wszystkich informacji, które federalni zebrali na temat tych morderstw. Pierwsza była studentka z Alabamy, zaginęła i znalazła się w kwietniu w Luizjanie. Druga znikła z Baton Rouge w czerwcu, morderca wywiózł ją do Missisipi. Niech nasz informatyczny cudotwórca zgromadzi jak najwięcej szczegółów, przekonamy się, na czym stoimy. Federalni ukrywają informacje dotyczące tych spraw, łącznie z faktem, że morderca przewozi dłoń poprzedniej ofiary na miejsce, w którym porzuca nowe zwłoki. Baldwin na pewno podzieli się z nami całą swoją wiedzą, ale chcę dysponować własnym archiwum tej sprawy.

- Jesteś pewna, że powie ci wszystko, co wie? Taylor mrugnęła do Fitz'a i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Ani trochę w to nie wątpię.

Taylor kończyła przyrządzać sos bolognese. Skosztowała, dorzuciła jeszcze jedną łyżeczkę oregano, spróbowała ponownie. Hm. Czosnek. Do garnka powędrował następny ząbek. Usatysfakcjonowana zakryła naczynie, delektując się aromatycznymi oparami. Na zewnątrz szybko zapadał zmierzch. Taylor pokroiła świeżą bagietkę z pięciu zbóż, owinęła ją



folią i włożyła do opiekacza. Przełknęła łyk rewelacyjnego chianti z Montepulciano w Toskanii, które odkryła przy pomocy właściciela pobliskiej winiarni. Nazywała go Dżepetto, bo kojarzył się jej z ojcem Pinokia z animowanego filmu. Był dobrodusznym jegomościem o obwisłych, siwych wąsach i świetnie się znał na tokańskich trunkach. Przewisko szalenie przypadło mu do gustu, lecz nie pozwalał się tak nazywać nikomu z wyjątkiem Taylor.

Uśmiechnęła się i wypila jeszcze jeden łyk. Teraz tylko pozostało jej poddusić sos przez parę minut, więc usiadła, sącząc wino i przypatrując się świetlikom nad tarasem.

Mieszkała w skromnym, kupionym przed laty domu z bali na wzgórzach centralnej części Tennessee, w sąsiedztwie jeleni i królików. Któregoś dnia zauważyła nawet lisicę, która wędrowała na czele gromadki młodych. Przepracowana policjantka z wydziału zabójstw odnalazła w tym miejscu tak bardzo potrzebną ciszę i spokój.

Powróciła myślami do miejsca, gdzie znaleziono Jessicę.

Sam zajęła się zwłokami i przygotowała je do transportu. Ciało, odwodnione i ciepłe, okazało się trudne do przeniesienia. Worek ze zwłokami wysliznął się technikowi z rąk i głowa trupa uderzyła o ziemię. Muchy zabrzęczały złowrogo, a Taylor zaklęła, pomyślawszy o wilgotnym upale. W chłodne dni obcowanie ze śmiercią również było okropne, ale mimo wszystko nie aż tak odrażające.

Kim był morderca, którego ścigali? Skłaniał ofiary do dobrowolnego seksu, potem je dusił i okaleczał. Można by pomyśleć, że jakaś nieudana randka przeradzała się w koszmar. Taylor wiedziała, że opracowany przez Baldwina profil zbrodniarza dostarczy jej odpowiedzi na część pytań.

Sekcję zwłok Jessiki Porter zaplanowano na rano. Taylor postanowiła udać się do zakładu medycyny sądowej, przez szacunek dla ofiary i po to, by dowiedzieć się jak najwięcej o sprawcy. Morderca, nawet najbardziej skrupulatny, zawsze pozostawiał ślady. Fakt, że popełnił już trzy zbrodnie, miał prawo budzić głęboki niepokój.

Taylor nękało wspomnienie odciętych rąk. Śmierć nigdy nie bywa ładna, lecz tym razem wydawała się wyjątkowo ohydna. Ofiarę pozbawioną dłoni trudniej zidentyfikować, do tego morderca porzucił ją na pustej łące, w trzydziestostopniowym upale. Tylko dlaczego pozostawił rękę przy zwłokach?

Taylor nie wiedziała, jak zareagować, kiedy Baldwin wyjaśnił jej sens firmowego znaku mordercy. Zadała oczywiste pytanie: gdzie szukać drugiej dłoni?

Zaśmiał się bez przekonania.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - odparł.

Mogli w ogóle nie znaleźć zwłok, ale dopisało im szczęście. Pośrednik obrotu nieruchomości, który wystawił działkę na sprzedaż, przyjechał, aby dopisać do tablicy informacyjnej swój nowy

numer telefonu. Na miejscu uderzył go trupi smród, a gdy natknął się na zwłoki, powiadomił policję. Tego dnia los im sprzyjał. Niewiele brakowało, a jeszcze przez parę tygodni nie usłyszeliby o Jes-sice Porter. To w zupełności by wystarczyło, żeby skwar i robaki zrobiły swoje. Identyfikacja szczątków znacznie by się wydłużyła. Morderca wiedział, co robi.

Jessicę jednak znaleziono i dzięki temu policja dysponowała dodatkowymi informacjami o zabójcy. Taylor zastanawiała się nad związkiem między Jackson, Missisipi i Nashville, kiedy usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Jak się miewa moja mała debiutantka?

Posłała złowrogie spojrzenie właścicielowi tubalnego głosu. Uśmiechnął się z zadowoleniem, w trzech krokach pokonał dystans, złapał Taylor za rękę i poufale przytulił. Wcisnęła nos w zagłębienie nad jego obojczykiem i westchnęła. Pachniał przyjemnie i świeżo. Nie wyczuwała woni śmierci, tylko mydło oraz wodę cedrową. Odetchnęła ponownie i stanowczym ruchem odepchnęła gościa. Cofnął się gwałtownie, potknął i uniósł rękę, jakby w ten sposób chciał powstrzymać nadciągającą burzę.

- Baldwin, cholera jasna, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Co, dzisiaj makaron na kolację? Pachnie bosko.

Patrzyła na niego z żądzą mordu wypisaną na twarzy. Nieśmiało wzruszył ramionami.

- Co miałem zrobić, Taylor? Skąd mogłem wiedzieć, że on trafi do Nashville? Ta kobieta zaginęła trzy dni temu, a przecież nie od razu mnie o tym powiadomiono. Następnym razem z pewnością przewrócę się na drugi bok i mimochodem napomknę, że w Missisipi porwano jakąś dziewczynę, więc powinnaś zacząć szukać jej zwłok w okolicach Nashville. Taylor, nie przesadzasz? Nie miałem zielonego pojęcia, dokąd się wybierze morderca. Nawet nie miałem pewności, że to Dusiciel, dopóki nie obejrzałem zwłok.

Wyciągnął rękę, aby pogłaskać ją po policzku, ale odwróciła się bez słowa i podeszła do kuchenki. W milczeniu zaczęła mieszać sos.

- Skarbie, daj spokój. Powiedziałbym ci wcześniej, gdybym wiedział, że w grę wchodzi ten facet. Od miesiąca nie dał znaku życia, po prostu rozpułynał się we mgle. Nawet teraz praktycznie nie mamy od czego zacząć. Gość zostawia po sobie tylko trupy i odrąbane ręce.

Taylor spojrzała na niego. W jego zielonych oczach dostrzegła smutek i przygnębienie. Wiedziała, że Baldwin staje na głowie, aby ruszyć sprawę z miejsca.

- Jak na mój gust, odcięte dłonie i zwłoki to całkiem niemało - zauważyła niepewnie i od razu zrobiło jej się głupio.

Nie miała powodu wściekać się na Baldwina, który najzwyczajniej w świecie wykonywał tylko swoje obowiązki. Poza tym wcale nie chciał jej wykluczyć z nowego dochodzenia.

Wszystko

wskazywało na to, że wspólnie będą prowadzili śledztwo, jak sam tego chciał.

- Kompletujesz ekipę dochodzeniową?

- Na razie jestem tylko ja, ale wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Biorę pod uwagę jeszcze dwóch ludzi, obecnie zajętych innymi dochodzeniami: Jerry'ego Grimesa oraz Thomasa Petty'ego. Wiesz, jak to jest: ja im podrzucę jakieś informacje, a oni mi się zrewanżują.

Baldwin, na stałe zatrudniony w FBI, od trzech miesięcy pracował gościnnie dla wydziału zabójstw w Nashville. Jego pomoc okazała się nieoceniona dla Taylor. Rzecz jasna dzielenie z nim łóżka było dodatkową korzyścią płynącą ze znajomości.

Uśmiechnęła się z aprobatą.

- Nie zasypiasz gruszek w popiele - zauważyła. - Rozmawiałeś już z Price'em, co?

Usiadł przy stole i pokiwał głową.

- Garrett Woods do mnie zadzwonił. - Woods był przełożonym Baldwina w FBI i przyjaźnił się z Mitchellem Price'em, szefem wydziału dochodzeniowo-śledczego policji w Nashville. Do jego obowiązków należało prowadzenie spraw związanych z zabójstwem. Taylor z powrotem odwróciła się do kuchenki.

- Jestem głodna. Pogadamy o tym później. Baldwin uśmiechnął się wymownie.

- Kto powiedział, że będziemy rozmawiać?

Taylor brała prysznic, kiedy rozległ się dzwonek

telefonu. Baldwinowi nawet przez myśl nie przeszło, aby odebrać. Jego kochanka pilnie strzegła prywatności i nie zamierzała zdradzać faktu, że coś ich łączy. Nie chciała też, by inspektorzy z tego samego wydziału podawali w wątpliwość jej motywację lub intencje. Gdyby wiedzieli, że związała się z agentem federalnym, patrzyliby na nią inaczej. Tak przynajmniej uważała.

Zwierzyła się jedynie najlepszej przyjaciółce. Sam Loughley uważała, że utrzymywanie tego związku w tajemnicy jest szaleństwem. Jej zdaniem, gdyby Taylor wyznała prawdę, nic by się nie zmieniło, ale policjantka wolała zachować wyraźny podział na życie zawodowe i osobiste.

Wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem i podreptała do automatycznej sekretarki. Wiadomość była krótka. „Oddzwon”, zażądał głos Fitz. Było późno, padała z nóg, ale wystukała numer jego komórki i zaczęła, aż odbierze.

- Tak?

- Fitz, Taylor z tej strony. Co tam?

- Pomyślałem, że będziesz chciała o czymś wiedzieć. Pół godziny temu otrzymaliśmy zgłoszenie o zaginięciu dziewczyny. Nazywa się Shauna Davidson, z Antioch. Nie mam pojęcia, czy to coś ważnego, ale od wczoraj słuch po niej zagał. Jej matka twierdzi, że nie wróciła do domu na noc. Usiłowała się z nią skontaktować, ale dziewczyna nie odbiera ani telefonu w domu, ani komórki. Matka oglądała wiadomości, słyszała doniesienie

o znalezieniu zwłok na łące i przeraziła się, że to jej córka. Mało nie oszalała ze strachu. Tyle że dziewczyna w trawie to nie Shauna Davidson, której losy nadal pozostają nieznane.

Taylor poczuła przykry ucisk w żołądku.

- Czy to brunetka?

Usłyszała szelest wertowanych przez Fitz'a kartek.

- Raczej tak. Brązowe włosy, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, sześćdziesiąt trzy kilo wagi. Osiemnaście lat.

- Wiesz o niej coś więcej? Zawód? Pojawiła się w pracy?

Fitz przerzucił następną stronę.

- Nic o tym nie wiem. To jeszcze dzieciak, pewnie dorabia sobie w sklepie z odzieżą albo jest kelnerką. Skoro jest z Antioch, to na dziewięćdziesiąt procent pracuje w Hickory Hollow. Dowiem się. Teraz jadę do jej mieszkania, to się przekonamy. Policja już jest na miejscu, podobno w grę może wchodzić morderstwo. Zobaczmy. Miejmy nadzieję, że tylko zaciął się jej zamek w drzwiach.

- Jedź tam i zobacz, jak to wygląda.

- Już jadę. Dam ci znać, jeśli będziesz potrzebna na miejscu.

- Dzięki za informację. Na razie. Odłożyła słuchawkę. Wiedziała, że dziennikarze będą mieli używanie. Od biedy można utrzymywać we względnej tajemnicy porwania i morderstwa z innych stanów, ale tego typu sprawy na własnym

podwórku muszą wyjść na jaw. Zerknęła na zegarek. Za pięć dziesiąta.

Gdy wróciła do salonu, ujrzała śpiącego na kanapie Baldwina. Trzymał w dłoniach grubą teczkę z dokumentacją dochodzeniową. Rozpoznała napis na okładce: „Tylko do wglądu FBI”. Zawahała się. Nie chciała go budzić, ale to było konieczne. Na pewno wolał wiedzieć. Drgnął, gdy łagodnie potrząsnęła jego ramieniem.

- Co jest? - wymamrotał i wyprostował się gwałtownie.

Teczka wypadła mu z rąk, materiały rozsypały się na dywanie. Taylor zauważyła zdjęcia z miejsc zbrodni, upiorne obrazy śmierci. Pomagając Baldwinowi ogarnąć bałagan, zachodziła w głowę, dlaczego zdecydowali się tak żyć. Każdego dnia obcowali ze śmiercią. Ostatnio coraz częściej nachodziły ją wątpliwości, czy dobrze wybrała sobie zawód.

- Fitz przed chwilą dzwonił. Zgłoszono zaginięcie osiemnastolatki o nazwisku Shauna Davidson. Jedzie do jej mieszkania, w razie potrzeby zadzwoni. Chciałam sprawdzić, czy w telewizji już o tym mówią.

Przygnębienie na twarzy Baldwina mówiło samo za siebie. Nie należało zakładać, że Shauna Davidson wróci tego wieczoru do domu.

Taylor włączyła telewizor, usiadła na kanapie i podkulila nogi. Na wszystkich kanałach informacyjnych mówiono przede wszystkim o zwłokach znalezionych w Bellevue. Dziennikarze



w najdrobniejszych szczegółach opisywali wszystko, co wiedzieli na temat sprawy.

Mieszkańcy Nashville uwielbiali się delectować kroniką kryminalną.

Taylor po kolei przełączała programy - znalezienie trupa w trawie najwyraźniej stało się sensacją dnia.

- Psiakrew.

Baldwin uśmiechnął się lekko.

- Zdaje się, że ta historia zaczęła żyć własnym życiem - zauważył.

Taylor wróciła na Kanał Piąty. Whitney Connolly, gwiazda reportażu, znajdowała się na miejscu znalezienia zwłok, które teraz wyglądało jak cyrk o trzech arenach. Na co liczyli dziennikarze? Policja gruntownie oczyściła teren, nie zostało nic do oglądania. Telewizja jednak z upodobaniem emitowała wcześniejsze nagrania. Kamery były ustawione tak, aby zaprezentować okolicę, na jezdni roiło się od radiowozów z włączoną sygnalizacją świetlną. Taylor się wzdrygnęła, widząc, że kamerzyście udało się jednak zarejestrować chwilę, w której technikowi wyslizguje się worek z trupem. Zamiast na nosze, zwłoki trafiły na ziemię, a realizator z upodobaniem zademonstrował zbliżenie na muchy plujki, które wzbiły się w powietrze niczym chmura kurzu. Po prostu świetnie.

Komórka Taylor zadzwoniła ponownie. Tym razem Fitz zażądał, aby koniecznie przyjechała do mieszkania Shauny Davidson. Koniec marzeń o spokojnej nocy. Taylor się rozłączyła i poszła

włożyć kowbojki. Whitney Connolly, której najwyraźniej zabrakło materiału, prosiła wszystkie osoby dysponujące informacjami na temat zwłok z Bellevue o kontakt z miejscową policją. Materiał opracowany przez Connolly był bardziej wyczerpujący niż na innych kanałach, a ona sama robiła wrażenie zachwyconej okazją do autoprezentacji. Taylor czasami się zastanawiała, czy Connolly nie przesadza z uwielbieniem dla swojej pracy. Przygotowywanie programów o śmierci oraz katastrofach niewątpliwie sprawiało jej ogromną satysfakcję.

- Whitney Connolly ma wrażliwość pitbulla. To jedna z niewielu reporterek, które ubóstwiają opisywać lokalne przestępstwa - zauważył Baldwin, jakby czytał w myślach Taylor. Popatrzyła na niego. Siedział zapatrzony w ekran telewizora.

- Chodziłam z nią do szkoły. I z jej siostrą bliźniaczką, Quinn. Razem z Sam uczyłam się w klasie wyżej, kiedy ty kończyłeś liceum, one były w pierwszej klasie. Wiem, że trafiłeś do naszej szkoły pod koniec ostatniej klasy, ale może je pamiętasz? Tamta historia... -

Zawiesiła głos na dźwięk dzwonka telefonu Baldwina.

Natychmiast sięgnął po aparat.

- Tak? Owszem, słyszałem... Nie, skąd. Dobrze... Nie ma sprawy. Tak. Zatem do jutra. - Rozłączył się i zaczął nerwowo spacerować po pokoju. - Dzwonił Garrett, chciał się upewnić, czy na pewno słyszałem o zaginięciu następnej dziewczyny. Zostałem oficjalnie poproszony o odłożenie

wszystkich innych spraw i skupienie się na tym jednym dochodzeniu. Już nie jestem tylko analitykiem. Wiedziałem, że tak się to skończy.

Taylor uśmiechnęła się do niego krzepiąco. W tym samym momencie odebrała własny telefon. W następnej sekundzie stała z pistoletem w kaburze, gotowa do pracy.

- Witaj w moim koszmarze - odezwała się do partnera. - Ruszamy.

Taylor podjechała do żółtej taśmy, rozciągniętej przed wjazdem na parking przy ulicy, gdzie mieszkała zaginiona Shauna Davidson. Uśmiechnęła się, gdy młody policjant uniósł taśmę, umożliwiając jej przejazd. Zanim ruszyła, otworzyła okno i wskazała dłonią samochód z tyłu.

- Proszę przepuścić także tego pana - poprosiła. - Jesteśmy razem.

Policjant skinął głową, a Taylor odjechała i sprawdziła w lusterku, czy Baldwin również wjeżdża na parking. Zatrzymała się na jednym z nielicznych wolnych miejsc, zgasiła silnik i wyszła z samochodu. Zaczekała na Baldwina, aby wspólnie z nim skierować się do budynku.

Na schodach spotkali Fitza. Wyglądało na to, że idzie na dół, lecz puścił ich przodem i ruszył z powrotem na górę, po drodze dzieląc się z nimi informacjami.

- Pierwszy policjant, który zjawiał się na miejscu,

zapukał do drzwi, ale w środku panowała absolutna cisza. Nie zauważył też śladów włamania, więc skorzystał z zapasowego klucza od właściciela budynku i otworzył drzwi. Ktoś je zamknął od środka, ale tylko na zamek elektryczny, nie na zasuwę. Policjant wszedł do środka, rozejrzał się, ale wszystko wyglądało normalnie, dopóki nie wszedł do sypialni. Łóżko było rozgrzebane, wszędzie pełno krwi. Technicy właśnie kończą zbieranie materiałów. Pytaliśmy sąsiadów, ale nikt nie widział dziewczyny ani wczoraj wieczorem, ani dzisiaj. Kiepska sprawa.

Dotarli do drzwi i dali nura pod następną żółtą taśmę. W pokoju zostało już tylko kilka osób. Taylor skinęła im głową na powitanie i rozejrzała się uważnie.

Shauna Davidson mieszkała w komfortowych warunkach. Salon był gustownie i nowocześnie urządzone. Telewizor o płaskim ekranie zajmował jedną ścianę, obok niego stał wysokiej jakości sprzęt stereo. Najważniejszym meblem w pokoju była skórzana ciemnobieżowa kanapa, na której piętrzyła się sterta płowych poduszek z zamszu. Przy stoliku do kawy stały dwa krzesła obite ciemnobrązowym zamszem. Wszędzie panował idealny porządek. Czasopisma leżały na rogu stolika, nigdzie nie było widać brudnych szklanek, puszek czy kieliszków. Najwyraźniej zaginiona dziewczyna miała obsesję na punkcie czystości i porządku. Taylor pomyślała, że to raczej nietypowe dla tak młodej osoby.

Z prawej strony znajdowała się mała kuchnia i krótki korytarz. Taylor ruszyła przed siebie. Po drodze do sypialni minęła niewykorzystywany pokój gościnny i gabinet.

Na widok łóżka mimowolnie się wzdrygnęła. Kołdra leżała na podłodze, zwinięte w kłębek prześcieradło walało się u stóp łóżka. Materac wydawał się ociekać krwią. Taylor skierowała wzrok na technika, który stał z lewej strony łóżka i najwyraźniej na nią czekał.

- Ma pan zdjęcia, które pokazują dokładnie, jak wyglądała sypialnia przed przyjazdem policji?

- Tak, proszę pani. Staraliśmy się pobierać próbki, żeby jak najmniej ingerować w wygląd miejsca zbrodni.

- Odłożyliście wszystko tak, by pasowało do zdjęć?

- Tak, proszę pani, poodkładaliśmy przedmioty na miejsce. Weszliśmy do środka, a na widok krwi wycofaliśmy się i zrobiliśmy zdjęcia. Dopiero potem pobraliśmy próbki. Pokój wygląda okropnie, ale do badania jest w nim niewiele. Pozostałości biologiczne wyschły, leżały tutaj co najmniej jeden dzień. Zebraliśmy materiał z łóżka i stolika, znaleźliśmy parę odcisków palców. Całość wprowadzimy do systemu i damy pani znać, jakie są wyniki.

Gdy tylko będzie pani gotowa, pakujemy się i odjeżdżamy.

Taylor podziękowała skinieniem głowy i młody człowiek opuścił pokój. Popatrzyła pytająco na Baldwina i Fitza.

- I co wy na to? - spytała.

Baldwin rozejrzał się uważnie i zawiesił wzrok na krwawych plamach. Taylor od razu się zorientowała, że nie pierwszy raz widział taką scenę. Postanowiła cierpliwie czekać.

Baldwin obszedł sypialnię, parę razy coś zanotował i zrobił kilka zdjęć.

Taylor kątem oka obserwowała Fitza, który wyraźnie tracił panowanie nad sobą, podobnie jak ona.

- Baldwin, odezwij się - nie wytrzymała. - Powiedz, co widzisz.

Powoli zamknął notatnik i przewiesił aparat fotograficzny przez ramię.

- Wygląda to znajomo - wyznał. - Podobnie prezentowały się mieszkania innych dziewczyn. Rozgrzebane łóżko, krew. Moim zdaniem on je czaruje, skłania, aby zaprosiły go do domu i do łóżka, następnie je dusi i odcina im ręce. Zwłoki przewozi w następne upatrzone miejsce. - Detektyw pokręcił głową. - Shauna Davidson. Nie wiem, gdzie ją znajdziemy, ale to na pewno nasz numer cztery. Dusiciel postanowił przyśpieszyć. -

Baldwin przechadzał się po pokoju. - Nie ma śladów włamania, podobnie jak w poprzednich wypadkach. Zapewne wybiera gdzieś ofiarę, może w barze, może w bibliotece, i przekonuje ją, żeby zaprosiła go do siebie. Niewykluczone, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Z początku uprawiają seks za obopólnym przyzwoleniem, potem morderca zabija ofiarę. Nie widać śladów walki. W or-

ganizmach dziewczyn nie natrafiliśmy na substancje odurzające. Moim zdaniem, Dusiciel wiąże kobiety. - Podszedł do wezgowia łóżka. - A to co? Zawołajcie z powrotem techników, dobrze?

Fitz znikł i wrócił w towarzystwie młodego mężczyzny. Baldwin przywołał go ruchem ręki i wskazał na kratę łóżka z kutego żelaza.

- Przegapiliście coś - oświadczył oskarżyciel-skim tonem.

Technik poczerwieniał jak burak, uświadomiwszy sobie, że to jego wina. Na ramie wisiało jasne włókno. Pośpiesznie je zabezpieczył i przeprosił, wyraźnie zakłopotany. Gdy wychodził, Baldwin poklepał go po plecach.

- To zapewne fragment sznura. Poprzednio również natrafialiśmy na takie włókna. Wersja z krępowaniem ofiar ma sens. Tego typu mordercę podnieca bezradność. Złość, satysfakcja, przyjemność - Dusiciel odnajduje to wszystko w tym, co robi. Jeszcze nie wiem, po co obcina ofiarom dłonie. Zapewne ma to podłoże fetyszy styczne, wątpię, aby usiłował maskować tożsamość zabitych kobiet. Postępuje zgodnie z planem, zawczasu opracowuje schemat zbrodni. Dziwne, że w ogóle się rozstaje z trofeami. To chyba wskazówka dla nas, szlak, którym mamy podążać. Dusiciel chce rozślawić swoje czyny. Wywozi ciała poza granice stanów, okalecza zwłoki, a wszystko po to, aby jego zbrodnie stały się jak najbardziej odrażające i ostentacyjne. Od początku wiedział, że FBI zainteresuje się morderstwami. On chce, żebyśmy go

rozpoznawali. Na pewno nie zmieni schematu postępowania, bo uznał go za swoją wizytówkę. Teraz musimy po prostu ustalić tożsamość sprawcy. W komputerowej bazie danych FBI brakuje zabójcy o podobnym sposobie działania. Poza wynikami sekcji zwłok nie mamy praktycznie żadnych konkretnych informacji. Zeznania świadków są mizerne i nic nie wnoszą. Ten człowiek zachowuje się jak duch, bo tak to sobie obmyślił.

Baldwin przestał spacerować po pokoju. Jego oczy rozbłysły.

- Dusiciel rzucił nam wyzwanie - wycedził. - Zabił nam ćwieka, wie o tym i jest z siebie zadowolony. Nie potrafimy przewidzieć, gdzie uderzy następnym razem, więc musimy być cały czas czujni. Wspomnicie moje słowa. On nas zachęca do poszukiwań.



## ***Rozdział piąty***

Whitney Connolly siedziała przy domowym komputerze, wystukując e-maile do korespondentów z całej Ameryki. Rankami zawsze odpisywała na listy. Bez względu na dzień tygodnia budziła się sama, biegła do Starbucksa na latte, gdzie nieśmiałym uśmiechem witała zarówno znajome, jak i nieznajome osoby, a po powrocie do domu uruchamiała komputer. Utrzymywała kontakt z pokaźną rzeszą ludzi, więc zmuszona była segregować e-maile według ważności. Na pierwszy ogień szli przyjaciele, bo do tej kategorii trafiało najmniej listów. Ponieważ zwykle były one najmiłsze, do następnej kategorii podchodziła z poczuciem wewnętrznego spokoju. Wielbiciele. Do tej grupy należeli najprzeróżniejsi ludzie, kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy, uprzejmi i niezbyt grzeczni. Musiała odbierać pocztę, bo jej kanał udostępniał adresy internetowe reporterów, a dodatkowo zamieszczał je wraz ze zdjęciami na własnej stronie.

Zdaniem Whitney, odpowiadanie na listy było ważne, więc dziękowała za pochwały osobom, którym przypadły do gustu jej materiały z poprzedniego wieczoru i uprzejmie odnosiła się do uwag widzów niezadowolonych z jej pracy. Uważano ją za wybitną dziennikarkę w Nashwille, co niewątpliwie miało swoje dobre strony. Rzecz jasna budziła irytację części widzów i z poczucia obowiązku przyjmowała ten fakt do wiadomości, a także starała się mieć na względzie nieprzychylnie opinie. W jej mniemaniu na tym polegało utrzymywanie dobrych relacji z lokalną społecznością.

Ten poranek mogła zaliczyć do udanych. Otrzymała czterdzieści e-maili od fanów, z których tylko pięć utrzymanych było w niezyczliwym tonie. Uważnie przeczytała komentarze, a nieprzyjazne zbyła standardowym tekstem: „Przykro mi, że mój program nie spełnił wszystkich Państwa oczekiwań. Dołożę wszelkich starań, aby w przyszłości skorygować błędy”. Wylewnie podziękowała autorom listów pełnych uwielbienia i z powagą odpisała na listy od ludzi, którzy sądzą, że wiedzą o świecie więcej niż ona. Następnie upiła solidny łyk letniej latte i zabrała się do pracy przy kolejnej grupie. Te e-maile ceniła najwyżej, bo one naprawdę się liczyły. Listy od informatorów.

Whitney utrzymywała kontakty z dużą grupą ludzi, rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych, którzy dostarczali jej informacji. Od lat dbała o jak najlepsze relacje z nimi. Od czasu do czasu powiększała grono znajomych o mniej lub bardziej

oficjalnych informatorów. Taka strategia była warunkiem osiągnięcia celu, który sobie postawiła. Miała ambicje, i to olbrzymie, i czuła, że do ich spełnienia brakuje jej tylko jednego dobrego materiału. Osiągnęła już niemało, bo trafiła do ścisłej czołówki dziennikarskiej w Nashville. Jej stacja przodowała w rankingach i konsekwentnie dominowała nad innymi pod względem udziału w rynku.

W powszednie dni Whitney ruszała w teren, by zbierać materiały, a w weekendy wcielała się w rolę prowadzącej wieczorne wiadomości o dziesiątej. W głębi duszy czuła się zbyt dobra na to, aby tkwić na stanowisku prowincjonalnej reporterki, nawet na pełnym etacie. Teraz, w wieku trzydziestu czterech lat, była przekonana, że powinna zostać dostrzeżona przez liczące się stacje ogólnokrajowe. Marzył jej się Nowy Jork. Nie chciała pracować w Atlancie, gdzie nie można było wyrażać własnych poglądów. Nowy Jork to co innego. Pragnęła tam zamieszkać i potrzebowała tylko jednego mocnego newsa, aby jej sny stały się rzeczywistością.

Uroda była jej mocną stroną, w to nie wątpiła. Wysoka, długonoga blondynka, miała idealnie kształtny nos, którego nie musiała operować, intensywnie błękitne oczy, pełne usta, tylko trochę poprawione, i nienagannie piękne, duże piersi, za które zapłacała majątek. Subtelnie zarysowane brwi farbowała dwa odcienie ciemniej niż włosy. Tak, prezentowała się znakomicie. I w dodatku

miała głowę na karku i nie brakowało jej silnej woli. Potrzebny był jej tylko jeden spektakularny temat.

W trakcie przeglądania poczty i poszukiwań listu, dzięki któremu stałaby się gwiazdą, pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku. Włączyła telewizor i nastawiła go na kanał, w którym tak bardzo pragnęła pracować.

Logo wiadomości z ostatniej chwili pulsowało czerwienią na całej szerokości ekranu. Tętno Whitney momentalnie przyśpieszyło. Co się zdarzyło tym razem? Zamach bombowy za granicą? Wyrok w ważnym procesie? Polityk przyłapany z martwą dziewczyną albo z żywym chłopakiem? Dla dziennikarza złe wieści są dobre, bez względu na to, kto cierpi z ich powodu. Gdy ekran wypełniła zatroskana twarz prowadzącego, Whitney poczuła, jak po jej ciele rozplywa się rozkoszne ciepło. Rozparła się w odchylanym krześle ze skórzanym obiciem i szeroko uśmiechnęła. To on, znowu zaatakował.

## ***Rozdział szósty***

Taylor obudziła się wcześniej i od razu włączyła telewizor. Baldwin wyraźnie podkreślił, że szkoda czasu na próby zlokalizowania Shauny Davidson w okolicy jej domu, niemniej policja i tak wszczęła akcję ratowniczą. W porannych wiadomościach relacjonowano jej dotychczasowy przebieg. Na ekranie pojawił się szereg mężczyzn i kobiet w niebieskich spodniach roboczych i podkoszulkach. Zgromadzone osoby wyposażone były w długie tyczki i w skupieniu kontrolowały przestrzeń wokół bloku Shauny. Zadowolona z przebiegu akcji Taylor wzięła prysznic, ubrała się, przypięła kaburę z bronią i wyruszyła do zakładu medycyny sądowej, aby wziąć udział w sekcji zwłok Jessiki Porter.

Jechała autostradą, wyprzedzając rozpędzone ciężarówki z naczepami i rozkoszując się pięknem dnia. Zauroczone błękitem nieba, uchyliła okno, ale natychmiast zmarszczyła nos i zasunęła szybę

z powrotem, zaatakowana przez wyziewy z rur wydechowych. Przestała się zachwycać pogodą i powróciła myślami do rozmowy, którą odbyła z Baldwinem, zanim poszli spać. Miał pewność, że Dusiciel z Południa nasilił ataki, a materiał dowodowy z mieszkania Shauny Davidson wyraźnie wskaże związek tej sprawy z poprzednimi trzema morderstwami.

Baldwin nieraz udowodnił, że gdy prowadzi dochodzenia, uaktywnia się u niego szósty zmysł, niesłychanie przydatny, wręcz niezbędny w pracy agenta FBI. Do sporządzania profilu przestępcy konieczne jest częściowe utożsamienie się z nim. Baldwin potrafił się wczuć w rolę kryminalisty, rozumiał, co się dzieje w umyśle mordercy, którego ścigał. Ta umiejętność niekiedy przerażała Taylor, bo nie знаła innych policjantów tak skupionych na wykonywanych obowiązkach. Musiała jednak przyznać, że osiągał doskonałe rezultaty. Pełnoetatowa współpraca z tak dobrym agentem mogła się przyczynić do rychłego odnalezienia Shauny Davidson, choć Taylor wątpiła, aby dziewczyna jeszcze żyła. W jej sypialni znajdowało się zbyt dużo krwi.

Jego mała debiutantka. Obruszyła się. Nie cierpiała, kiedy ją tak nazywał, a on doskonale o tym wiedział. Po prostu uwielbiał od czasu do czasu wbijać jej szpilę. Wiele by oddała, aby wymazać z pamięci niektóre epizody w życiu. Nie było to jednak możliwe, choćby ogromnie się starała i udawała, że liczy się tylko chwila obecna.

Taylor pochodziła z zamożnej rodziny i dorastała w Forest Hills, bogatej dzielnicy Nashville. Miała do dyspozycji wszystko to, co ma każda dziewczyna z dobrego domu. Niechętnie, ale uczestniczyła nawet w balu debiutanckim, zorganizowanym w sylwestra po jej osiemnastych urodzinach, kiedy to została przedstawiona społeczności Nashville. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy Shauna Davidson również musiała brać udział w tak bezsensownych ceremoniach, ale szybko przestała sobie zaprzętać tym głowę. Nadal chciało jej się śmiać na wspomnienie furii, w jaką wpadli jej rodzice, gdy wyznała, że zamierza zostać policjantką. Oboje zgodnie uważali, że ich córka ma do wyboru tylko dwie drogi kariery, po zakończeniu nauki w college'u, naturalnie. W trakcie nauki powinna poznać przyszłego męża, przyszłego lekarza lub prawnika. Gdy ów mąż obejmie już stanowisko rezydenta stacjonarnego w szpitalu lub zostanie młodszym wspólnikiem w kancelarii adwokackiej, Taylor zamieszka z nim w Nashville i zajmie się wychowywaniem dzieci, zostanie liderką lokalnej organizacji kobiecej, być może otworzy mały, elegancki sklepik albo założy niedużą fundację dobroczynną, rzecz jasna dopiero wtedy, gdy dzieci pójdą do szkoły.

Druga, mniej popularna opcja, polegała na wybraniu sobie własnego zawodu, związanego z medycyną, prawem lub marketingiem, podjęciu nauki na określonym kierunku, szybkim znalezieniu męża i jeszcze szybszym urodzeniu dzieci.

Taylor z miejsca odrzuciła obie możliwości. Zbyt długo obserwowała życie swojej matki, na które składały się lunchy, podwieczorki, działalność charytatywna. Matka i jej koleżanki trwały w przekonaniu, że powinny żyć tak, jakby tworzyły uczelniane stowarzyszenie dziewcząt, bo w ten sposób nigdy się nie zestarzeją. Taylor uważała, że takie rozumowanie jest płytkie, a nawet jeśli działalność charytatywna nie była pozbawiona sensu, ona sama wolała zajmować się czym innym.

Oczekiwała od życia czegoś więcej. Pragnęła przeżywać emocje, nawet ocierać się o śmierć. Interesował ją prawdziwy świat, a nie poszukiwanie Nibylandii. Musiała znaleźć pracę, w której się odnajdzie. Nashville było niezbyt dużym miastem, a ponieważ Taylor buntowała się przeciwko matce i jej dobremu chęciom, poznała najrozmaitszych jego mieszkańców. Miała też okazję zaznajomić się z gliniarzami - z całą ich rzeszą. Kilka razy popadła w konflikt z prawem, ale wrodzony wdzięk pomógł jej uniknąć kary. Na dodatek zaprzyjaźniła się z kilkoma funkcjonariuszami, którzy utwierdzili ją w przekonaniu, że warto podjąć pracę w policji.

Ten zawód wydawał się stworzony dla Taylor. Mogła poświęcić się pracy na rzecz miasta i jednocześnie nie zatracić własnej osobowości. Ogromnie ceniła sobie poczucie siły, które ją przepełniało, gdy kręciła się po mrocznych zakamarkach Nashville i stykała z elementem kryminalnym. Nareszcie żyła w prawdziwym świecie, a nie w luk-



rowanej rzeczywistości wyścigu szczurów. Jak się nietrudno domyślić, Taylor z początku miała wyidealizowaną wizję siebie jako obrończyni miasta, troszczącej się o jego mieszkańców. Dopiero z czasem się zorientowała, że choć policja dba o dobro wszystkich, w gruncie rzeczy nikt nie dba o dobro policji. Ta świadomość okazała się bolesnym wyjaśnieniem przyczyn licznych problemów osobistych w gronie stróżów prawa. Wśród kolegów Taylor mnożyły się rozwody, powtarzały przypadki zażywania narkotyków, szerzył alkoholizm i choroby o podłożu psychicznym. Mimo to nadal idealizowała policję. Nie zamierzała się załamywać, jak wielu jej kolegów, i wierzyła, że ma dość siły, aby wytrwać w tej pracy.

Wbrew woli matki wstąpiła na uniwersytet stanowy w Tennessee, uzyskała tytuł licencjata w dziedzinie kryminalistyki i natychmiast po zakończeniu nauki zgłosiła się do pracy w policji. Przyjęto ją od ręki i skierowano do akademii policyjnej, gdzie utrwaliła związki z ludźmi, od których zależał przebieg jej kariery. Nauczyciele i studenci cenili ją jako uczennicę i koleżankę, choć jeden ze szkoleniowców nieco zbyt chętnie rzucał jej kłody pod nogi. Była młoda i ładna, a on uważał, że kobiety nie mają czego szukać w szeregach policji. Taylor uznała, że w każdym zawodzie trafia się beton, i nie dała się zniechęcić. Przeciwnie, trudności tylko wzmocniły jej siłę woli oraz zaangażowanie.

Zderzenie z rzeczywistością czekało ją na jednym

z pierwszych patroli. Prowadziła radiowóz i sprawdzała, czy nic nie zakłóca porządku na Drugiej Alei, kiedy otrzymała zgłoszenie, że w dzielnicy bloków komunalnych doszło do bójki z użyciem noża. Ruszyła na sygnale i szybko dotarła na miejsce.

Młody Murzyn leżał na ziemi przed klatką schodową obscurnego bloku, w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Wszyscy jęczeli i zawodzili, jednocześnie usiłując powstrzymać gwałtowny upływ krwi z wielkiej rany na brzuchu mężczyzny. Bezskutecznie próbowali też wepchnąć jelita z powrotem do jamy brzusznej nieszczęśnika. Wykrwawił się na oczach bezradnych bliskich. Karetka pogotowia przyjechała chwilę później - za późno, aby uchronić Taylor przed utratą niewinności na ciemnej uliczce paskudnego, komunalnego blokowiska. Dokończyła pracę na miejscu zbrodni i wróciła na posterunek. Dopiero w szatni zauważyła, że krew mężczyzny ochlapała jej buty. Nie potrafiła opisać emocji, które ją wówczas ogarnęły, ale szybko nauczyła się je ignorować.

Śmiać jej się chciało na wspomnienie tamtej młodej dziewczyny, wstrząśniętej widokiem paru kropli krwi na butach. Od tamtej pory naoglądała się jej mnóstwo. W wieku trzydziestu pięciu lat była najmłodszą kobietą w randze porucznika policji, dowodziła zespołem inspektorów z wydziału zabójstw i nieraz widziała już przelaną krew, ranionych przez nią ludzi albo własną. Mogła z ręką na sercu powiedzieć, że czasy idealizmu bezpowrotnie odeszły w przeszłość.

Zaparkowała przed głównym wejściem do zakładu medycyny sądowej przy Gass Street. Przynajmniej teraz wiedziała, kim jest, czuła się z tą świadomością komfortowo i była z siebie względnie zadowolona. Z naciskiem na słowo „względnie”.

Baldwin zaproponował, aby ponownie zgłosiła się do akademii na odpowiednie kursy oraz egzaminy, po których otrzymałaby angaż do FBI, lecz Taylor tylko wzruszyła ramionami. Nie interesowała jej kariera agentki federalnej. Jej miejscem na ziemi było Nashville. Doktor Samantha Loughley, patolog i najlepsza przyjaciółka Taylor, zaszywała cięcie w kształcie litery Y na klatce piersiowej Jessiki Porter, kiedy Taylor wmaszerowała do prosektorium.

- Ale się pośpieszyłaś - zauważyła. - Nie miałam pojęcia, że się tak prędko uwiniesz.

Sam podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej. Na twarzy miała plastikową maskę.

- To nie ja się pośpieszyłam, tylko ty spóźniłaś - zauważyła kąśliwie. - Już po wpół do ósmej. Tim, dokończysz za mnie?

- Jasne, pani doktor, nie ma sprawy.

Sam przekazała narzędzia asystentowi i przeszła do pomieszczenia dekontaminacyjnego, po drodze ściągając fartuch i rękawiczki. Taylor posłusznie ruszyła za nią.

Gdy Sam była już odkażona, obie zasiadły przy herbacie w gabinecie lekarki.

- Nie wyglądało na to, aby morderca szczególnie się nad nią znęcał - zauważyła Sam.
- Chyba zależy, jak na to patrzeć. Nie sądzisz, że uduszenie kogoś i obcięcie mu rąk to lekka przesada?

Sam pokiwała głową.

- Oczywiście, że mamy do czynienia z mordercą i zwyrodnialcem - potwierdziła. - Chodzi jednak o to, że na dziewczynie nie ma śladów tortur, pobicia albo czegoś w tym stylu.

Dłonie zostały odcięte po śmierci. Morderca udusił ofiarę gołymi rękami, brakuje śladów gwałtu. Widywałam gorsze przypadki. Nie stwierdziłam poważniejszych skaleczeń, tylko charakterystyczne siniaki i otarcia - coś takiego powstaje podczas uprawiania gwałtownego seksu za obopólnym przyzwoleniem. Sprawca użył prezerwatywy ze środkiem nawilżającym, nie znalazłam żadnego materiału, z którego dałoby się uzyskać DNA.

Pobrałam próbki i przesłałam je do analizy. Doktor John Baldwin, agent specjalny FBI, zatelefonował z samego rana i zaproponował, abym przesłała próbki do laboratorium FBI. W ten sposób szybciej uzyskamy wyniki.

Pomimo rozlicznych i długotrwałych starań Nashville jeszcze nie dysponowało własnym laboratorium kryminalistycznym, w którym przeprowadzano by analizy materiału zebranego na miejscach przestępstw. Baldwin oszczędził Sam i Taylor sporo zachodu.

- Świetnie - zauważyła Taylor. - Dowiedziałaś się jeszcze czegoś?

- Nie za bardzo - westchnęła lekarka. - Wyniki otrzymamy dopiero za parę dni. Przyczyną śmierci było z całą pewnością uduszenie gołymi rękami. Teraz musimy poczekać na nowe wieści. Czy Baldwin napomknął, że w grę wchodzi także inne ofiary?

- Jego zdaniem, sprawcą jest seryjny morderca, którego FBI nazwało Dusicielem z Południa. Ma zwyczaj wywozić zwłoki w odległe miejsca, to już trzecia zabita przez niego dziewczyna. - Taylor na moment się zamyśliła. - Ciekawe, co robi z ich dłońmi? Dlaczego przy każdym trupie pozostawia po jednej ręce?

Sam uśmiechnęła się szeroko.

- Pewnie mamy do czynienia z akrotomofilem. Rozumiesz, im mniej, tym lepiej.

Taylor zmarszczyła brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Brzmi upiornie.

- To znaczy, że naszego Dusiciela kręca osoby po amputacji.

- Sam, posłuchaj, to naprawdę...

- Odpręż się, tylko żartowałam. Znaleziona wczoraj dłoń nie osiągnęła takiego stopnia rozkładu, jakiego należałoby się spodziewać po miesiącu od odcięcia. Wstępnie zakładam, że została zamrożona, już zleciłam stosowne badanie. A teraz chodźmy coś zjeść, bo umieram z głodu.

Poszły na śniadanie, podczas którego starannie unikały rozmowy o śledztwie. Sam była w ciąży i nie posiadała się z radości, że wkrótce urodzi

pierwsze dziecko. Wszystkie prowadzone przez nią pogawędki nieuchronnie kończyły się dyskusją mniej lub bardziej związaną z lokatorem jej brzucha. Gdy dobiegło końca następne z niekończącej się serii rozważań na temat najlepszego imienia dla dziecka, Taylor zostawiła Sam w gabinecie lekarza sądowego i pojechała do biura.

Lincoln zgromadził informacje dotyczące poprzednich morderstw, przede wszystkim opierając się na wiadomościach wcześniej przekazanych przez Baldwina. Zdjęcia z miejsc zbrodni były kopiami oryginalnych fotografii, z logo FBI w prawym dolnym rogu. Akta leżały już na biurku Taylor, więc od razu zabrała się do ich studiowania.

Z treści dokumentacji nie wynikało wiele więcej ponad to, co już powiedział Baldwin. Pierwsza ofiara, Susan Palmer, zginęła dwudziestego siódmego kwietnia. Policja przyjęła zgłoszenie o jej zaginięciu, a w jej mieszkaniu funkcjonariusze ujrzeli niemal idealną replikę sceny, którą Taylor ujrzała w domu Shauny Davidson. Nie natrafiono na żadne ślady włamania lub wtargnięcia, w całym lokalu tylko sypialnia odbiegała od normy. Na zdjęciach widać było łóżko ze zdartą pościelą, po obu stronach materaca widniały plamy krwi. Jak dowiodły badania, należała do Susan Palmer. Na ramie łóżka i we krwi natrafiono na włókna z mocnego sznura. Dziwnie znajome wydawały się też fotografie wykonane na miejscu znalezienia zwłok Susan. Na pierwszych kilku zdjęciach widok przesłaniała wysoka trawa, na następnych widać było

powiększenia kikutów rąk i zbliżenia na detale ran. Taylor przeszło przez myśl, że fotograf marnuje się w policji - jego zdjęcia doskonale oddawały atmosferę sceny.

Jej uwagę przyciągnęła pewna niekonsekwencja zdjęć. Taylor chwyciła szkło powiększające i uważnie przyjrzała się jednemu ze szczegółów. Potem odnalazła w raporcie opis obiektu z numerem trzydzieści osiem. Niezidentyfikowane wymioty. Hm. Odłożyła zdjęcie na bok i kontynuowała pracę.

Otworzyła drugą teczkę i spojrzała na zdjęcie ofiary. Jeannette Lernier, energiczna, pełna życia dziewczyna o pogodnych oczach uśmiechała się szeroko. Wyglądała na osobę, w której towarzystwie Taylor mogłaby się dobrze bawić. Po chwili Taylor otrząsnęła się z zadumy i przeczytała raport. Podstawowe fakty okazały się praktycznie identyczne, jak w wypadku poprzedniej zbrodni, nawet zbliżenia na zdjęciach krwawych kikutów wyglądały tak samo.

Taylor przeczytała zeznania świadków. Rodzina i przyjaciele niewątpliwie uwielbiali Jeanette. Wśród wypowiedzi ludzi niezwiązanych z bliskimi dziewczyny pojawiały się niechętne komentarze, dotyczące jej swobodnego stylu życia. Jedna osoba napomknęła, że Jeanette mogła mieć romans z kolegą z pracy, ale ten fakt nie został w żaden sposób sprawdzony, w materiałach dodatkowych nie było o nim ani słowa. Postanowiła spytać o to Baldwina.

Po zakończeniu lektury zabrała się do papier-

kowej roboty. Należało starannie opisać wszystkie szczegóły związane ze sprawą Jessiki Ann Porter. To plus zdjęcia, materiały dodatkowe oraz raporty przedłożone przez rozmaitych policjantów składały się na całkiem pokaźną teczkę. Praca nad kompilacją archiwum sprawy nie była szczególnie interesująca, lecz Taylor musiała się tym jak najszybciej zająć. Nawet gdyby FBI postanowiło przejąć dochodzenie, chciała, aby doceniono jej staranność i skrupulatność.

Przez większość dnia pracowała samotnie. Lincoln i Marcus przebywali poza biurem, a Fitz zajmował się koordynacją poszukiwań Shauny Davidson oraz zbieraniem informacji na jej temat. O piątej Taylor postanowiła zakończyć pracę. Baldwin się nie odezwał, ale zakładała, że wpadnie do niej wieczorem lub w nocy. Zapewne był zbyt zajęty własnym dochodzeniem, aby się interesować jej sprawami. Na wszelki wypadek wzięła do domu teczkę z zebranych materiałami.



## ***Rozdział siódmy***

Taylor poczuła, że męska dłoń powoli sunie po tylnej części jej uda. Przeciągnęła się z aprobatą i wtuliła twarz w poduszkę. Dłoń konsekwentnie zbliżała się do jej majtek. Coraz bardziej rozbudzona, odetchnęła głęboko w oczekiwaniu na to, co się zaraz zdarzy. Przenikliwy pisk telefonu kompletnie ją otrzeźwił. Za plecami usłyszała stłumione przekleństwo.

- Cholera, tak wcześnie nie dzwoni się do ludzi - burknął Baldwin. - Kto to może być?
- Osobiście stawiam na kogoś z pracy. Zwykle nikt do mnie nie dzwoni o tej porze, chyba że chodzi o morderstwo. - Lekko trzepnęła go po dłoni, bo pomimo uporczywego dzwonięcia telefonu jego palce nie zboczyły z obranego kursu. Sięgnęła po aparat i sprawdziła identyfikację numeru. Miała słusność.
- Przy telefonie porucznik Jackson.
- Witaj, Taylor, mówi Price.

Kapitan Mitchell Price dzwonił do niej do domu wyłącznie w wyjątkowych wypadkach. Usiadła na łóżku i wepchnęła poduszkę pod plecy, aby przynajmniej sprawiać wrażenie rześkiej i wypoczętej.

- Dzień dobry, panie kapitanie. Co mogę dla pana zrobić?

- Mamy tutaj problem, który trzeba rozwiązać. - Price zazwyczaj nie zachowywał się tak oschle. Taylor z miejsca się zorientowała, że doszło do wyjątkowo dramatycznego zdarzenia. Wyrzała przez okno. Mżyło.

- Słotnik ponownie zaatakował. - W głosie kapitana dało się słyszeć napięcie. - Zainteresowaliśmy się sprawą wyłącznie z powodu osoby, która padła jego ofiarą. Musisz jechać do domu Betsy Garrison.

- Zgwałcił policjantkę, która kierowała dochodzeniem przeciwko niemu? Niemożliwe. Price westchnął, a Taylor poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Omal jej nie zabił. Odwieziono ją do szpitala baptystów, ale na miejscu potrzebny nam ktoś, kto przejmie kontrolę. Szefowa wskazała na ciebie.

- Oho, to zły znak.

Policja w Nashville otrzymała nową dyрекcję, z której szeregowi funkcjonariusze nie byli zadowoleni.

- Szefowa chce, żeby sprawą zajęła się doświadczona policjantka. Jesteś porucznikiem z wydziału zabójstw. Jeśli Betsy umrze, i tak zajmiesz się dochodzeniem. Może szefowa ma jakieś prze-

czucia w stosunku do ciebie, może tylko chce, aby dziennikarze nie mieli zastrzeżeń. Błędęgo pojęcia nie mam. Na posterunku wszyscy zachowują się, jakby im odbiło. Dwa morderstwa do rozwiązania i jeszcze ta sprawa zaginionej Shauny Davidson... Gdybyś mogła darować sobie to, co teraz robisz, i jak najszybciej pojechać na miejsce, byłbym ci bardzo wdzięczny. Kontaktuj się ze mną na bieżąco, żebym wiedział, na czym stoimy. Taylor przez moment była bliska paniki. Price nie mógł wiedzieć, co właśnie zamierzała zrobić jego podwładna. Zastanowiła się i doszła do wniosku, że jej rozmówca po prostu usiłuje być zabawny. Taki miał sposób bycia. Z jednej strony zachowywał się jak mizoginiczny gliniarz starej daty, z drugiej był troskliwym i wrażliwym policjantem. Po- stanowiła przyłączyć się do zabawy.

- Kapitanie, czyżby pan coś sugerował?

- Przyszło mi tylko do głowy, że zapewne próbujesz żyć jak normalny człowiek, Taylor. A teraz zbieraj się, jedź i spisz się na medal.

Rozłączył się, a Taylor przez chwilę siedziała nieruchomo, przepelniona nieoczekiwaną satysfakcją. Była prawie pewna, że to właśnie Price wpadł na pomysł, aby zajęła się tym śledztwem.

Odłożyła słuchawkę i skierowała wzrok na Baldwin, który stał po drugiej stronie pokoju. Nawet nie zauważyła, że jego telefon zadzwonił. Teraz rozmawiał przyciszonym głosem, a na jego twarzy widać było przygnębienie. Najwyraźniej usłyszał złe wieści.

Napotkawszy wzrok Taylor, uśmiechnął się lekko i pożegnał z osobą, która postanowiła zepsuć ranek także jemu. Wrócił do łóżka, wśliznął się pod kołdrę i delikatnie pocałował Taylor w usta.

W odpowiedzi wplotła palce w jego włosy, zbyt długie jak na standardy FBI, idealne jak na jej gust. Na skroniach Baldwina srebrzyła się siwizna. Taylor czule pomasaowała mu szyję.

- Stało się coś złego? - spytała.

- Muszę jechać do Georgii. Znaleźli Shaunę Davidson.

Te słowa zakończyły miły poranek.

## ***Rozdział ósmy***

Taylor była gotowa do pracy, gdy zatrzymała się przed domem Betsy Garrison. Jej koleżanka mieszkała we wschodniej części Nashville, w której niegdyś z upodobaniem koncentrowali się dilerzy narkotyków i prostytutki. Teraz zwykli ludzie odzyskiwali utraconą dzielnicę. W odnowionych wiktoriańskich domach pojawiły się eleganckie restauracje, a okolicą zawładnęli młodzi pracownicy korporacji w terenowych bmw i lexusach, kupionych za uczciwie zarobione pieniądze. Strzeliste drzewa zapewniały miły cień, nawet ptaki i wiewiórki zdawały się lepiej czuć w odmienionym sąsiedztwie. Ulica, przy której mieszkała Betsy, tego mżyste-go ranka wyglądała na pogrążoną w żalobie. Podjeżdżając swoją czarną xterra, Taylor rozpoznała tylko jeden samochód, zaparkowany przy chodniku: sfatygowanego forda pikapa F-150. Westchnęła. Tym razem nie należało się spodziewać oznakowanych

radiowozów. Policja pracowała dyskretnie, chroniąc jednego ze swoich. Brakowało też łopoczącej na wietrze żółtej taśmy, która zwykle odgradza miejsce zbrodni od reszty świata. Samochody reporterów nie zastawiły poboczy. Informacja o gwałcie była poufna, wtajemniczone zostały tylko niezbędne osoby, wiadomości nie przekazywano drogą radiową, wszystkie rozmowy telefoniczne łączono na prywatne numery domowe i komórkowe. Policjanci zrezygnowali nawet z wezwania karetki i postanowili sami przetransportować Betsy do szpitala. W tym celu wyprowadzili ją tylnymi drzwiami i umieścili w samochodzie wydziału przestępczości seksualnej.

Taylor z dezaprobatą pokręciła głową na widok starego gruchota. Fitz zdecydowanie potrzebował nowego samochodu, lecz uparcie odmawiał i zaklinał się, że będzie jeździł swoim ukochanym rzęchem, dopóki mu go nie złomują. Wyglądało na to, że chwila ta jest już bardzo bliska. Taylor zaparkowała tuż za pikapem, rozłożyła parasol i ostrożnie weszła na chodnik, starannie omijając kałużę w rynsztoku. Szybko minęła auto i ruszyła do drzwi od strony ogrodu. Na progu zastała Fitza, z nieodłącznym papierosem w ustach. Choć ten widok zirytował Taylor, która już wielokrotnie była świadkiem, jak Fitz bezskutecznie rzuca palenie, rym razem powstrzymała się od komentarza i sięgnęła do kieszeni po własną paczkę. Stała przy koledze i zaciągnęła się głęboko. Tylko delikatne łaskotanie w gardle przypomniało jej, że

lekarz nie posiadałby się z oburzenia. Machnęła ręką, jakby chciała odegnąć natrętą myśl. Fitz zauważył jej nerwowy gest i uśmiechnął się szeroko.

- Znowu tłumaczysz się w myślach przed lekarzami, a oni dają ci do wiwatu, bo palisz? Taylor odwzajemniła uśmiech. Fitz doskonale ją znał. Od dawna pracowali razem, a choć miała prawie dwadzieścia lat mniej niż on i w dodatku była kobietą, nigdy mu nie przeszkadzało, że została jego przełożoną. Wręcz przeciwnie, optował za jej awansem do rangi porucznika, choć wielu jego kolegów otwarcie mu się sprzeciwiało. Poza tym należał do nielicznych, którym nie przeszkadzała nowa dyrekcja. Taką właśnie miał naturę. Był chętny do pomocy, liczył dni do emerytury, a polityka nic go nie obchodziła. Poza tym nowa dyrekcja przeprowadziła reorganizację wydziału w taki sposób, że Fitz otrzymał awans i podwyżkę, co tylko poprawiło mu nastrój. „Będę miał więcej odłożone na starość”, powtarzał. W odświeżonym wydziale zabójstw był sierżantem i podlegało mu sześciu inspektorów. On sam odpowiadał wyłącznie przed Taylor, która, jako porucznik, musiała wykonywać polecenia Mitchella Price'a. Policjanci zaakceptowali nowe rozwiązania organizacyjne, choć uznali, że za dużo osób objęło kierownicze stanowiska. Kapitan Price sprawował kontrolę nad wydziałem dochodzeniowo-śledczym, a porucznicy podlegali wyłącznie jemu. W ten sposób dysponował większym niż dotąd zakresem władzy, ale

mniejszym nadzorem, więc w dużym stopniu polegał na porucznikach. Zdawał raporty bezpośrednio szefowej, czyli komendantce policji, i był zadowolony, że w ten sposób trzyma swoich ludzi z dala od zawirowań politycznych.

Taylor zaciągnęła się ponownie, z trudem oderwała myśli od wizji niezadowolonych lekarzy i dotknęła blizny na gardle. Lekko uściśnęła Fitzę, podeszwą kowbojki wygasiała żar i schowała niedopałek do kieszeni. Zaśmiecanie miejsca przestępstwa byłoby karygodnym błędem.

- Mów, co jest grane - poprosiła. - Masz dla mnie informacje o Shaunie Davidson, zgadza się?

- Mam - przytaknął. - Co prawda nie tkwiła od rana do nocy w centrach handlowych, jak zakładałem, ale nie pracowała. Uczęszczała na kilka letnich kursów, i tyle. Leniwa i bogata... - Uśmiechnął się do Taylor, a ona pokazała mu środkowy palec. Zaśmiał się i mówił dalej: - Po zajęciach wybrała się na miasto razem z grupą znajomych. Nie znamy jeszcze szczegółów tego, co się zdarzyło później, ale bez obaw, na wszystko przyjdzie czas.

- W porządku. Musimy przekazać informacje agentowi specjalnemu Baldwinowi. Będzie się zajmował tą sprawą.

- Taylor, co do tego Baldwina...

- Tak? O co chodzi?

Popatrzył na nią ciężkim wzrokiem, a wtedy uświadomiła sobie, że Fitz doskonale wie, co ją łączy z Baldwinem. Zawsze umiał ją rozgryźć.



Zarumieniła się.

- Mniejsza z tym. Nie zaprzatajmy sobie teraz tym głowy. Spróbujmy się skupić na tym, po co tutaj przyjechaliśmy. Potem opowiesz mi wszystko, co wiesz o Shaunie Davidson.

Najpierw powiedz mi, co z Betsy.

Fitz zaciągnął się po raz ostatni, zgasił niedopałek, sięgnął do kieszeni po opakowanie gumy do żucia i uprzejmie poczęstował Taylor. Wzięła listek i patrzyła, jak Fitz bez pośpiechu odwija sreberko, jakby zbierał myśli. Przyszło jej do głowy, że pewnie się zastanawia, czy pójść za jej sugestią i zrezygnować z rozmowy o Baldwinie, on jednak myślał już tylko o sprawach zawodowych.

- Nie znam detali, ale tuż przed twoim przyjazdem otrzymałem informację, że Betsy się wyliże, ale trzeba ją było umieścić na chirurgii, żeby coś oczyścić. Krwotok w jamie ocznej. Sukinsyn złamał jej kość policzkową. Lał ją tak, jakby chciał zabić.

- To nie w jego stylu.

- Otóż to. Facet zwykle wiąże ofiary i je obrabia, a potem się zmywa. Tym razem chodziło o osobiste porachunki. Związał dziewczynę, zgwałcił ją i ciężko pobił. Po godzinie udało jej się oswobodzić rękę i zadzwonić po partnera, Briana Posta. Przyjechał po nią, zabrał ją do szpitala. Price'a zawiadomili dopiero wtedy, gdy zajęli się nią lekarze. Chcieli maksymalnie wyciszyć sprawę. Trudno się dziwić. Nie mają ochoty, aby dziennikarze wetknęli w nią nos. Wyobrażam sobie

nagłówki: „Słotnik atakuje główną śledczą”. Mieliby używanie.

- Dzielna dziewczyna, zachowała zimną krew.
- Nic dodać, nic ująć. Rozmawiałem z Postem, podobno przez cały czas była opanowana, myślała trzeźwo i mówiła spokojnie. Zdenerwowała się dopiero wtedy, gdy usłyszała, że musi zostać w szpitalu, bo trzeba się zająć tym, no...
- Oczodołem? - podsunęła Taylor.
- Właśnie. Betsy się zmartwiła, bo na pewien czas będzie wyłączona z akcji i na pewno nie pomoże podczas śledztwa. Pomyśleć, że ma pokiereszowaną twarz, a od razu chce wracać do roboty. Rogata dusza, ot co.

Taylor nie mogła nie przyznać mu racji. Wątpiła, aby w podobnej sytuacji umiała się zachować z takim opanowaniem. Gdy nie tak dawno temu sama trafiła do szpitala, omal się nie załamała.

- Co mamy zrobić?
  - Na początek musimy przejrzeć dom i zebrać wszystkie materiały z wizji. Nawet nie chcą tutaj ekipy ekspertów od kryminalistyki. To daje do myślenia, prawda? Ta sprawa jest naprawdę porządnie zakamuflowana. Na razie wiemy o niej tylko my dwoje, Price, szefowa i jej partnerka. Najwyraźniej tak ma pozostać.
  - Masz przy sobie przybornik do zbierania materiałów? I aparat fotograficzny?
- Wskazał palcem na dużą walizkę u swoich stóp.
- Po drodze wpadłem do biura.
  - Dobrze, że o tym pomyślałeś. Mam do ciebie

pytanie. Nie uważasz, że Slotnik się nieźle wkurzy, gdy w wiadomościach nie usłyszy najmniejszej wzmianki o swoim wyczynie?

- Moim zdaniem, Betsy będzie chciała sama się zająć dochodzeniem.

- Nie ma sprawy, ale i tak musimy uzyskać jej zeznania.

- Post już o to zadbał. Po wizji lokalnej podskoczmy do szpitala i odbierzemy oświadczenie Betsy. Jeśli do tego czasu będzie już po zabiegu, może nawet z nią porozmawiamy.

Taylor skierowała wzrok na tylne drzwi z ewidentnie sforsowanym zamkiem. Czekają ich sporo roboty, więc postanowiła dłużej nie zwlekać.

- Do dzieła - zakomenderowała.

Oboje wciągnęli lateksowe rękawiczki, nałożyli na buty miękkie ochraniacze i zabrali się do oględzin miejsca przestępstwa. Taylor zaczęła od rozbitego zamka, zadowolona, że daszek nad wejściem skutecznie ochronił drzwi przed deszczem. Wkrótce zdjęła przyzwoity odcisk palca z klamki, zrobiła zdjęcia i wraz z partnerem ostrożnie weszła do środka.

Dom Betsy wyglądał tak, jakby przeszła tędy mała trąba powietrzna. Kuchenny stół był wywrócony, jego szklany blat rozbił się na drobne okruchy. Wśród odłamków połyskiwała krew. Taylor ruszyła tropem czerwonych kropli i po chwili znalazła się w salonie. Na brzegu kanapy widniała krwawa plama, lampa była przewrócona, lecz poza tym pomieszczenie wyglądało w miarę normalnie.

Taylor zauważyła, że na podłodze przed kanapą leży sznur.

- Spróbujmy odtworzyć przebieg wypadków. Napastnik wdziera się kuchennymi drzwiami, zaskakuje ofiarę w kuchni. Leje się mnóstwo krwi. Złamał Betsy nos?

Fitz pokiwał głową.

- Tak, trzasnął ją w twarz, zanim zdołała cokolwiek zrobić.

- Czyli bije ją w kuchni, ciągnie do salonu i napastuje na kanapie. Kiedy dokładnie ją związał?

- Z tego, co Post mi powiedział przez telefon, gość obezwładnił Betsy w kuchni. Straciła przytomność, ocknęła się związana na kanapie. Kiedy skończył ją gwałcić, skrępował jej nogi.

- Zdaje się, że owinął sznur wokół oparcia. - Taylor przez cały czas robiła zdjęcia. -

Widzisz luźne końce linki? Pewnie w tym miejscu Betsy się uwolniła. Pośpieszmy się.

Zebrali nieliczne ślady pozostawione przez gwałciciela i zapakowali sznur. Bandyta

zawsze przynosił ze sobą taką samą, zwykłą linkę, dostępną w każdym sklepie z

artykułami przemysłowymi. Ustalenie, gdzie ją kupił, graniczyłoby z cudem. Nie natrafili

na żadne inne materialne dowody przestępstwa. Mieli odcisk palca z drzwi, lecz wiedzieli

doskonale, że gwałciciel pozostawił go celowo, taki miał zwyczaj. Już po wszystkim

sprzątnęli dom. Pracowali szybko i sprawnie, a przed wyjściem rozejrzeli się dookoła.

Biedna Betsy,

pomyślała Taylor. Co z tego, że stara się trzymać fason, skoro przeszła przez piekło? Domniemany gwałciciel, określany mianem Słotnika, od pięciu lat terroryzował mieszkanki Nashville. Swoje przewisko zawdzięczał zwyczajowi atakowania wyłącznie w czasie deszczu. Jego ofiarą padło siedem kobiet, osiem łącznie z Betsy. Za każdym razem włamywał się tylnymi drzwiami, wiązał ofiary i je gwałcił. Nigdy się nie odzywał, nosił kominiarkę, zawsze używał prezerwatywy. Poszkodowane kobiety zgodnie twierdziły, że zachowywał się tak, jakby niespecjalnie interesowało go to, co robi. Po prostu wiązał, naciągał prezerwatywę, siłą zmuszał je do stosunku i wychodził kuchennymi drzwiami. I na tym koniec, nic więcej nie robił. Dotąd nawet nie uderzył żadnej z poszkodowanych. Aby zachowywały się posłusznie, przykładł im pistolet do głowy albo nóż do boku. Wypracował sobie charakterystyczny, choć stosunkowo niegroźny dla życia sposób działania. Niektórzy specjaliści mówili o nim „gwałciciel-dżen-telmen”.

Taylor i Fitz zebrali rzeczy i wyszli na podwórze z tyłu domu. Przez chwilę w milczeniu palili papierosy, aż wreszcie Taylor postanowiła zadać dręczące ją pytanie.

- Uważasz, że to robota naśladowcy?

- Chyba powinniśmy sprawdzić tę ewentualność. Zmiana stylu działania mogłaby na to wskazywać. Wkrótce się przekonamy. Jeżeli pozostawiony na tylnych drzwiach odcisk palca należy do

niego, będziemy mogli dopasować go do śladów z innych miejsc. Dziwak. Zostawił odcisk palca i sznur. Ponieważ nie udało się ustalić jego tożsamości na podstawie śladów daktyloskopijnych, to pewnie nigdy nie był notowany. Jak to możliwe, że praworządny obywatel nagle zmienia się w gwałciciela?

- Gdybym znała odpowiedź na to pytanie, sprzedałabym ją telewizji i zarobiła milion dolarów. Jedźmy do szpitala, sprawdzimy, czy Betsy już opuściła salę operacyjną.

## ***Rozdział dziewiąty***

Baldwin usiadł wygodnie w ciasnym fotelu i zapiął pas bezpieczeństwa. Gdy tylko samolot do Atlanty wzbił się na wysokość trzech tysięcy metrów, a pilot zakończył powitanie pasażerów, agent otworzył laptop i sprawdził pocztę. Po chwili ściągnął list dotyczący zaginionej dziewczyny, Shauny Lyn Davidson.

E-mail pochodził od Jerry'ego Grimesa, zajmującego się dochodzeniami w Alabamie i Luizjanie. Jerry otrzymał polecenie informowania Baldwina o postępach śledztwa i dostosował się do rozkazu, choć z początku niechętnie. Przekazywanie wiadomości znanemu i cenionemu agentowi FBI musiało źle wpływać na jego nastrój, ale tym razem był bliski paniki.

„Baldwin, w Georgii niemal na pewno odnaleziono Shaunę Davidson. Jej zwłoki leżą na łące, nieopodal Adairsville, przy zjeździe z międzystanowej siedemdziesiątki piątki. Wszystko wygląda

tak samo, ciało zostało porzucone w szczerym polu, kobietę uduszono i odcięto jej rękę. Co ten człowiek chce udowodnić?"

„Grimes, powiedziałaś im, czego mają szukać, prawda? Muszą to znaleźć”.

„Wiem, cholera, wiem. Już szukają odciętej dłoni. Jadę tam, ty też się zjawisz?”.

Baldwin wyczuł oskarżycielski ton w liście Grimesa, ale postanowił go zignorować.

„Jestem w drodze. Czekać na mnie”.

Zerknął na zegarek. Było za wcześnie na drinka. Jeszcze parę godzin temu zamierzał spędzić piękny, cichy dzień w towarzystwie kobiety, którą kochał. Nie miał ochoty ponownie stykać się ze śmiercią, ale co z tego, skoro musiał wsiąść do samolotu do Atlanty, żeby kontynuować polowanie na Dusiciela.

Praca agenta specjalnego FBI wiązała się z wielogodzinnymi pobytami w nietypowych miejscach. Z biegiem lat Baldwina coraz bardziej dziwiła banalność każdej sprawy.

Szaleniec zabija niewinnego człowieka, potem powtarza atak. Powstaje opis schematu działania bandyty, FBI otrzymuje zlecenie zbadania sprawy, Baldwin wsiada do samolotu.

Sam sobie wybrał takie zajęcie, sam postanowił żyć w świecie policyjnych problemów.

Dysponował rzadką umiejętnością odgradzania się psychicznym murem od upiornych szczegółów zbrodni. Praca zaczynała go jednak męczyć. Nie wiedział, co w takiej sytuacji zrobić: pozostać w FBI czy zmienić zawód. Najchętniej wyciągnął



by Taylor z policji, ale w głębi duszy wiedział, że w najbliższym czasie to mu się nie uda. Otrząsnął się z rozmyślań. Musiał skupić uwagę na dochodzeniu, a rozmyślenia o Taylor Jackson rozproszyłyby nawet najsilniejszego mężczyznę.

Policje stanowe w Alabamie i Luizjanie dołożyły wszelkich starań, aby w śledztwie nie popełniono żadnych błędów. Stróże porządku z Alabamy nawiązali ścisłą współpracę z policjantami z Baton Rouge. Przeprowadzono wszystkie niezbędne badania, zebrano odpowiednie informacje, a mimo to nadal nie było wiadomo, kim jest zabójca osiemnastoletniej Susan Palmer, kto odciął jej ręce i zostawił zwłoki na łące w Baton Rouge. Zbrodnie wydawały się powiązane, zdecydowanie łączyły je podobieństwa - morderca dusił gołymi rękami i zabierał dłonie ofiar. Uwagę FBI przyciągnęła sprawa Jeanette Lernier. Kiedy zabezpieczano miejsce porzucenia zwłok, technik przetoczył ciało i znalazł pod nim dłoń. Wszyscy uznali, że należała do Jeanette, lecz badania DNA wykazały, że to ręka Susan Palmer z Alabamy. Ludzie nagle zainteresowali się zbrodnią. Wezwano Grimesa i jego partnera, Thomasa Petty, żeby nawiązali współpracę z różnymi organami ścigania i udzielili wsparcia lokalnemu wymiarowi sprawiedliwości. Przez miesiąc nic się nie działo, a śledztwo wyraźnie spowolniło, więc Grimes i Petty powrócili do innych spraw. Dochodzenia tymczasowo zawieszono. Mimo to Grimes co jakiś czas powracał do sprawy, rozmawiał z przyjaciółmi i krewnymi

zamordowanych kobiet. Petty stracił zainteresowanie Dusicielem, wolał się skoncentrować na poszukiwaniach zaginionego dziewięciolatka. Czas mijał, przestępcy dokonywali innych zbrodni. O sprawie zabitych kobiet nie zapomniano, ale śledczy mieli inne problemy na głowie.

Szczegóły dwóch morderstw utrzymywano w tajemnicy, licząc na to, że z czasem wyjdą na światło dzienne nowe, nieznane fakty. Zrozpaczone rodziny pogrzebały okaleczone zwłoki ukochanych córek, teraz krewni następnych dwóch młodych kobiet będą musieli zorganizować pochówek. Baldwin miał ogromną nadzieję, że na tym śmiertelna seria się zakończy.

Początkowo tylko otrzymywał informacje o zbrodniach i nie angażował się osobiście w przebieg śledztwa. Poranny telefon wszystko zmienił. Odtąd musiał działać aktywnie. FBI w razie potrzeby mogło przejąć pełną kontrolę nad dochodzeniem, bo porwania i morderstwa obejmowały już kilka stanów. Na razie nie zanosilo się jednak na wykluczenie lokalnej policji, która chętnie współpracowała z siłami federalnymi i sprawnie pomagała w ustalaniu faktów.

Wydelegowani do sprawy agenci FBI, Jeny Grimes oraz Thomas Petty, byli doświadczonymi, inteligentnymi wywiadowcami. Kiedy zaginęła Jessica Porter, a w jej sypialni natrafiono na kałuże krwi, miejscowa policja załadowała szczegóły sprawy do komputerowej bazy danych. Program skojarzył informacje z wcześniejszymi zbrodnia-

mi, a wtedy wezwano Grimesa i Petty'ego, którzy przeprowadzili wizję lokalną i od razu pomyśleli o Dusicielu. Grimes skontaktował się z Baldwinem i przesłał mu wszystkie informacje. Baldwin wyciągnął teraz z aktówki cienką teczkę, aby odświeżyć pamięć. Notatka została napisana suchym, bezosobowym językiem, całkowicie wypranym z emocji.

*Omówienie sprawy - Jessica Ann Porter Ofiara to osiemnastoletnia kobieta rasy białej, o długich, brązowych włosach i brązowych oczach. Wzrost: metr sześćdziesiąt trzy centymetry. Waga: pięćdziesiąt cztery kilogramy. Urodzona 27 kwietnia 1986 roku w mieście Jackson w stanie Missisipi. Na lewym ramieniu fioletowawe znamię, w pępku kółko z małą, kryształową kulką, przekłute uszy. Ofiara pracowała jako recepcjonistka w szpitalu w Jackson, zaginęła po drodze z pracy do domu. Ofiara...*

- Cholera - wymamrotał agent. - Nie dam rady.

Opis był zbyt bezosobowy. Baldwin zamknął teczkę i powrócił myślami do dyskusji, którą przeprowadził z Grimesem. Od razu zauważył, że jego rozmówca jest zdecydowanie zbyt przejęty. Zatelefonował do Baldwina natychmiast po tym, jak wraz z partnerem opuścił mieszkanie Jessiki Porter, po wysłuchaniu zeznań rodziny i przyjaciół. Baldwin odtworzył w myślach przebieg rozmowy. Ta umiejętność przydała mu się już wiele razy. Taylor

nienawidziła go za nią, bo w rezultacie nic nie mogło jej ujść płazem. Uśmiechnął się półgębkiem i zaczął wspominać wszystkie interesujące go fakty.

Noc minęła spokojnie. Od kilku miesięcy pracował w urzędzie terenowym środkowego Tennessee, oficjalnie na stanowisku regionalnego analityka. Wcześniej był zatrudniony w jednostce behawiory-styki FBI w Quantico, gdzie w razie potrzeby służył poradą.

Zasadniczo nie przeszedł jeszcze na emeryturę, przebywał na czymś w rodzaju długotrwałego urlopu, dzięki czemu mógł mieszkać w Nashville, razem z Taylor.

Rozwiązanie sprawdzało się wyśmienicie do czasu, gdy wczesnym rankiem zadzwonił telefon i w słuchawce zabrzmiał znajomy tubalny głos.

- Wielce szanowny doktor John Baldwin, jak mniemam?

Ostra nuta sarkazmu nie umknęła Baldwinowi. Nawet niektórzy agenci terenowi FBI nie przepadali za analitykami.

- Mówi Jerry Grimes. Jestem w Missisipi, doszło tutaj do pewnego zdarzenia.

Baldwin przypomniał sobie, że jego serce mocniej zabiło, a on sam zamarł w oczekiwaniu na to, co miał za chwilę usłyszeć. Grimes nie dzwonił z własnej woli, ale na polecenie zwierzchników. W związku z tym darował sobie uprzejmości.

- Zaginęła dziewczyna, młoda brunetka. Wszystko wskazuje na to, że...

- Ze to robota Dusiciela - dokończył Baldwin. W jego żyłach strach zmieszał się z adrenaliną.

- I co zamierzasz zrobić z tym fantem, Baldwin?

- Dobre pytanie.

- Piekalnie dobre. Nazywa się Jessica Ann Porter. Na pewno widziałeś wiadomości w telewizji?

- Prawdę mówiąc, nie. Skoro dzwonicz, to pewnie nie żyje.

Grimes na moment umilkł, a w końcu odpowiedział chrapliwym głosem:

- Nie, tylko zaginęła. Na jej pościeli znaleźliśmy plamy krwi, ale brakuje śladów walki. Zupełnie jakby dziewczyna się zapadła pod ziemię. Nikt jej nie widział, odkąd wyszła z pracy.

Baldwin przeskoczył myślami do fragmentu rozmowy, w którym Grimes opisywał młodą kobietę.

- To piękna dziewczyna. Ma wspaniałe brązowe włosy i wielkie oczy tej samej barwy. Takimi oczami na pewno potrafi przeświecić człowieka na wylot. Tak się domyślam ze zdjęć. Jesienią miała wrócić do college'u, chciała zostać pielęgniarzką albo lekarką, na pewno kimś, kto pomagałby ludziom. Zgłosiła się jako wolontariuszka do pomocy w miejskim przytułku dla bezdomnych i dostarcza posiłki ludziom, którzy nie mogą wychodzić z domu. Ta dziewczyna ma zadatki na świętą. Rozmawiałem z różnymi osobami, które ją znały, i żadna nie powiedziała o niej złego słowa.

Baldwin przypomniał sobie, jak w tamtej chwili pomyślał, że Jeny zaangażował się emocjonalnie.

- Zorientowałem się, że sprawa jest nieciekawa i że na wszelki wypadek powinienem cię uprzedzić - dodał Grimes.

Baldwin nie mógł zrobić nic poza wysłuchaniem tego, co leżało na sercu jego rozmówcy. Każdy dobry inspektor szczególnie przejmował się przestępstwami, w których ofiarami padały dzieci i młodzież. W takich sytuacjach często najlepszym wyjściem było wygadanie się przed kimś. Zanim obaj się rozłączyli, Baldwin obiecał sprawdzić, czy znane są inne wypadki odcinania i zabierania dłoni ofiarom zbrodni. Jessicę Porter znaleziono na łące w Nashville, a przy niej dłoń, należąca zapewne do Jeanette Lernier. Tego ranka telefon ponownie wcześniej zadzwonił. Baldwin sprawdził na wyświetlaczu, kto dzwoni i od razu wiedział, że to Jerry Grimes w sprawie Shauny Davidson. Miał rację.

- Baldwin, mamy następne zwłoki. Prawie na pewno to zaginiona dziewczyna z Nashville. Właśnie z tego powodu Baldwin siedział teraz na pokładzie samolotu i recytował w myślach listę zaginionych dziewcząt.

Susan Palmer z Alabamy znaleziona w Luizjanie. Jeanette Lernier z Baton Rouge. Jej zwłoki leżały na łące w Missisipi. Jessica Porter, dziewczyna z Missisipi, martwa i okaleczona, na szczerym polu w Nashville. Shauna Davidson, teraz pewnie w Georgii... Choć Baldwin miał dla siebie cały rząd foteli, kobieta po drugiej stronie przejścia popatrzyła na

niego jak na dziwoląga, ze współczuciem, a zarazem obrzydzeniem. Na pewno mamrotał coś pod nosem. Uśmiechnął się do niej i wepchnął wszystkie materiały z powrotem do aktówki. Gdy pilot uprzedził pasażerów, aby przygotowali się do lądowania w Atlancie, uświadomił sobie, że właściwie ma ochotę stawić czoło mordercy.

## ***Rozdział dziesiąty***

Whitney Connolly oderwała wzrok od telewizora i ponownie skupiła się na monitorze komputera. Jak się tego spodziewała, jej oczom ukazał się ten sam adres co zawsze. Otrzymała wiadomość, na którą liczyła. Zwilżyła usta i przesunęła kursor na nagłówek. Wyglądał niewinnie, tak samo jak wszystkie pozostałe. „Wiersz dla S.W.” Ani słowa więcej. Adres zwrotny był mieszaniną liter i cyfr: [IM1855195C@yahoo.com](mailto:IM1855195C@yahoo.com).

Abstrakcyjny adres z ogromnego serwera. Whitney kiedyś poprosiła przyjaciela, który czasami bywał dla niej kimś więcej, o ustalenie tożsamości nadawcy. Okazało się, że adres przechodził przez kilka innych serwerów, więc w praktyce nie istniał. Ten, kto wysyłał wiadomości, był nie do wytropienia, umiał się doskonale maskować. Whitney nie przejmowała się jego anonimowością. Wiedziała, że gdy przyjdzie pora, jej tajemniczy znajomy z sieci się ujawni. Zawsze mogła na to liczyć. Otworzyła list i ujrzała wiersz.



*Jakże mają jej palce paniczne i błędne Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę? Jak ciało, przygwożdżone obcym serca tętnem, Umknąć ma przed naporem piersi śnieżnobiałej?\**

*PS Z twojego podwórka.*

Mhm, pomyślała Whitney. To brzmi trochę seksualnie. Cóż, skoro mordował dziewczęta, to czemu nie miałyby pisać erotycznej poezji? Wydawał się utalentowany, przynajmniej jak na jej gust.

Przeszył ją dreszcz. Otrzymywała korespondencję od mordercy, którego jej wtyczka w FBI określiła mianem Dusiciela z Południa. Nie miała pojęcia, dlaczego upodobał sobie właśnie ją, ale jeszcze nie chciała zgłaszać tego policji. Co by powiedziała stróżom prawa? „Tak na marginesie, kontaktuję się z mężczyzną odpowiedzialnym za śmierć tych biednych dziewczyn”. Nawet nie była pewna, czy to nie jest mistyfikacja. Brakowało jej punktu zaczepienia, ale dzisiaj to się miało zmienić.

Wydrukowała e-mail i dodatkowo zrobiła trzy kopie, żeby go nie utracić wskutek nieoczekiwanego uszkodzenia komputera. Potem zapisała wiersz w notatkach i spojrzała na trzy poprzednie listy, poczynając od pierwszego.

*Kobieta: z rąk jej ludzkich biorę*

**\* W.B. Yeats „Leda i łabędź”, w: „Od Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci”. Wybór i przekład S. Barańczak, Znak, Kraków 1993.**

*Pociechę, pomoc i podporeę;  
A jednak - wciąż Duch, jak przed laty,  
Wciąż anioł jasny i skrzydlaty!\**

*PS To znaleziono na miejscu zbrodni.*

Pod wpisem sporządziła obszerny komentarz, usiłując pojąć sens wiersza. O które miejsce zbrodni chodziło? Zapoznała się z opisami niemal wszystkich przestępstw w Nashville, o jakich się dowiedziała, wypytała detektywów, sprawdziła kontakty. Nikt nie wiedział na temat wiersza znalezionego na miejscu przestępstwa. Ostatecznie uznała, że wiersz jest wytworem jakiegoś wariata i dała sobie z nim spokój. Z czasem sprawa wydała jej się niemądra. Ktoś po prostu przesłał miłosną rymowaną na jej prywatny adres internetowy. Przez chwilę wyobrażała sobie nawet, że autorem jest jej anonimowy wielbiciel, ktoś, kogo znała, i kto nie chciał się ujawnić.

Gdy otrzymała drugi e-mail, dotarło do niej, że list nie dotyczy jej osoby.

*Słodycz obietnic, o naturze Człowieczej, z miejscem na nieduże, Codzienne troski, proste  
chętki, Przelotne łzy i uśmiech prędko\*\*.*

*PS To z LA.*

**\* W. Wordsworth, „Była upojnym przywidzeniem”, w: „Od Chaucera do Larkina”,  
op.cit. \*\* W. Wordsworth, jw.**

Zacząła gorączkowo myśleć. Skrót LA mógł oznaczać jedno z trzech miejsc: Los Angeles, Luizjanę, a także Lagunę Alabamy, jak mieszkańcy Nashville żartobliwie określali przybrzeżne tereny nad zatoką. Whitney szybko przejrzała dostępne jej materiały i ustaliła, że z Baton Rouge w Luizjanie uprowadzono młodą kobietę. Gdy znaleziono zwłoki Jeanette Lernier, przyporządkowała jej nazwisko do wiersza. W doniesieniach medialnych brakowało jednak wzmianki o wiadomościach lub notatkach. Whitney wiedziała, że w każdym śledztwie niektóre informacje pozostają utajone i nie przedostają się do prasy, choćby po to, aby wyeliminować przypadki chorych psychicznie, którzy zgłaszają się na policję i bez sensu przyznają do popełnienia czynu karalnego. Wielokrotnie ponawiała próby zorientowania się, czy policja coś wie na temat wiadomości, lecz jej informatorzy za każdym razem bezradnie rozkładali ręce.

W końcu nadszedł trzeci list, dokładnie w chwili gdy gruchnęła wieść o znalezieniu zwłok w Nashville. Tym razem wiersz brzmiał niepokojąco.

*Spadł na nią nagłym ciosem: nad oszołomioną Trzepot ogromnych skrzydeł, kark w twardym  
uchwycie*

*Dzioba, uda pieszczone łap czarniawą błoną, Pod jego piersią - serca jej spłoszone bicie\**  
*PS Czy już rozumiesz?*

\* **W.B. Yeats**, „Leda i łabędź”, op. cit.

Wiersz zmroził jej krew w żyłach, lecz jednocześnie ogarnęło ją podniecenie. Teraz wszyscy wiedzieli, że Dusiciel z Południa jest na wolności i zabił trzy dziewczyny. Whitney zrozumiała, że wiadomości pozostawione przy zwłokach muszą mieć związek z e-mailami, które otrzymywała. Uświadomiwszy sobie, że morderca postępuje zgodnie z ustalonym schematem, oznaczyła pierwszy wiersz nazwiskiem Susan Palmer, a pozostałe odpowiednimi nazwiskami zabitych kobiet. Przez chwilę rozważała, czemu właśnie ona stała się adresatką tych listów, lecz szybko machnęła na to ręką. Ostatecznie to nie miało żadnego znaczenia. Ten temat należał do niej, ona zgarnie laury za ujawnienie wiadomości.

Ostatni list sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Whitney chciała być gwiazdą, a sława leżała na wyciągnięcie ręki.

Czwarty list mógł się odnosić do zaginionej dziewczyny z Nashville, Shauny Davidson. Tego wieczoru Whitney zamierzała ujawnić nowe fakty. Sprawa morderstwa oraz zaginionej osoby będą informacjami dnia w dzienniku o dziesiątej wieczorem.

Whitney uświadomiła sobie, że nie dysponuje żadną wiadomością, która pozwalałaby jej lub innym dziennikarzom uznać Shaunę Davidson za zamordowaną. W wypadku trzech poprzednich kobiet informacje docierały do reporterki dopiero wtedy, gdy natrafiono na zwłoki ofiar. Może w tym wypadku policja odkryła ciało, ale wstrzymywała

się z ujawnieniem tego faktu. Nie, to wykluczone. Takich informacji się nie zataja.

*PS Z twojego podwórka.*

Od razu się zorientowała, że nie chodzi o podwórko przed jej domem. Autor miał zbyt silne ambicje poetyckie, aby użyć tego określenia dosłownie. Pozostałe postscripta odnosiły się do miejsc. Jej podwórko musi oznaczać jej miasto. Nashville.

To świadczyło, że tylko ona, Whitney Connolly, wiedziała o śmierci Shauny Davidson.

Poszła wziąć prysznic. Musiała ochłonać, aby lepiej wypaść w wieczornym programie.

Była pewna, że całe miasto z zapartym tchem wysłucha jej informacji, najważniejszych wiadomości w Nashville.

## ***Rozdział jedenasty***

Gdy Baldwin przeszedł przez kontrolę bezpieczeństwa na międzynarodowym lotnisku w Hartsfield, na jego spotkanie wyszedł Jeny Grimes. Baldwin przyjrzał się jego siwym włosom, pobladłej twarzy, zaciśniętym ustom i zrozumiał, że Grimes mocno przeżywa ostatnie zaginięcia. Podali sobie dłonie, a Baldwin uśmiechnął się do Grimesa. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał życzliwie.

- Przyjacielu, z każdym dniem przybywa ci siwizny.

Grimes przez moment wydawał się zaniepokojony, zupełnie jakby nie zdawał sobie z tego sprawy. W końcu się otrząsnął i przyczesał dłońmi srebrne pasma.

- Przynajmniej jeszcze nie powypadały mi wszystkie włosy. To już coś.

Podeszli do samochodu Grimesa, zaparkowanego na krawężniku przy hali odlotów. Od pewnego

czasu FBI cieszyło się szczególnymi względami na lotniskach. Funkcjonariusz w mundurze z nieskrywanym zainteresowaniem patrzył, jak agenci znikają we wnętrzu pojazdu. Grimes ściągnął plakietkę FBI z przedniej szyby, zjechał z krawężnika i od razu przeszedł do rzeczy.

- Już mówię, jak jest. Dziennikarze podchwycili historię, lokalnej policji nie udało się zachować dyskrecji. Miejscowi znaleźli dłoń i przesłali ją do lekarza sądowego. Pojedziemy teraz prosto do kostnicy w Adairsville. Czas nas goni, więc lepiej zapnij pasy, bo będę się śpieszył.

Co za brawura, pomyślał Baldwin ironicznie. Zresztą wszystko jedno. Podróż przebiegła szybko, rozmowa się nie kleiła. Grimes miał swoje teorie dotyczące morderstw, a Baldwin go wysłuchał, choć każda następna wydawała mu się jeszcze mniej prawdopodobna niż poprzednia. Ulubiona koncepcja Grimesa wiązała się z sektą wyznawców szatana. W końcu przestał mówić i w samochodzie zapadła cisza. Agenci pograżyli się w rozmyślaniach.

Dotarcie na miejsce zajęło im niecałą godzinę. Choć graniczyło to z cudem, ruch na ulicach centrum Atlanty był stosunkowo umiarkowany. W niedługim czasie zjechali na autostradę międzystanową 1-75 i dotarli do zjazdu na Adairsville. Grimes dodał gazu, a w drodze na zachód, w kierunku centrum, wskazał palcem miejsce znalezienia zwłok. Rzecz jasna Baldwin i tak by je zauważył. Furgonetki telewizyjne zapełniły prawie

pobocze drogi, a wszystkie kamery były wycelowane w prowizoryczny namiot. Baldwin z dezaprobatą pokręcił głową. W Alabamie i w Luizjanie udało się wyciszyć sprawę, ale wszystko wskazywało na to, że dziennikarze już nie odpuszczą. Postanowił obmyślić taktykę, dzięki której zdoła wykorzystać media na własne potrzeby. Grimes zaparkował przed małym, niepozornym budynkiem biurowym, wypuścił Baldwina i zapowiedział, że wróci, gdy tylko znajdzie odpowiednie miejsce na nocleg. Baldwin nie miał nic przeciwko temu, doskonale rozumiał, że niewielu ludzi ma ochotę uczestniczyć w sekcji zwłok. Młody mężczyzna, który wyglądał, jakby dopiero co skończył dwadzieścia lat, powitał go w holu budynku. Przedstawił się jako Arie i zaprowadził Baldwina do prosektorium. Tam wręczył mu fartuch oraz rękawiczki i zajął miejsce na stołku przy stole, z notatnikiem w dłoniach. Baldwin podszedł bliżej i ujrzał zwłoki dziewczyny. Shauna nie zeszła z tego świata w ciszy i spokoju. Zwłoki leżały na blacie z nierdzewnej stali. Głowa spoczywała na twardej, plastikowej podpórcie w kształcie litery U. Dziewczyna miała na twarzy i ciele liczne stłuczenia, po prawej stronie głowy brakowało sporej garści włosów. Nos był poważnie zdeformowany, warga pęknięta. Wszystko wskazywało na to, że w ostatnich chwilach życia



Shauna stoczyła zjadłą walkę. Została brutalnie pobita, w przeciwieństwie do wcześniejszych ofiar Dusiciela. Baldwin zastanowił się nad tym faktem. Zmiana stylu mogła oznaczać, że zabójcą jest ktoś inny. Baldwin zazwyczaj oglądał dłonie denatów, aby sprawdzić, w jakim są stanie. Tym razem nie miał na co patrzeć. Zakrwawione kikuty jednoznacznie dowodziły, że mordercą jest ten sam podejrzany.

Patologiem był rubaszny mężczyzna, który już co najmniej dekadę wcześniej mógł przejść na emeryturę. Miał twarz poczerwieniałą z wysiłku, włosy idealnie siwe i rozczochrane, spodnie dwa numery za ciasne w pasie. Z całą pewnością nie wyglądał na niedożywionego. Na widok agenta zdjął rękawiczkę i wyciągnął rękę. Baldwin podał mu dłoń i drgnął, zaskoczony siłą uścisku staruszka.

- Nazywam się Allen - oznajmił patolog. - Przykro mi, że musiał pan przebyć taki szmat drogi. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proponuję przystąpić do sekcji. Właściwie już podjęliśmy czynności wstępne, czekaliśmy na pana, aby dokonać cięcia. W porządku? Świetnie. Arie, będziesz notował?

Pryszczaty chłopak skinął głową. Nadeszła pora, aby zająć się ustaleniem przyczyn śmierci.

Baldwin uważał sekcje zwłok za najmniej przyjemny ze swoich licznych obowiązków. Mimo to starał się z uwagą wsłuchiwać w słowa doktora Allena, który najwyraźniej miał zwyczaj mówić

dużo i nie na temat. Zaledwie co trzecie lub co czwarte zdanie dotyczyło zwłok.

- Podobno jedzie pan z Tennessee. Jak tam jest? Kiedy tam byłem, widziałem operę. Ho, ho, co my tu mamy? Pęknięcie kości gnykowej. Słabeusz by sobie z tym nie poradził. Ale wracając do tematu, poszedłem do tej opery i widziałem tego gościa, jak mu tam, Marty'ego Stuarta. Zielonego pojęcia nie miałem, że z niego taki konus, ale nie zaskoczył mnie. Wielu takich z telewizji to w gruncie rzeczy kurduple, tylko można się o tym przekonać dopiero na żywo. Wyraźne ślady piłowania na kości łokciowej i promieniowej. Pewnie proste ostrze, może nawet skalpel. Amputacja bezpośrednio nad stawem promieniowo-nadgarstkowym. No i tak trafiliśmy do tego lokalu, zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę nazwę... Mam, Kawiarnia Niekochanych.

Baldwin się wyłączył. Potrzebował dodatkowych informacji na temat Shauny. Musiał się zorientować, dlaczego Dusiciel uczynił z niej swoją czwartą ofiarę.

Doktor Allen kończył pracę. Właśnie wyjął mózg dziewczyny i umieścił go w formalinie. Przyczyna śmierci wydawała się oczywista. Morderca okrutnie pobił młodą kobietę, która jednak zmarła w wyniku uduszenia, tak silnego, że jej kość gnykowa trzasnęła jak zapalka. Aby ją złamać, należy zastosować duży nacisk. Baldwin wyobraził sobie mordercę, wściekłego i podnieconego, który coraz mocniej zaciska dłonie na szyi szarpiącej się

Shauny, patrząc, jak powoli uchodzi z niej życie. Na pewno świetnie się przy tym bawił. Agent czuł, że coraz bardziej nienawidzi tego sadysty, i dobrze.

Doktor Allen miał ochotę dalej gawędzić, ale Baldwin wskazał drugi blat, na którym leżał nieduży przedmiot, przykryty chustką. Lekarz energicznie podreptał do obiektu i jednym ruchem ściągnął materiał, niczym kelner demonstrujący ukryte pod pokrywką danie.

- Oto pańska ręka. Rzecz jasna nie należy do pana. Ludzie mówią, że para się pan dopasowywaniem części ciała. Jak mniemam, ten drobiazg jest własnością pańskiej ofiary w Nashville. A może w Missisipi? Straciłem rachubę w tropionych przez pana przestępcach, a co dopiero w denatach. Chyba jeszcze panu nie opowiadałem o...

- Panie doktorze, z przykrością muszę panu przerwać, ale bardzo pana proszę o jak najszybsze pobranie z odciętej dłoni odcisków palców i próbek do badań DNA. Nie przekonamy się, czy ta dłoń należy do poprzedniej ofiary, dopóki nie przeprowadzimy stosownych testów porównawczych. Nie chcę pana pośpieszać, ale muszę jechać na miejsce znalezienia zwłok Shauny, a chciałbym tam być przed zmrokiem. Bardzo panu dziękuję.

Odwrócił się, nie zwracając uwagi na gderanie starego doktora. Przyczesał dłonią włosy. Chciał jak najszybciej opuścić prosektorium, w którym nie miał szansy dowiedzieć się nic nowego.

Grimes i Baldwin wrócili na wizję lokalną.

Słońce powoli zachodziło, samochody telewizyjne odjechały, więc agenci mieli cały teren wyłącznie do własnej dyspozycji. Baldwin przez chwilę spacerował po okolicy w poszukiwaniu wskazówek, które pozwoliłyby mu wejść w skórę mordercy. Chciał wiedzieć, dlaczego zbrodniarz właśnie tutaj porzucił ciało, czym się kierował, wybierając to miejsce.

Nie zauważył żadnych istotnych szczegółów, ale utwierdził się w przekonaniu, że zabójca nie działał spontanicznie. Przeciwnie, wszystko zaplanował .z zimną krwią, każde jego posunięcie było przemyślane, zupełnie jakby zawczasu przygotowywał choreografię akcji. Starał się jednak, aby jego zachowanie wydawało się chaotyczne, udawał, że porzuca zwłoki niczym worki śmieci na dzikim wysypisku.

Agent schylił się i przeszedł pod żółtą taśmą, aby wrócić do samochodu. Dwie pozbawione dłoni dziewczyny, znalezione niemal jedna po drugiej, wystarczyły, aby zakłócić jego wewnętrzny spokój. Już od dawna nie pracował nad tak ponurą sprawą. Najwyraźniej na stare lata robił się miękki. Nic dziwnego, sam przecież zdecydował, że musi odpuścić. Pojechali do przydrożnego motelu, zmęczeni i spragnieni snu. Grimes zaproponował, żeby poszli na kolację, ale Baldwin padał z nóg. Pokręcił głową, zgodził się na wspólne śniadanie, po czym udali się do swoich pokojów. Baldwin chciał tylko wziąć prysznic, przespać się i rankiem spojrzeć

na rzeczywistość z nowej perspektywy. Morderca działał szybko, ale trzeba było uprzedzić jego następny krok.

Baldwin sporządził kilkustronicową notatkę, wyszczególniając swoje wstępne przemyślenia związane z mordercą. Wyczuwał, że choć przeciwnik jest szybki, to jeszcze nie osiągnął maksymalnego tempa działania. W takiej sytuacji należało się zorientować, jak najskuteczniej przewidzieć jego atak. Na razie nie potrafił przejrzeć taktyki zabójcy, więc zadowolił się ponownym gruntownym przeczytaniem wszystkich akt. W jego umyśle powstawała coraz bardziej konkretna wizja zbrodniarza, lepiej rozumiał jego psychikę. W końcu westchnął, odłożył papiery i zgasił światło, licząc na kilka godzin głębokiego snu. Śniły mu się wilki w owczych skórach. Obudził się zaintrygowany niezwykłością marzeń sennych, wziął prysznic, ogolił się, zadzwonił do Taylor i wyszedł z pokoju. Gdy zamykał za sobą drzwi, ujrzał śpieszącego ku niemu Grimesa, który dawał mu nerwowe znaki ręką. Baldwin ruszył mu na spotkanie.

- Co jest? - spytał z uniesionymi brwiami.

- Doniesienie o zaginięciu. Z Noble, to miasteczko nieopodal.

Wilki w owczych skórach, nic dodać, nic ująć.

## ***Rozdział dwunasty***

Grimes mówił szybko, jakby zaraz miało mu zabraknąć czasu.

- Jedziemy w miejsce, w którym po raz ostatni widziano Marni Fischer. Spróbuję przybliżyć ci wszystko, co wiem na jej temat. Zasadniczo nie pasuje do wcześniejszych dziewczyn, niemniej kilka podobieństw jest. Marni ma dwadzieścia osiem lat, metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, pięćdziesiąt dziewięć kilo wagi, średniej długości włosy koloru ciemnoblonde, brązowe oczy. Pochodzi z Orlando. Pomimo przeciwności zdołała ułożyć sobie życie. O takich jak ona mówi się w telewizji, że są ludźmi sukcesu. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miała zaledwie trzy lata. Wychowywała ją ciotka, zmarła, gdy dziewczyna skończyła szesnaście lat. Jako siedemnastolatka wstąpiła na Uniwersytet Środkowej Florydy, otrzymała pełne stypendium. Dyplom zrobiła cztery lata później, skończyła dwa fakultety, mikrobiologię

i chemię. Natychmiast podjęła naukę w Akademii Medycznej w Georgii, w wieku dwudziestu pięciu lat została lekarzem i od trzech lat jest rezydentem stacjonarnym ze specjalizacją ginekologiczno-położniczą.

Baldwin uważnie obserwował rozmówcę. Opis dobrze pasował do profilu pozostałych dziewcząt. Grimes wyczuł to spojrzenie.

- Zgadza się, lekarka. Znowu związek z medycyną. Myślisz, że gość jest stukniętym medykiem, który usiłuje się za coś mścić?

Baldwin pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, Grimes. Nie wyczuwam tego sukinsyna. Poza tym jeszcze za wcześnie na określanie jego pobudek. Nie można definiować czyjejś motywacji wyłącznie na podstawie charakterystyki ofiar. Mów dalej.

- Jasne. Dziewczyna bierze udział w programie wymiany rotacyjnej personelu, w którym uczestniczy szpital komunalny w Noble. Jeden z lekarzy, znajomy z akademii medycznej, zasugerował, że byłoby to dobre miejsce do zdobycia praktyki w leczeniu biedniejszych kobiet, których nie stać na zwykłą opiekę zdrowotną i prenatalną.

Grimes umilkł na moment, lecz po chwili kontynuował:

- Nawiasem mówiąc, jest zaręczona i planuje ślub. Jej facet nazywa się Greg Talbot, już czwarty rok jest rezydentem stacjonarnym z tą samą specjalizacją. Ponieważ oboje są ginekologami położnikami, postanowili przeprowadzić się do jakiegoś

małego miasteczka na południu i tam dbać o ubogie kobiety w ciąży, a także przyjmować porody. Zamierzają się troszczyć o ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na standardowe ubezpieczenie medyczne.

Ostatnie słowa Grimes wypowiedział z chytrym uśmieszkiem. Baldwin doskonale wiedział, o co mu chodzi. Dochodzenie należałoby zacząć właśnie od narzeczonego. Wolał jednak zachować ten wniosek dla siebie, gdyż jeszcze nie nadszedł czas na konkluzje.

Grimes zrozumiał, dlaczego Baldwin milczy, i mówił dalej:

- No dobrze, na czym stanąłem? Ach, tak, już wiem. Marni miała po pracy w szpitalu komunalnym pojechać z wizytą do Augusty, gdzie mieszka jej przyjaciółka, Sharon Baker. Okres rotacji właśnie dobiegł końca na miesiąc, więc dziewczyny zamierzały to uczcić. Przed siódmą powinna była się zjawić w Augusty, z Noble dojeżdża się tam w dwie godziny. Marni nie zjawiła się w domu Sharon, więc ta zadzwoniła do niej na komórkę i usłyszała komunikat, że abonent przebywa poza zasięgiem sieci. Sharon naszły czarne myśli. Marni zawsze uprzedzała, kiedy się miała spóźnić. Sharon w końcu skontaktowała się z Gregiem, który wybierał się do Atlanty na weekend w gronie przyjaciół. Gdy tylko zakończył rozmowę z Sharon, od razu wskoczył do samochodu i przyjechał do Augusty. W niedzielę rano oboje zabrali się do poszukiwań. Przebyli całą domniemaną trasę Marni, aż do Noble. Po drodze sprawdzili wszystkie poten-



cialne przystanki i stacje benzynowe. W jej domu nie zauważyli nic podejrzanego, nic nie zginęło, wszystko leżało na swoim miejscu. Następnie podjechali do szpitala w Noble i na parkingu ujrzeni jej samochód. Kluczyki leżały pod autem, torebka i telefon na przednim fotelu. Oboje zawiadomili miejscową policję, która bardzo przytomnie postanowiła skontaktować się z nami. I oto jesteśmy.

Baldwin wyjrzał przez okno. Przez cały czas intensywnie myślał, usiłował dopasować do siebie elementy układanki. Schemat wydawał się jasny. Zbrodniarz upatrywał sobie młodą kobietę, zabijał ją i porzucał w innym mieście, w którym dopadał następną ofiarę. Gdzie policja znajdzie zwłoki Marni Fischer?

Z Alabamy do Luizjany. Z Luizjany do Missisipi. Z Missisipi do Tennessee. Z Tennessee do Georgii. I z Georgii do...

- Grimes, masz przy sobie mapę?

- Tak, powinna być pod twoim fotelem. Kupiłem atlas południowego wschodu, kiedy wyjeżdżałem z Wirginii.

Baldwin sięgnął pod siedzenie i wyjął książkę. Wertował kartki, aż wreszcie znalazł stronę ze wszystkimi południowo-wschodnimi stanami. Huntsville, Baton Rouge, Jackson, Nashville, Noble. Czy morderca się cofnie jeden stan na zachód, do Alabamy, aby zatoczyć koślawe koło? A może przeskoczy do Karoliny Północnej? Baldwin pokręcił głową. Nie tędy droga. W taki sposób nie złapie mordercy. Zamknął atlas i wsunął go

z powrotem pod fotel. Musiał skrupulatnie przeanalizować podobieństwa między ofiarami. Tylko wówczas miał szansę się zorientować, jak uprzedzić czyny zabójcy.

- Grimes, opowiedz mi wszystko, co wiesz o każdej z tych dziewczyn. Wyobraź sobie, że nigdy nic o nich nie słyszałem, zacznij od zera.

Baldwin wyciągnął z teczki notatnik, otworzył go na czystej stronie i zamarł w oczekiwaniu.

- W porządku, jak sobie życzysz. Zacznę od Susan Palmer. Zdaniem rodziny, cicha i spokojna dziewczyna. Dopiero co ukończyła szkołę pielęgniarstwa i podjęła pracę w szpitalu komunalnym w Huntsville. Trochę typ szarej myszy, niepodobna do piękności w rodzaju Jessiki Porter. Mieszkała w pokoju nad garażem. Jej matka cierpi na jakąś poważną chorobę, która uniemożliwia jej normalne funkcjonowanie. Wcześniej miały zapewnioną pełnoetatową opiekę pielęgniarstwa, ale z niej zrezygnowały. W domu brakowało ojca, zmarł, kiedy Susan była małym dzieckiem. Susan wychowywała się tylko z matką. Zwłoki znaleziono nad kanałem w starej części Baton Rouge, w bardzo nieprzyjemnej dzielnicy. Nie miała żadnego powodu tam się kręcić, dlatego założyliśmy, że morderca ją przetransportował. Sama by tam raczej nie pojechała. Z raportu patologa wynika, że na kikutach prawej ręki widniały pojedyncze nacięcia, jakby oprawca się wahał. Zdaniem lekarza, morderca usiłował się zmusić do odcięcia dłoni. Na lewym przedramieniu znajdowały się już tylko pewne,

mocne ślady piłowania. - Grimes odchrząknął i popatrzył przez okno, jakby wyobrażał sobie sekcję zwłok na tle porośniętego wspaniałą japońską wzgórze.

- Dziwna sprawa - ciągnął. - Nikt nie pamiętał, aby wychodziła z pracy, w szpitalu praktycznie z nikim się nie przyjaźniła. Przychodziła, robiła, co do niej należało, i wracała do domu. Jeszcze nie wykombinowaliśmy, jak wpadła w oko naszemu chłopakowi. Chodziła z nosem przy ziemi i nigdy się nie wychylała.

- Niewidzialna - mruknął Baldwin.

- Że jak? Niewidzialna? Tak, chyba można tak to ująć. Innymi słowy, bezpieczny wybór. Za to Jeanette Lernier nie była ani trochę niewidzialna. Przebojowa, odważna, pełna życia. Ludzie, którzy ją opisywali, zawsze używali takich określeń. Dostała się na płatny staż w jednej z firm marketingowych w Baton Rouge, chciała zdobyć trochę doświadczenia między college 'em a studiami podyplomowymi. Miała chłopaków i dziewczyny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, i była stałym gościem klubów w Baton Rouge. Chodziły słuchy, że miała romans z jakąś grubą rybą w firmie, dla której pracowała. Tuż przed zaginięciem podobno się rozstali i była okropnie przygnębiona. Pochodziła z dobrej rodziny, miała dwóch braci i siostrę, którzy nadal nie potrafią się otrząsnąć z szoku. Zupełnie jakby ta dziewczyna była spoiwem rodziny i bez niej wszyscy zaczęli się od siebie oddalać. Przykra sprawa, poważnie. Młoda kobieta, żyła

pełnią życia i nagle skończyła na poboczu. Szczerze mówiąc, gdybyśmy nie znaleźli przy niej dłoni Susan Palmer, zapewne w ogóle nie powiązalibyśmy tych dwóch morderstw. Choć styl obu zabójstw jest podobny, różnice wydają się gigantyczne, przynajmniej dla mnie.

- Potrafię to zrozumieć, ale zbrodniarz jest ten sam, z całą pewnością.

- A potrafisz mi wyjaśnić, dlaczego zrobił sobie miesięczną przerwę? Zupełnie jakby najpierw się zachłysnął nową rozrywką, a potem sobie odpuścił.

- Sam chciałbym wiedzieć. Usiłuję go zrozumieć, ale nadal brakuje mi informacji. Musi istnieć coś, co motywuje tego mordercę... Nieważne, mów dalej. Jessica Porter.

- Jessica Ann Porter, osiemnastolatka, sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, pięćdziesiąt cztery kilogramy wagi. Urodzona w Jackson, dzieliła mieszkanie z koleżanką. Robiła, co mogła, aby udowodnić, że jest samodzielna. Rodzice stanowczo się sprzeciwiali jej wyprowadzce, ale w końcu ich przekonała. Tina i Steve Porterowie. Ojciec mechanik, matka nauczycielka. Typowa, amerykańska rodzina. Dziewczyna miała dwóch braci, szesnastoletniego Josepha i trzynastoletniego Jamesa. Teraz przeżywają załamanie psychiczne, bo ją uwielbiali. Uczyła się na Uniwersytecie Missisipi. Robiła kurs przygotowawczy przed studiami medycznymi lub pielęgniarstkiem, jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji. Pracowała jako recepcjo-

nistka w szpitalu komunalnym w Missisipi, aby się zorientować, jak to jest w otoczeniu medyków. Już ci mówiłem, że była wolontariuszką w miejscowym przytułku dla bezdomnych i dostarczała ludziom posiłki w ramach programu, jak on się nazywa...

- „Posiłki w domu”?

- Otóż to. Posiłki w domu. Poświęcała na to dwa wieczory w tygodniu. Mieszkała z inną dziewczyną, Amandą Potter. Przyjaźniły się od zawsze, były sąsiadkami. To od niej wiem o włosach.

- Grimes, chciałbym usłyszeć wszystko, nawet jeśli czujesz, że się powtarzasz. Zgoda? Grimes zacisnął palce na kierownicy tak mocno, że zbieleły.

- Pewnie, oczywiście. Wybacz. Na czym stanąłem?

- Na włosach.

- Ach, tak. Jej przyjaciółka, Amanda, napomknęła, że Jessica miała długie, brązowe loki, za które każda dziewczyna dałaby się pokroić, ale ich nie znosiła i uparcie je prostowała. Dowiedziałem się jeszcze od Amandy, że trochę eksperymentowały, z alkoholem i takimi tam, ale Jessica nigdy nie przepadała za tego typu używkami. Innymi słowy, trudno ją było uznać za zabawową dziewczynę. Paliła po kryjomu, rodzice o niczym nie wiedzieli. W powszechnej opinii była uśmiechnięta, urocza, łagodna i miała poukładane w głowie. Jej koleżanka podkreśliła, że Jessica zachowywała się nieco naiwnie, zwłaszcza w stosunku do chłopców.

Z całą pewnością była dziewczyną, do czasu kiedy ją dopadł ten sukinkot.

- W porządku. Teraz opowiedz, jak znikła.

- Wracając z pracy do domu i miała na sobie zielony uniform, taki sam, jak cały personel. Szpital jest nieduży, świadczy usługi głównie ubogim, którzy nie mogą liczyć na lepszą opiekę zdrowotną. Ale wracając do tematu: dziewczyna codziennie szła do domu, przebierała się i wychodziła na siłownię. Amanda podkreśliła, że Jessica nie czuła się zbyt dobrze we własnym ciele, więc mnóstwo czasu poświęcała na ćwiczenia. Co oczywiste, zdaniem Amandy, Jessica wyglądała bosko, ale sam rozumiesz, jak to bywa z młodymi kobietami. Nigdy nie wierzą w siebie i niespecjalnie ufają opinii przyjaciółek. Jak patrzę na własną córkę, to wszystko się potwierdza, poważnie. Ty chyba nie masz dzieci, co?

- Nie, nie mam. Możesz kontynuować?

- Dobrze, dobrze, nie bądź taki drażliwy. No więc wyszła ze szpitala kwadrans po piątej i nie dotarła do domu. Około dziewiątej rodzice zgłosili jej zaginięcie i zabrali się do poszukiwań. Bezowocnych, jak wiadomo. Musiała już być zimnym trupem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo kiedy ją znalazłeś w Nashville, nie żyła już od dłuższego czasu. Od zaginięcia do znalezienia zwłok minęły trzy dni, a patolog oceniła, że dziewczyna była martwa od co najmniej doby.

- Masz pomysł, gdzie ją trzymał? Zakładam, że nie siedział z nią w mieszkaniu przez cały czas?

- Nie, nie siedział. Jej współlokatorka wróciła, ujrzała krew, ale nie znalazła Jessiki. Sprawdziliśmy mnóstwo moteli po drodze z Jackson do Nashville, pokazywaliśmy jej zdjęcie, komu się dało. Stary, nawet sobie nie wyobrażasz, ile tam jest moteli, hoteli i zajazdów. W tak krótkim czasie nie mieliśmy szansy zajrzeć do wszystkich. Poza tym gość może być miejscowy i dysponować własnym lokalem, w którym przechowuje zwłoki. Baldwin się zamyślił.

- Raczej nie zgodziłbym się z tą teorią. Ten człowiek ma plan. Nie wyobrażam sobie, aby na chybił trafił wybierał jakiś motel i tam robił swoje. Na pewno dobrze zna teren, po którym się porusza, ale nie może być stałym mieszkańcem wszystkich rejonów swojej działalności. - Umilkł.

Morderca odwiedził już pięć stanów. Należałoby zebrać ekipę sądowych rzeczoznawców od geografii. Sporządziliby ekspertyzę, sprawdzili, czy istnieje jakiś najbardziej prawdopodobny rejon, w którym mógłby mieszkać bandyta. Zapisał w notatniku, że ma się tym zająć.

- Muszę zadzwonić - oznajmił. - Chcę wysłuchać wszystkich informacji na temat sprawy Shauny Davidson, zebranych przez policję w Nashville.

Wybrał numer Taylor i uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy odebrała po pierwszym sygnale.

- Przy aparacie agent Baldwin - obwieścił oficjalnym tonem.

- Dzień dobry, panie agencie specjalny - powi-

tała go z przekorą w głosie. Tak bardzo pragnęłyby znaleźć się teraz przy niej...

- Będziemy rozmawiali w trybie głośnomówią-cym. Jadę samochodem z agentem specjalnym Jerryem Grimesem, który zajmuje się sprawami z Alabamy, i Luizjany. On także musi tego wysłuchać. Taylor, czy mogłabyś nam przedstawić informacje na temat Shauny Davidson?

Taylor mówiła wyraźnie i spokojnie, jak przystało na profesjonalistkę.

- Oczywiście. Dziewczyna miała dwadzieścia jeden lat, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, brązowe włosy i oczy. Studiowała na uniwersytecie stanowym środkowego Tennessee, przygotowywała się do nauki w akademii medycznej. Jej rodzice, Carol i Roger Davidsonowie, są księgowymi i całkiem nieźle im się wiedzie. To tłumaczy, dlaczego mieszkanie dziewczyny jest tak ładnie urządzone. Była jedynaczką, zdaniem przyjaciół, nieco rozpuszczoną. Trzymała z grupą koleżanek, mówiły o sobie Paczka. Kumplowała się z Megan, Kimber

i Tiffany. Wszystko robiły wspólnie i były razem w wieczór zniknięcia Shauny. Zabawiały się w dubbing. Miały już trochę w czubie i rozglądały się za chłopakami. Na koniec trafiły do lokalu Jungle Jim's. Megan i Kimber rozmawiały z dwoma facetami, próbując ich naciągnąć na drinki. Tiffany oddzieliła się od grupy, gdy tylko dziewczyny weszły do baru. Pojawił się jej chłopak i strasznie się wkurzył, bo zobaczył, że tańczyła z innym. Ona była wstawiona, on wściekły. Usiedli



przy stoliku i zaczęli rozmawiać. Potem wróciła do Kimber i Megan, które przez cały czas gawędziły z facetami. Chyba nie szukała przygodnych znajomości, bo kiedy jeden z chłopaków usiłował ją poderwać, od razu go spławiła. Od Megan wiem, że Shauna pokazała gościowi znak luzera, czyli ułożyła dłoń w literę L i uniosła ją na wysokość czoła. Kimber i Megan wybuchnęły śmiechem. Kimber podkreśliła, że Shauna nie była niewiniątkiem, ale starannie dobierała sobie towarzystwo. Dziewczyny nie pamiętają, żeby ją potem widziały. Mają koszmarnie poczucie winy - westchnęła Taylor. - Tego wieczoru nie wylewały za kołnierz i mało co do nich docierało. Megan i Kimber zauważyły, że Tiffany wychodzi ze swoim chłopakiem, a gdy same się zbierały, nigdzie nie mogły znaleźć Shauny, więc uznały, że zabrała się z Tiffany. - Czy ktoś widział, jak Shauna opuszcza bar?

- Bramkarzowi się wydaje, że zauważył, jak wychodziła, sama. Podobno skierowała się Front Street na północ, a taką trasę wybrałaby, idąc do domu. Na tym koniec. Ślad się urywa, dopiero potem znaleziono ją w Georgii. Czy to robota tego samego faceta?

- Zdecydowanie. Na miejscu znaleźliśmy dłoń, która naszym zdaniem należy do Jessiki Porter. Wyniki badań laboratoryjnych nie są jeszcze znane. Mamy za to nowy problem.

- Nie wierzę.

- Zaginęła następna dziewczyna, lekarka z Noble w Georgii. Jedziemy tam, może dowiemy się cze-

gość istotnego. Nie rozstawaj się z telefonem, dobrze? Wkrótce powinniśmy mieć dla ciebie konkretne informacje.

- Jasne. Dzięki za wiadomości. Porozmawiamy później.

Baldwin się rozłączył.

- Porozmawiajmy jeszcze o miejscach, w których znaleziono zwłoki. Jaki materiał dowodowy zgromadziły tam ekipy dochodzeniowe?

- Żadnego. Nikt niczego nie znalazł. Ofiary leżały na plecach, z rozpostartymi rękami i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Morderca najwyraźniej po prostu porzucił zwłoki. Nie dysponujemy nawet odciskami opon. Technicy zebrali tylko trochę przypadkowych przedmiotów: puszki, butelki, papiery. Tego typu śmieci. Czy coś podobnego znajdowało się w Nashville?

Baldwin odetchnął głęboko.

- Nie, w Nashville nie natrafiliśmy na absolutnie nic poza zwłokami Jessiki oraz dłoni, należącej zapewne do Jeanette Lernier. Musimy poczekać na wynik badań DNA, dopiero wtedy uzyskamy całkowitą pewność.

- Zupełnie jak tutaj, w Georgii. Mówię ci, beznadziejna sprawa.

- Fakt, nie bardzo jest od czego zacząć. A teraz jeszcze doszła sprawa tej Marni Fischer. Kiedy dokładnie ślad po niej zaginął?

- Wczoraj, na koniec zmiany, czyli około piątej- Skoro morderca przetrzymuje ofiary przez

trzy dni, to znaczy, że mamy czas do jutrzejszego wieczoru. Zgadza się?

- Owszem. Koleś jeździ międzystanowymi, więc teraz może być gdziekolwiek. Baldwin opuścił wzrok na akta, które trzymał na kolanach. Marni Marie Fischer, dwadzieścia osiem lat. Ze zdjęcia spoglądała na niego piękna twarz o pogodnym spojrzeniu. Wpatrywał się w jej rysy, zwracał uwagę na różnice, dzielące obecnie zaginioną kobietę i poprzednie ofiary zabójcy. Przede wszystkim wyglądała na starszą, ten fakt od razu rzucał się w oczy. Pierwsze trzy dziewczyny były niemal nastolatkami i brunetkami, Marni miała włosy w kolorze ciemnoblonde. Baldwin odmówił krótką modlitwę w intencji zaginionej dziewczyny. Jeszcze tliła się w nim nadzieja, że Marni nie jest najnowszą ofiarą Dusiciela z Południa i że odnajdzie się cała i zdrowa.

Zadzwoił telefon Grimesa. Natychmiast odebrał i z uwagą wysłuchał rozmówcy.

Następnie się rozłączył, pokręcił głową i popatrzył na Baldwina.

- Powiem ci, na czym stoimy - oznajmił. - Z grubsza, na niczym. Szeryf chce, żebyśmy spotkali się z nim w szpitalu. Zamierza odholować samochód Marni na policyjny parking, ale uprzejmie się zgodził na nas zaczekać. Wiem, że chętnie przeprowadzasz wizje lokalne.

Baldwin potwierdził skinieniem głowy.

- Świetnie - odparł. - To dla mnie duże udogodnienie.

- Poza tym szeryf przyniesie zdjęcia, żebyś

zobaczył, jak wszystko wyglądało tuż po przybyciu policji.

- Miejmy nadzieję, że w końcu znajdziemy coś, co nam wskaże miejsce, gdzie drań zabrał dziewczynę. - Baldwin poprawił się na fotelu i przygryzł wargę. Nie potrafił pozbyć się złych przeczuc, że nie znajdą nic, co pozwoliłoby im ocalić Marni Fischer.

### ***Rozdział trzynasty***

Taylor i Fitz podjechali przed wejście na ostry dyżur w szpitalu baptystów i zaparkowali. Przejście przez izbę przyjęć okazało się dla Taylor nie lada wyzwaniem. Doliczyła się sześciu pacjentów z paskudnymi ranami w rozmaitych miejscach. W świetle jarzeniówek krew przybrała pomarańczową barwę. Taylor przełknęła ślinę, usiłując powstrzymać mdłości. Kiedy ostatnio była w tym pomieszczeniu, leżała na noszach, brocząc krwią. Przypomniała sobie swoją niedawną dużą sprawę, o której tak naprawdę nie mogła zapomnieć, tylko nie chciała jej roztrząsać.

Przy okazji tamtego dochodzenia, cztery miesiące temu, poznała Baldwina. Przyjechał do miasta, by wspomóc policję, która potrzebowała analityka. W rezultacie spędzali ze sobą długie godziny i ogromnie się do siebie zbliżyli. Oboje mieli silne osobowości, więc oczywiście dochodziło między nimi do spięć, lecz byli sobą naprawdę zaintereso-

wani. Wspólnie wpadli na trop uzbrojonego złoczyńcy i udało im się go osaczyć.

Zdesperowany bandyta postanowił stawić czoło Taylor i przegrał.

Za sukces zapłaciła jednak wysoką cenę.

Choć minęło kilka miesięcy, nadal miała przed oczami nóż, którym się zamachnął. Ciągłe czuła, jak wbija się w jej ciało. Zabiła bandytę, ale pozostawił jej pamiątkę na resztę życia, paskudne cięcie na szyi.

Przyłożyła dłoń do gardła. Nie chciała, aby cokolwiek się zmieniło, ona i Baldwin tworzyli zgrany zespół. Gdy nie było wiadomo, czy przeżyje, on stał u jej boku, nie opuścił jej ani na moment. Mimo to ciarki przeszły jej po plecach, kiedy ponownie zawitała do izby przyjęć. Nerwowo przywołała się do porządku.

- Fitz, jak myślisz, gdzie jej szukać?

- Pewnie na chirurgii. Szefowa poprosiła lekarza o zarejestrowanie jej pod nazwiskiem Mary Smith, żeby dziennikarze nie wywęszyli sensacji. Zaraz sprawdzimy, czy poskutkowało. - Podeszedł do biurka recepcjonistki, pomachał jej przed nosem policyjną odznaką i spytał, gdzie leży Mary Smith. Po chwili z uśmiechem odwrócił się do Taylor, dłonią wskazał windę i energicznie się oddalił, żeby recepcjonistka nie zdążyła się zbytnio zainteresować, w jakim celu policja chce widzieć pacjentkę.

Taylor dołączyła do Fitz'a i po chwili oboje w milczeniu jechali windą na oddział chirurgii

urazowej. Jeszcze zanim rozsunęły się drzwi, do kabiny przeniknął intensywny zapach środków odkażających. Taylor ponownie nawiedziły wspomnienia z pobytu w szpitalu. Ubolewała, że Betsy musi doświadczyć przykrew słuźby w policji - większość funkcjonariuszy prędeź czy póżniej po ataku przestępcy trafiała do lekarza. To się zdarzało często i należało się z taką sytuacją pogodzić. Drzwi windy się rozsunęły i policjanci skierowali się prosto do pokoju pielęgniarek.

- Znajdziemy tutaj Mary Smith? - Taylor usiłowała mówić spokojnie, wręcz obojętnie. Pielęgniarka posłała jej wymowne spojrzenie i Taylor natychmiast pojęła, że wszyscy znają prawdziwą tożsamość rzekomej Mary Smith. Siostra stanęła jednak na wysokości zadania.

- Mary Smith właśnie została wybudzona z narkozy. Teraz jest przy niej lekarz. Proszę skrócić w korytarz z lewej, sala trzysta dwadzieścia.

Podziękowali za informację i ruszyli do pokoju Betsy. Gdy zajrzeli do środka, zobaczyli dwóch mężczyzn: lekarza w zielonym stroju i Briana Posta, partnera Betsy. Brian wydawał się przybity, lecz nagle się roześmiał i usiadł na łóżku obok chorej. Taylor cicho zapukała do drzwi. Obecni skierowali wzrok na przybyszów i zgodnie zaprosili ich do środka.

Betsy Garrison, twarda, żywiołowa kobieta, szefowa wydziału przestępczości seksualnej policji w Nashville, siedziała na łóżku szpitalnym, z lewą połową głowy szczelnie obwiązana bandażem.

Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej, ale uśmiechnęła się najszczerzej, jak potrafiła.

- Taylor, Fitz, zapraszamy. Przyłączcie się do imprezy.

Taylor zajęła miejsce na skraju materaca, naprzeciwko Posta, który ze zmarszczonymi brwiami spoglądał na ranną. Taylor pomyślała, że to ciekawe. Najwyraźniej Post troszczył się o partnerkę bardziej, niż by się można spodziewać po koledze z pracy.

Pochyliła się i nieśmiało uścisnęła Betsy. Fitz oparł się o drzwi do łazienki, wyraźnie zakłopotany. Był staromodnym facetem i nie przepadał za towarzystwem niedysponowanych dam. Betsy natychmiast to zauważyła.

- Fitz - odezwała się chrapliwym po narkozie głosem. - Widzę, że twoja konserwatywna natura cierpi. Może wybierzesz się z Brianem na kawę? Dzielnie mi matkuje, ale ma już prawo do odpoczynku.

Fitzowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Skinął palcem na Posta, który niechętnie wstał z łóżka, cmoknął Betsy w niezabandażowany fragment czoła i posłusznie wyszedł za kolegą.

Taylor poprawiła się na materacu i spojrzała na Betsy wyczekująco. Znały się od ładnych paru lat, kiedyś wspólnie jeździły na patrole. Przyjaźniły się o tyle, o ile mogą się przyjaźnić dwie policjantki, i bardzo się nawzajem szanowały.

Betsy odezwała się pierwsza.

- Wbrew pozorom nie jest ze mną tak źle. Mam



tylko złamany nos i pękniętą kość policzkową. Lekarze wszystko już ponastawiali jak należy, będę wyglądała lepiej niż dotąd. Ten uroczy pan doktor zajął się moim nosem, kiedy byłam pod narkozą. Koniec z garbem! Nareszcie mam prosty nos.

Taylor uśmiechnęła się grzecznościowo.

- Robisz dobrą minę do złej gry - westchnęła. - Teraz powiedz, jak się naprawdę czujesz.

Betsy lekko przygasła. Usiłowała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej dziwny grymas.

- Boli jak cholera. Nawet nie wiesz, jak mi wstyd, czuję się jak kompletna idiotka. Gwałci mnie gość, którego usiłuję wpakować za kratki! Powiem ci, że gdyby na komendzie się o tym dowiedzieli, musiałabym rzucić robotę. Ludzie już nigdy nie byłiby w stanie traktować mnie tak jak dotąd. Wystarczy, że Brian jest bliski zawału, kiedy na mnie patrzy.

- O ile się nie mylę, Brian czuje do ciebie coś więcej niż tylko sympatię?

Betsy poruszyła się niepewnie, nakrochmalone prześcieradło zaszeleściło pod ciężarem jej ciała.

- I tu mnie masz. Spotykamy się już od pół roku. To fantastyczny facet. Wiem, mówi się, że lepiej nie wiązać się z osobą z pracy... - Zawiesiła głos, odwróciła wzrok.

Zanim Taylor otarła się o śmierć podczas pamiętnej sprawy, była świadkiem postrzelenia jednego z inspektorów z wydziału zabójstw. Mało kto wiedział, że z nim sypiała. Teraz popatrzyła na Betsy,

zastanawiając się, czy ta uwaga odnosiła się do jej dawno minionego romansu. Doszła do wniosku, że w słowach Betsy nie ma drugiego dna, i przestała zawracać sobie tym głowę.

- A teraz opowiedz mi, co się zdarzyło wczoraj wieczorem.

Betsy wyraźnie się zasepiła.

- Zasnęłam na kanapie - odparła z bólem w głosie. - Obudziłam się, kiedy usłyszałam podejrzany hałas na dworze. Poszłam do kuchni sprawdzić, co się dzieje, i wówczas ujrzałam Słotnika. Stał w czarnej kominiarce, ociekał wodą, cała podłoga była mokra.

- Gdzie miałaś broń?

- Jak to gdzie? Na piętrze, w sejfie, rzecz jasna. Zawsze tam leży. Sama rozumiesz, moja siostra często mnie odwiedza bez zapowiedzi i zwykle przychodzi z dziećmi. Nie chcę, żeby doszło do wypadku. Wracając do tematu, usiłowałam z nim rozmawiać. Spytałam, co robi w moim domu, a wtedy bez słowa podbiegł i trzasnął mnie w twarz tak mocno, że od razu straciłam przytomność. Gdy doszłam do siebie, było już po wszystkim. Gość zbierał się do wyjścia. Nawet się nie ocknęłam, kiedy mnie gwałcił. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale cieszę się, że nic nie pamiętam, przynajmniej na razie. Sama rozumiesz, nie tylko byłabym ranna, ale w dodatku czułabym się sponiewierana.

Taylor rozumiała.

- Zdumiało mnie, że facet załatwił sprawę w dwadzieścia minut - wyznała Betsy. - Gdy

usłyszałam hałas, popatrzyłam na zegarek. Minał kwadrans po trzeciej. Kiedy odzyskałam świadomość, było za dwadzieścia czwarta, a koleś skończył robić swoje grubo wcześniej. Niewiele zarezerwował sobie czasu na igraszki, no nie? Taylor wstała i podeszła do okna.

- O ile wiem, nie spędza zbyt wiele czasu na miejscu przestępstwa. Z zeznań innych kobiet wynika, że jest raczej beznamiętny. Odniosłaś takie wrażenie?

- Zanim mnie zdzielił czy potem?

- No tak. Cofam pytanie.

- Obie wiemy, że Słotnikowi nie zależy na seksie. To tylko jakiś mały człowieczek, który uznał, że musi coś komuś udowodnić. Dotychczas nigdy nie uciekał się do przemocy.

- Twoim zdaniem, teraz już zawsze będzie bił swoje ofiary?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

- Powiedz mi jeszcze jedno. Skąd wiesz, że to Słotnik?

- Och, nie powiedzieli ci? Dysponujemy materiałem genetycznym gwałciciela.

- To fantastycznie! Przecież dotąd nigdy się nam nie udało z DNA, prawda?

Betsy ostrożnie pokręciła głową, krzywiąc się z bólu.

- Zebraliśmy DNA w miejscach, gdzie doszło do poprzednich gwałtów. Używa prezerwatywy, ale jest nieuważny. Gdy ją zdejmuje, zawsze zostawia krople nasienia.

Utrzymywaliśmy ten fakt

w tajemnicy, bo nie potrafimy zmusić cholernego biura śledczego w Tennessee do przepuszczenia nowych próbek przez system komputerowy. W najbliższym czasie na pewno nie będzie to możliwe.

Policyjna baza danych w Tennessee była zablokowana na co najmniej rok. Program do identyfikacji właściciela DNA okazał się tak popularny, że laboratorium zostało zarzucone próbkami materiału genetycznego, przeznaczonymi do rozpoznania i zarchiwizowania. Istniała jednak szansa, że dramatyczny przebieg sprawy skłoni dyrekcję policji do przesunięcia zgłoszenia na początek kolejki.

- Parę lat temu, po gwałtach w dwa tysiące drugim roku, przeprowadzono już próbę identyfikacji DNA. Nie znaleziono faceta, ale w tamtym czasie baza danych była jeszcze w powijakach. Próbki z dwa tysiące czwartego roku zostały już wysłane, ale jeszcze nie są przetworzone. Jeśli gość jest w systemie, znajdziemy go. Grunt, żeby nam się to udało, zanim umrzemy ze starości.

Taylor podrapała się po głowie.

- Powinniśmy dysponować własnym laboratorium. Może je nam założą po tym, co cię spotkało.

- Na litość boską, błagam cię, nie rozgłaszaj tej sprawy. Taylor, musisz wymyślić coś innego. Na pewno są lepsze sposoby.

- Dobrze, dobrze. Zrobię, co w mojej mocy, aby cię ochronić.

Taylor kilka razy poruszyła głowę, aby pozbyć się nieprzyjemnych kurczów w szyi. Nagle ogarnęło ją zmęczenie, a to nigdy nie było dobrym

znakiem. O ile jej umysł wiedział, że jest stuprocentowo przytomna i sprawna, o tyle ciało często miało inne zdanie. Betsy kontynuowała analizę.

- Słotnik zabiera ze sobą prezerwatywę, tak? Ale nie może zabrać pozostałości środka plemnikobójczego. Laboratorium przeprowadziło jego analizę i dzięki temu wiemy, jakie są ulubione prezerwatywy gwałciciela. Ten sam typ pojawia się przy okazji każdego gwałtu. - Betsy uśmiechnęła się blado. - Jak widzisz, w wydziale przestępczości seksualnej jeszcze kompletnie nie zawałamy roboty.

Taylor zauważyła, że Betsy jest coraz bardziej przygnębiona, więc postanowiła w końcu zadać dręczące ją pytanie.

- Myślisz, że on wie, kim jesteś?

- Och, zdecydowanie. Parę tygodni temu, po poprzednim gwałcie, zorganizowaliśmy konferencję prasową. On doskonale wie, że ja się zajmuję jego sprawą. Nie ma za to pojęcia, że depczemy mu po piętach.

- A może wie i chce cię zniechęcić. Dlaczego uważasz, że depczecie mu po piętach? Oczywiście Betsy ponownie rozbłysły. Z chytrą miną popatrzyła na Taylor.

- Ostatnia ofiara uważa, że go rozpoznała.

## ***Rozdział czternasty***

Kiedy obaj agenci przyjechali na parking szpitala komunalnego, Baldwin ujrzał grupę ludzi w północno-wschodnim rogu placu. Czarny asfalt zdawał się falować w upale. Grimes zaparkował nieco dalej, wysiadł z samochodu i natychmiast podszedł do wysokiego, ciemnoskórego mężczyzny o władczej posturze i gładko ogolonej głowie. Baldwin nawet z odległości prawie dziesięciu metrów rozpoznał w nim żołnierza. Ruszył za Grimesem z wyciągniętą ręką. Po obowiązkowym powitaniu Baldwin cofnął się o krok i ze zdumieniem popatrzył na dość młodego szeryfa, który posłał mu promienny uśmiech. Agent odetchnął z ulgą. Lokalna policja zwykle nie była zachwycona przyjazdem FBI. Najwyraźniej tym razem współpraca powinna się układać pomyślnie.

- Szeryf Terrence Pascoe - zagrzmiał tubalnie mężczyzna. - Pan John Baldwin, jak mniemam. Czytałem pański artykuł o zabójcach, których pod-

nieca wściekłość, zamieszczony w ubiegłym roku w „Biuletynie Policyjnym”.

Pierwszorządne opracowanie. Cieszę się z pańskiego przybycia. Przykro mi, że jest pan narażony na taki upał.

- Dziękuję, szeryfie. O tej porze roku w Nashville jest niewiele lepiej. Od agenta Grimesa wiem, że zamierzał pan odholować pojazd. Dziękuję, że wstrzymał się pan z tym do mojego przyjazdu.

- Drobiazg. Drzwi są otwarte. - Szeryf podał Baldwinowi beżową kopertę. - W środku są zdjęcia z miejsca przestępstwa. Wszystko wygląda tak samo, z tym że wyciągnęliśmy kluczyki spod auta, aby zabezpieczyć ewentualne ślady. Na wszelki wypadek mam też przy sobie jej telefon komórkowy, być może ktoś zadzwoni. - Uniósł torebkę z aparatem. - Technicy już zabezpieczyli ślady, później dołączę go do materiałów dowodowych. Na razie nie mamy nic poza odciskami palców zaginionej i jej narzeczonego. To samo się tyczy samochodu. Rozmawialiśmy już z przyjacielem Marni i pozwoliliśmy mu wrócić do domu. Teraz pewnie się modli o jej szczęśliwy powrót. Moim zdaniem, mówi prawdę i wątpię, żeby był zamieszany w tę sprawę.

Baldwin pomyślał, że Noble to małe, biedne miasto, w którym urzęduje pierwszorządny szeryf. Z wdzięcznością skinął mu głową, sięgnął po kopertę i popatrzył na wysokiej rozdzielczości zdjęcia z miejsca przestępstwa. Szeryf miał słuszość. Na fotografiach wszystko wyglądało tak samo, tylko pod samochodem jeszcze leżały kluczyki.

Baldwin wyciągnął rękawiczki z kieszeni i wszedł do małego bmw. Gdyby technicy nie zostawili otwartych drzwi, w samochodzie nie dałoby się wytrzymać, a i tak było w nim z pewnością około pięćdziesięciu stopni. Obszukał fotele i od razu rzucił mu się w oczy brak przedmiotów, bez których zwykle nie potrafią się obejść kobiety często podróżujące autem. Wnętrze pojazdu było nieskazitelnie czyste, każdy drobiazg miał w nim swoje miejsce, co wiele mówiło o charakterze Marni Fischer.

Dbła o kondycję. Na tylnej kanapie znalazł torbę, a w niej szorty z lycry, koszulkę gimnastyczną, skarpety i drogie buty do biegania. Szczotka, suszarka do włosów, pojemniczki z mydłem i szamponem w jednym dopełniały reszty. Obok torby leżała sterta podręczników medycznych. W schowku między fotelami kryła się szminka, gumki do włosów i klasyczne lotnicze okulary. Nic nadzwyczajnego.

Baldwin przeszukał resztę samochodu, lecz nie zauważył żadnych nietypowych przedmiotów. Gdy otworzył schowek przed fotelem pasażera, na podłogę sfrunęła kartka papieru. Delikatnie podniósł ją za brzegi i pytająco popatrzył na szeryfa.

- Technicy to widzieli? - spytał.

- Nie szukali na papierze żadnych odcisków palców, jeśli o to pan pyta - odparł szeryf. -

Czytałem ten tekst. To tylko wiersz. Uznałem, że zaginiona dostała go od narzeczonego.

Baldwin wyszedł z samochodu i starannie zapo-



znał się z treścią miłosnego wiersza, wydrukowanego na kartce białego papieru. Nie był zdziwiony, że szeryf nie zwrócił uwagi na ten drobiazg. W innych okolicznościach on również zignorowałby taki świstek. Rzecz w tym, że Baldwin był analitykiem, więc w jego głowie od razu odezwał się dzwonek alarmowy, gdy czytał wersy:

*Przebita tym dreszczem,*

*Pod dziką krwią powietrza uległa, bezwładna, Czy razem z jego władzą przyjęła i wiedzę,  
Zanim zubożniały dziób puścił ją wreszcie?*

- Yeats - mruknął.

Grimes i szeryf z uwagą patrzyli na Baldwina.

- Naprawdę uważasz, że w tym wypadku wiersz ma jakiegokolwiek znaczenie? - Grimes niepokojnie przestępował z nogi na nogę, uświadomiwszy sobie, że być może właśnie nastąpił pierwszy przełom w śledztwie i że nie jest to jego zasługa.

- Grimes, czy podczas poprzednich wizji lokalnych natrafiłeś na jakieś wiersze?

- Na pewno nie na miejscu zbrodni. Nie wiem jednak, czy ktoś sprawdził przedmioty osobiste ofiar. Psiakrew!

Sięgnął po telefon komórkowy i wystukał numer.

- Thomas, mówi Grimes. - Baldwin od razu się zorientował, do kogo dzwonił. Thomas Perty, partner Grimesa, początkowo zajmował się poszukiwaniami

Dusiciela. Był obecny na miejscach popełnienia pierwszych dwóch zbrodni.

Grimes nerwowo dreptał w kółko.

- Nadal jesteś w Alabamie i pracujesz nad sprawą zaginionego chłopca, prawda? Znasz kogoś, kto będzie mógł coś dla nas zrobić? Dobrze, posłuchaj, o co idzie. Trzeba się skontaktować z policją w Alabamie, Luizjanie i Missisipi. Ktoś musi jeszcze raz przejrzeć wszystkie rzeczy osobiste dziewczyn. Jeśli trzeba będzie skontaktować się z rodzinami, niech to robią. Należy też przeszukać domy ofiar. Niech policjanci szukają kartki papieru z wierszem. Tak, nie przesłyszałeś się. Chodzi o wiersz. Przypomnij im, żeby przetrząsnęli też samochody zamordowanych. - Odchrząknął. W jego głosie słychać było nerwowość i niepokój. Baldwin znał ten wyraz twarzy. Jego kolega bał się, że przegapił najważniejszą wskazówkę w dochodzeniu. - W szczególności skrytki przed fotelem pasażera. Zadzwoń do mnie jak najszybciej.

Rozłączył się i pokręcił głową.

- Naprawdę uważasz, że morderca podrzucił ten wiersz?

Baldwin skinął głową.

- Facet bawi się z nami w kotka i myszkę. Z całą pewnością nie zostawiłby nas bez punktu zaczepienia. Podmienianie dłoni to jedna wskazówka. Wkrótce się przekonamy, czy poezja jest drugą. - Sięgnął po notatnik i przepisał tekst, choć i tak znał go na pamięć.

Niewiele znał równie intrygują-

cych wierszy. Kartkę zwrócił szeryfowi. - Czy mógłby pan zlecić zdjęcie odcisków palców z tego papieru?

- Oczywiście. Przepraszam za zaniedbanie.

- Może się mylę, ale ta kartka papieru nie pasuje do Marni.

- Dlaczego? - Grimes wydawał się zdezorientowany.

- Ta dziewczyna ma określoną konstrukcję psychiczną. Przypadkowy świstek nie byłby niczym nadzwyczajnym w przeciętnym samochodzie, ale nie wyobrażam sobie, by Marni tak po prostu cisnęła go do schowka. Wszystkie jej papiery są starannie posegregowane w kopertach, nie widać ani śladu rachunków czy innych zapisków. - Baldwin zerknął na Grimesa. Nie trzeba było geniusza, aby się zorientować, że Marni Fischer chorobliwie dbała o porządek. - W tym samochodzie wszystko ma swoje miejsce.

Szeryf wsunął kartkę do plastikowej torebki i przekazał ją jednemu z podwładnych.

Policjant niemal pobiegł do samochodu i pośpiesznie odjechał.

- Wkrótce się dowiemy, czy na papierze są jakieś ślady. W moim laboratorium pracuje świetny fachowiec, na pewno znajdzie wszystko, co jest do znalezienia.

- Doskonale. - Baldwin osłonił oczy od słońca i popatrzył na szpital.

Jak dotąd większość zamordowanych dziewczyn łączył wyłącznie zawód, wybrany lub wykonywany.

Gdyby pojawiły się jeszcze inne kartki, sprawa zapewne ruszyłaby z miejsca.

- Czy w domu Marni znajdowały się jakieś ślady wskazujące na użycie przemocy?

- Nie. Interesowałem się poprzednimi ofiarami, więc wiem, że morderca wyciągnął je z domów. W tym wypadku kobieta najwyraźniej została uprowadzona tutaj, na parking, gdy wsiadała do samochodu. Oto następna zagadka. Czy mogę już zabrać się do porządkowania? Muszę odholować samochód i zająć się poszukiwaniami poza obszarem miasta. Wiem, że pana zdaniem morderca zamierza wywieźć ofiarę poza granice stanu, ale nie wolno mi wykluczyć także innych ewentualności. - Szeryf Pascoe chciał jak najszybciej przystąpić do działania.

Baldwin uściśnął mu dłoń i podziękował za pomoc.

Agenci w milczeniu wracali do miasta. Grimes zaparkował przed motelem, a następnie razem ruszyli coś zjeść i omówić plan postępowania. Grimes wyglądał źle, był nieogolony i miał przekrwione oczy. Bardzo przejmował się każdym aspektem śledztwa. Gdyby Baldwin miał przeanalizować jego psychikę, orzekłby, że Grimes jest na skraju załamania nerwowego.

Poszli do restauracyjki Jo's Diner, miejscowego lokalu, który pamiętał lepsze czasy. Cały przybytek mógłby się zmieścić w holu ich motelu. Na ścianach salki wisały zdjęcia okolicznych mieszkańców, niektóre nowe i czyste, inne stare, czar-

no-białe i tak zniszczone, że trudno było na nich rozpoznać rysy twarzy. Ściany pożółkły od wieloletniego osadu dymu papierosowego, a niegdyś białe firanki stały się szare i smętnie zwisały nad brudnymi oknami. Zmęczeni mężczyźni przy barze, którzy wyglądali tak, jakby powrastali w stołki, posyłali agentom mniej lub bardziej obojętne spojrzenia. W powietrzu unosiła się silna woń smażeniny. Baldwin uświadomił sobie, że umiera z głodu. Zasiedli przy metalowym stoliku, pokrytym warstwą poplamionego i popękanego plastiku. Lekkim krokiem podeszła do nich potężna kobieta z warkoczami do ramion. Baldwin nie uwierzyłby, że ktoś tak tęgi może się poruszać z taką swobodą. Jej uniform był nieskazitelnie czysty, a nad obfitą, lewą piersią widniało imię Lurene, wyhaftowane ozdobnym, czarnym ścięciem. Kelnerka stanowczym ruchem postawiła na stole dwa kubki, napełniła je mocną, czarną kawą i popatrzyła pytająco na nowych gości.

- Dzień dobry - odezwał się Baldwin. - Mielibyśmy ochotę...

- Niech zgadnę - przerwała mu. - Mielibyście panowie ochotę na dużo czegoś dobrego. -

Odwróciła się i przez ramię wrzasnęła w stronę kuchni, z której wyglądał czarny mężczyzna o szklistych oczach i rozczochranych włosach. - Eugene, dwa pełne talerze! -

Ponownie skierowała wzrok na agentów. - Gdybyście mieli ochotę na coś jeszcze, dajcie znać. - Zachichotała, a jej głęboki, gardłowy śmiech

sprawił, że Baldwin mimowolnie się uśmiechnął. Kelnerka odwzajemniła mu się ciepłym uśmiechem i wróciła za ladę. Wszyscy goście wodzili za nią wzrokiem, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Mimo nadwagi emanowała z niej naturalna, niewymuszona zmysłowość.

Baldwin odwrócił się do Grimesa i z rozbawieniem zauważył wyraźną aprobatę w jego oczach.

- Babka jak się patrzy, co? - Prawie się roześmiał, gdy na policzki Grimesa wystąpił intensywny rumieniec.

Kelnerka powróciła z dwiema kopiastymi porcjami jedzenia. Naleśniki, jajecznica, bekon, kielbaska i mamałyga na każdym talerzu wystarczyłyby do wykarmienia dziesięciu mężczyzn. Jakby tego było mało, na brzegach naczyń leżały krakersy.

Baldwin nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- To faktycznie jest dużo czegoś dobrego - przyznał zadowolony.

- A jak, kochanieńki, i na dodatek macie to wszystko zjeść. Obaj wyglądacie tak, jakby trzeba wam było solidnego posiłku. - Z namaszczeniem postawiła przed nimi talerze, z kieszeni fartucha wyciągnęła kilka słoików z dżemem, sięgnęła za plecy po dzbanek z kawą i ponownie napełniła oba kubki. Przy tym wszystkim ani na moment nie oderwała wzroku od Baldwina. Wyczuł, że kelnerka czegoś oczekuje, więc siedział cicho i jeszcze nie sięgał po widelec. Miał rację.

- Proszę mi powiedzieć, czy przyjechaliście tutaj z powodu tej młodej pani doktor, która zaginęła?

- Tak, proszę pani, właśnie dlatego - odparł Baldwin, a Grimes popatrzył na niego z nadzieją i entuzjazmem.

Zwrócenie się do kelnerki „proszę pani” było powszechnie rozumiane jako „proszę mi powiedzieć wszystko, co pani wiadomo w tej sprawie”. Kobieta nie dała się długo prosić.

- Tak się składa, że biedaczka często do nas zaglądała - wyjaśniła. - Miała słabość do naleśników mojego Eugene'a. Mówiła, że nigdy w życiu nie jadła lepszych. - Z dezaprobatą uniosła brwi. - Panom nie dopisuje apetyt?

Baldwin wbił widelec w puszystą stertę i wsunął do ust pierwszy kęs. Naleśniki smakowały bosko. Marni nie myliła się ani trochę w ocenie sztandarowej potrawy Eugene'a. Baldwin natychmiast powiedział o tym kelnerce.

Lurene z powagą pokiwała głową.

- Przepis trzyma w tajemnicy, nawet mnie nie chce zdradzić swojego sekretu. Prowadzimy lokal od dwudziestu lat, a facet nie ma zamiaru mi powiedzieć, jak przyrządza naleśniki.

Zajęty jedzeniem Grimes kątem oka zerkał na kobietę i towarzysza. Nagle postanowił zadać jakieś pytanie i wymamrotał coś niezrozumiale, lecz umilkł, gdy Lurene popatrzyła na niego surowo.

- Nie mówi się z pełnymi ustami - upomniała agenta.

Spłoszony Grimes natychmiast zasłonił dłonią wargi i wymownie spojrzał na kolegę. Skłonił ją do mówienia, błagał go wzrokiem. Być może nie znajdziemy lepszego źródła informacji.

- Powiedziała pani, że Marni Fischer często tu bywa. Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?  
- W piątek rano. Zawsze przychodzi w piątki przed pracą. Mówi, że to jej nagroda na koniec tygodnia. Aż trudno uwierzyć, jaki ma apetyt. Za każdym razem podaję jej to samo, co panom, a ona zjada wszystko i zwykle prosi o więcej krakersów. Piekę je według własnego przepisu.

Baldwin zrozumiał aluzję i natychmiast sięgnął po ciastko. Musiał przyznać, że nigdy nie miał okazji jeść równie smacznych specjałów. Dorastał na południu, więc znał się na rzeczy. Powiedział to Lurene, która z zadowoleniem przyjęła komplement.

- Powiedziała pani, że Marni przyszła w piątek na śniadanie. Nie zajrzała tutaj w sobotę?  
- Nie, kochanieńki, na pewno nie.  
- A czy w piątek nie obsługiwała pani kogoś obcego? Może jakiś nieznajomy wpadł coś wrzucić na ząb?

Kelnerka zacisnęła wargi i głęboko się zamyśliła.

- Tak to u nas bywa, kochanieńki, że obcy ciągle się przewijają. Z piątku pamiętam jednego chłopaka, całkiem ładniutki, nigdy go wcześniej nie widziałam. Ale on był naprawdę bardzo młody, jeszcze dzieciak. Miał siedemnaście, góra osiem-



naście lat. Alkoholu bym mu nie sprzedała. Uznałam, że przyszedł coś zjeść, bo pewnie jego mama poszła na jakieś spotkanie czy coś.

- Jak wyglądał? - Baldwin zakładał, że morderca będzie starszy, ale wolał nie bagatelizować żadnej informacji.

- Przystojny chłopiec, z ciemnymi włosami, takimi jak pańskie. Nie bardzo pamiętam jego twarz, po prostu był ładniutki. Przyszedł, zjadł i poszedł. Spędził tu góra dwadzieścia minut. Nie przesiadywał, jak niektórzy przyjezdni. - Wymownie mrugnęła okiem do agenta. - Przykro mi z powodu tej dziewczyny, przepadałam za nią. A teraz najwyższa pora kończyć śniadanie, prawda? - Znowu dołała im kawy i odeszła.

Zjedli tyle, ile zdołali, a Grimes na wszelki wypadek wytarł ostatnim krakersem resztki jajecznicy. Gdy wstali i poszli zapłacić, Lurene tylko machnęła ręką.

- Znajdźcie dziewczynę i będziemy kwita.

- Zrobimy, co w naszej mocy, proszę pani. Dziękujemy za fantastyczne śniadanie. - Baldwin dyskretnie wsunął dwadzieścia dolarów pod solniczkę na barze i wraz z Grimesem wyszedł na cichą ulicę.

Siedzieli w pokoju motelowym Baldwina i czekali. Właściwie tylko Baldwin siedział, pogrążony w rozmyślaniach. Zastanawiał się, ile lat może mieć zabójca. Niemożliwe, aby był jeszcze nastolatkiem.

Ten człowiek postępował według starannie opracowanego planu, potrafił się zorganizować i zbyt sprawnie pokonywał duże odległości jak na dzieciaka. Aby krążyć po południowym wschodzie, potrzebował własnego mieszkania, własnego samochodu i zasobnego portfela. Z całą pewnością był pełnoletni.

Grimes dreptał w tę i z powrotem. Po ponownym przeszukaniu mieszkania Shauny Davidson natrafiono na wiersz, ukryty w szufladzie jej biurka. Baldwin dwukrotnie przeczytał czterowiersz, wręczony mu przez Grimesa.

*Jakże mają jej palce paniczne i błędne Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę? Jak ciało, przygwożdżone obcym serca tętnem, Umknąć ma przed naporem piersi śnieżnobiałej?*

Niedobrze. Baldwin zacisnął powieki, aby nie widzieć niespokojnie drepczącego Grimesa. Nadal jednak słyszał nerwowe, posuwiste kroki na dywanie.

W pewnej chwili odezwał się telefon. Ktoś dzwonił do Grimesa. Agent popatrzył na Baldwina.

- Nareszcie - mruknął i pośpiesznie otworzył klapkę aparatu. - Grimes. - Przez moment słuchał, potem sięgnął po długopis i notatnik. Pisał energicznie, przez kilka minut kiwał głową i pomrukiwał twierdząco. Potem się rozłączył i spojrzał na Baldwina. - Nawaliłem na całej linii, co?

Grimes rzadko przyznawał się do błędu. Relacje agentów od początku były podszyte wzajemną niechęcią. Tymczasem teraz Grimes był gotowy wyznać winę i szukać rozgrzeszenia u człowieka, którego udziału w śledztwie wcześniej w ogóle sobie nie

życzył. Tonący brzytwy się chwyta. Baldwin nie mógł usprawiedliwić błędu, lecz potrafił go zrozumieć.

- Grimes, miałeś do czynienia z trzema niezależnymi instytucjami policyjnymi w trzech stanach. Otaczali cię niezliczeni ludzie, pracowałeś w warunkach silnego napięcia nerwowego. W takich okolicznościach każdy mógłby coś przeoczyć.

- Ty nie przeoczyłeś - westchnął przybity Grimes. - Idzie o to, że nie byłem w najlepszej formie. Mam problemy w domu, myślę o emeryturze. Chciałbym zwrócić odznakę i rozpocząć prawdziwe życie. - W jego głosie pobrzmiwała niepokojąca melancholia. - Powinienem zrezygnować z udziału w tym śledztwie. Być może dałoby się uratować życie którejś z tych dziewczyn. Wszystko spałałem.

Baldwin poklepał kolegę po ramieniu.

- Uszy do góry - oświadczył. - Przecież ja nie znalazłem kartki w Nashville, kiedy zginęła Chau-na Davidson. - Zaczekał, aż Grimes podniesie na niego wzrok. - Musisz pozostać w grze, jesteś mi potrzebny. Dobra, popełniłeś błąd. Przeoczyłeś coś ważnego. Teraz jednak musimy działać dalej, prawda? Chcę, żebyś razem ze mną

prowadził dochodzenie. Przeczytaj mi to, co tam zapisałeś.

Grimes pokiwał głową i z trudem przełknął ślinę. Po chwili odchrząknął i wyprostował się.

- Już mi lepiej - powiedział. - Zobaczymy, jak sobie poradzisz z tą poezją.

- Znowu wiersze? - Baldwinowi mocniej zabiło serce. Instynkt go nie mylił.

- Owszem. Kartki z wydrukami przez cały czas były na miejscu. Każda dziewczyna miała jeden wiersz wśród swoich przedmiotów osobistych. Petty twierdzi, że w wypadku Lernier i Palmer utwory były w torbach gimnastycznych. Wiersz Jessiki Porter znajdował się w jej kalendarzyku. Po prostu go nie widzieliśmy. Psiakrew, jak mogliśmy przeoczyć coś takiego? Kartki trafiły już do laboratoriów, zostały przebadane, ale nie znaleziono żadnych śladów. Chryste, położyłem całe dochodzenie. - Grimes ponownie zaczął się kajać, lecz Baldwin miał już tego dosyć.

- Przeczytaj wreszcie te wiersze.

- Ach, tak, tak. Zaraz... Jesteś gotowy?

- Wal śmiało.

- Najpierw ten z samochodu Susan Palmer.

*Kobieta: z rąk jej ludzkich biorę Pocięgę, pomoc i podporeę; A jednak - wciąż Duch, jak przed laty, Wciąż anioł jasny i skrzydlaty!*

Baldwin coś zapisał i skinął głową.

- Wordsworth - wymamrotał pod nosem. - Dobra, kto następny?

- Jeanette Lernier. Uwaga.

*Słodczy obietnic, o naturze Człowieczej, z miejscem na nieduże, Codzienne troski, proste  
chętki, Przelotne Izy i uśmiech prędko.*

Baldwin się uśmiechnął.

- Jeszcze jedna zwrotka z tego samego wiersza. Co się znajdowało w kalendarzyku Jessiki?

Grimes przerzucił kartkę w notatniku.

- Jessica... Jessica... Jest.

*Spadł na nią nagłym ciosem: nad oszołomioną Trzepot ogromnych skrzydeł, kark w  
twardym*

*uchwycie*

*Dzioba, uda pieszczone łap czarniawą błoną, Pod jego piersią - serca jej spłoszone bicie.*

- To ten sam wiersz? - zainteresował się Grimes.

- Nie, ten jest autorstwa Yeatsa. Doskonały poeta. - Baldwin wyciągnął rękę po notatnik z wierszem. - Mogę rzucić okiem?

Grimes wręczył mu zapiski, Baldwin przeczytał je z uwagą.

- Fragmenty Jessiki, Shauny i Marni pochodzą z wiersza „Leda i łabędź” Williama Butlera

Yeatsa. Na kartkach Jeanette i Susan znajdują się zwrotki wiersza Williama Wordswortha, „Była upojnym przywidzeniem”. Nasz morderca gustuje w klasyce.

Grimes podrapał się po głowie.

- Najwyraźniej ty również - zauważył. -1 co to oznacza?

- W tym problem. Ludzie na rozmaite sposoby rozumieją poezję. Martwi mnie zwrotka z wiersza Marni. *Przebita tym dreszczem, pod dziką krwią powietrza... zobojętniały dziób...*

Kiedy zaczynał, kiedy przygotowywał się do zamordowania Susan, Jeanette i Jessiki, bardzo się starał. Ostrożnie je podchodził, nie śpieszył się, aż wreszcie je uwiódł. Teraz nabrał rozpędu, działa zbyt szybko, aby emocjonalnie związać się z ofiarą. Kobiety stały się dla niego środkiem do osiągnięcia celu, a nie godnym uwagi obiektem pożądania.

Skoro zobojętniał na ich nieszczęście, możemy się spodziewać nasilenia agresji. „Leda i łąbędź” to utwór tradycyjnie uznawany za pełen przemocy wiersz o gwałcie. W zwrotce Marni pojawia się wzmianka o krwi. Oby tylko się nie okazało, że została potraktowana znacznie brutalniej niż jej poprzedniczki. Widzisz, Jeny, na razie możemy się tylko domyślać, jak sprawy się potoczą.

Grimes wepchnął ręce do kieszeni i zwiesił głowę.

- Nie wiedziałem tego wszystkiego, co mi mówisz, i nie domyśliłbym się, że to istotne.

W szkole marnie sobie radziłem z poezją - wyznał.

Baldwin odetchnął głęboko.

- Lepiej się rozdzielimy - zaproponował. - Dam ci trochę czasu, żebyś wziął się w garść. Ja też muszę przemyśleć wszystko, co wiemy.

## ***Rozdział piętnasty***

Spojrzał na zegarek. Nadszedł czas. W milczeniu siedział na przydrożnym parkingu i czekał na odpowiedni moment. Ruch na autostradzie ustał, do świtu brakowało jeszcze dwóch godzin. Przez całą noc jechał, ale do celu dotarł na czas. Mógł sobie nawet pozwolić na chwilę wytchnienia. Było doskonale. Idealnie, tak jak trzeba.

Obejrzał się przez ramię na kanapę samochodu. Lśniące, brązowe oczy spoglądały na niego z wrogością. Nie dała się zastraszyć, o nie. Była urodzoną wojowniczką. Ciekawe, jak się poczuje jego nowa dziewczyna, kiedy przykryje ją swoim ciałem, kiedy zabraknie jej tchu w piersiach. Poczł, jak po jego lędźwiach rozpływa się przyjemne ciepło, językiem zwilżył wargi.

Pół godziny później gniewne oczy już nie wypalały dziury w jego mózgu. Uruchomił samochód i ruszył, cicho, niczym polujący drapieżnik, w kierunku wjazdu na drogę.



## ***Rozdział szesnasty***

Taylor szła przez rozgrzany parking przy Ośrodku Ścigania Przestępstw Kryminalnych, w myślach planując dzień. Osłoniła oczy przed palącym słońcem i spojrzała na biurowiec, który stał się jej drugim domem. Ośrodek mieścił się w przysadzistym budynku, wykorzystywanym przez cztery główne jednostki wydziału dochodzeniowo-śledczego oraz komendę główną policji w Nashville. Podczas reorganizacji kilka biur przeniesiono z ośrodka do rozmaitych komend rejonowych. Komendantka zlikwidowała podział na pięć oddziałów rejonowych i wprowadziła nowy: na oddział południowy, zachodni i północny. Inspektorzy, którzy pierwotnie byli przypisani do pracy w wydziale zabójstw czy włamań, obecnie stacjonowali w oddziałach rejonowych jako inspektorzy ogólni. Podległy Taylor zespół specjalistów od zabójstw pozostał w głównej komendzie i zajmował się przypadkami śmierci w niejasnych okolicznościach. Jeżeli

nie udawało się wskazać podejrzanego, brakowało dowodów lub praca wydawała się ponad siły innych śledczych, do zadania kierowano zespół Taylor. W ten sposób komendantka odciążyla dobrych specjalistów, którzy nie musieli się już zajmować banalnymi przypadkami.

Przypadek Dusiciela zaczynał wymykać się spod kontroli. Media bezustannie żądały wyjaśnień, telewizje kablowe podchwyciły historię i szerzyły panikę. Co pół godziny w wiadomościach podawano nowe fakty i wytykano błędy, popełnione przez policję w pięciu stanach. Jessica Porter leżała w kostnicy w Nashville, a rodzice Shauny Davidson nie mogli się doprosić wydania zwłok córki, którą chcieli pochować. Taylor nie miała żadnego wpływu na zaistniałą sytuację. FBI blisko współpracowało z lokalną policją, lecz zasadniczo przejęło całe śledztwo. Rozwiązywaniem wszelkich problemów natury prawnej i kompetencyjnej zajmował się Price. Poza tym dobrą stroną zaangażowania federalnych było to, że korzystali z lepszych laboratoriów i szybciej otrzymywali wyniki badań.

Taylor weszła po tylnych schodach i ominęła wielką popielniczkę na półpiętrze. Na ten widok zachciało jej się palić, ale nie uległa pokusie. Przesunęła kartę identyfikacyjną przez czytnik, drzwi się otworzyły z sykiem i wkroczyła na wyłożony linoleum korytarz. Do wydziału zabójstw prowadziła zielona strzałka.

Tego ranka panował tu nietypowy spokój. Trwa-

la większość cotygodniowych zebrań wydziałowych, w których uczestniczyli prawie wszyscy oficerowie. Taylor zastanawiała się przez moment, czy ktoś dowiedział się o Betsy, ale postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy. Teraz miała co innego do roboty. Musiała się zapoznać ze sprawą Slotnika.

Gdy mijała biuro wydziału zabójstw, poczuła żal do Baldwina. Wykradł jej najbardziej interesujące morderstwo od wielu tygodni. FBI jak zwykle przejęło łakomy kęs. Rozumiała, że to konieczne, ale nie potrafiła zapanować nad rozczarowaniem. Rzecz jasna sprawa seryjnego gwałciciela również była interesująca. Przez ostatnie lata Slotnik skutecznie umykał wymiarowi sprawiedliwości, więc Taylor miała ochotę zapoznać się z jego aktami i sprawdzić, czy nic nie umknęło innym inspektorom.

Mimo to na ułamek sekundy zrobiło jej się przykro, że nie jest teraz w samochodzie i nie tropi Dusiciela z Południa.

Przeszła przez cały wydział zabójstw. Choć kilku policjantów z każdej z trzech zmian trafiło do osobnych biur, w pomieszczeniu nadal panował bałagan. Salę zapełniało szesnaście maleńkich stanowisk pracy, ale stolarze już zabrali się do przebudowywania ich na większe i bardziej przestronne. Zgodnie z planami miało powstać około dziesięciu nowych stanowisk, nieco bardziej intymnych i znacznie mniej zabałaganionych. Taylor nie mogła się tego doczekać.

W wyniku reorganizacji zmieniła miejsce pracy. Przejęła gabinet kapitana Price'a, który przeniósł się na pierwsze piętro, do biur administracyjnych. Biurko, krzesła i, co najważniejsze, drzwi należały teraz do niej. Zaoferowała Fitzowi możliwość korzystania z gabinetu pod jej nieobecność, ale odmówił. Lubił towarzystwo kolegów i nie chciał się od nich izolować. Dobrze go rozumiała, choć przeniosła się o zaledwie kilka metrów. Podział na gabinet oraz resztę biura dawało się wyczuć. Taylor cały czas próbowała przywyknąć do izolacji, ale nadal wzdrygała się, gdy ktoś zapukał we framugę. Rzadko kiedy zamykała drzwi, nie chciała demonstrować, że dysponuje większą prywatnością niż jej podwładni. W zazwyczaj tętniącym życiu biurze panowały cisza i spokój. Taylor wiedziała, że dwóch jej inspektorów, Marcus Wade i Lincoln Ross, tego ranka musiało stawić się w sądzie. Fitz posłała do domu, żeby się przespał. Reszta nocnej zmiany również skończyła pracę, więc całe biuro miała dla siebie.

Przywykła do samotności i niemal zawsze cieszyła się każdą jej chwilą. Przy Baldwinie wszystko się jednak zmieniło. Dużo czasu spędzał w jej domu, który wykorzystywał jako biuro. Techniczny transfer do Nashville, gdzie potrzeba było analityka behawiorysty, wiązał się dla niego z ograniczeniem podróży, ustaleniem własnych godzin pracy i uczestniczeniem w sprawach, które go interesowały. W wypadku ważniejszego śledztwa, choć-

by takiego jak poszukiwania Dusiciela, Baldwin był telefonicznie wzywany przez przełożonych. Choć niewiele mu brakowało do emerytury, nadal należał do grona najlepszych w FBI specjalistów od sporządzania portretów psychologicznych przestępców.

Oficjalnie nie mieszkali ze sobą, ale Baldwin pracował w jej domu, co zresztą wcale jej nie przeszkadzało. Czuła się teraz tak, jakby po raz pierwszy miała przy sobie kogoś naprawdę bliskiego. Była gotowa nawet pogodzić się z bałaganem, nieuchronnie towarzyszącym jego obecności w jej gabinecie. Baldwin brudził także w kuchni, ale wybaczała mu i to, skoro gotował dla niej kolacje. Przedtem wielokrotnie wracała do domu skonana i nie miała najmniejszej ochoty na męczące przyrządzanie sobie posiłku.

Od wypadku - nie lubiła mówić „odkąd poderżnięto mi gardło”, więc starała się używać łagodniejszych określeń - częściej bywała wyczerpana. Zdaniem lekarzy, musiała się z tym pogodzić. Napastnik przeciął jej tętnicę, doszło do intensywnego krwotoku.

- Stała pani nad grobem - usłyszała w szpitalu. - Proszę sobie dać czas na odpoczynek.

Organizm nie zregeneruje się tak szybko, jak się pani wydaje.

Dopiero po trzech miesiącach odzyskała głos. Zawsze mówiła nieco gardłowo, teraz doszła do tego chrypka. Baldwin uwielbiał nowy tembr jej głosu. Żartował, że byłaby pierwszorzędną spikerką radiową w nocnych audycjach albo świetną

sekstelefonistką. Ignorowała jego zaczepki i z uporem poddawała się rehabilitacji. Z początku wszyscy sądzą, że już nigdy nie odzyska głosu. Po trzech dniach od ostatniej operacji zaskoczyła lekarzy, odzywając się do nich skrzekliwie, lecz zrozumiale. Dzięki ciężkiej pracy i zaangażowaniu szybko wracała do formy.

Nie sądziła, że wypadek tak bardzo scementuje jej związek z Baldwinem. Przez długi czas zdręczała się tym, że tkwił przy niej wyłącznie z litości. Teraz nie wątpiła w szczerość jego uczuć.

Uśmiechnęła się do siebie i powędrowała korytarzem do wydziału przestępczości seksualnej. W pokoju przebywało kilku policjantów, wszyscy wydawali się zajęci pracą. Taylor wiedziała, że Brian Post przekazał kolegom, iż Betsy po wypadku drogowym trafiła do szpitala. Takie wyjaśnienie wydawało się najbardziej wiarygodne i tłumaczyło obrażenia twarzy. Post napomknął, że pod nieobecność Betsy porucznik Jackson z wydziału zabójstw zamierza przejrzeć akta Słotnika, więc gdy weszła, parę osób życzliwie pomachało do niej na powitanie. W odpowiedzi Taylor również uniosła dłoń i podeszła do biurka Betsy. Wzięła teczkę i pośpiesznie wyszła, żeby nikt nie zdążył jej zagadnąć i rozpocząć dłuższej rozmowy. Gdy wracała do gabinetu, zauważyła, że budynek ożył. Policjanci mundurowi i cywilni grupkami po dwie, trzy osoby wędrowali korytarzami, jedni szybciej, inni wolniej. Westchnęła z żalem. Lubiła, kiedy jej miejsce pracy było pogrążone w ciszy.

Minęła próg gabinetu, zapaliła światło i zamknęła drzwi. Nie chciała, aby jej przeszkadzano podczas przeglądania akt. Ofiarą gwałciciela padło siedem kobiet, nie licząc Betsy. Poza nią poszkodowane nie odniosły obrażeń, lecz ich emocjonalne rany nie miały szans się zabiżyć. Taylor uważała, że przez wzgląd na krzywdę tych biednych kobiet musi się odnosić do sprawy z należyтым szacunkiem.

Usiadła za biurkiem, odetchnęła głęboko i otworzyła pierwszą teczkę. Jej oczom ukazał się suchy raport końcowy. Brakowało w nim komentarzy i konkluzji, ograniczał się wyłącznie do faktów. Zaczęła czytać i wkrótce myślała wyłącznie o nowej sprawie.

Drgnęła, usłyszawszy pukanie do drzwi. Na wszelki wypadek przykryła otwarte akta kartką z notatnika. Nie wiedziała, kto chce wejść i nie chciała zdradzać się przed przypadkowymi osobami z tym, co robi.

- Proszę.

Na progu stanął Lincoln Ross. Garnitur od Armaniego pięknie się prezentował na jego potężnej sylwetce. Lincoln uwielbiał ładne ubrania i był jednym z najbardziej utalentowanych detektywów informatyków na świecie. W cyberprzestrzeni potrafiłby wytropić muchę, gdyby jakoś się tam dostała.

Uśmiechnął się szeroko, demonstrując przerwę między jedykami. Najego ciemnoczekoladowych policzkach pojawiły się głębokie dołeczki.

- Co mamy dzisiaj na warsztacie, Taylor?
- Nową sprawę. Właściwie starą, ale nową dla nas, musimy się nią zająć. Gdzie Marcus?
- Poszedł po coś do picia, przyjdzie za sekundę. Co to za sprawa?
- Zaczekajmy na niego, nie chcę dwa razy opowiadać tego samego. Co słyhać w sądzie?
- Same dobre wieści. Przyszpililiśmy sukinsyna. Stracił pozwolenie na wykonywanie zawodu. Już nigdy nie będzie leczył ludzi, chyba że w więzieniu pozwolą mu otworzyć gabinet.

Lincoln i Marcus przez parę miesięcy pracowali nad rzekomo samobójczą śmiercią w Belle Meade. Instykt podpowiedział im, że doszło do morderstwa, choć wizja lokalna nie wykazała żadnych podejrzanych okoliczności. Sprawa wyglądała na samobójstwo, lecz z czasem okazało się, że mieli słuszność. Mąż ofiary dodał jej do drinka cyjanek, a potem włożył jej do ręki pistolet i pociągnął za spust. Lincoln rozwiązał sprawę wcześniej niż patolog sądowy, bo znalazł pierwszą wersję listu pożegnającego, usuniętą z komputera męża.

Lincoln nadal tryskał radością.

- Skazano go za morderstwo pierwszego stopnia. Biedna ława przysięgłych miała obradować przez dwa tygodnie, ale dzisiaj z samego rana werdykt był już ustalony. Taylor z wdzięcznością skinęła głową.
- Świetna robota - pochwaliła Lincolna. - Witaj, Marcus.



Do pokoju wszedł Marcus Wade, z miną kota, który właśnie skończył zlizywać śmietanę.

- Wydajesz się zadowolony z siebie. - Taylor uśmiechnęła się mimowolnie.

Marcus był młody i przystojny, a łapanie przestępców dodawało mu energii. Wielu policjantów po prostu odbębniało swoje, aby jak najszybciej zamknąć sprawę. Marcus i Lincoln byli dumni ze swoich umiejętności, a Taylor się z tego cieszyła. Wiedziała, że satysfakcja z pracy doskonale motywuje.

- Tak się składa, że jestem najlepszym na świecie policjantem z wydziału zabójstw - pisał się Marcus. - Zaraz po tobie, Taylor. - Porozumiewawczo mrugnął okiem, a Taylor posłała mu całusa.

Lincoln kaszlnął w dłoń, a stłumiony odgłos, który przy tym wydał, zabrzmiał podejrzenie podobnie do słowa „srutututu”.

- Masz rację, jesteś fantastyczny. Ty również, Linc. Wejdz i zamknij za sobą drzwi.

Popatrzyli na nią sceptycznie, ale usiedli na niezbyt wygodnych krzesłach przy biurku.

Lincoln zatrzasnął drzwi nogą i wszyscy troje poczuli się jak w więziennej celi. Choć gabinet zapewniał rozmówcom prywatność, był nieprzyjemnie mały. Taylor od razu przeszła do rzeczy.

- Będziemy pracowali nad nową sprawą. Zapewne obaj słyszeliście o Słotniku?

Lincoln zrobił wielkie oczy.

- Masz na myśli tego gwałciciela? Czyżby kogoś zabił?

- Nie, ale ostatniej nocy zgwałcił Betsy Garrison.

Umilkła i czekała, aż to do nich dotrze. Lincoln rozchylił usta i ponownie je zamknął, z niedowierzaniem kręcąc głową. Marcus odezwał się pierwszy.

- Zakładam, że chcesz, abyśmy zatrzymali tę wiadomość wyłącznie dla siebie?

- Trafiłeś w dziesiątkę, kotku. Nikomu nie wolno skojarzyć Betsy z tą sprawą. Nie chce, aby ludzie w jej wydziale dowiedzieli się o gwałcie. Ponieważ napastnik poważnie ją przy tym poturbował, Brian Post informuje ludzi, że miała wypadek samochodowy. Możemy się tylko cieszyć, że nie załamała się psychicznie po tym, co ją spotkało. Odwiedziłam ją w szpitalu, rozmawialiśmy i wiem, że naprawdę niezłe się trzyma. Nawet nie chcę myśleć o tym, jak bym się zachowywała na jej miejscu.

- Czy Betsy ma jakieś informacje, które mogą nam się przydać? - Marcus z powrotem wczuł się w rolę śledczego.

- Razem z Fitzem obejrzałam miejsce przestępstwa i nie natrafiłam na nic, co ruszyłoby sprawę z miejsca. Zdjęłam odcisk palca z tylnych drzwi, musimy sprawdzić, czy odpowiada śladom daktyloskopijnym pozostawionym poprzednio. Poza tym mam jeszcze dobre i złe wieści. Dysponujemy DNA sprawcy ze wszystkich gwałtów. Ta informacja została zatajona przed opinią publiczną i niezwiązanymi z dochodzeniem policjantami, bo biuro śledcze w Tennessee nie jest w stanie wprowa-

dzić danych o nowych gwałtach do policyjnej bazy informatycznej. Mamy DNA gwałciciela Betsy i pobraliśmy próbki środka plemnikobójczego, który pasuje do używanych przez Slotnika prezerwatyw. Poza tym jest jeszcze sznur, tego samego typu, który stosuje gwałciciel. Powiem wam, czego oczekuję - ciągnęła Taylor. - Obaj spojrzycie na sprawę świeżym okiem, jakby nigdy nie doszło do wcześniejszych gwałtów.

Wyobraźcie sobie, że pojawił się całkiem nieznany bandyta i macie przed sobą nową zagadkę do rozwikłania. Brakuje nam mocnego materiału dowodowego, nie ma poszlak. Mimo to zróbcie coś dla mnie: dorwijcie drania. Macie to na dobry początek. - Taylor wręczyła inspektorom akta z ogólnym zarysem sprawy.

Informacje były rzeczywiście skromne, lecz na pewno frapujące. Slotnik wypracował sobie wyjątkowo specyficzny system działania, którym wprowadził w osłupienie wszystkich śledczych. Przestępca gwałcił wyłącznie w miesiące, które w języku angielskim kończyły się na literę „y”: w styczniu, lutym, maju i lipcu. Atakował jedynie podczas deszczu, czasami nawet w trakcie intensywnych burz. Każdy atak przypadał w trzeci czwartek miesiąca. Poza tym dokonywał tylko dwóch gwałtów rocznie. Dwukrotnie dawał o sobie znać w roku dwutysięcznym, dwa tysiące drugim oraz w dwa tysiące czwartym.

- Macie tutaj nazwisko i adres ostatniej ofiary. Ta kobieta twierdzi, że ma pewne pojęcie, kim może być gwałciciel.

- Poważnie?! - wykrzyknęli obaj unisono.

- Jak najbardziej. Betsy z nią rozmawiała. Ta kobieta wzbraniała się przed podaniem wartościowych informacji. Przede wszystkim nie potrafiła zidentyfikować sprawcy. Nie zna jego nazwiska, nie pamięta, skąd go kojarzy. Po prostu zwróciła uwagę na coś, co wydało się jej znajome. Pojedźcie do niej i sprawdźcie, czy jest szansa, aby odświeżyć jej pamięć.

Marcus pochylił się nad kartką.

- Moim zdaniem jest tutaj kilka istotnych niekonsekwencji. Przede wszystkim gwałcieł nie zaatakował w czwartek. Musimy poczekać na DNA... Taylor, czy jesteś pewna, że nie mamy do czynienia z naśladowcą?

- Niczego nie jestem pewna. Betsy dość stanowczo utrzymuje, że chodzi o Słotnika. Macie jednak prawo kwestionować jej opinię. Gdy tylko otrzymamy analizę odcisku palca, przekonamy się, czy przez cały czas mamy do czynienia z tym samym gwałcicielem. Przestępcy zmieniają zwyczaje. Ufajmy dowodom, one nie kłamią.

- Wszystko jasne, Taylor. Damy ci znać, gdy tylko na coś wpadniemy. - Marcus wstał i przeciągnął się.

- Tak jest, szefowo. Pora brać się do roboty. - Lincoln uśmiechnął się półgębkiem. Obaj wyszli z gabinetu, cicho wymieniając uwagi na temat tego, czym się zająć w pierwszej kolejności.

Taylor pomyślała, że pierwszą sprawę ma już

z głowy. Uśmiechnęła się pod nosem. Zamierzała dołączyć do kolegów, tylko musiała jeszcze zadzwonić w pewne miejsce.

Podniosła telefon i z pamięci wystukała numer lekarza. Ciągłe badania i kontrole ją nużyły. Niektóre lekarstwa, przyjmowane po wypadku, fatalnie wpływały na jej wątrobę, więc lekarze postanowili z nich zrezygnować, a w dodatku zalecili comiesięczne badania sprawności wątroby. Po chwili w głoścniczku zabrzmiał pogodny głos recepcjonistki.

- Gabinet doktora Gregory'ego, słucham?

- Dzień dobry, Shelby, mówi Taylor Jackson. Chciałabym poznać wyniki swoich badań. Głos recepcjonistki zrobił się jeszcze radośniej-szy.

- Och, Taylor! Cześć! Doktor Gregory właśnie miał do ciebie dzwonić. Zaczekaj sekundę, poproszę go, żeby odebrał.

Taylor zapatrzyła się na zaciek w rogu sufitu. Musiała w końcu wezwać z obsługi technicznej kogoś, kto wymieni płytkę. Brudna plama doprowadzała ją do szału. Gdy z nudów zaczęła bawić się długopisem, w słuchawce usłyszała głęboki baryton doktora Gregory'ego.

- Jak się miewa moja ulubiona policjantka?

- Nie najgorzej, doktorze. Proszę mi powiedzieć, że ma pan dobre wieści i że nie będę musiała dłużej się kłuć.

Lekarz przez chwilę milczał, potem odchrząknął. Taylor wstrzymała oddech. Psiakrew, przecież

robiła wszystko to, co jej kazano, i czuła się doskonale. No, może prawie doskonale, zważywszy na to, przez co przeszła.

- Panie doktorze, byłam pewna, że już nic mi nie dolega. - Zorientowała się, że nie mówi, tylko jęczy jak naburmuszona ośmiolatka, i wyprostowała się na krześle.

- Nie, Taylor, twoja wątroba już funkcjonuje jak należy. Czy poza tym czujesz się dobrze?

- W sumie tak. Może jestem trochę zmęczona, ale to nic nowego.

Lekarz zaśmiał się cicho.

- Widzisz, moja droga, pod tym względem przez pewien czas raczej nic się nie zmieni.

Mówił dalej, a Taylor poczuła, że świat wiruje jej przed oczami.

## ***Rozdział siedemnasty***

Słońce wpadało do pokoju, rozświetlając fragment pomieszczenia, na którym Whitney Connolly zacięcie pracowała przy komputerze. Tego ranka wyjątkowo odstąpiła od ustalonych zasad i tylko pobieżnie przejrzała pocztę, nie odpisując na żaden list. Liczył się tylko jeden e-mail, ten, który otworzyła. Pochodził od jej tajemniczego znajomego z niemożliwym do wytropienia adresem na Yahoo. Tekst był krótki:

*Przebita tym dreszczem, Pod dziką krwią powietrza uległa, bezwładna, Czy razem z jego władzą przyjęła i wiedzę, Zanim zubożętniały dziób puścił ją wreszcie?*

Brakowało postscriptum, ale już go nie potrzebowała. Z zadowoleniem zrozumiała, że jej korespondent wie, że poznałajego intencje. Nie miała pojęcia, jak na to wpadł, ale szczególnie jej to nie przejęło.

Przeczytała list i dotarło do niej, co się musiało stać. Nie miała czasu do stracenia. Następna dziewczyna straciła życie, więc należało zabrać się do roboty. Każdy przyzwoity dziennikarz by tak postąpił. Skoro otrzymywała e-maile od Dusiciela z Południa, musiała lepiej poznać tło sprawy i skompletować wszelkie dostępne dane na temat dochodzenia. Pod tym względem praca dziennikarza i policjanta niewiele się różniły. Whitney musiała zacząć myśleć o swoim materiale, wiedziała, że jeśli nie zbierze odpowiednich informacji, jej historia nie stanie się przełomowa. Liczyła na to, że zdoła przeprowadzić pierwszy wywiad z przestępcą. Chyba mogła mieć nadzieję na wyłączność, skoro wysyłał do niej listy? Na pewno chciał z nią porozmawiać.

Wędrowała po cyberprzestrzeni, jej palce nerwowo stukały w klawisze. Postanowiła zajrzeć na stronę Court TV, poświęconą seryjnym mordercom. Wprowadziła kryteria poszukiwań i rozparła się w krzesło, czekając na zalew wiadomości. Chciała sprawdzić, którzy zabójcy mieli zwyczaj pozostawiać wiersze na miejscu zbrodni.

Na moment znieruchomiała. Dotarło do niej, że w wiadomościach ani razu nie padła wzmianka o wierszach. Musiała jednak założyć, że policja je znalazła, bo tak utrzymywał jej informator z Luiz-jany. Wiersz znajdował się w torbie gimnastycznej Lernier, lecz z początku nikt się nim nie przejął. Od tego samego informatora Whitney wiedziała, że wiersze przejęło FBI, bo agenci dostrzegli ich



znaczenie. Innymi słowy, musiała pracować intensywniej i szybciej.

Zwłoki Shauny Davidson znaleziono w Georgii, lecz miejsce zbrodni znajdowało się tutaj, w Nashville. Whitney zadzwoniła do pewnej osoby, aby sprawdzić, czy wśród rzeczy Shauny policja znalazła wiersz, ale niczego się nie dowiedziała. Skoro nawet sprawdzony informator z miejscowej policji nie chciał nic pisać, to znaczyło, że sytuacja stała się naprawdę dramatyczna.

Wróciła do komputera. Wyniki poszukiwań okazały się owocne i zróżnicowane.

Najwyraźniej mnóstwo seryjnych morderców chętnie sięgało po poezję. Niektórzy sami pisali wiersze, inni korzystali z cudzych. Spora grupa mieszała dzieła słynnych autorów z własną twórczością. Whitney zrobiła zakładkę na artykule poświęconym sadystycznemu mordercy z Wichita w stanie Kansas. Liczyła na to, że dowie się czegoś więcej o ludziach, którzy wiążą i torturują swoje ofiary, a dopiero potem je zabijają.

Zatopiła się w myślach. Musiała sprawdzić, czy wiersze były oryginalnymi dziełami mordercy, czy też zapożyczeniami. Przełączyła się na stronę Google i wystukała fragment z wiersza, który zabójca wybrał dla Susan Palmer. *Kobieta: z rąk jej ludzkich biorę / Pocięgę*. Whitney wcisnęła enter. Jest.

Dusiciel z Południa najwyraźniej nie był jednak tak kreatywny, jak dotąd zakładała.

Autorem wiersza okazał się William Wordsworth. Wynik poszukiwań: cztery tysiące dziewięćset pięćdziesiąt

haseł. Fragment pochodził z utworu „Była upojnym przywidzeniem”. Nic dodać, nic ująć. Whitney uświadomiła sobie, że jest na właściwej drodze. W taki sam sposób sprawdziła wiersz znaleziony przy Jeanette Lernier. *Słodycz obietnic, o naturze / Człowieczej...* Oho, do tego tekstu pasowało aż trzysta cztery tysiące haseł. Wyświetliła wiersz i od razu się zorientowała, że ma do czynienia z fragmentami tego samego dzieła. Wydrukowała je, wyszarpnęła papier z urządzenia, zanim jeszcze zdążył całkiem się wysunąć, i odczytała utwór na głos.

*Była upojnym przywidzeniem, Gdy oczy pierwszy raz promieniem Wdzięku olśniła; zjawą czarą, Dla upiększenia minut paru Zmaterializowaną, z okiem Jak gwiazda, z włosów wokół zmrokiem, Gdy wszystko inne w jej rozkwicie Miało wzór w dniu majowym, w świecie; I kształt ten, choć pogodą łudził, Nawiedzał, nękał, ze snu budził.*  
*Z bliska ujrzałem, że to dziwo Jest Duchem, lecz zarazem żywą Dziewczyną - która ze swobodą Niewinną dąży, dokąd wiodą Młodzieńcze kroki; kimś o twarzy, Gdzie słodycz wspomnień równoważą Słodycz obietnic, o naturze*

*Człowieczej, z miejscem na nieduże, Codzienne troski, proste chętki, Przelotne łzy i uśmiech prędkości.*

*Dziś umiem w moim podwójnym cudzie*

*Czuć jedno tętno; jest jak ludzie,*

*Składa się z myśli i oddechu;*

*Jak inni, dąży bez pośpiechu*

*Przez życie w śmierć; rozumna, stałą,*

*Przezorną, wierną - doskonałą*

*Kobieta: z rąk jej ludzkich biorę*

*Pociechę, pomoc i podporę;*

*A jednak - wciąż Duch, jak przed laty,*

*Wciąż anioł jasny i skrzydlaty!*

Skończyła i zaczęła gorączkowo się zastanawiać. Coś się nie zgadzało. Przeczytała ponownie i dotarło do niej, że nie widziała ostatniego otrzymanego fragmentu. Ponownie spojrzała na komputer i użyła wyszukiwarki. Autorem tekstu z najnowszego listu był William Butler Yeats. Wydrukowała jego wiersz i również przeczytała go na głos.

„Leda i łabędź”

*Spadł na nią nagłym ciosem: nad oszołomioną Trzepot ogromnych skrzydeł, kark w twardym*

*uchwycie*

*Dzioba, uda pieszczoną łap czarniawą błoną, Pod jego piersią - serca jej spłoszone bicie.*

*Jakże mają jej palce paniczne i błędne Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę? Jak  
ciało, przygwożdżone obcym serca tętnem, Umknąć ma przed naporem piersi  
śnieżnobiałej?*

*Dreszcz łądźwi w jednej chwili łono jej  
zapładnia*

*Zwalonym murem, dachem płonącym i wieżą, Śmiercią Agamemnona.*

*Przebita tym dreszczem, Pod dziką krwią powietrza uległa, bezwładna, Czy razem z jego  
władzą przyjęła i wiedzę, Zanim zobojętniały dziób puścił ją wreszcie?*

Ten wiersz odnosił się do Jessiki Porter, Shau-ny Davidson oraz ostatniej zaginionej, Marni Fischer. Najprawdopodobniej również martwej. Whitney musiała przyznać, że wszystko to razem robiło wrażenie i pobudzało wyobraźnię. Inna sprawa, że nigdy nie uważała się za specjalistkę od poezji.

Wróciła do biurka i ciężko usiadła na delikatnym, skórzanym obiciu krzesła, które zaskrzypiało na znak sprzeciwu. Nie, Whitney stanowczo nie czuła się ekspertką w dziedzinie literatury angielskiej. Co innego jej siostra bliźniaczka, Quinn. A właściwie: Ashleigh Quinn Connolly Buckley. Obie były do siebie podobne jak dwie krople wody. Quinn wyszła za Jonathana „Jake'a” Bu-

ckleya III i była ideałem gospodyni domowej z Belle Meade, aktywną działaczką kobiecej organizacji Junior League, matką dwójki najcudowniejszych dzieci na świecie, również bliźniąt: Jillian i Jake'a Juniora.

Whitney poczuła w sercu nagle ukłucie żalu. Od dwóch tygodni nie kontaktowała się z bliźniętami. Co prawda, nie paliła się do spotkań ze swoją idealną siostrą, ale jej dzieci traktowała inaczej. Quinn była całkowitym i bezsprzecznym przeciwieństwem Whitney, słyszały to od niepamiętnych czasów, zwłaszcza w okresie dojrzewania. Wtedy ukształtowały się ich odmienne osobowości.

Matka zawsze używała ich pełnych imion: podczas rozmowy, kiedy się do nich zwracała, gdy o nich mówiła. Sarah Whitney i Ashleigh Quinn poszły dzisiaj do szkoły. Sarah Whitney i Ashleigh Quinn jadą w tym roku na obóz. Sarah Whitney i Ashleigh Quinn, natychmiast chodźcie na dół. Sarah Whitney w końcu się zbuntowała i stanowczo zażądała, aby zwracać się do niej po prostu „Whitney”. Ashleigh Quinn przyłączyła się do rebelii i opowiedziała za używaniem bardziej enigmatycznego imienia Quinn. Po kilku miesiącach awantur dziewczęta postawiły na swoim. Stały się Whitney i Quinn, a ich osobowości zmieniły się wraz z imionami.

Jedna myśl zrodziła następną i Whitney uświadomiła sobie, że od pewnego czasu nie rozmawiała także z młodszym bratem. Przez większość czasu w ogóle nie pamiętała o jego istnieniu. Właśnie

tego zawsze pragnęła. Kto powiedział, że członkowie rodziny muszą sobie siedzieć na głowie?

Whitney otrząsnęła się z chwilowej frustracji, podeszła do połyskującej nierdzewną stalą lodówki i wyciągnęła puszkę dietetycznego red bulla. Kawa i mnóstwo środków pobudzających - na tym polegał sekret jej szczupłej figury. Żartowała, że stosuje dietę modelek. Z trzaskiem otworzyła napój i stanęła przy zlewie, zapatrzona w przestrzeń za oknem i wielką brzozę, która rosła na jej podwórzu. Na karmniku przysiadł kardynał i z zadowoleniem podśpiewywał. Dwie wiewiórki popiskiwały wesoło podczas gonitwy, a lekki wiatr strącał liście z gałązek na taras. Winobluszcz, powoli duszący korę drzewa, przypominał Whitney o dawnych czasach.

Pomimo starań dotąd nie udało jej się odzyskać równowagi po śmierci rodziców.

Wystarczył ułamek sekundy, aby całe ustabilizowane życie Whitney legło w gruzach.

Państwo Connolly wracali pewnego wieczoru z Tennessee Performing Arts Center, tą samą drogą co zawsze. W wyniku dramatycznego zderzenia z autem pijanego kierowcy dwoje kochających się, pełnych energii, szczęśliwych ludzi nagle straciło życie. Choć od tamtego dnia minęło już osiem lat, upływ czasu nie złagodził bólu Whitney i poczucia straty.

Kontrolowany przez rodziców, niestabilny ro-zejm wśród rodzeństwa nieodwracalnie prysł. Troje dzieci podzieliło się odziedziczonym majątkiem, lecz przepaść pomiędzy nimi zdawała się pogłębiać z roku na rok.

Whitney skoncentrowała się na sobie i rzuciła w wir pracy, by wspinać się po szczeblach kariery. Obowiązek matkowania młodszemu bratu, Reese'owi, spadł na Quinn. To ona musiała o niego dbać w ostatnim roku liceum, a następnie pomóc mu zakotwiczyć się na uniwersytecie Vanderbilta. Quinn wcześniej poznała Jake'a Buckleya i zapragnęła wziąć z nim ślub. Jake okazał się dobrym facetem, cierpliwie zaczekał, aż młodszy brat narzeczonej wyprowadzi się z domu, i dopiero wtedy ożenił się z Quinn. Jej pieniądze znacznie poprawiły jego status społeczny.

Niepożądana myśl o Reesie sprawiła, że Whitney poczuła przykry ucisk w żołądku. Mimo upływu lat nadal czuła niechęć do brata. Reese zawsze był wyjątkowym dzieckiem, obdarzonym talentami, których brakowało Whitney. Już w dzieciństwie na każdym kroku dowodził, jak bardzo jest inteligentny i uzdolniony. Na uniwersytet dostał się jako piętnastolatek, w dwa lata skończył studia licencjackie i zakwalifikował się do nauki w szkole medycznej. Teraz Reese kończył ostatni rok na stanowisku stałego rezydenta. Został psychiatrą.

Whitney cofnęła się myślami do ich ostatniego, nieplanowanego spotkania. Przypadkowo wpadli na siebie w domu Quinn. Reese rozwodził się wówczas nad perspektywą wyjazdu do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi państewka w Ameryce Południowej, wraz z grupą lekarzy niosących pomoc biednym. Whitney pomyślała wówczas, że jej brat ma wybujałe ambicje. Mimo

to Quinn robiła szkliste oczy, wzdychała, jaka to niepowtarzalna sposobność, a on jest taki młody, ple, ple, ple. Niechęć potrafi trwać do grobowej deski, Whitney wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Quinn ją rozumiała, co nie znaczy, że aprobowała jej demonstracyjne zachowanie.

Może powinna zadzwonić do siostry. Zerknęła na zegar. Quinn z pewnością zakończyła już trening na korcie, odstawiła bliźnięta do szkoły i załatwiła wszystkie inne, codzienne sprawy.

Whitney po raz ostatni rzuciła okiem na brzozę i otrząsnęła się ze wspomnień. Następnie sięgnęła po telefon i nacisnęła przycisk automatycznego wybierania numeru Quinn.

Zamiast głosu siostry usłyszała jednak nagranie poczty głosowej. Maszyna uprzejmie, z południowym akcentem zaproponowała jej pozostawienie wiadomości po sygnale.

Whitney natychmiast się rozłączyła i odetchnęła z ulgą. Postanowiła spróbować później. Energicznie cisnęła do kosza pustą puszkę po napoju i wróciła do gabinetu. Odsunęła krzesło od biurka i wyciągnęła swoją teczkę z materiałami na temat Dusiciela z Południa. Zastanawiała się, co jeszcze dodać do jego portretu psychologicznego i co go wiąże z innymi seryjnymi mordercami.

Pracowała w ciszy i w skupieniu, ledwie się zorientowała, że minęła godzina. W końcu zamknęła plik, przeciągnęła się i zdecydowała, że najchętniej wpadłaby do Starbucksa na jeszcze jedną kawę.

Przeszła do salonu, sięgnęła po torebkę i znieruchomiała, zapatrzona w telewizor.



Na ekranie migał wielki napis „Wiadomość z ostatniej chwili”. Znalezione Marni Fischer. Usiadła i wzmocniła dźwięk. Komentator ogłosił, że na zwłoki Marni Fischer natrafiono przy osiemdziesiątej pierwszej autostradzie w Roanoke w stanie Wirginia. Roanoke. Whitney zaświtała w głowie przelotna, nieśmiała myśl. Pobiegła z powrotem do gabinetu, raz jeszcze wyciągnęła teczkę i odczytała nazwy miast.

- Huntsville, Baton Rouge, Jackson, Nashville, Noble, Roanoke. Huntsville, Baton Rouge, Jackson, Nashville, Noble, Roanoke.

Jej serce biło coraz szybciej, ręce drżały. Sięgnęła po wydruki wierszy, przeczytała je z niepokojem raz, drugi, trzeci i wtedy doznała olśnienia. Uświadomiła sobie, kim jest Dusiciel z Południa.

Rzuciła teczkę i wyciągnęła komórkę z torebki. Do diabła z karierą dziennikarską. Chrzanić pracę w Nowym Jorku. Musiała ostrzec siostrę.

## ***Rozdział osiemnasty***

Taylor poprawiła się na krześle i przeczesła palcami długie, jasne włosy. Promienie słońca zaglądały do pomieszczenia przez szczeliny w żaluzjach za jej plecami. Okno było jednym z drobnych przywilejów, które świadczyły o rosnącej pozycji Taylor.

Słowa lekarza kołatały się w jej głowie, nie potrafiła dojsć do siebie. Była w ciąży. W ciąży. Zaszła w ciążę.

Raz po raz odtwarzała w myślach rozmowę z doktorem Gregorym, jakby chciała zmienić użyte w niej słowa, zmodyfikować ich znaczenie.

- To niemożliwe. Okres nigdy mi się nie spóźniał. Wiedziałabym o tym. Poza tym biorę pigułki. Proszę mi wierzyć, o czymś takim się nie zapomina. Z pewnością jest pan w błędzie.

- Taylor, takie rzeczy się zdarzają. Wyniki badań są bardzo precyzyjne, niemal natychmiast udaje się wykryć hormony ciąży. Przede wszyst-

kim musisz się teraz odprężyć. Przepiszę ci witaminy prenatalne i chciałbym, abyś codziennie przyjmowała jeden miligram kwasu foliowego. Rzecz jasna, żaden alkohol nie wchodzi w grę. Chyba nie muszę cię informować, że nie wolno ci sięgać po papierosy? Taylor miała ochotę zwymiotować. Powiedziała sobie, że to reakcja psychosomatyczna. Nie mogła przecież cierpieć na poranne nudności tylko dlatego, że lekarz wmawiał jej ciążę.

- Powtarzam panu, że to wykluczone. Nigdy...

- Nie ma mowy o pomyłce - westchnął. - Musisz teraz umówić się na wizytę u ginekologa, udzieli ci wszelkich dodatkowych informacji. - Jeszcze bardziej ściszył głos. - Taylor, to prawdziwe błogosławieństwo. Zważywszy na obrażenia, które odniosłaś, powinnaś skakać z radości. Wierz mi, wszystko będzie dobrze. Teraz musimy już kończyć, ale wkrótce jeszcze porozmawiamy, w porządku?

Zgodziła się szeptem i natychmiast przerwała połączenie. Popatrzyła na słuchawkę i cisnęła ją na drugi kraniec pokoju, jakby to był przyczajony do ataku wąż. Psiakrew. Właściwie to pragnęła urodzić dziecko, tylko niekoniecznie w tej chwili. Musiała się upewnić, czy Baldwin jest zainteresowany potomstwem. Jak dotąd za bardzo koncentrowali się na tym, co czasem owocuje dziećmi, i zupełnie ignorowali konsekwencje. Konsekwencje. Do licha, zachowywała się jak nastolatka. Co teraz powinna zrobić?

Podniosła komórkę i wystukała numer Baldwina. Następnie nacisnęła zielony przycisk, a zaraz potem czerwony i odłożyła telefon na biurko.

Jej oczy zaszyły łzami i poczuła się jeszcze gorzej. Jako kobieta po trzydziestce powinna być zachwycona ciążą. Niemal każda jej znajoma miała co najmniej jedno dziecko.

Pozostałe usiłowały zająć w ciążę. W ich łazienkach nagle pojawiały się fiołki witamin, biedaczki wznosiły desperackie modły, aby kreska na testerze zabarwiła się na różowo, aby comiesięczne krwawienie się nie pojawiło. Gdy jednak okres nadchodził, przychodziła chwila załamania. Zastrzyki z ovidrelu, jeden dziennie, kobieta zgięta wpół przed lustrem, aby lepiej widzieć, czy męczyzna jest w odpowiedniej pozycji. I znowu modlitwy, aby dojrzwianie pęcherzyka doprowadziło do uwolnienia magicznego jajeczka. Termometry, przyrządy do ustalania czasu owulacji, zmęczeni mężowie onanizujący się nad plastikowym kubkiem, z desperacją i zakłopotaniem usiłujący dać żonom dziecko.

Zapłodnienie in vitro, topniejące oszczędności, a wszystko to w nadziei na pozostawienie po sobie trwałego śladu na ziemi. Większość z tych kobiet przez wiele lat usiłowała nie zająć w ciążę. Nagle znalazły się w sytuacji, w której po prostu nie mogły.

Taylor poczuła, jak narasta w niej poczucie winy. Wcale nie starała się o dziecko. Nie chciała go. Przecież ona i Baldwin dopiero się poznawali. Czy tak kruchy związek miał szansę zapewnić trwałą opiekę nowej istocie ludzkiej? Nigdy nie

rozmawiali o dzieciach. W życiu dwojga zapracowanych policjantów najzwyczajniej brakowało miejsca na małego człowieka.

Drgnęła przestraszona, gdy ktoś zapukał do drzwi. Pośpiesznie otarła łzy, odchrząknęła, przyczesła włosy.

- Proszę - powiedziała.

Drzwi się uchyliły i do środka wkroczyła Julia Page. Obejrzała się przez ramię, zamknęła za sobą drzwi, po czym oparła się o nie plecami i mierzyła Taylor wzrokiem.

- Przychodzę nie w porę?

- Skąd, nie ma problemu. Po prostu... - Taylor wzruszyła ramionami i zawiesiła głos. Nie musiała się tłumaczyć. Julii nie interesowały jej rozterki.

Julia Page należała do grona zastępców prokuratora okręgowego i reprezentowała okręg Davidson. W powszechnej opinii była bystra, przenikliwa i przebojowa. Jej jasnobrązowe loczki spływały łagodnie wokół twarzy, dzięki czemu wyglądała niewinnie i uroczo. Te pozory zmyliły niejednego bandytę. Gdy stawali przed sądem i widzieli jej słodkie, niebieskie oczy oraz łagodnie uśmiechnięte usta, nabierali przekonania, że trafiła im się młoda, niedoświadczona i nieszkodliwa prokurator. Szybko się przekonywali, w jak wielkim tkwią błędzie.

- To dobrze, bo musimy porozmawiać. - Page nie zamierzała siadać. Na stojąco mogła patrzeć prosto w oczy siedzącej na krześle Taylor. - Chyba mamy problem.

Taylor jęknęła. Jeśli prokurator Page przyszła

z problemem, to znaczy, że chodziło o coś wyjątkowego. Za prawym okiem Taylor zaczął się zagnieżdżać ból. Sięgnęła do szuflady i wyciągnęła butelkę paracetamolu, po czym wytrząsnęła na dłoń trzy tabletki. Wsunęła je do ust i popiła łykiem ciepławej coli bez cukru. Kofeina, zreflektowała się po chwili. Zapewne nie służyły jej ani lekarstwa, ani niezdrowy napój ze słodzikiem. Postanowiła na razie się tym nie przejmować.

- Co się stało, Page? Julia odetchnęła głęboko.

- Terrence Norton.

- Co ten śmieć znowu zmajstrował?

- Za sprawą sędziego Hamiltona opuścił sąd jako wolny człowiek.

Taylor osłupiała.

- Jako wolny człowiek? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Przecież mamy niezbite dowody, że popełnił morderstwo pierwszego stopnia.

- Nie tyle mamy, ile mieliśmy - poprawiła ją Page. - Dopieśliśmy wszystko na ostatni guzik, a tymczasem przysięgłym wystarczyły trzy kwadranse, aby oczyścić go z zarzutów.

Czterdzieści pięć minut i było po wszystkim. Wyobrażasz sobie, Taylor? Cały materiał dowodowy, zeznania, świadkowie - nic się nie liczyło. Przegraliśmy ten proces i generalnie jest do kitu. Słyszałaś o osiedlowej strzelaninie sprzed kilku dni?

Taylor skinęła głową.

- Wschodni wydział zabójstw się tym zajmuje, tej samej nocy zapakowali gościa za kratki.

- Tak się składa, że ofiara miała występować w tym procesie jako świadek zeznający przeciwko Terrence'owi. Kilka tygodni temu gość zmienił jednak zdanie, a także zeznania. Uznał, że jednak wcale nie widział tego, co mu się zdawało, że widzi. Nabrał wody w usta, więc skreśliliśmy go z listy. Nie brakowało nam świadków. Wszystko wskazuje na to, że zginął na zlecenie, aby przypadkiem znowu mu się nie odmieniło. Zabójca pochodzi z Atlanty. Jak twierdzi, był w mieście, bo chciał się spotkać z przyjacielem, który mieszkał obok świadka. Podobno zabójca i jego kumpel posprzeczali się o cenę heroiny, a dzieciak napatoczył się przypadkowo i niechcący oberwał kulkę. Cóż za szczęśliwy traf, prawda? Aż dziw bierze.

- Masz rację, sprawa śmierdzi na kilometr. A więc Terrence rozprawia teraz narkotyki z Atlanty?

- Teraz może robić, co chce - prychnęła Page. - Udało mu się zbudować reputację. Wiedziałaś, że kiedy nie siedzi za kratkami, ma do dyspozycji czterech ochroniarzy? To mi pachnie narkotykami, że tak powiem. Ale na razie nic na niego nie mamy.

- Mówisz, że całe dochodzenie diabli wzięli podczas procesu?

- Owszem. Przewodniczący rady przysięgłych oświadczył, że nie zaprezentowaliśmy odpowiednio udokumentowanych faktów. Teraz Terrence jest na wolności, stoi na schodach sądu i opowiada Kanałowi Czwartemu o tym, co przeżywa i co go spotkało.

- Nie możesz sądownie zmusić dziennikarzy do milczenia?  
- Niestety. Proces dobiegł końca, więc każdy może mówić, co mu ślina na język przyniesie. Terrence wymaszerował z budynku niczym Michael Jackson, przy wtórze wiwatów swoich fanów. Taylor, mamy poważny problem. Naprawdę cholernie poważny. - Wyczerpana Page opadła na krzesło i zwiesiła głowę. - Mieliśmy go. Wciąż nie dociera do mnie, że przysięgli go wypuścili. To już trzeci taki wypadek w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Mamy naprawdę poważny problem - powtórzyła zrezygnowana, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Terrence Norton był nikiem, jednym z niezliczonych dzieciaków, które wychowały się w blokowiskach. Policja doskonale go znała, uczestniczył w wielu napadach, włamaniach, gwałtach, morderstwach, handlu narkotykami. Zaistniał w przestępczym półświatku, z każdym aresztowaniem bandyci darzyli go coraz większym szacunkiem. Świetnie sobie radził przed sądami, które raz za razem wypuszczwały go na wolność. Stawał się żywą legendą, prawdziwym bohaterem swojego środowiska. Młody kryminalista z Nashville nie mógłby marzyć o lepszej karierze. Gdyby stał się na tyle potężny, żeby sprowadzać narkotyki spoza miasta, policja miałaby naprawdę twarde orzechy do zgryzienia.

Taylor wiedziała, dlaczego Page przyszła właśnie do niej. Fitzowi udało się zbliżyć do Terrence'a



po tym, jak zamordowano najlepszego kumpla bandyty. Fitz usiłował nakłonić Terrence'a do wyjawienia, że jego przyjaciel zginął z rąk oprycha, znanego jako Mały Włapa. Podczas dochodzenia Terrence trafił do paki za zastrzelenie bezdomnego i od razu zażądał widzenia z Fitzem. Zaproponował mu, że wystawi Włapę w zamian za złagodzenie kary. Zeznania Terrence'a doprowadziły Włapę do celi śmierci.

Fitz zawarł z bandytą układ, doskonale wiedząc, że w miejscu, gdzie zabito bezdomnego, policjanci znaleźli pistolet, który wyglądał jak broń Terrence'a. Analiza daktyloskopijna dowiodła, że Terrence miał pistolet w rękach, a badanie balistyczne przypisało broń do kul, od których zginęła ofiara. Mimo to ława przysięgłych orzekła, że Terrence nie jest winien zarzucanego mu czynu. Page się nie myliła. Faktycznie mieli problem.

Taylor uważnie obserwowała przyjaciółkę.

- Jak ci się wydaje, co jest grane? Page podniosła wzrok.

- Wybieraj: wpływanie na przysięgłych, zastraszanie świadków, korumpowanie sędziego.

Taylor zaśmiała się z przymusem.

- Daj spokój - mruknęła. - Terrence Norton nie skorumpowałby sędziego Hamiltona.

Hamilton cieszy się nieposzlakowaną opinią. Zapudłował całą armię bandytów. Nie ma możliwości, żeby dał się kupić.

- Jesteś pewna? - Page zmrużyła oczy, a Taylor poczuła przykry skurcz w brzuchu.

Nie była pewna, jak powinna rozumieć uważne spojrzenie Page. Zdarzali się sędziowie, których można było kupić, ale Terrence Norton nie miał tyle pieniędzy. Przynajmniej na razie.

- Owszem, jestem pewna. - Taylor spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. - Jestem w stanie wyobrazić sobie, że ktoś wpływa na przysięgłych albo zastrasza świadków, jednak nie uwierzę w korupcję sędziego Hamiltona. Moim zdaniem, powinnaś trzymać się jak najdalej od tego toku rozumowania. Zastępcy prokuratora okręgowego tracili posadę za znacznie drobniejsze przewinienia.

Page wstała, wyraźnie wzburzona.

- Taylor, co ty wygadujesz? - wybuchnęła.

- Grozisz mi, że złożysz na mnie doniesienie, bo mam wątpliwości? A ty ich nie masz, kiedy widzisz, że jednego z najgorszych recydywistów uwalnia się od zarzutów za każdym razem, gdy go przyskrzynimy? Mało tego, dysponujemy niezbitymi dowodami jego winy, a on śmieje się nam w twarz.

- Usiądź. Dobrze wiesz, że nie zamierzam na ciebie donosić. Page, nie bądź głupia, przecież znamy się nie od dzisiaj.

Zdenerwowanej Page nie opuszczał bojowy nastrój.

- Przychodzę do ciebie, bo ci ufam, Taylor

- podkreśliła. - Kogo w tym mieście mogę obdarzyć zaufaniem, jeśli nie ciebie? Poza tym wszyscy wiedzą, że nie jesteś podszyta tchórzem.

Taylor odwróciła wzrok i kilka razy poruszyła

głową, aby rozluźnić zeszywniającą szyję. Fakt, nie była tchórzliwa. W razie potrzeby umiała nawet zabić. Wielokrotnie wychodziła obronną ręką z tarapatów, nie wahała się używać siły. Blizny dowodziły jej determinacji. Mimo to nie była z natury agresywna, nie urządzała awantur połączonych z wrzaskami, rozbijaniem naczyń, bijatyką. Przejechała palcami po szyi.

- Julia, usiądź - powtórzyła cicho, z naciskiem. - Pogadamy.

Page nieoczekiwanie opuścił bojowy nastrój. Osunęła się na krzesło, przygnębiona niczym studentka wydziału prawa, która dopuściła się wykroczenia i prosi o litość. Taylor przeszło przez myśl, że Page jest jeszcze bardzo młoda. Łatwo było o tym zapomnieć. Obie codziennie stykały się ze śmiercią i zniszczeniem, żyły w świecie zbrodni, i w związku z tym czuły się starzej od swoich rówieśnic.

- Lepiej będzie, jeżeli skupimy się na przysięgłych i świadkach - zasugerowała Taylor. - Terrence ma do nich łatwiejszy dostęp niż do sędziego Hamiltona. Z pewnością jest dobry w zastraszaniu zwykłych ludzi, którzy wchodzą mu w paradę. Zaprawiony w bojach z kryminalistami sędzia nie jest łatwym celem dla bandyty. - Page zamierzała coś wtrącić, ale Taylor uniosła rękę. - Nie powiedziałam, że nie przyjrę się bliżej Hamiltonowi. Po prostu jestem głęboko przekonana, że Terrence przede wszystkim spróbowałby dotrzeć do ludzi, na których łatwiej jest wpłynąć.

Uspokojona Page pokiwała głową.

- Dobrze - podjęła Taylor. - Wobec tego powiem ci, co zrobimy. Nie masz zastrzeżeń do Pete'a Fitzgeralda, prawda? Do mojego sierżanta?

- Najmniejszych - przyznała prokurator. - Fitz pomógł mi zebrać materiał przeciwko Terrence'owi. Z tego, co słyszałam, udało im się znaleźć wspólny język. Stworzyli coś w rodzaju towarzystwa wzajemnego braku zaufania.

- Wobec tego skieruję go do współpracy z tobą. Dopilnuję, żeby przyjrzał się z bliska całej sprawie, a po południu przyślę go do ciebie. Chciałabym, żebyście razem opracowali plan dochodzenia. I na tym koniec, Page. Nie chcę od ciebie słyszeć ani słowa na temat sędziego Hamiltona. Tym problemem sama się zajmę. Nie możemy przecież dopuścić do tego, żebyś straciła pracę.

Taylor wstała, tym samym dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Page również zerwała się z miejsca.

- Niedobrze się dzieje, Taylor - westchnęła przed wyjściem z gabinetu. - Musimy coś zrobić, bo to się źle skończy. - Położyła dłoń na klamce i uchyliła drzwi.

Do pomieszczenia wpadła struga świeżego powietrza. Taylor z przyjemnością wciągnęła je do płuc, jakby chciała w ten sposób się oczyścić. Powiodła wzrokiem za odchodzącą Page i pomyślała, że informacja o ciąży i o przeżartym korupcją sądzie to sporo jak na jeden dzień.

W takiej sytuacji mogła zrobić jedno. Zatele-

fonowała do Sam, żeby się z nią umówić na kolację. Musiała porozmawiać z przyjaciółką. Pograżona w myślach opuściła budynek ośrodka. Gdyby nie zapomniała o przezorności i przed wyjściem wyjrzała na pograżoną w półmroku ulicę, ułatwiłaby sobie życie

- Pani porucznik Jackson! - wrzasnął ktoś. Taylor gwałtownie uniosła głowę. Na parkingu przed siedzibą Ośrodka Ścigania Przestępstw Kryminalnych zatrzymała się furgonetka lokalnego oddziału telewizji CBS. Dziennikarze najwyraźniej zastawili pułapkę na Taylor, aby ją dopaść w drodze do domu. Podstęp się udał.

- Pani porucznik, chcielibyśmy usłyszeć pani komentarz na temat sprawy Słotnika. Czy to prawda, że podejrzany zgwałcił i pobił inspektor Betsy Garrison z wydziału przestępczości seksualnej?

Taylor osłupiała. Pytanie kompletnie ją zaskoczyło. Zaczęła gorączkowo myśleć, co odpowiedzieć. Psiakrew, skąd dziennikarze o tym wiedzieli? Po chwili wzięła się w garść i spiorunowała wzrokiem kobietę z mikrofonem.

- Pani porucznik, czy to prawda?

Taylor nie odrywała wzroku od twarzy natrętnej dziennikarki, bezskutecznie usiłując sobie przypomnieć, czy ją kiedyś widziała.

- Chyba nie miałyśmy okazji się poznać.

- Edith Conrad, Kanał Piąty. To mój pierwszy dzień w pracy - oświadczyła z dumą. - Więc jak,

czy to prawda? Czy inspektor Garrison jest najnowszą ofiarą seryjnego gwałciciela Słotnika? Tego samego, który terroryzuje mieszkanki Nashville? Czy bandyta posunął się tak daleko, że napastuje teraz policjantki?

- Edith, cóż za nadgorliwość. Nie mam nic do powiedzenia w związku ze śledztwem w sprawie Słotnika. Dochodzenie jest wtoku, zajmuje się nim wydział przestępczości seksualnej policji w Nashville. Nie mamy zwyczaju komentować aktualnych śledztw. Ponieważ jest to twój pierwszy dzień na nowym stanowisku, puszczę to pytanie mimo uszu.

- Taylor ruszyła przed siebie, z rozmysłem odwracając głowę od kamery.

- Pani porucznik! - zawołała dziennikarka.

- W bloku informacyjnym o dziesiątej pojawi się mój materiał. Czy na pewno nie chce pani skomentować informacji?

Taylor postanowiła ją ignorować. Szła dalej, prosto do samochodu.

- Pani porucznik, uzyskaliśmy też wiadomość, że policja dysponuje DNA sprawcy. Może mimo wszystko zechce się pani ustosunkować?

Taylor gwałtownie się odwróciła.

- Skąd o tym wiesz? - warknęła. Edith uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- Mam dobrze umiejscowionego informatora. Czy mogłaby pani zaprzeczyć lub potwierdzić? Ostatecznie obie wiemy, że to prawda.

Taylor przelotnie przyjrzała się rozmówczyni. Drobną blondynką niewątpliwie była sobą zachwy-

cona. Taylor zrobiła to, co należało zrobić w tej sytuacji.

- Bez komentarza. - Pośpiesznie przeszła na drugą stronę ulicy.

- Nagrałeś wszystko? - Usłyszała za plecami podniecony głos dziewczyny, która najwyraźniej zwracała się do kamerzysty. - Tylko mi nie mów, że coś przegapiłeś.

- Psiamać - wymamrotała Taylor.

Dotarła do furgonetki, wdrapała się do środka, a odjeżdżając, odchyliła klapkę komórki i wcisnęła klawisz automatycznego wybierania numeru. Mitchell Price odebrał po pierwszym sygnale.

- Price, mówi Taylor. Mamy problem. Kanał Piąty wie o gwałcie na Garrison.

Słuchawka zatrzęsała się od steku przekleństw, których nie powstydziliby się najtwardszy wilk morski. Gdy Price w końcu ochłonął, Taylor zrelacjonowała mu cały incydent.

- Co mam zrobić? - spytała na koniec.

- Nie rób nic. Sam zajmę się tą sprawą. Zobaczę, co się da załatwić. Psiakrew, Taylor, mieliśmy dochować tajemnicy.

- Daj spokój, Price, chyba nie sądzisz, że coś wypaplałam. Poinformowałam tylko Marcusa i Lincolna. Do przecieku musiało dojść gdzie indziej, pewnie w szpitalu albo w laboratorium. Raczej nie należało się spodziewać, że uda nam się zamknąć usta wszystkim zatrudnionym tam osobom.

- Mediom nie wolno zdradzać personaliów

ofiar gwałtów ani w eterze, ani na piśmie. Dziennikarze muszą wcześniej uzyskać autoryzację. Mam nadzieję, że w związku z tym nie ujawnią tożsamości Betsy. Jeśli coś chlapną, słono za to zapłacą.

- Ta dziennikarka była dziś po raz pierwszy w pracy, więc trudno powiedzieć, jak dalece rzetelnie podchodzi do swojego zawodu. Najlepiej by było, gdybyś znalazł sposób na jej uciszenie.

- Całkowite wyciszenie raczej nie wchodzi w grę, ale mogę dopilnować, żeby w mediach nie padło nazwisko Betsy. Psiakrew, cholera!

- Mogę cię tylko zapewnić, że żaden z moich ludzi nie sypnął. Powodzenia!

- Taylor, na wszelki wypadek powtórzę: nie wolno nagłaśniać tej sprawy. Przypomnij podkomendnym, że wszelkie pytania dziennikarzy muszą zostawiać bez komentarza.

- Jasne. Porozmawiamy jutro. - Rozłączyła się, przybita i zmęczona. Ten dzień był wyjątkowo nieudany.



## ***Rozdział dziewiętnasty***

Zatopiona w myślach Taylor zatrzymała samochód na parkingu przed ulubioną knajpą. Postanowiła chwilowo nie zadreć się myślami o Betsy Garrison i przecieku. Media dysponowały już z założenia tajnymi informacjami i nic się nie dało z tym zrobić. W takiej sytuacji musiała pozwolić działać Price'owi, miała dość własnych zmartwień na głowie. Nie była w stanie się otrząsnąć po rozmowie z Page i specjalnie pojechała ze śródmieścia do Bellevue, aby się zastanowić. Niestety, żadne odpowiedzi nie przychodziły jej do głowy.

W barze jak zwykle powitano ją ciepło i przyjaźnie. Lokal był zadymiony i mroczny, ale mieścił się w wielkiej sali, przypominającej Taylor grotę. Nad barem wisiały ogromne, plazmowe telewizory, w których wielbiciele sportu mogli oglądać ulubione rozgrywki. Stali bywalcy sączyli whisky po obu krańcach pokaźnego baru w kształcie podkowy i wrzucali ćwierćdolarówki do jednoręcznych

bandytów, dzielnie nie tracąc wiary, że odzyskają choć część straconych pieniędzy. Kilka studentek z miejscowego college'u chichotało przy stoliku i co chwila rozglądało się po sali, aby sprawdzić, czy ktoś wreszcie zwrócił na nie uwagę. Na ścianach wisiały reklamy najnowszego piwa oświetlone neonowymi lampami. Taylor uwielbiała klimat tego lokalu. Zanim zdążyła się rozsiaść na wysokim krześle, barmanka podsunęła jej szklankę zimnego guin-nessa. Taylor ostatnio polubiła ukochany napój Baldwina i zamawiała go już tyle razy, że teraz dostawała go tuż po wejściu. Ze smutkiem popatrzyła na ciemne piwo. Doskonale wiedziała, że nie powinna pić alkoholu, ale miała ogromną ochotę się rozluźnić. Przypomniła sobie, że poprzedniego wieczoru wypła co najmniej trzy butelki. Gdyby dzisiaj nie rozmawiała z lekarzem, z pewnością zamówiłaby tyle samo. Może powinna udawać, że o niczym nie wie? Po zastanowieniu uznała, że to świetna myśl. Szklanka w niemal czarodziejski sposób pojawiła się przy jej ustach. Taylor wypła piwo łapczywie, pośpiesznie, jakby dręczyło ją koszmarnie pragnienie. Zawartość drugiej, półlitrowej szklanki zniknęła jeszcze szybciej.

Do lokalu weszła Sam, a gdy zmierzała do baru, wszyscy wiedli za nią wzrokiem. Taylor z uśmiechem patrzyła na przyjaciółkę. Sam była piękna. Nawet po całym dniu krojenia trupów wydawała się świeża i rześka, jakby dopiero wyszła spod prysznic. Taylor objęła ją na powitanie i z przyje-

mnością wciągnęła w nozdrza zapach dziecięcego pudru.

Sam obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Nieraz widziała ją wstawioną i od razu się zorientowała, że Taylor już sporo wypila. Jako dobra przyjaciółka, tylko się uśmiechnęła.

- Co jest, kochana? Witaj, Kat. - Uśmiechnęła się do barmanki o śniadej skórze. -

Napiłabym się wody, i moja przyjaciółka też. - Odwróciła się do Taylor. - Mów, o co chodzi - zażądała wprost, nagle poważniejąc.

Taylor odetchnęła głęboko i spojrzała na brzuch Sam. Przypomniało jej się, że nie tak dawno bardzo się ubawiła na wieść o tym, że Sam zaszła w ciążę podczas miodowego miesiąca. Teraz jednak chciało jej się płakać.

- Naprawdę nie mam pojęcia, od czego zacząć. Na pewno znasz szczegóły sprawy Słotnika?

- Pewnie. Dlaczego zaprzątasz sobie nią głowę? Przecież śledztwo prowadzi wydział przestępczości seksualnej.

- Pomagam w dochodzeniu. Dzisiaj wieczorem będzie o nim mowa w telewizji. Jest następna ofiara i obawiam się, że zostanie wymieniona z nazwiska. Więcej nic nie powiem, jeśli pozwolisz.

Sam pokiwała głową ze zrozumieniem. Doskonale wiedziała, że w pracy policji obowiązuje dyskrecja.

- Poza tym rozmawiałam dzisiaj z Julią Page. Jest przybita po przegranej rozprawie. Jej zdaniem

ktoś manipuluje ławą przysięgłych. I jeszcze ten cholerny Dusiciel z Południa, Baldwin utknął w tym dochodzeniu po uszy. Chyba nie potrzebuję więcej powodów do zdenerwowania?

- Taylor, nie wciskaj mi kitu. Dla ciebie to chleb powszedni. Mów, o co naprawdę chodzi. Taylor spojrzała na nią ciężkim wzrokiem. Rzecz jasna nie powinna była zakładać, że uda się jej wyprowadzić Sam w pole. Równie dobrze mogła od razu zrzucić ciężar z serca. Nabrała powietrza w płuca.

- Rozmawiałam dzisiaj z lekarzem - oświadczyła.

- Och, nie, kochana, coś z wątrobą? - przestraszyła się Sam.

Taylor stłumiła śmiech i uraczyła się solidnym łykiem piwa.

- Nie, z wątrobą wszystko gra. Pojawił się zupełnie nowy problem. - Chciała spojrzeć Sam w oczy, ale nie dała rady. Wiedziała, że przyjaciółka ją zrozumie. Taylor nie była gotowa na dziecko. W przeszłości wielokrotnie o tym rozmawiały, zwłaszcza gdy Sam zaszła w ciążę. Ciężar ukrywanych nowin stawał się nie do wytrzymania. Podłamana, postanowiła wyjawić prawdę od razu, zanim stchórzy i zmieni zdanie. - Jestem w ciąży - wyznała szeptem.

Sam nie wydawała się szczególnie wstrząśnięta.

- I dlatego siedzisz tutaj i topisz smutki w piwie. Świetny sposób na radzenie sobie ze stresem, gratuluję.

Zrozpaczona Taylor z rezygnacją pokręciła głową.

- Nie o to chodzi. Po prostu...

- Po prostu kompletnie się pogubiłaś. Nie jesteś gotowa na dziecko. O niczym nie powiedziałaś Baldwinowi, bo nie wiesz, jak zareaguje. Nie masz pojęcia, co o tym wszystkim myśleć, jak się zachowywać, co robić. Czy to dostatecznie wyczerpujące podsumowanie?

Taylor posłała jej ponure spojrzenie.

- Nie dodałaś, że ostatnio wzrosła zachorowalność na trąd. Poza tym powinnaś mnie wspierać, a nie...

- A nie co? Co niby mam zrobić? Jesteś dużą dziewczynką, sama podejmujesz decyzje. Mam wylać twoje piwo na podłogę i wygłosić umoralniający wykład? Mogę to zrobić, jeśli sobie życzysz, ale chyba nie dlatego chciałaś ze mną pogadać. Proponuję, żebyś się upiła i zaczęła mówić.

Taylor rozparła się na krześle. Psiakrew. Na tym polega problem z dobrymi przyjaciółmi - nie mają zwyczaju potępiać, nie ciosają kołków na głowie. Uświadomiła sobie, że dąży do starcia, podobnie jak wcześniej Julia Page. Usiłowała wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, gdy zauważyła, że Sam ruchem dłoni przywołuje Kat. Na blacie baru pojawiła się paczka cameli. Sam zdarła celofan, wyciągnęła papierosa, podała go Taylor i przypaliła.

- Masz, zaciągnij się parę razy i powiedz mi o wszystkim, co ci leży na sercu - mruknęła. -  
Zrób

to teraz, bo od jutra twoje życie musi się zmienić. A na razie... Wal śmiało.

Taylor odetchnęła głęboko, tym razem z ulgą. Właśnie na to liczyła. Przyjaciółka dała jej wolną rękę, choć dobrze wiedziała, jakie są konsekwencje niewłaściwego postępowania podczas ciąży. Skoro pozwoliła jej pić i palić, to widocznie wiedziała, co robi. Taylor zapaliła, zaciągnęła się i wydmuchnęła kłęb siwego dymu.

Tym razem Sam odezwała się znacznie łagodniej.

- Słonko, mam świadomość, że jesteś teraz zdenerwowana, bo twój świat legł w gruzach.

Musisz poczekać, aż ci przejdzie. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

Taylor poczuła, że po jej policzkach spływają łzy.

## ***Rozdział dwudziesty***

Whitney wpadła w panikę. Pędziła jak szalona, myśląc tylko o tym, czy nie jest już za późno. Przez cały wczorajszy wieczór i dzisiejszy poranek wydzwaniała do Quinn na komórkę, do domu i do klubu rekreacyjnego. Na próżno. Jej siostra nie odbierała, a pracownicy klubu nie widzieli jej od poniedziałku, gdy rozegrała codzienny mecz tenisa. Coraz bardziej zdesperowana Whitney raz za razem wciskała przycisk ponownego wybierania, aż gdy po raz ósmy usłyszała automatyczną sekretarkę, zostawiła wiadomość. Powiadomiła siostrę, że jest w drodze do jej domu i kazała na siebie poczekać. Poza tym Quinn miała oddzwonić natychmiast po wysłuchaniu nagrania. Wiadomość tej samej treści Whitney zostawiła w poczcie głosowej komórki siostry, świadoma, że mówi coraz bardziej histerycznie. Musiała wziąć się w garść. Modliła się, żeby jej podejrzenia okazały się mylne. Przecież wszystko to, co sobie pomyślała,

mogło być dziełem przypadku. Takie zbiegi okoliczności się zdarzają. Musiała jednak o wszystkim powiedzieć Quinn, aby wspólnie postanowiły, co dalej. Fakt, nie były sobie specjalnie bliskie, jednak Whitney kochała siostrę i była zdecydowana ją chronić. Dzwonili do niej z telewizji, miała przyjechać i przygotować materiał o seryjnym gwałtocielu. Podobno pojawiły się nowe okoliczności i należało wziąć je pod uwagę. Praca musiała jednak poczekać. Whitney nie mogła uwierzyć, że naprawdę jest gotowa poświęcić karierę dla dobra siostry. Uznała, że na sprawy zawodowe przyjdzie czas. Przede wszystkim musiała się spotkać z Quinn.

Z trudem lawirowała swoim nowym bmw X5 między snującymi się samochodami na międzystanowej siedemdziesiątce. Ten fragment drogi, ciągnący się przez Wzgórze Dziewięciu Mil z Bellevue w kierunku West Meade, zawsze był zakorkowany. Wszyscy miejscowi wiedzieli, że na pędzących kierowców czyhał tutaj fotoradar. Gnająca slalomem Whitney gwałtownie wcisnęła pedał hamulca, gdy migające na żółto światła przed szkołą Świętego Henryka ostrzegły ją o konieczności zwolnienia do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Zwolniła do setki i na skrzyżowaniu ponownie dodała gazu. W tylnym lusterku zauważyła, że „pan stop” wymachuje do niej pięścią, ale nie zwolniła. Jej terenówka lśniła w słońcu, oślepiając innych



kierowców, których pośpiesznie wyprzedzała, o włos mijając zderzaki i boczne lusterka. Ludzie trąbili, pokazywali jej palec, ale Whitney nie zwracała uwagi na niebezpieczeństwo, na które narażała siebie i innych użytkowników drogi. Rozpędzona, przeoczyła skręt w Leake Avenue, ale tylko wzruszyła ramionami. To nie miało znaczenia, do domu Quinn mogła się dostać przez główną drogę dojazdową do Belle Meade. Z lewej strony zauważyła błysk torów kolejowych i nagle znalazła się tuż przy zakręcie. Wiedziała, że jedzie zbyt prędko, gdy gwałtownie zakręciła kierownicą i awaryjnie zahamowała. Samochód obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i wjechał w bulwar Belle Meade, lecz Whitney straciła panowanie nad kierownicą. Terenówka zachwiała się niebezpiecznie, wpadła w poślizg i przy wtórze pisku opon wjechała w dwa rzeźbione konie czystej krwi, zdobiące wjazd do Belle Meade. Naturalnej wielkości zwierzęta z brązu wystrzeliły w powietrze i roztrzaskały się o jezdnię za samochodem Whitney. Zderzenie nie zatrzymało auta, które wpadło pod prąd na równoległą jezdnię. Kierowcy raptownie skręcili w bok, aby uniknąć kolizji, tylko jedno audi pozostało na drodze. Terenówka wbiła się w jego maskę i przewaliła po dachu, miażdżąc kierowcę i dwóch pasażerów. Ogarnięta paniką Whitney jechała bez pasów, więc siłą uderzenia wyrzuciła ją przez przednią szybę. Wyleciała z samochodu jak pocisk, lewą

nogą zaczepiając o wycieraczkę i łamiąc sobie kości. Jej zakrwawione ciało spadło na błyszczącą maskę i zsunęło się z głuchym łoskotem na asfalt.

### ***Rozdział dwudziesty pierwszy***

Baldwin przyjechał na lotnisko i ruszył do terminalu, aby napić się kawy przed odlotem do Nashville, kiedy zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz i uśmiechnął się. W środku nocy Taylor usiłowała się do niego dodzwonić, przy jej imieniu widniała godzina trzecia trzydzieści nad ranem. Nie zostawiła wiadomości. Najwyraźniej dzwonek go nie obudził. Zawsze chętnie z nią rozmawiał, więc był na siebie zły, zwłaszcza że telefon o tak niecodziennej porze mógł oznaczać coś ważnego. Nie czuł jednak niepokoju, zdarzały się przecież dni, w których na próżno usiłowali się porozumieć i tylko wymieniali wiadomości w pocztach głosowych.

- Witaj, słonko. Wszystko gra?

Głos Taylor wydawał się nieco drżący, ale najwyraźniej była cała i zdrowa.

- Tak, u mnie w porządku - potwierdziła. - Kiedy wracasz?

- Jestem na lotnisku, za pół godziny odlatuję.
- Och, to dobrze. Bo widzisz, ja... my... Baldwin usłyszał w słuchawce popiskiwanie, zerknął na wyświetlacz i przerwał Taylor.
- Poczekaj chwilę, jeśli możesz, dobrze? Grimes czeka na drugiej linii. - Wcisnął przycisk zmiany rozmówcy. - Cześć, Grimes.
- Baldwin, nie wsiadłeś jeszcze na pokład, prawda?
- Nie.
- A wiesz, że telewizja już nadaje materiał z miejsca zdarzenia?
- Możesz sekundę zaczekać? Muszę zakończyć rozmowę na drugiej linii. - Przełączył aparat. - Taylor, muszę kończyć. Oddzwonię później, jeśli pozwolisz. - Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź, i ponownie skupił uwagę na rozmowie z Grimesem.
- Gdzie ją znaleziono?
- Przy osiemdziesiątej pierwszej, tuż pod Roa-noke w Wirginii. Gość, który zauważył ciało, zatelefonował do swojej dziewczyny i kazał jej skontaktować się z lokalnym oddziałem telewizji Fox, a dopiero potem zawiadomił policję. Zamarzył mu się kwadrans sławy. Uprzedzając twoje pytanie: nie, nic nie wskazuje na to, aby on był sprawcą. Musimy jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Jestem teraz na prywatnym lotnisku i dysponuję wycarterowanym samolotem. Wskakuj do taksówki i każ się tutaj przywieźć. Grimes nawet się nie starał ukryć niechęci.

Baldwin zdecydowanym krokiem ruszył do wyjścia z budynku. Przepychając się między ludźmi, z uwagą wysłuchiwał wyjaśnień rozmówcy.

- Co jeszcze wiesz? - spytał.

- Przede wszystkim wiem to, że ogólnokrajowa stacja telewizyjna dotarła na miejsce przed nami. I to, że dziewczynę uduszono, to pewne. Patrolujący autostradę policjant, z którym rozmawiałem, nie należał do najsympatyczniejszych ludzi na świecie. Nie będzie tak miło, jak w Noble. I to na tyle.

Baldwin wyszedł na chodnik, od razu wszedł do taksówki i poinstruował kierowcę, dokąd ma jechać.

- Jestem już w samochodzie - oznajmił do telefonu. - Za pięć minut powinienem być na miejscu. Pogadamy w samolocie.

Rozłączył się i nacisnął przycisk wybierania numeru Taylor, która podniosła słuchawkę już przy pierwszym sygnale.

- Dzięki, że tak stanowczo zakończyłeś rozmowę - oświadczyła na powitanie.

Baldwin się skrzywił. Wcale nie chciał zachować się nieuprzejmie i wyjaśnił to Taylor.

- Wiem, że to nie twoja wina - mruknęła pojednawczo. - Czego chciał Grimes?

- W Roanoke znaleziono zwłoki Marni Fischer. Jestem w drodze na lotnisko, z którego polecę na miejsce specjalnym samolotem. Zdaje się, że jednak nie zdążę dzisiaj wrócić do domu na kolację, słonko. Wybacz. - Był autentycznie przygnębiony.

- Hm. No, dobra, niech ci będzie. Ale zadzwoń,

gdy znajdziesz wolną chwilę, zgoda? Przepraszam, trochę mnie poniosło. To jasne, że nie miałaś zamiaru mnie zbyć.

- Wiesz, spodziewałem się takiego rozwoju zdarzeń. Wcześniej chciałaś mnie o coś spytać, prawda?

- Och, mniejsza z tym. To nic pilnego. Zresztą i tak muszę już lecieć, jestem umówiona z Sam. Tylko pamiętaj, żeby później do mnie zadzwonić.

- Nie zapomnę, kotku. Kocham cię - dodał niemal machinalnie.

Gdy ustalił, że Taylor miewa się dobrze i że nic od niego nie potrzebuje, momentalnie powrócił myślami do śledztwa. Rozłączył się i wsunął telefon do pokrowca.

Roanoke w stanie Wirginia. Morderca po raz pierwszy dał o sobie znać w Alabamie, następnie pojechał do Luizjany, Missisipi, Tennessee, Georgii, a teraz trafił do Wirginii.

Baldwin ponownie wyciągnął aparat, otworzył klapkę i zadzwonił do Quan-tico. Jego szef, Garrett Woods, odebrał po pierwszym sygnale.

- Baldwin, jesteś w drodze do Wirginii?

- Tak, jadę na prywatne lotnisko w Atlancie. Czeka tam na mnie Grimes, w samolocie gotowym do startu. Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? Wrzuć do bazy danych nazwy miejsc, gdzie morderca dokonywał porwań i porzucał zwłoki. Chcę wiedzieć, czy istnieje jakiś geograficzny klucz do schematu działania tego sukinsyna. Niech ktoś sprawdzi, czy da się ustalić przybliżone położenie

jego bazy wypadowej, przy założeniu, że nie pochodzi z żadnego z miejsc, w których daje o sobie znać.

- Załatwione. Jeszcze coś?

- Zadzwoń z Wirginii. Wolałbym wstrzymać się z komentarzami do czasu obejrzenia miejsca zbrodni.

- Wobec tego czekam na telefon.

- Na razie, Garrett. Dzięki. - Rozłączył się w chwili, gdy taksówka przystawała przed lotniskiem. Niemal w tym samym momencie jego telefon ponownie zadzwonił.

- John Baldwin - odezwał się po trzecim sygnale.

- Witam, szeryf Pascoe z tej strony. Otrzymałem wyniki analizy laboratoryjnej w związku z kartką znalezioną w samochodzie Marni Fischer. Poza paroma smugami technicy nie znaleźli żadnych odcisków palców. Ślady mogła pozostawić denatka, ale nie da się tego jednoznacznie stwierdzić.

- Problem w tym, że morderca nie pozostawia żadnych śladów. Jest dokładny i skrupulatny. Dziękuję za pomoc. Cieszę się, że tak szybko udało się panu uzyskać wyniki badań.

- Czy mogę liczyć na bieżące informacje ze śledztwa?

- Oczywiście. Ma pan mój numer telefonu, proszę dzwonić, kiedy pan zechce. Na mnie już czas, jestem teraz na lotnisku. Pozdrawiam serdecznie.

Zamknął klapkę telefonu, zapłacił za kurs,

dorzucając spory napiwek, i wszedł do terminalu. Grimes stał na środku wielkiej sali. Na widok Baldwina odetchnął z ulgą.

- Samolot wystartuje, gdy tylko wejdziemy na pokład. Jesteś gotów?
- W drogę - odparł Baldwin krótko.



## ***Rozdział dwudziesty drugi***

Taylor męczył kac stulecia. Z trudem odtwarzała w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru. Na początku łkała nad piwem, potem nad whisky. Żałowała, że w ogóle ją zamówiła, whisky smakowała jak nasączone wódką chipsy z drewna opałowego. Zwróciła ją niemal natychmiast po opróżnieniu szklanki. Wtedy Sam doszła do wniosku, że pora wracać do domu. Kat odwiozła je samochodem Taylor, a Sam ułożyła przyjaciółkę do snu. Taylor obudziła się z potwornym bólem głowy i mdłościami. Gdy sobie przypomniała, dlaczego się upiła, poczuła się jeszcze gorzej.

Po krótkiej pogawędce z Baldwinem wzięła prysznic i pojechała do Starbucksa na spotkanie z Sam. Zauważyła ją w kacie, w wygodnym fotelu. Przed nią, na szklanym stole, stała taca z napojami, bułkami cynamonowymi, kawałkiem placka cytrynowego i muffinką. Taylor z trudem powstrzymała śmiech. Ciężarna Sam najwyraźniej postanowiła pozjadać wszystkie słodczyce w zasięgu wzroku.

- Witaj, obiekcie westchnień mężczyzn i zazdrości kobiet! - wykrzyknęła na widok przyjaciółki. - Siadaj, zanim ci wystygnie latte.

- Czuję się jak psia kupa - wyznała Taylor bez ogródek.

- Ale wyglądasz nieźle. Jesteś tylko trochę sfatygowana.

Taylor opadła na wolny fotel i chciała sięgnąć po kawę, lecz zamarła, słysząc donośne wycie syren.

- Co to? - zaniepokoiła się. - Oby tylko nic poważnego.

- Pewnie jakaś gospodyni domowa z Belle Meade złamała paznokiec.

Wybuchnęły śmiechem. Gdy się nieco uspokoiły, Taylor zrozumiała, że Sam ma jej do zakomunikowania ważne wieści. Od razu zrozumiała, czego będą dotyczyły.

- Dzisiaj rano byłam na USG.

- Och, wiadomo, co urodzisz?

- W pewnym sensie. Istnieje pięćdziesięcioprocentowa szansa, że będziemy mieli dziewczynkę. - Taylor uśmiechnęła się, rozbawiona kolejnym żartem przyjaciółki, i niemal przegapiła jej następne słowa. - I jest też spora nadzieja na to, że urodzi się również chłopiec.

Taylor znieruchomiała.

- Bliźnięta?! - wykrzyknęła. - Och, Sam, nie tracisz czasu, co? Komplet za jednym zamachem! Czy Simon umrze z radości?

- Jeszcze nie teraz, ale jest bliski zawału. Simon Loughley był właścicielem jedyne-  
go są-

dowego laboratorium w mieście, bardzo wysokiej klasy. Lokalna policja niejednokrotnie korzystała z jego specjalistycznych usług.

Ku zadowoleniu Taylor Sam nieprzerwanie traj-kotała. Na tak wczesnym etapie ciąży nie dało się jeszcze ustalić płci dzieci, ale oba serca z pewnością biły mocno i miarowo.

- Powiedziałam lekarzowi, że lata łykania hormonów zrobiły swoje. Kiedy jajeczka w końcu sobie uświadomiły, że mogą się bez problemu uwalniać, wszystkie ruszyły do wyjścia. Dobrze mi tak. Dziwne, ale mam wrażenie, że urodzę chłopca i dziewczynkę. Taylor objęła przyjaciółkę i delikatnie ją uścisnęła.

- Będzie cudownie, kochana. Urządzimy imprezę na ich cześć!

Chciała dodać coś jeszcze, ale w tym samym momencie zadzwoniła jej komórka.

Otworzyła telefon i popatrzyła w przestrzeń nad ramieniem Sam.

- Taylor Jackson. - Nerwowo poruszyła się w fotelu. - Dzień dobry, panie doktorze. Nie, wszystko dobrze. - Przez moment milczała. - Na pewno? - Sam uniosła głowę, zdumiona bez troską w głosie przyjaciółki. Taylor uśmiechała się od ucha do ucha. - Dziękuję. Skąd, naprawdę. Jeszcze raz dziękuję.

Rozłączyła się i przygryzła wargę.

- Dobre wieści? - zainteresowała się Sam. Taylor rozparła się w fotelu.

- Shelby, pielęgniarka, najwyraźniej pomyliła

wyniki badań. W ciąży jest kobieta o nazwisku Taylor, a nie ja.

- Brałam tę możliwość pod uwagę.

- I mi nie powiedziałaś? Wczoraj nie musiałabym się zadrećzać wyrzutami sumienia. - Taylor nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy płakać. Na pewno czuła ogromną ulgę. To nie był odpowiedni moment na dziecko ani dla niej, ani dla Baldwina.

Sam poklepała ją po ręce. Nie musiała nic mówić.

Po kilku sekundach Taylor otworzyła usta, aby coś powiedzieć, i w tym samym momencie zapiszczał pager Sam. Lekarka wyciągnęła urządzenie z torebki, odczytała komunikat i sięgnęła po telefon. W jednej chwili przeobraziła się z przyszłej mamy w sądowego patologa. Po krótkiej rozmowie rozłączyła się i pokręciła głową.

- Cholera, muszę pędzić. Poważny wypadek samochodowy przy wjeździe na Belle Meade Boulevard. Stąd te wszystkie syreny. Jedziesz ze mną?

- Pewnie, dlaczego nie. I tak czekam na sygnał od Lincolna i Marcusa.

Szybko zerwały się z miejsc, wyrzuciły śmieci do kosza przy drzwiach i wskoczyły do swoich samochodów.

- Jedź za mną! - zawołała Sam przez okno nowego srebrnego bmw 330Ci, prezentu ślubnego od Simona.

Wypadek okazał się wyjątkowo tragiczny.

Zwłoki przykryto prześcieradłami, na chodniku widniały plamy świeżej krwi, wszędzie walały się szczątki rozbitych samochodów. Pośrodku ulicy leżała lalka przywalona taflą zgniecionego szkła.

Taylor podziwiała Sam za umiejętność odcięcia się od normalnego życia i rzucenia w wir pracy. Lekarka energicznie kręciła się po miejscu katastrofy, wydawała polecenia i podejmowała decyzje, dzięki czemu już po chwili sytuacja była opanowana. Taylor oparła się o maskę radiowozu, aby nie przeszkadzać.

- Wszystko w porządku? - spytała nagle pobladłą przyjaciółkę.

Sam pokiwała głową.

- Ze mną tak, ale wypadek był koszmarny. Kobieta w X5 kompletnie zmiażdżyła audi, zupełnie jakby przejechała po nim czołgiem. Kierowca i pasażerowie zginęli na miejscu. Z prawa jazdy wynika, że audi prowadziła Tina Young. Dzieci miały na imię Meredith i Jason, tak są podpisane ich plecaki. Chodziły do podstawówki. Siła uderzenia oderwała matce głowę. Przynajmniej mogę zapewnić resztę rodziny, że ich bliscy zginęli w ułamku sekundy.

- Kim była ta dziewczyna z X5?

- Whitney Connolly. Nie zapięła pasów, pofrunęła nad poduszką powietrzną i na wylot przebiła przednią szybę.

Taylor drgnęła, jakby przeszył ją prąd.

- Whitney Connolly? Dziennikarka z Kanału Piątego?

- Ta sama.
- Och, lada moment zwałą się tutaj tłumy reporterów. Co mam robić?
- Postaraj się ich na jakiś czas unieszkodliwić, muszę jeszcze dopilnować kilku spraw. Ludzie z Kanału Piątego od razu rozpoznają jej terenówkę.
- Mogę potwierdzić, że reporterka zginęła?
- Tak, ale rozmawiaj tylko z Kanałem Piątym. Powinni o tym wiedzieć.

Lekarka pośpiesznie powróciła na miejsce wypadku i zajęła się przykrywaniem zwłok żółtym brezentem.

Taylor przeszła na drugą stronę ulicy, zablokowanej przez umundurowanych funkcjonariuszy, którzy mieli za zadanie przepuszczać tylko samochody dziennikarzy. Zza zakrętu wyjechał pierwszy z nich, a Taylor z ulgą zauważyła na nim logo Kanału Piątego. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że ta sama stacja dysponuje wiadomościami o Słotniku. Zacisnęła zęby i pomachała ręką, żeby auto zjechało na krawężnik.

Od razu rozpoznała reporterkę i jej kamerzystę. Na szczęście nie była to Edith. Inna sprawa, że dziewczyna była niewiele lepsza: w przeszłości Taylor wielokrotnie miała z nią do czynienia i wiedziała, że jest równie wścibska i bezczelna, jak jej koleżanki z pracy. Musiała działać szybko i stanowczo, aby dziennikarka jej nie zignorowała. Ruchem dłoni nakazała kierowcy otworzyć okno i wpakowała głowę do samochodu.

- Tommy. Stacy. Miło was widzieć.

- Odkąd to nasz widok sprawia pani przyjemność, pani porucznik? I co pani tu robi? Myślałam, że to wypadek.

Stacy Harper była zgrabną blondynką w okularach z sztykretowymi oprawkami. Rok wcześniej została podkupiona z Kanału Drugiego. Znała Nasłwille i podobno spotykała się z jednym z futbolistów z Tennessee Titans. Nic dziwnego, miała w sobie coś, co przyciągało uwagę mężczyzn.

- Fakt, to wypadek, ale powinniście o czymś wiedzieć.

- Pani porucznik, zależy nam na czasie. Zdjęcia powinny się ukazać w popołudniowych wiadomościach. Ejże, czyżby chciała pani złożyć wyjaśnienia w sprawie Słotnika?

- Stacy, daj spokój. Skup się. W zderzeniu uczestniczyła Whitney Connolly. Jej bmw uderzyło w inny samochód, zabijając trzy osoby.

Stacy zaświeciły się oczy. Skandal miał szansę znacznie zwiększyć oglądalność programu.

- Zamkniecie ją za nieumyślne zabójstwo? Była pijana? Dzwonię do wydawcy, spadnie z krzesła. - Sięgnęła po telefon i dopiero wtedy dostrzegła spojrzenie policjantki. - Chyba nie chce pani powiedzieć... - wymamrotała.

- Niestety. Chyba rzeczywiście powinnaś zadzwonić do wydawcy, żeby twoja stacja poczyniła odpowiednie kroki.

Tommy i Stacy popatrzyli po sobie. Szykował

się niełatwy dzień. Oboje natychmiast zabrali się do wystukiwania numerów na swoich komórkach.

Taylor odsunęła się od furgonetki w chwili, gdy podjeżdżał samochód Kanału Czwartego, a z West End wylaniał się następny wóz reporterski. Machnęła ręką, aby ponaglić Tommy'ego i Stacy, po czym ruszyła na spotkanie z następnymi dziennikarzami. Pojazd wyhamował, a Taylor od razu się zorientowała, że nowo przybyli wiedzą, co się stało. Laura McPherson, ładna brunetka, zdaniem Taylor jedna z inteligentniejszych osób w swojej branży, wyskoczyła na chodnik i podeszła prosto do niej. Taylor przygotowała się na najgorsze.

- Czy to prawda, że w wypadku zginęła Whitney Connolly?

Taylor otworzyła usta, aby oświadczyć, że nie zamierza się wypowiadać, lecz Laura uniosła dłoń.

- Nie będziemy filmowali, więc może się pani odprężyć - oświadczyła. - Słyszeliśmy, że zginęła Whitney oraz trzy inne osoby. Ktoś z miejsca wypadku dał nam cynk. Podobno rozpoznał Whitney, zanim ją przykryli.

Taylor jeszcze nigdy nie sparzyła się w relacjach z Laurą, której materiały były rzetelne i zgodne z prawdą. Inni policjanci również cenili sobie kontakty z nią - jak dotąd.

- Z nikim innym bym o tym nie rozmawiała, ale z tobą mogę, Lauro - zdecydowała Taylor w końcu. - Whitney Connolly rzeczywiście nie żyje. Co teraz zamierzasz zrobić?

- Porozmawiam z wydawcą, rzecz jasna. Whit-



ney była znaną i szanowaną w środowisku dziennikarką. Jestem pewna, że nikt nie zdecyduje się na filmowanie miejsca tragedii. Podziwiałam ją.

Laura znikła w furgonetce. Zjeżdżały się także inne samochody lokalnych oddziałów ABC, CBS, NBC i Fox, lecz wszyscy zachowywali nietypowy spokój - nie rozwijali kabli, nie ustawiali anten satelitarnych, nie sporządzali notatek. Taylor pomyślała, że jej koledzy w taki sam sposób oddają cześć swoim zmarłym. Na czas żałoby zapomina się o wzajemnej niechęci, o strachu i o złości.

Policjantka wróciła do Sam, wciąż poblądłej. Na rękawie lekarki widniała czerwona smuga.

- Ubrudziłaś się krwią - zauważyła Taylor. Zaskoczona Sam popatrzyła na rękę.

- Hm, rzeczywiście - przyznała. - Niezdara ze mnie. Nie szkodzi, spierze się. Co z dziennikarzami?

- Postanowili powstrzymać się od filmowania. Są wstrząśnięci, zastanawiają się, jak zaprezentować wiadomości, aby nie poruszyć całego miasta. Przynajmniej dzisiaj nie zachowują się jak stado sępów. Nie musisz się nimi przejmować.

Sam uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Dzięki. Teraz muszę jechać do kostnicy.

- A ja do biura. Głowa mi pęka, wezmę aspirynę. Mam nadzieję, że chłopcy rozwiązali wszystkie moje sprawy, więc będę mogła uciąć sobie godzinną drzemkę.

- Pozdrów ode mnie Baldwina. - Sam uścisnęła Taylor i poszła do samochodu.

### ***Rozdział dwudziesty trzeci***

Baldwin stał w pełnym słońcu i osłaniał oczy, aby lepiej widzieć zwłoki oraz kręcących się wokoło ludzi. Każda osoba na miejscu przestępstwa miała określone zadanie do wykonania, ale wszyscy razem wyglądali jak mrówki na pikniku, biegające bez ładu i składu.

Baldwin przeszedł pod żółtą taśmą i założył okulary przeciwsłoneczne, aby nie mrużyć oczu. Podeszedł nieco bliżej do martwej, niegdyś pięknej kobiety. Marni była naga, leżała na plecach, z rękami rozpostartymi na boki. Morderca pozbawił ją dłoni, ale na tym kończyły się podobieństwa z wcześniejszymi zbrodniami. Baldwin słusznie zakładał, że zabójca się rozkręca i staje coraz brutalniejszy.

Spojrzał na twarz ofiary. Wykonane nożem nacięcia tworzyły głęboki na trzy centymetry, krzyżujący się wzór od czoła do brody. Takie rany zadaje człowiek ogarnięty szałem. Baldwin zastanawiał się, czym Marni rozwścieczyła napastnika.

Dotąd morderca uwodził ofiary, tym razem mogło być inaczej.

Nogi dziewczyny były skrzyżowane w kolanach, delikatną prawą kostkę otaczał łańcuszek. Baldwin pomyślał, że złoty drobiazg bardziej przypomina pęta niż ozdobę. Kilka metrów od ciała Marni utworzono drugą strefę badań. Leżała tam blada dłoń, częściowo zakryta przez wysoką trawę. Miejscowi policjanci wiedzieli, czego szukać, i szybko znaleźli rękę. Dlaczego morderca zaczął pozostawiać dłonie z dala od zwłok? Baldwin uświadomił sobie, że lista pytań i wątpliwości związanych z psychiką zabójcy staje się coraz dłuższa.

Powiał wiatr. Baldwin ze zdziwieniem dostrzegł ścianę czarnych chmur, nadciągających z zachodu i przetaczających się nad górami. Pomyślał, że powinien się pośpieszyć, aby uniknąć deszczu. Zanosiło się na nawałnicę.

Odwrócił się i popatrzył na Grimesa, który od otrzymania informacji o znalezieniu zwłok wyglądał coraz gorzej. Nawet teraz, zamiast towarzyszyć Baldwinowi przy oględzinach, usiłował osłonić twarz przed reflektorami furgonetki reporterskiej. Grimes niewątpliwie musiał odpocząć, ale w najbliższym czasie raczej nie miał na to szans. Morderca pozostawał na wolności i wykazywał coraz większą aktywność.

Baldwin raz jeszcze rzucił okiem na Marni Fischer i chciał wrócić do Grimesa, lecz zatrzymał go nieznamy głos.

- Czy wreszcie możemy ją zabrać, panie agencie? - spytał ktoś z nieskrywanym sarkazmem.

Baldwin odwrócił się do tęgiego, młodego sierżanta o rudych włosach i wielkich dłoniach zaciśniętych w pięści. Lokalni stróże prawa często się denerwowali, kiedy FBI wkraczało na ich terytorium. Potrafił zrozumieć wynikającą z tego frustrację. Federalni dosłownie podbierali policjantom sprawy, Baldwin sam tak zrobił, kiedy poznał Taylor. Ponownie spojrzął pytająco na Grimesa, lecz agent tylko pokręcił głową. Baldwin nagle poczuł całkiem mocne szturchnięcie. Rudy stał w wyzywającej pozie, z rękami na biodrach. Baldwin odsunął się o kilka kroków i zwichrzył gęste włosy, które w rezultacie zaczęły sterczeć na wszystkie strony. Czuł, jak narasta w nim frustracja. Postawa sierżanta utrudniała mu pracę.

- Pytałem, czy możemy ją zabrać. - Słowa policjanta zabrzmiały agresywnie.

- Niech mi pan coś powie, sierżancie - odezwał się cicho Baldwin. Policjant spojrział na niego podejrzliwie. - Jak pan myśli, czy została upozowana, czy zwyczajnie porzucona w tym miejscu?

Policjant podrapał się po głowie.

- To chyba jasne, że została upozowana. A co, nie uczyli pana takich rzeczy tam, skąd pan pochodzi, panie agencie ef bij jaj?

Baldwin uśmiechnął się ze smutkiem.

- Sierżancie, czy zdarzyło się już panu widzieć zwłoki wyrzucone z samochodu?

- Pewnie. Całe mnóstwo. Trup się przetacza

i ląduje na plecach, z rękami wyciągniętymi na boki... Och...

- No właśnie. Może jeszcze raz zerknie pan na ofiarę?

Sierżant bez pośpiechu obszedł zwłoki. W jego ustach magicznym sposobem pojawiła się wykałaczka. Po chwili splunął i odwrócił się od dziewczyny.

- Moim zdaniem, ktoś ją wyrzucił z samochodu.

- A czy zauważył pan ślady opon, aby poprzeć tę teorię?

- Nie, proszę pana. Kiedy przyjechaliśmy, nie widzieliśmy odcisków opon.

Baldwin zwrócił uwagę na nagłe złagodzenie tonu rozmówcy i przestał się nad nim znęcać.

- A zatem możemy bezpiecznie założyć, że morderca zaparkował na drodze, przeniósł tutaj zwłoki i odpowiednio je ułożył, prawda?

Sierżant zmrużył oczy.

- Bawi się pan ze mną w kotka i myszkę, tak?

- Nie, bynajmniej. Gdy w grę wchodzi śmierć, nie ma miejsca na zabawę. Chciałem tylko, aby wziął pan pod uwagę także inne opcje. - Baldwin zauważył, że Grimes przywołuje go ruchem ręki. Nadszedł czas, aby przewieźć zwłoki do kostnicy. - Niech pan wezwie swoich ludzi, pora ją zabrać. Poza tym zanoszą się na deszcz.

Odszedł, zastanawiając się, czy sierżant wyciągnie wnioski z udzielonej mu lekcji. Po chwili sięgnął po telefon i wybrał zapisany w pamięci numer.

- Co jest? - warknął głos po drugiej stronie.

- Witaj Garrett, tutaj Baldwin. Jestem w Ro-anoke.
- Ten sam gość?
- Na to wygląda. Czy masz już gotowy profil geograficzny mordercy?
- Nie, dane są w trakcie przetwarzania. Sam rzuciłem okiem na mapę i moim zdaniem jesteś na dobrym tropie. Problem z tym oprogramowaniem jest taki, że do osiągnięcia precyzyjnych rezultatów należy wprowadzić co najmniej osiem punktów. Z tego względu wynik będzie niedostatecznie precyzyjny. Lepiej wierz we własne siły.
- Jasne. Gdyby jednak komputer coś wskazał, zadzwoń do mnie. Na razie mamy wielkie nic. Problem się nasila, Garrett. Morderca odciął dziewczynie dłonie, jak pozostałym, ale do tego mocno pokaleczył jej twarz. Nie stara się nas wprowadzić w błąd, nie odcina dłoni po to, by utrudnić identyfikację ciała. On je po prostu zbiera. Z całą pewnością przemyślał tę zbrodnię, ułożył dziewczynę, jak pozostałe, ale coś się zmieniło. Porusza się zbyt prędko, zbyt szybko zmienia stany. Przygotowuje się do czegoś, i powiadomi nas, kiedy będzie gotowy. Ile jeszcze dziewczyn zginie, zanim ten człowiek zrealizuje swój plan? Westchnął i ponownie rozczochrał włosy.
- Wobec tego proponuję, abyś jak najszybciej ruszył sprawę z miejsca, Baldwin.
- Robię, co się da. Teraz jadę wziąć udział w sekcji. Sprawdzę, czy...

- Wiem - przerwał mu Garrett. - Ruszaj robić swoje.

Baldwin westchnął i podszedł do Grimesa.

- Jedziesz ze mną do kostnicy? Patolog zgodził się od razu przeprowadzić sekcję.

- Jedź sam - mruknął Grimes. - Ja zostanę i jeszcze raz obejrzę to miejsce, zanim deszcz spłucze wszystkie ślady.

Baldwin skinął głową i rozejrzał się w poszukiwaniu rudego sierżanta. Po godzinie miał już na sobie fartuch i gumowe rękawiczki. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz Rusty Sampson - miła, młoda lekarka patolog - odezwała się pierwsza.

- No tak - westchnęła.

- Co „no tak”, pani doktor?

- Walczyła z napastnikiem, i to z całych sił. Widać sińce na przedramionach, to znak, że stawiała opór. Ma też guza na głowie, zapewne znajdziemy tam krwiak podtwardówkowy. Solidnie oberwała, pewnie nawet straciła przytomność. Do tego dochodzi pęknięcie kości gnykowej.

- Udusił ją przed okaleczeniem twarzy czy po zadaniu ran?

- Na rozcięciach znajdują się zakrzepy, musiały powstać *perimortem*. Za to dłonie zostały odcięte po śmierci. Sukinsyn koszmarnie się znęcał nad biedaczką.

- Zgwałcił ją?

- Nie wiem, czy można mówić o gwałcie, ale proszę spojrzeć, co w niej znalazłam. -

Podniosła płytkę Petriego z małym obiektem, który wyglądał

jak przezroczysty kawałek skóry. - To fragment prezerwatywy, oderwany ze zrolowanej części. Morderca zostawił go we wnętrzu ofiary. Chyba nie ma na nim nasienia, ale rzecz jasna prześlę go do badań. Zauważyłam też wewnętrzne otarcia, być może morderca zgubił prezerwatywę i postanowił ją odnaleźć. Prezerwatywy nie są tak solidne, jak by się zdawało, można je z łatwością rozerwać paznokciem.

- Ciekawe... - Baldwin się cofnął. Może zabójca zauważył, że prezerwatywa się ześliznęła, więc postanowił ukarać ofiarę. Mógł się przestraszyć, że zostanie zidentyfikowany. - Czy zdoła pani określić przybliżony czas śmierci?

- Gdy została znaleziona, nie żyła już od osiemnastu do dwudziestu czterech godzin. Larwy w nadgarstkach, świeżo wylęgnięte owady w innych otworach na ciele... Przy takim upale muchy rozwijają się szybko.

- Dziewczyna zaginęła zaledwie dwa dni temu. - Morderca nie zasypiał gruszek w popiele. Pojmał ofiarę, zabił ją, szybko wywiózł i porzucił. - Jest jeszcze coś?

- Nie. Musimy poczekać na wyniki badań toksykologicznych.

- Jasne. Dziękuję, pani doktor. Proszę dać mi znać, jeśli dowie się pani czegoś ciekawego. Baldwin opuścił kostnicę i postanowił jak najszybciej skontaktować się z Grimesem, aby przekazać mu wieści.



### ***Rozdział dwudziesty czwarty***

Zamieszanie wokół ostatniej ofiary Slotnika przybrało monstrualne rozmiary. Niemal wszyscy w policji wiedzieli, że chodzi o ich koleżankę, a nazwisko Betsy często przewijało się w spekulacjach. Po wielokrotnie powtarzanych groźbach media zgodziły się nie ujawniać tożsamości ofiary, ale i tak bez końca nadawały programy poświęcone gwałcicielowi.

Tymczasem Lincoln Ross i Marcus Wade zgodnie z poleceniem służbowym prowadzili śledztwo, którego najważniejszym elementem było przesłuchanie wcześniejszej ofiary Slotnika.

Inspektorzy zatrzymali nieoznakowany radiowóz przed małym, parterowym domem z lat czterdziestych. Z budynku złaźła farba, podwórze było pyliste i pozbawione trawy. Marcus się rozejrzał i powiedział głośno to, co także Lincolnowi przyszło do głowy.

- Ta kobieta ani trochę nie pasuje do pozostałych, co?

Lincoln przytaknął w milczeniu. Sześć ofiar przestępcy mieszkało w pięknych, starannie utrzymanych domach na zamkniętych osiedlach. Nawet dom Betsy Garrison znajdował się w modnej okolicy.

Policjanci wysiedli z auta i od razu zauważyli pędzącego ku nim tłustego beagle'a. Merdając ogonem, podbiegł do Lincolna, który natychmiast kucnął i zaczął głaskać zachwyconego czworonoga.

- Wally! - rozległ się kobiecy głos, dobiegający spoza zainstalowanej na framudze drzwi siatki przeciwko owadom. - Dostyc tych poufałości!

Inspektorzy popatrzyli po sobie. Lincoln wzruszył ramionami, poklepał psa na pożegnanie i wszedł na zapuszczony ganek. Gdy gwałtownie załomotał w drzwi, do jego nozdrzy dotarł lekki zapach marihuany.

- Policja! - zawołał.

W domu rozległ się stukot i po chwili na progu stanęła wyraźnie zmęczona kobieta o zlepionych w strąki, brązowych włosach. Miała przekrwione oczy, lecz poza tym nie zdradzała żadnych objawów upojenia.

- Co jest? - warknęła. Lincoln uśmiechnął się uprzejmie.

- Pani Lucy Johnson?

- Nic nie zrobiłam.

- Chcielibyśmy porozmawiać o przestępstwie, które pani zgłosiła. Chodzi o, hm, gwałt. - Lincoln spojrzał błagalnie na partnera, oczekując od niego

wsparcia, lecz Marcus był niesłychanie zajęty drapaniem psa po brzuchu. Lincoln zacisnął usta, a Lucy Johnson się skrzywiła, jakby lada moment miała wybuchnąć płaczem. Zdesperowany Lincoln zawołał Marcusa, który w końcu zostawił zwierzę w spokoju i podszedł do drzwi.

- Pani Johnson, musimy...

- Jestem panną.

- Słucham?

- Proszę się do mnie zwracać „panno Johnson” - wyjaśniła Marcusowi i posłała mu uroczy uśmiech.

Kątem oka zerknął na Lincolna. Najwyraźniej panna Johnson nie przepadała za wielkimi, czarnoskórymi mężczyznami w drogich garniturach.

- Czy możemy wejść, panno Johnson? Nerwowo zerknęła za siebie.

- Nie, lepiej nie. Straszny bałagan - wymamrotała i wyszła na zewnątrz.

W świetle dnia prezentowała się jeszcze gorzej niż w cieniu. Jej włosy wyglądały na wyjątkowo brudne, ale przynajmniej mogła się pochwalić zgrabnymi nogami, których długość podkreślały krótkie szorty. Marcus poszedł za nią na zaniedbane podwórko, pozostawiając na ganku Lincolna, żeby nie denerwował panny Johnson swoją obecnością.

- Wszystko już opowiedziałam jednej babce od was. Chyba mi nie uwierzyła - poskarżyła się.

- Czemu tak pani sądzi?

- Zadzieriała nosa, zupełnie jakby uważała się

za lepszą od innych. Właściwie dlaczego sama się do mnie nie pofatygowała?

- Inspektor Garrison miała wypadek. Przejęliśmy śledztwo na czas jej rekonwalescencji.

Lucy osłoniła oczy przed słońcem.

- Bardzo ucierpiała?

- Dojdzie do siebie. Wracając do tematu, inspektor Garrison wspomniała, że potrafiłaby pani zidentyfikować sprawcę.

- Właściwie niezupełnie zidentyfikować - odparła z wahaniem. - Po prostu wydał mi się znajomy.

Marcus potarł brodę, jakby chciał sprawiać wrażenie przejętego.

- Rozumiem. Nie chce pani wskazać niewłaściwej osoby. Proszę mi powiedzieć, gdzie mogła go pani wcześniej widzieć?

- Hm... Wszędzie. Po prostu w każdym miejscu, w którym bywam. Na stacji benzynowej, gdzie chodzę na kawę, na treningu, w sklepie spożywczym.

- Czy on panią śledzi?

- Skąd. Nawet nie wie, że go rozpoznaję. Zwróciłam uwagę na jego ręce. Nic poza nimi nie widziałam, miał zakrytą twarz i włosy. Ale ręce wyglądały na silne i muskularne. Bardzo mocno mnie przytrzymał. Ciągle mam je przed oczami. - Głos uwiązł jej w gardle, ale miała suche oczy.

- Czy zna pani jego nazwisko? Pokręciła głową.

- Nie - westchnęła.

- A może pamięta pani jakiś istotny szczegół z jego zachowania? Sposobu mówienia?

- Nic. Nie wiem, kim on jest, ale poznaję samochód, którym jeździ - oświadczyła z chytrym uśmiechem.

Marcus i Lincoln popatrzyli po sobie. Być może nadszedł przełomowy moment w śledztwie. Marcus podszedł do Lucy i położył jej dłoń na ramieniu. Nie odskoczyła, nawet się nie obruszyła, tylko spojrzała na rękę policjanta, jakby nigdy wcześniej nikt jej nie dotykał. Po chwili popatrzyła mu prosto w oczy.

- To nieoznakowany radiowóz. Mężczyzna, który mnie zgwałcił, jest gliną.

### ***Rozdział dwudziesty piąty***

Christina Dale budziła się powoli. Z trudem odzyskiwała świadomość. Miała barwne sny i wcale nie śpieszyło jej się do rzeczywistości. Zawsze gdy śniły się jej rodzinne strony, budziła się zadowolona i przekonana, że czekają wspaniały dzień.

Poruszyła się leniwie i nagle uświadomiła sobie, że jej ciało nie wykonuje poleceń mózgu.

Znieruchomiała. Z pewnością jeszcze nie wytrzeźwiała po wczorajszych wyczynach.

Takie rzeczy się zdarzały, zwłaszcza jej. Niekiedy budziła się pijana, do tego chętnie eksperymentowała z narkotykami, bez trudu osiągalnymi wśród młodzieży z col-lege'u.

Ogłupiające prochy sprawiały, że następnego dnia była kompletnym flakiem.

Usiłowała wyciągnąć ręce, aby rozmasować nogi, i nagle szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Stało się coś bardzo niedobrego. Ręce i nogi miała spętane sznurem. Poczowała momentalny przyływ adrenaliny. Sznur boleśnie wrzynał się jej w żebra,

nie mogła poruszyć rękami nad głową. Szarpnęła, lecz powrozy tylko się zacieśniły.

- Co, do cholery... - jęknęła.

Nagle odzyskała pamięć. Leniwy uśmiech, czarne, gęste włosy, przenikliwe spojrzenie kobaltowych oczu. Mama wielokrotnie ją ostrzegała, że jest zbyt ufna i że źle skończy, jeśli będzie wskakiwała do łóżka pierwszemu lepszemu. Ale która dziewczyna oparłaby się takiemu przystojniakowi jak ten z baru?

Rozejrzała się po pokoju. Jak daleko się posunęli wczoraj wieczorem? Kazała się związać?

Nie stroniła od urozmaiceń w seksie, pochodziła z małego miasteczka i wszelkie nowości ją pociągały. Może ten facet, jak mu tam, po prostu zrobił swoje i sobie poszedł?

Zorientowała się, że leży na łóżku w motelu. Na jednej z białych ścian wisiał tandetny landszaft w pomarańczowo-żółtej tonacji. Na szafce stał telewizor z komisum. Była sama.

Całkiem sama i związana.

Nagle usłyszała szum splukiwanej wody w sedesie i odetchnęła z ulgą. Po ścianie przesunął się cień, a z łazienki wyłonił się mężczyzna. Ten sam co wczoraj, rozczochrany i nagi, i jeszcze bardziej seksowny, niż zapamiętała.

- Witaj, skarbie - powiedziała. - Rozplącz mnie, co? Moglibyśmy zacząć od nowa.

Uśmiechnął się, ale ani drgnął. Obserwował ją z satysfakcją kota, który bawi się upolowaną myszą.

- Poważnie, koleś, rozwiąż mnie. To boli. Jeszcze zanim ujrzała nóż, uświadomiła sobie, że mężczyzna nie zamierza jej uwolnić. Już miała wrzasnąć, kiedy błyskawicznie zalepił jej usta taśmą samoprzylepną. Rozpaczliwe wrzaski ugrzęzły w gardle Christiny. Mężczyzna przestał się uśmiechać i powoli pogłaskał ją po policzku czubkiem noża. Wypowiedział tylko jedno słowo, ostatnie, które dotarło do jej uszu.

- Zegnaj.



### ***Rozdział dwudziesty szósty***

Taylor siedziała w gabinecie, czekając na Lincolna oraz Marcusa, którzy lada moment powinni wrócić z przesłuchania domniemanej poprzedniej ofiary Słotnika. Miała ochotę pogadać z Baldwinem, ale utkwiała po uszy w sprawie seryjnego mordercy.

Powoli kończyła sporządzać zaległe raporty, kiedy do pokoju wszedł Fitz, a zaraz po nim Marcus i Lincoln.

- Wszystko dobrze? - spytał Fitz od progu. Zaskoczona popatrzyła na niego.

- U mnie owszem. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz, jakbyś zaczynała chorować, i tyle. To chyba nic zaraźliwego?

Taylor wzruszyła ramionami.

- Bez obaw, nic mi nie jest. Miałam ciężką noc.

- Chcesz teraz wysłuchać, czego chłopaki dowiedziały się o Słotniku?

Skinęła głową.

- Tak, chętnie, ale przejdźmy do sali konferencyjnej. Nie lubię tłoku.

Ruszyła przodem do dużego pomieszczenia, a gdy wszyscy znaleźli się w środku, starannie zamknęła drzwi na klucz.

- Słucham - oświadczyła. - Marcus i Lincoln, wy pierwsi.

Lincoln rozparł się w krzesło i otworzył notatnik.

- Rozmawialiśmy z ostatnią, siódmą w kolejności ofiarą Słotnika, Lucy Johnson, która wcześniej powiadomiła Betsy, że rozpoznała poszukiwanego. Po kilku dniach Lucy nie była nawet pewna, czy w ogóle chciałaby kogoś wskazać. Marcus ją oczarował, jak to ma w zwyczaju, i przekonał, że powinna mówić, więc mówiła. Wówczas pojawiły się problemy. Jej zdaniem, chodzi o faceta, który ćwiczy na tej samej siłowni, co ona. Poza tym widuje go na mieście, na stacji benzynowej, w spożywczym. Innymi słowy, koleś jest miejscowy. Zbyt miejscowy.

Taylor popatrzyła na niego.

- Czy twoim zdaniem Lucy jest wiarygodna? Lincoln pokręcił głową.

- Wiemy, że facet działa na określonym obszarze. Oddalił się od niego całkiem sporo, żeby dotrzeć do Betsy we wschodnim Nashville. Do wszystkich pozostałych gwałtów doszło w zachodnich i południowych rejonach miasta, w Bellevue, Forest Hills, Franklin i Brentwood.

- Gdzie mieszka Lucy Johnson? - przerwała mu Taylor.

- W południowym rejonie okręgu Davidson, nieopodal międzystanowej setki, która otacza okręg Williamson.

- Do której siłowni chodzi?

- Do klubu kierowanego przez YMCA w Maryland Farms. - Lincoln przeszukał notes. - Co najmniej trzy z pozostałych ofiar bywały w tej siłowni. Istnieje więc związek między nimi. Chyba potrafię zrozumieć, dlaczego Betsy się ożywiła na wieść o tym, że chodzi o znajomego Lucy z siłowni.

- Znajomego jak znajomego. Rozpoznała go? Marcus uśmiechnął się półgębkiem.

- W tym sęk - mruknął. - Ona ćwiczy na bieżni i rowerku, on najwyraźniej macha sztangą i hant-lami. Na pewno nie widziała jego twarzy, więc nie mamy jak ruszyć sprawy z miejsca. Rozpoznała tylko jego rękę.

Taylor zerknęła do teczki i przejrzała zeznania świadków.

- Mięśniak? Podobno był szczupłej budowy ciała - zauważyła z powątpiewaniem.

- Szczupły, niewysoki, ale muskularny i silny. Tak to ujęła Lucy Johnson.

- Rozpozna go podczas okazania? - odezwał się milczący dotąd Fitz.

- Nie pamięta twarzy - podkreślił Marcus. - Podobno umiałyby rozpoznać jego rękę, ciało, sposób chodzenia. Poza tym utrzymuje, że od dawna nie widziała go na siłowni.

Podsumowując, musimy zabrać rejestr członków klubu, prześwietlić ich

wszystkich, a na koniec kazać im ściągnąć koszule, ustawić ich w szeregu i zaprezentować Lucy. To jedyny sposób.

Taylor przygryzła wargę.

- Przecież Lucy podobno spotykała go na mieście.

Marcus i Lincoln wymienili spojrzenia.

- Ludzie, wykrztuście to wreszcie - zniecierpliwiła się. - O co chodzi?

Lincoln ledwie dostrzegalnie skinął głową Marcusowi.

- Kiedy Lucy go spotyka, gość nie ma na sobie stroju do ćwiczeń. Lucy uważa, że facet się maskuje. Jej zdaniem to jeden z naszych ludzi.

Taylor odłożyła teczkę na stół.

- Maskuje się? - powtórzyła. - Chodzi o to, że jest tajniakiem? A może po prostu nosi zwykłe ubranie?

- Lucy nie wie. Właściwie generalnie niewiele wie, ale podobno na sto procent widziała, jak wsiadał do białego caprice'a. Na stacji benzynowej rozpoznała sposób chodzenia jakiegoś gliniarza, więc sądzi, że to ten sam, który ćwiczy na jej siłowni i który do niej przyszedł, aby ją zgwałcić. Mało wiarygodne.

- Zna nazwisko tego policjanta?

- Nie, ale zupełnie spokojnie go opisała. Całkiem bez emocji. Jakoś sobie nie wyobrażam, że moglibyśmy kogoś zamknąć za to, jak chodzi. Poza tym ta cała Lucy Johnson nie wydaje się wzorem obywatelki, że tak powiem. Niewykluczone, że coś

jej się przywidziało. Gwałt bywa traumatycznym przeżyciem.

- Dziękujemy za fachowe wyjaśnienia. - Taylor uśmiechnęła się do niego. - Nie chcę nic przeoczyć. Proponuję pogadać z Betsy, może ona ma jakiś pomysł. Zajmiesz się tym? Chyba dzisiaj ją wypisują, pojedziesz do niej do domu. Poza tym przypominam wam, chłopaki, że możecie być śledzeni. Nie chcemy, żeby dziennikarze rozbili obóz pod jej drzwiami, prawda?

- Pewnie, nie ma sprawy. - Marcus poprawił się w krześle. - Ciekawe, dlaczego facet atakuje tylko wtedy, gdy pada?

Taylor przez chwilę milczała, licząc na to, że ktoś się odezwie, lecz w końcu sama odpowiedziała Marcusowi.

- Bo deszcz zmywa jego grzechy. Nie wspominając o dowodach przestępstwa.

Wszyscy trzej policjanci przez chwilę przypatrywali się Taylor, po czym zgodnie pokiwali głowami. Wyjaśnienie zabrzmiało sensownie. Gdy Marcus i Lincoln wyszli, by porozmawiać z Betsy Garrison, Taylor dała Fitzowi znak, aby został.

- Jestem. Coś się stało? - spytał.

- Odwiedziła mnie Julia Page. Trochę ją martwi nasz przyjaciel Terrence Norton, który posiadał niezwykłą umiejętność wymykania się nam za każdym razem, gdy go wsadzimy za kratki.

- Fakt. Słyszałem, że jakiś oporny świadek zginął z rąk przyjeźdnego z Atlanty. Przybysz

kibluje teraz u nas, ale Atlanta się o niego upomina, bo podobno to kurier jednego z tamtejszych bossów narkotykowych. Chcą się z nim układać, i to jak najszybciej. Sama wiesz, że tacy faceci mają zwyczaj szybko umierać, gdy tylko ich szefowie poczują się zagrożeni.

- To prawda. Page chyba sądzi, że sprawa ma drugie dno. Jej zdaniem ściągnięto tu tego gościa do uciszenia świadka, który mógłby zmienić zdanie w sprawie zeznań. Według Page to Terrence wszystko zaaranżował.

- Niewykluczone. Terrence obrasta w piórka, nie sądziłem, że tak się rozwinie...

- Byłbyś łaskaw zająć się tym dla mnie? Sprawdź, jak silny stał się Terrence. Page marzy o tym, aby go przyskrzynić za przekupstwo albo zastraszanie.

Fitz wstał i przeciągnął się.

- Nie ma sprawy, pogadam z informatorami i sprawdzę, o czym się mówi na mieście. Powiem ci tyle, że Terrence coraz lepiej się chroni, prawdziwe kłopoty jeszcze przed nami.

- Wobec tego jak najszybciej zrób z nim porządek. Gangi i dilerzy mają się u nas całkiem nieźle, nie potrzebujemy następnego gracza na rynku. Działaj, byle dyskretnie. - Przez chwilę gryzła koniec ołówka. - Page uważa, że korupcja sięga bardzo głęboko. Aż do sędziego.

- Tym bym się nie martwił - prychnął Fitz. - Terrence nie ma aż takiej siły przebicia. Poza tym Hamilton był wściekły na Page, bo przysięgli

uwolnili Terrence'a od zarzutów. Podobno robił, co mógł, aby Page trafiła na bruk.

- Tak, słyszałam. Pogadaj z Page o świadkach i przysięgłych, daruj sobie rozmowę o sędzim. W każdym razie spróbuj trochę powęszyc.

- Jasne, słonko. Wolę się zajmować bandziorami, których znam. Dilerzy, alfonsi, normalna sprawa. Nienawidzę babraniny z seryjnymi mordercami.

Taylor porządkowała rzeczy, kiedy zadzwonił telefon.

- Porucznik Jackson.

- Witaj, Taylor. Mitchell z tej strony. Mam do ciebie prośbę.

- Jest pan moim przełożonym. Pańskie prośby to dla mnie rozkaz.

Jej przemądrzałe i jednocześnie ironiczne uwagi zawsze go bawiły. Tym razem również się uśmiechnął.

- To prawda, jestem twoim szefem, ale oboje wiemy, że sama wszystkim kierujesz. Jak rozumiem, byłaś na miejscu wypadku zaraz po śmierci Whitney Connolly?

- Owszem. Siedziałam z Sam na kawie w knajpie tuż obok, więc postanowiłam zobaczyć, co zaszło. Stało się coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Właściwie nic szczególnego. Chciałbym tylko, abyś pojechała do domu Quinn Buckley, siostry Whitney Connolly.

- Wiem, kim jest Quinn, przez parę lat chodziłam

z nimi do szkoły. Przeniosły się po wiadomym incydencie.

- Dawne czasy. Dziewczyny miały naprawdę ciężko. Teraz zginęła siostra bliźniaczka Quinn. Nawet wyglądały identycznie. Słyszałem, że bliźnięta są ze sobą dziwnie związane, nie tak, jak przeciętne rodzeństwo. Wracając do tematu, Quinn poinformowała nas, że Whitney usiłowała się z nią skontaktować. „Desperacko”, takiego słowa użyła. Może powinnaś wybrać się do Belle Meade i sprawdzić, co to oznacza.

- Chętnie. Ostatnio brakuje mi rozrywek. Na jakim etapie jest teraz sprawa bliźniaczek? Czy gość został warunkowo zwolniony?

- Nie. Siedzi i siedzieć będzie jeszcze przez pewien czas. Dlatego uważam, że problem dotyczy chwili obecnej, a nie tego, co minęło. Powiedz mi, jak ci idzie śledztwo w sprawie gwałtów?

- Lincoln i Marcus przesłuchali ofiarę, która uznała, że zna sprawcę, ale marne z niej źródło informacji. Ciekawe tylko, że jej zdaniem przestępcą jest policjant.

Zapadła cisza.

- Twoim zdaniem to możliwe? - spytał w końcu Mitchell. - Jeśli to któryś z naszych, może być źródłem przecieku.

- Trudno powiedzieć, kapitanie, ale myślę, że jeszcze za wcześnie na tak daleko idące wnioski. Wciąż wierzę, że przeciek nastąpił poza budynkiem. Lincoln i Marcus zajmują się sprawą, po prostu skieruję ich na rozmowę do Betsy. Wszystko wyjaśnimy, obiecuję. Rozłączyli się, a Taylor zebrała resztę rzeczy. Następnie wyszła tylnymi drzwiami, wsiadła do auta, ruszyła w kierunku Broadwayu i skręciła w prawo, w stronę West End.



Od dawna nie myślała o sprawie bliźniaczek Connolly. Do zdarzenia doszło, gdy miała zaledwie trzynaście lat, a wówczas rodzice nie chcieli jej wtajemniczać we wszystkie szczegóły. Bali się, że ją wystraszą. Mimo to docierały do niej pogłoski, podobnie jak do wszystkich dzieci w mieście. Choć znała ogólne informacje, na temat detali mogła tylko spekulować.

Pewnego popołudnia siostry Connolly zaginęły bez wieści, wracając ze szkoły do domu. Obie uczęszczały do Harpeth Hall, ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt w Belle Meade. Znajdowała się niedaleko domu bliźniaczek, obie chodziły na lekcje pieszo lub dojeżdżały na rowerach. Okolicę uważano za bezpieczną, więc nikt nie zakładał, że mogłaby spotkać je krzywda. Dziewczynki nie wróciły do domu, więc wieczorem rodzice powiadomili policję. W tamtych czasach media nie były jeszcze tak prężne jak obecnie i dziennikarze nie dotarli do szczegółów sprawy. Taylor nie zauważyła, aby w telewizji lub prasie pojawiła się choćby wzmianka o zdarzeniu. Dziewczynki zniknęły, ale znalazły się parę dni później. Udało im się uciec porywaczowi, niejakiemu Nathanowi Chase'owi. Jak oficjalnie

ogłoszono, bliźniaczki wróciły całe i zdrowe. Plotki mówiły co innego. Pojawienie się sióstr Connolly w liceum, do którego uczęszczały także Taylor i Sam, wywołało tylko nieznaczne poruszenie. Dziewczynki powitano z otwartymi ramionami i w rozmowach nigdy nie wracano do dramatu. Przynajmniej pozornie. Ludzie powtarzali niepotwierdzone pogłoski i milkli, jeśli w pobliżu pojawiał się ktoś z rodziny Connolly. Mimo to bliźniaczki były akceptowane towarzysko, zapraszane na imprezy. Spotykały się z najatrakcyjniejszymi chłopakami, zbierały najlepsze stopnie i cieszyły się dużą popularnością. Skandal, który mógł im zaszkodzić, ogromnie im pomógł. Letnie niebo pociemniało, zanosilo się na popołudniową burzę. Taylor otworzyła szyberdach, aby odetchnąć chłodnym powietrzem, zwiastującym ulewę. Wkrótce dotarła do Belle Meade i bramy z kutego żelaza, za którą mieściła się posiadłość Quinn Buckley. Zahamowała przed małą skrzynką na wysokości okna samochodu i wystawiła głowę na zewnątrz.

- Taylor Jackson na spotkanie z panią Buckley.

Nie usłyszała odpowiedzi, ale masywna brama drgnęła i powoli się uchyliła. Taylor wjechała na wąską drogę dojazdową i wkrótce zza zakrętu wyłonił się budynek, wielki nawet jak na standardy obowiązujące w Belle Meade. Dwupiętrowy dom z kolumnami i przestronnym gankiem zaprojektowano w stylu kolonialnym i zbudowano z po-

starzanej cegły. Z dachu sterczały cztery kamienne kominy, po obu stronach głównej części budowli rozciągały się szerokie skrzydła. Taylor zauważyła oddzielny garaż z porośniętym bluszczem przejściem do wschodniego skrzydła.

Zaparkowała przed fontanną nawiązującą do włoskiego renesansu i pomyślała, że cała posiadłość wydaje się ostentacyjnie luksusowa. Po chwili zadzwoniła do drzwi i znieruchomiała w oczekiwaniu. Gdy zaczynała się już niecierpliwić, ozdobne, podwójne drzwi się otworzyły i stanęła w nich Quinn Buckley.

Nie widziały się od dawna. Gdyby Taylor choć trochę interesowała się lokalnymi czasopismami dla wyższych sfer, z pewnością od razu rozpoznałaby Quinn Buckley. Teraz jednak zobaczyła przed sobą twarz Whitney Connolly i dopiero po chwili nabrała pewności, że to Quinn. Z bliska dostrzegła kilka drobnych różnic. Quinn nie miała tak kobiecych kształtów jak Whitney. Jej usta, choć wyraźnie zarysowane, wydawały się węższe i mniej wydęte. Taylor od razu przyszło do głowy, że Whitney musiała pozostawić sporo pieniędzy w gabinetach chirurgów plastycznych.

Quinn Buckley zdawała się na wszystkie sposoby podkreślać, ile ma pieniędzy. W dzinsach i kowbojkach Taylor czuła się trochę jak uboga krewna, lecz przypomniawszy sobie, po co przyszła, wyprostowała się i dumnie uniosła głowę.

Quinn wyciągnęła do niej drobną, wypielegnowaną dłoń.

- Pani porucznik Jackson?

Nawet jej głos nie przypominał głosu Whitney. Był łagodniejszy i wyższy, a w dodatku zdecydowanie należał do osoby z południa Stanów.

Taylor uścisnęła jej dłoń i pokiwała głową.

- We własnej osobie. Jak się pani miewa, pani Buckley? Nie widziałyśmy się od ładnych paru lat. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. Ogromnie lubiałam pani siostrę.

Quinn na moment zacisnęła usta, ale uśmiechnęła się wielkodusznie.

- To zrozumiałe - westchnęła. - Zapraszam do środka.

Odwróciła się i poprowadziła Taylor do ogromnego holu z podwójnymi schodami przy bocznych ścianach. Taylor poczuła bolesne ukłucie w sercu. Dom jej rodziców był bardzo podobnie rozplanowany. Przypomniała sobie, jak chętnie zjeżdżała po poręczy na rzeźbionej balustradzie i cicho westchnęła. Quinn popatrzyła na nią pytająco.

- Ten dom przypomina mi... zresztą mniejsza z tym. - Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Rozpoznała to pełne wyższości spojrzenie. Tak jakby nigdy nie była w bogatym domu. Jej rodzice mieli mnóstwo pieniędzy, a mimo to wybrała pracę w policji zamiast wygodnego życia, które najwyraźniej preferowała Quinn Buckley. Niektóre osoby po prostu nie byłyby w stanie zrozumieć, że dla Taylor pieniądze nic nie znaczą.

- Rozumiem. Może przejdziemy do gabinetu?

- Quinn skrzyła w lewo i minęła próg ogromnego, wytwornie urządzonego pokoju. Nozdrza Taylor wypełnił zapach skóry, zmieszany z wonią olejku cytrynowego. Gdy weszła głębiej, wstrzymała oddech z wrażenia. Gabinet, akurat. Znalazła się w jednej z najpiękniejszych bibliotek, jakie w życiu widziała. Wszędzie stały regały z książkami, a meble wydawały się nadzwyczaj wygodne. Taylor mogłaby tutaj spędzić długie lata.

- Jak widzę, jest pani zapaloną czytelniczką?

- Quinn podeszła do jednej z półek i wzięła do ręki przypadkowo wybraną książkę. - Ja również. Whitney kiedyś uwielbiała czytać, ale przestała jako nastolatka. Osobiście uważam, że siedzenie z nosem w książce to najlepsza rozrywka na świecie.

- Nic dodać, nic ująć - zgodziła się Taylor.

- Też tak sędzę, ale nie mam do dyspozycji tak imponującej biblioteki.

Quinnpo raz pierwszy szczerze się uśmiechnęła.

- Ten pokój należy wyłącznie do mnie. Staram się zaszywać tu w poszukiwaniu prywatności i nakłaniam resztę rodziny do szanowania mojego azylu.

Mówiła tak zmęczonym głosem, że Taylor zrobiło się jej żal. Musiała jednak dokończyć to, co zaczęła.

- Ogromnie mi przykro z powodu Whitney. Od przełożonego wiem, że chciała się z panią skontaktować.

Quinn usiadła wygodnie w fotelu i podkulila nogi.

- Chciała? To mało powiedziane. Niedługo przed śmiercią usiłowała się do mnie dodzwonić ze dwadzieścia, dwadzieścia pięć razy. Dzwoniła na komórkę, na domowy, zostawiała wiadomości w klubie.

Taylor pomyślała o klubie rekreacyjnym w Belle Meade, ulubionym miejscu rozrywki śmietanki towarzyskiej Nashville.

- Gdzie pani była w tym czasie, jeśli wolno spytać?

Quinn popatrzyła na nią badawczo, wstała i zaczęła się przechadzać po bibliotece.

- Byłam poza domem, to tu, to tam, przygotowywałam się do kolacji, zajmowałam się różnymi sprawami. Nic szczególnego. Mam mnóstwo obowiązków, więc niekiedy bywam trudno uchwytna. Zdarza się, że zapomnę naładować telefon, kiedy indziej nie odsłucham poczty głosowej albo automatycznej sekretarki. Poza tym Jake był w mieście, więc nie zamierzałam odbierać telefonów. Mój mąż często wyjeżdża, a kiedy jest na miejscu, staram się poświęcić mu cały swój czas. Zjedliśmy razem kolację i wcześniej poszliśmy spać. Tamtego ranka wyszłam na spacer i nie zabrałam komórki. Gdy wróciłam i okazało się, że Whitney zasypała mnie wiadomościami, było już za późno.

Quinn umilkła i odwróciła się w stronę przeszklonych drzwi. Taylor przez sekundę się wahała, lecz ostatecznie postanowiła zadać następne pytanie.

- Pani Buckley, czy była pani blisko związana

z siostrą? Czy rozmawiały panie codziennie, czy też raczej raz w tygodniu? Quinn się wyprostowała.

- Nie, pani porucznik. Nie byliśmy sobie szczególnie bliskie. Może to dziwne jak na jedno-jajowe bliźniaczki, ale z wiekiem coraz bardziej się od siebie oddalałyśmy. - Jej oczy nagle rozbliły, jakby coś sobie przypomniła. Taylor pomyślała, że musi się dowiedzieć, co sprawiło, że relacje sióstr się pogorszyły. - Przepraszam panią, zachowuję się nieuprzejmie. Może ma pani ochotę na coś do picia? Kawę? Herbatę? Mam także napoje gazowane.

- Chętnie napiłabym się dietetycznej coli. Quinn odwróciła się do stołu i sięgnęła po mały, kryształowy dzwoneczek. Był to tak niesłychanie pretensjonalny gest, że Taylor omal nie wybuchnęła śmiechem. Quinn zadzwoniła i po chwili do biblioteki weszła młoda kobieta o czarnych, rozpuszczonych włosach i dużych, brązowych oczach.

- *Si, signora Quinn?*

Quinn uśmiechnęła się z lekką wyższością.

- *Gabrielle, possiamo avere due Coca Lights, per favore? Grazie.*

Gabrielle wyszła, a Quinn skierowała wzrok na Taylor.

- To urocza Włoszka, pochodzi z Florencji. Postanowiła przyjechać do Ameryki, aby podszli-fować angielski i uczęszczać na lekcje, a my potrzebowaliśmy kogoś do opieki nad bliźniakami i zajmowania się domem. Dzieci ją uwielbiają.

Teraz władają włoskim lepiej ode mnie. To nie znaczy, że sama mówię płynnie. Quinn trąkotała jak nakręcona. Taylor przeszło przez myśl, że tak się zachowuje człowiek, który chciałby coś ukryć.

Bliźniaki? Taylor wiedziała, że Quinn ma dzieci, ale nie zastanawiała się, ile i jakiej płci.

- Bliźniaki, Jillian i Jake junior są teraz w szkole

- wyjaśniła Quinn, jakby czytała jej w myślach.

- Mają prawie cztery lata i są wyjątkowo inteligentne.

- Chodzą już do szkoły?

- Na naukę nigdy nie jest za wcześnie. Trzy dni w tygodniu uczęszczają na zajęcia przygotowawcze do nauki w przedszkolu. Czy pani ma dzieci, pani porucznik?

- Jeszcze nie, ale moja najlepsza przyjaciółka wkrótce urodzi bliźniaki. Czy pamięta pani Sam Owens? Teraz nazywa się Sam Loughley, chodziłyśmy do jednej klasy.

- Och, doskonale pamiętam Samanthę. Z pewnością jest zachwycona. Dzieci to prawdziwe źródło radości. Cóż, chyba nie powinnam zawracać pani głowy rozmowami o dzieciach.

Ma pani mnóstwo obowiązków.

Do biblioteki wróciła Gabrielle ze srebrną tacą zastawioną napojami i wysokimi szklankami z lodem.

- *Grazie eon tanto, Gabrielle. Lascili pręgo sulla tabella.*

Dziewczyna postawiła tacę na stole z marmurowym blatem i wyszła.



Quinn wzięła do ręki puszkę i nawet nie spojrzała na szklanki. Taylor uniosła brwi, ale zrobiła tak samo. Może Quinn Buckley nie była aż tak pretensjonalna, jak jej się z początku zdawało.

Obie podeszły do foteli przed kominkiem i usiadły naprzeciwko siebie. Taylor wyciągnęła notatnik.

- Pani Buckley, dlaczego Whitney była tak zdenerwowana?

- Najlepiej będzie, jeśli pani wysłucha nagrania. - Odwróciła się i nacisnęła przycisk automatycznej sekretarki na biurku z tyłu. - To moja prywatna linia.

Taylor pomyślała, że pewnie dlatego spotkały się w azylu Quinn.

Urządzenie zatrzeszczało i po chwili zabrzmiał głos Whitney.

- Quinn? Quinn, jesteś tam? Cholera, podnieś słuchawkę! Muszę z tobą porozmawiać. Jadę do ciebie, ta sprawa nie może czekać. Jeśli odsłuchasz tę wiadomość, zostań w domu.

Zaczekaj na mnie. I bądź ostrożna, błagam cię!

Głos Whitney brzmiał histerycznie, Taylor poczuła, jak ciarki przechodzą jej po grzbiecie.

- Pani Buckley, czy wszystkie wiadomości brzmiały podobnie do tej?

- Tak, raczej tak. Whitney w żaden sposób nie wyjaśniła, dlaczego to takie ważne. Szkoda, że po prostu nie powiedziała, o co jej chodzi. Nie wiem, dlaczego mam być ostrożna. Moja siostra nigdy się tak nie zachowywała. Dlatego miałam nadzieję, że

pani porucznik przyjrzy się bliżej tej sprawie. Może powinna się pani zapoznać z materiałami, nad którymi pracowała. Któryś z nich może mieć związek z moją rodziną. - Odchrząknęła. - A jeśli Whitney natknęła się na coś... wstydliviego? Nie wiem, co mogłabym pani doradzić. Taylor przez moment milczała.

- Pani Buckley...

- Proszę mi mówić Quinn. Ostatecznie jesteśmy rówieśnikami. Gdy słyszę, jak ktoś mówi do mnie „pani Buckley”, wydaje mi się, że jestem matką Jake'a.

Taylor pokiwała głową.

- Quinn, wspomniałaś, że twój mąż jest często w rozjazdach. Wolno spytać, czym się zajmuje?

- Mój Boże, pani naprawdę jest spoza kręgu.

- Mam na imię Taylor. Jakiego kręgu?

- Kręgu rodziny. Twój ojciec, Win, przyjaźni się z Jakiem.

Ach, Win Jackson. W tej chwili nie miała ochoty o nim rozmawiać.

- Nie utrzymuję bliskich kontaktów z ojcem. Powiedz mi, jak Jake zarabia na życie?

- Jest wicedyrektorem Health Partners. Twój ojciec zasiada w radzie nadzorczej firmy.

- Aha - mruknęła Taylor cicho. Słowa Quinn niewiele jej wyjaśniły.

- Health Partners to przodująca w branży firma, prowadzi małe szpitale komunalne na terenie całego kraju. Jake musi ciągle jeździć do wszystkich placówek przedsiębiorstwa, aby kontrolować ich

funkcjonowanie. Szpitale Health Partners znajdują się na południowym wschodzie, a kilka też na północnym wschodzie. - Quinn wydawała się znudzona, jakby odczytywała informacje z okładki rocznego sprawozdania.

Taylor uznała, że Quinn po prostu nie jest zainteresowana pracą męża, która z pewnością była bardzo dochodowa.

- Mam myśl - oświadczyła. - Z pewnością chciałabyś przejrzeć rzeczy siostry. Razem wejdziemy do jej mieszkania i rozejrzemy się. Zgoda?

- Jasne. Na kiedy możemy się umówić? Taylor zwróciła uwagę, że gdy Quinn mówiła o mężu, z jej głosu znikło ciepło i energia. Teraz, gdy ponownie wspomniała o siostrze, wyraźnie się ożywiła.

- Kiedy zechcesz. Może pojedziemy teraz?

- Wolałabym jutro rano. Muszę dopilnować kilku spraw i jeszcze nie udało mi się skontaktować z Reese'em, naszym młodszym bratem. W tej chwili przebywa w Gwatemali w ramach misji z Uniwersytetu Vanderbilta. Jest najmłodszym rezydentem, który wyjechał na tego typu wyprawę. Jej uczestnicy przez dwa tygodnie przeprowadzają operacje na pacjentach z rozszczepionym podniebieniem, uszkodzonymi stawami i tak dalej. Zajmują się ubogimi, którzy w innych okolicznościach na pewno nie otrzymaliby tak fachowej pomocy. Do zadań Reese'a należy przeprowadzanie konsultacji przed- i pooperacyjnych. W najbliższym tygodniu na pewno jeszcze nie wróci. Przed wyjaz-

dem uprzedzał mnie, że kontakt z nim będzie ogromnie utrudniony.

Taylor wręczyła Quinn wizytówkę.

- Jutro możemy się spotkać o każdej porze. Zadzwoń, zobaczymy się na miejscu.

Pożegnały się i Taylor pośpiesznie wyszła. Czuła, że Quinn Buckley jest przepełniona smutkiem nie tylko z powodu śmierci siostry.

Postanowiła zajrzeć do domu Betsy Garrison. Wybrała numer, jadąc, telefon odebrał Brian Post.

- Cześć, mówi Taylor. Mogę wpaść? Chciałabym odwiedzić Betsy, spytać o zdrowie. I może jeszcze pogadać o sprawie.

- Wiesz, Taylor, to chyba nie jest najlepszy pomysł. Betsy dopiero odzyskuje świadomość po tych wszystkich lekarstwach, zaczyna do niej docierać, co się stało, i jest potwornie wkurzona. Może lepiej dać jej odpocząć?

- Nie ma sprawy - zgodziła się Taylor od razu. - Tylko przekaż jej, żeby do mnie zadzwoniła, kiedy trochę stanie na nogi. Chcesz wiedzieć, na jakim etapie jest dochodzenie?

- Rozmawiałem już z Lincolnem i Marcusem, jestem na bieżąco. Zdaje się, że pora szukać jednego z naszych, co?

- Na to wygląda.

- Jutro z rana skontaktuję się z chłopakami i wtedy postanowimy co dalej, dobrze?

- Pewnie. Uściskaj ode mnie Betsy. Szczęściara, ma ciebie pod ręką.

- Na razie jest na mnie skazana. Dzięki, Taylor.

### ***Rozdział dwudziesty siódmy***

Baldwin odebrał telefon w pokoju hotelowym na minutę przed tym, jak przerwano program telewizyjny, aby nadać informacje z ostatniej chwili.

- Tu Grimes. Jeszcze jedna zaginiona.

- Żartujesz sobie? Nie minęła nawet doba. - Baldwin otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Kto taki?

- Miejskowa, Christina Dale. Dzisiaj rano nie przyszła do pracy. Wszyscy w mieście są czujni, bo zajmowaliśmy się sprawą Marni, więc kiedy Christina nie pojawiła się w robocie, ktoś od razu to zgłosił na policję. I jeszcze jedno. Mamy przeciek.

Baldwin kątem oka zauważył zmianę na ekranie telewizora. Informacja z ostatniej chwili.

Na wizji pojawiła się ładna brunetka. Słowo „przeciek” wydawało się zbyt łagodne.

- Ktoś sypie jak nakręcony - burknął Baldwin.

- Wiem, wiem. Nie mam pojęcia kto. Na pewno żadna z osób, którym przekazuję informacje. Tak

czy owak musimy brać się do roboty, i to jak najszybciej.

- Daj mi wziąć prysznic. Widzimy się za kwadrans w holu przy wejściu, zgoda?

- Jasne. - Grimes się rozłączył, a Baldwin usiadł na brzegu łóżka i pokręcił głową.

Morderca był zbyt szybki. Nie nadążali za nim. Musieli natychmiast przyśpieszyć. Wstał i ruszył do łazienki. Potrzebowali przełomu. Wielkiego przełomu.

- Mamy przełom - szepnął Grimes do Baldwina, gdy tylko spotkali się w holu. Wyglądał dzisiaj nieco lepiej. Co prawda nie wydawał się wypoczęty, ale w jego oczach pojawił się błysk. - Przełom - powtórzył cicho i położył Baldwinowi dłoń na plecach, jakby chciał go skierować do wyjścia.

Baldwin zaczekał, aż znajdą się na zewnątrz, i dopiero wtedy spojrzał Grimesowi w oczy.

- Będę strzelał. Do prezerwatywy przyklepiło się DNA?

Grimes zrobił rozczarowaną minę.

- Nie, nic z tych rzeczy. Technicy znaleźli kilka komórek nabłonkowych, ale pochodziły od kobiety.

- Cholera - burknął Baldwin. - Liczyłem na coś więcej.

- Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Otrzymaliśmy anonimowy telefon od kogoś, kto wczoraj wieczorem podobno widział Christinę Dale w pew-

nym tanim motelu, kilka kilometrów stąd. Powinniśmy tam pojechać, może jeszcze ją zastaniemy. Psy tropiące już są w drodze, jeśli Christina zaginęła, spróbują podjąć trop. Wsiedli do samochodu i Baldwin pograżył się w rozmyślaniach. Wydało mu się mało prawdopodobne, aby Dusiciel tak po prostu wynajął pokój w motelu z zamiarem zabicia następnej ofiary. Niewykluczone jednak, że tym razem zostawił coś na miejscu zbrodni... Kiedy podjeżdżali do obskurnego budynku, Grimes mamrotał pod nosem coś o przełomie. Baldwin popatrzył na motel. Farba odłaziła z brudnoszarych ścian, które pół wieku temu zapewne były białe. Na parkingu stało kilka samochodów. Pomyślał, że chce pierwszy wejść do pokoju.

- Zatrzymaj ich - polecił Grimesowi i wyskoczył z auta.

Sprężystym krokiem wszedł do recepcji, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po dusznym pomieszczeniu. Za ladą siedział mężczyzna z jednym zębem wystającym zza dolnej wargi. Baldwin machnął mu przed nosem legitymacją FBI, lecz facet nawet nie drgnął.

- Otrzymaliśmy zgłoszenie, że wczoraj wieczorem widziano tutaj Christinę Dale.

Chciałbym wiedzieć, w którym pokoju się zatrzymała.

Mężczyzna wpatrywał się w Baldwina niezyczliwie.

- Niby tak, była tutaj - przyznał w końcu. - Nie

wiem z kim, bo nie widziałem, ale miała ostro w czubie i jak zwykle robiła z siebie idiotkę. Dałem jej klucz do pokoju na skraju, ale go dotąd nie zwróciła. W czym rzecz?

- Był pan w tym pokoju?

- Jest tylko jeden klucz. Powiedziałem, że go nie zwróciła. Co jest grane? Christina napytała sobie biedy? Policja jej szuka?

- Można wiedzieć, jak się pan nazywa? - spytał Baldwin.

- Jones.

- Panie Jones, czy widział pan, z kim przyszła Christina Dale? Czy to był mężczyzna?

- A co, myślisz pan, że Christina to lesba? Z facetem przyszła, a jakże. Co wieczór przyłazi z innym. - Zassał sterczący ząb, a Baldwin wzdrygnął się z obrzydzenia.

- Panie Jones, czy pamięta pan, jak wyglądał wczorajszy partner Christiny Dale?

Jones westchnął.

- Jakiś młody koleś, przystojniak. Christina lubi takich czarniawych Irlandców, takich sprowadza częściej niż innych.

- Był ciemnowłosa?

- Gdzie ciemnowłosa. Czarnowłosa. Włosy miał jak smoła. Ale i tak mało co widziałem.

Ja tam się nie przyglądam.

- Oczywiście. - Baldwin miał ochotę wyrwać mu ostatni ząb. Było jasne, że facet kłamie. - Przyjechali samochodem Christiny?

- Nie. Pojęcia nie mam, co to była za marka.



Tyle że długi i ciemny, może srebrny. Ja tam się na samochodach nie wyznaję. Baldwin przez moment obserwował wiatrak młócający gorące powietrze.

- Nie pamięta pan nic więcej, panie Jones? O której odjechał ten samochód?

- Nie wiem, i tyle. Sypiam w pokoju z tyłu, w razie czego ludzie na mnie dzwonią, to przychodzę. Nikt nie dzwonił po tym, jak przyjechała Christina. Co nabroiła?

- Tego nie wiemy. Dziękuję za pomoc. Obawiam się, że będziemy musieli wyważyć drzwi, jeśli są zamknięte na klucz.

- A wyważajcie, skoro mus. Mam to gdzieś, bylebyście mi zapłacili. Drzwi są cienkie, łatwo sobie dacie radę.

- Jasne. Niech się pan stąd nie rusza. - Baldwin odwrócił się i podszedł do Grimesa.

Mężczyzna z recepcji stanął w drzwiach i z zainteresowaniem obserwował, jak na parking podjeżdżają samochody policyjne.

- Trójka. Nie ma kluczy, trzeba załatwić drzwi. Ten gość, pewnie właściciel, nie wydaje się szczególnie przejęty. Chciał tylko wiedzieć, co zrobiła Christina. Podobno przyjechała z mężczyzną, który prowadził jakiś długi samochód. Może to właściciel zgłosił przyjazd Christiny?

- Nie mam pojęcia. Podobno informacja była anonimowa, biuro szeryfa otrzymało ją z miejscowej stacji telewizyjnej.

Baldwin ciężko westchnął. Marnie się spisales,

Grimes, pomyślał. Jego towarzysz powinien znać wszystkie szczegóły zdarzeń, które doprowadziły ich do motelu.

- Musimy być ostrożni. Ktoś może próbować nas zrobić. Na początek zwyczajnie zapukamy.

Stanęli przy drzwiach. Baldwin ostrożnie zapukał, lecz w środku panowała idealna cisza. Obrócił gałkę. Były zamknięte od wewnątrz, więc dał znak funkcjonariuszowi z taranem. Drzwi wyglądały tak, jakby zrobiono je z tektury, ich wyważenie nie powinno nastęczać trudności. Policjant zamachnął się i mocno rąbnął w okolice zamka. Drzwi ustąpiły momentalnie.

Baldwin zajrzał do środka i od razu poczuł intensywną woń miedzi. Uniósł dłoń, aby zasygnalizować, że wchodzi sam, i zapalił latarkę. Niemal natychmiast się zorientował, że w pokoju nikogo nie ma. Pomieszczenie było małe, ledwie mieściło się w nim łóżko i stolik, zajęty przez zdezelowany telewizor. Drzwi z prawej strony prowadziły do łazienki. Baldwin zauważył w lustrze odbicie sedesu i wanny. Wymiętą pościel pokrywały plamy krwi tak duże, że mógł się domyślić przebiegu zdarzeń. Jeśli Christina Dale rzeczywiście spędziła tutaj noc, z pewnością już nie żyła.

Odwrócił się w stronę parkingu i ujrzał gromadę ludzi, którzy w napięciu oczekiwali na jego reakcję. Pokręcił głową, aby wiedzieli, że dziewczyny nie ma w pokoju, i ruchem dłoni przywołał Grimesa.

- Potrzebuję rękawiczek i plastików na buty.

Niech technicy biorą się do zbierania śladów. Masz w samochodzie aparat fotograficzny? Trzeba zrobić parę zdjęć. - Grimes posłusznie poszedł do samochodu i po chwili wrócił z cyfrowym aparatem.

- Ten powinien się nadać. Noszę go zawsze, na wszelki wypadek. - Podał Baldwinowi także osłonki na buty i rękawiczki, sam włożył drugą parę. Teraz obaj mogli wejść do środka.

Baldwin od dawna uważał, że obecność na miejscu zbrodni daje mu możliwość lepszego zrozumienia przestępcy. Mógł pierwszy obejrzeć ślady krwi, wyczuć miedziany posmak w głębi gardła. Jego zmysły funkcjonowały wówczas sprawniej niż kiedykolwiek, lepiej pojmował myśli mordercy w chwili popełniania zbrodni.

Powiódł snopem światła po całym pomieszczeniu i na chwilę zatrzymał go na włączniku sufitowej lampy. Nie chciał zatrzeć ewentualnych odcisków palców, więc postanowił nie zapalać światła. Ponownie oświetlił łóżko. Pościel zdawała się ociekać krwią, na ścianach również widniały jej krople. Morderca najwyraźniej zmienił schemat działania. Christina żyła, kiedy odrąbywał jej dłonie. Intuicja podpowiadała Baldwinowi, że dziewczyna jest już martwa.

Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Jego uwagę przykuł jakiś przedmiot na telewizorze. Baldwin ostrożnie podszedł bliżej i nie dotykając kartki, odczytał na głos krótki tekst.

*Wpół obejmuje mnie w ramiona, Uściskiem mnie pokornym darzy; I, głowę chyląc w tył,  
podnosi Wzrok wzwyż, ku mojej twarzy.*

*Miłością było to i lękiem, I sztuką też nieśmiałą, Bym raczej uczuł, niż zobaczył, Ze serce w  
niej wezbrało.*

- A niech mnie, gość naprawdę uwielbia klasykę - mruknął Baldwin i wsunął kartkę do plastikowej torebki. - To fragment wiersza „Miłość” Coleridge'a.

Zerknął na Grimesa i pokiwał głową, zanim powrócił do oględzin. Nie zauważył już nic godnego uwagi, więc ostrożnie wycofał się na pyliste podwórze. Resztą musieli się zająć technicy.

- Ciekawe, czy coś do niej czuł - zamyślił się Grimes.

- Nie, Grimes, ani trochę. Uczuć tego człowieka nie można przyrównać do miłości.

Christina była tylko pionkiem w jego grze. Te wiersze mają dla niego szczególne znaczenie, ale nie wiem, czy coś nam powiedzą. Niech laboranci obejrzą pokój.

Wyszli na parking. Jones przez cały czas stał w drzwiach recepcji, kilku miejscowych ustawiło się na ganku i wymieniało uwagi z właścicielem. Migają światła, gromadzili się gapie. Policjant, którego Baldwin rozpoznał z wczorajszego miejsca

zbrodni, rozwijał żółtą taśmę, aby odgrodzić przechodniów od funkcjonariuszy. Nagle podjechał czarny samochód terenowy i Baldwin odetchnął z ulgą. Grimes najwyraźniej miał dość rozumu, aby wezwać ekipę dochodzeniową FBI. W takiej sytuacji lepiej było nie dopuszczać miejscowych techników do materiałów dowodowych. Wkrótce przyjechała furgonetka z psami.

Gdy policja otrzymała zgłoszenie, że Christina Dale nie przyszła do pracy, posterunkowy pojechał do jej domu. Nie udało się ustalić miejsca jej pobytu, jednak przedsiębiorczy policjant zabrał kilka jej ubrań. Baldwin wiedział, że w tym wypadku psy niewiele pomogą, ale nie protestował. Zwierzęta obwąchały odzież i na komendę tresera rzuciły się w pościg. Przebiegły około dwudziestu metrów na wschód i nagle zwolniły, zaczęły zataczać koła, z każdą chwilą coraz bardziej niezdecydowane. Treser spojrzał na Baldwina i wzruszył ramionami. W tym miejscu porywacz musiał wrzucić dziewczynę do samochodu. Tego należało się spodziewać.

Baldwin rozejrzał się wokół siebie. Miał przeczucie, że wkrótce natkną się na najnowszą ofiarę.

### ***Rozdział dwudziesty ósmy***

Pocił się. Padał z nóg. Transport zwłok w odpowiednie miejsce to ciężka robota. Wreszcie jednak skończył i cofnął się, by podziwiać swoje dzieło. Rękawem koszuli otarł oczy. Już niedługo, pomyślał. Jestem na dobrej drodze, aby wkrótce zrealizować plany. Twoje marzenia się ziszczą. Świat legnie u twoich stóp, a ja będę przy tobie. Uśmiechnął się do siebie i wszedł do samochodu. Nie mógł osiąść na laurach.

Zachichotał.

- Od łóżka dzieli mnie jeszcze sporo kilometrów - mruknął pod nosem. - Tak, tak, muszę przebyć jeszcze sporo kilometrów, zanim pójde spać.

### ***Rozdział dwudziesty dziewiąty***

Dom Whitney Connolly mieścił się w statecznej okolicy w Bellevue, na terenie żartobliwie nazywanym West Belle Meade. Wzdłuż tutejszych ulic rosły drzewa, ceglane domy w większości były piętrowe, a przed nimi rozpościerały się przestronne podwórza. Dzieci bawiły się na ulicach i przy budynkach, nieświadome problemów dorosłych.

Taylor jechała powoli, zastanawiając się, czy nie poszukać sobie domu w tej dzielnicy. Nie brakowało tutaj dzieci, duże domy prezentowały się dostojnie i elegancko. Nigdy nie miała dla siebie zbyt wiele miejsca. Kiedyś zastanawiała się nad sprzedażą obecnego domu - odkąd zamieszkała z Baldwinem, zrobiło się trochę ciasno. Może powinni razem kupić dom, zamieszkać ze sobą i wszem wobec oznajmić, że są parą. Jej współpracownicy domyślali się wszystkiego i nikomu to nie przeszkadzało. Może problem tkwił w niej samej. Może powinna stawić czoło własnym uprzedzeniom.

Ostatecznie każda kobieta ma prawo znaleźć sobie narzeczonego.

Wczoraj wieczorem zrobiła podsumowanie. Byli ze sobą od czterech miesięcy. Baldwin oficjalnie nie wprowadził się do Taylor, tylko zatrzymywał się u niej po drodze do własnego domu. Nigdy nie zachęcała go do wyjścia. Z czasem popadli w rutynę. Przynosił kolację, rozmawiali o pracy, kończyli dzień w łóżku. Idylla. Najlepszym sposobem na zniszczenie dobrego związku jest rozmowa o nim. Taylor wiedziała, że Baldwin również tak uważa.

Skręciła w lewo i po chwili zatrzymała się przed dużym domem z czerwonej cegły. Na ganku stała Quinn Buckley, ręce przyciskała do tułowia, jakby marzła, twarz miała przejętą i smutną. Ten budynek w niczym nie przypominał pałacowej posiadłości Quinn, więc może po prostu źle się czuła poza swoim naturalnym środowiskiem.

Taylor uznała, że nie powinna tak myśleć. Quinn właśnie straciła siostrę, miała prawo czuć się źle.

Taylor wysiadła i podeszła bliżej. Quinn ścisnęła w lewej dłoni dwa egzemplarze gazety „Tennessean”.

- Chyba muszę anulować subskrypcję - zauważyła na powitanie. - W ogóle czeka mnie tutaj sporo roboty.

Taylor pokiwała głową.

- Gdy ktoś odchodzi, na początku zawsze jest trudno. Czy ktoś mógłby cię wesprzeć?

Może Whitney miała narzeczonego, kogoś, kto interesował się jej codziennymi sprawami?



Quinn zaśmiała się z goryczą.

- Nie, Whitney nie miała czasu na narzeczonego. Interesowała się wyłącznie sobą. Przykro mi, ale taka jest prawda. Moja siostra była jedną z najbardziej samolubnych istot na świecie. Wszystko kręciło się "wokół niej i jej planów, jej marzeń. Skoncentrowała się wyłącznie na nich. - Odwróciła się i wsunęła klucz do zamka. - Zostawiała klucz pod wycieraczką, dla sprzątaczk. Kiedyś mi o tym wspomniała, stąd wiem. Zapraszam do środka.

Dębowe drzwi się uchylły i Taylor poczuła woń preparatu do polerowania drewna oraz wybielacza chlorowego.

- Czy dzisiaj przypada dzień sprzątania? - spytała niespokojnie.

- Sprzątaczk przychodzi raz w tygodniu, chyba około środy. Czy to jest jakiś problem?

- Niekoniecznie. Gdybym tutaj prowadziła dochodzenie w związku z przestępstwem, wówczas sprzątaczk mogłaby nieświadomie pozacierać ślady, ale ponieważ chodzi o wypadek, jej obecność nie powinna mieć znaczenia. Chcę sprawdzić, co wywołało panikę twojej siostry. Najlepiej będzie, jeśli obie się rozejrzemy.

Quinn skinęła głową i pierwsza weszła do holu. Dom był pięknie i nowocześnie urządzony, lecz Taylor odniosła wrażenie, że Whitney całkowicie się zdała na projektanta wnętrz. W rezultacie pomieszczenia prezentowały się efektownie, lecz brakowało w nich życia.

Oglądała jeden pokój po drugim. Sprzątaczk

pieczołowicie usuwała wszystko, co mogło tworzyć załączki bałaganu, więc Taylor powoli traciła nadzieję na sukces. W salonie zwróciła jednak uwagę na teczkę i laptop. Nowy komputer znajdował się na biurku, aktówka stała na podłodze, przy krześle. Taylor ostrożnie otworzyła teczkę, lecz w środku nie znalazła nic godnego uwagi. Whitney nie miała w zwyczaju zajmować się w domu papierkową robotą.

Taylor usiadła przed komputerem, wyłączyła wygaszacz ekranu i ujrzała na nim mnóstwo informacji o nowych wiadomościach. Whitney Connolly nie wylogowała się przed pośpiesznym wyjściem z domu. Kilka e-maili przyszło dzisiaj, niektóre były „wytłuszczone”, co oznaczało, że jeszcze nie zostały przeczytane. Obok paru wiadomości znajdowały się czerwone chorągiewki. Najwyraźniej Whitney zaznaczała informacje, które chciała przeczytać w pierwszej kolejności. Taylor zaczęła sprawdzanie od czerwonych chorągiewek. Zorientowała się, że kilka e-maili zostało otwartych, a jednak nadal proporczyki nie zniknęły.

- Czy mogę przejrzeć mejle twojej siostry? - Taylor spojrzała na Quinn.

- Pewnie. Rób wszystko, co uważasz za stosowne. Idę na taras z tyłu, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. - Wyszła przez przeszklone drzwi, a Taylor odetchnęła z ulgą.

Niekiedy wolała pracować w samotności.

Zaczęła od przeglądania oflagowanych i odczytanych wiadomości, próbując je dopasować do

neczytanych e-maili z chorągiewkami. Kilka było oczywistych - Whitney otrzymywała zawiadomienia z instytucji dziennikarskich i tym podobne. W kilku miejscach powtarzał się jednak ten sam nagłówek: „Wiersz dla S.W.". Taylor otworzyła najnowszy list.

Na ekranie ukazało się zaledwie kilka wersów.

*Wpół obejmuje mnie w ramiona, Uściskiem mnie pokornym darzy; I, głowę chyląc w tył,  
podnosi Wzrok wzwyż, ku mojej twarzy.*

*Miłością było to i lękiem, I sztuką też nieśmiałą, Bym raczej uczuł, niż zobaczył, Ze serce w  
niej wezbrało.*

Zamknęła wiadomość. Czowała się jak szpieg. Ciekawe, że Quinn nic nie wiedziała o narzeczonym Whitney. Taylor przejrzała listę wiadomości i zauważyła, że jeszcze pięć pochodzi od tajemniczego mężczyzny. Pisał z adresu IM 1855195C@ya-[hoo.com](mailto:1855195C@yahoo.com).

Otworzyła je i pośpiesznie przejrzała. W każdym znajdował się fragment wiersza, podobnie jak w pierwszym. Westchnęła. Żałowała, że Baldwin nie przesyła jej anonimowo poezji miłosnej.

Z grubsza zapoznała się z resztą e-maili, ale nie natrafiła na nic godnego uwagi. Nadeszła pora, aby Quinn rzuciła okiem na pocztę.

- Quinn?! - zawołała Taylor przez ramię.

Po chwili wskazała palcem listy, a Quinn pochyliła się nad ekranem.

- Nie znalazłam prawie nic godnego uwagi - oświadczyła Taylor. - Sporo wiadomości pochodzi od tych samych osób. Zechcesz rzucić okiem? Może zauważysz coś interesującego. Zastanowiły mnie wiersze miłosne, które przesłał jej anonimowy nadawca. Mówiłaś, że Whitney nie była z nikim związana - dodała nieco oskarżyciel-skim tonem.

- Wiersze miłosne? Naprawdę? - Quinn odczytała najświeższy list i zrobiła dziwną minę.

- Zauważyłaś coś ciekawego? Oczywiście Quinn zaszczyli łzami.

- Nic takiego - odparła cicho.

Taylor nie zamierzała odpuścić. Wyraz twarzy Quinn jasno dowodził, że wiersz był dla niej z jakiegoś powodu istotny.

- Co się stało? - spytała Taylor cicho. - Czy coś sobie przypomniałaś?

Quinn zaśmiała się płaczliwie.

- Nie, skąd. Po prostu bardzo kochałam Whitney i nie potrafię się pogodzić z jej odejściem. Wiersz nie ma z tym nic wspólnego. Mąż kiedyś przysyłał mi wiersze. Już tego nie robi... - Odwróciła się i poszła do kuchni po papierowy ręcznik, który ochlapała wodą i przyłożyła do twarzy. Gdy wróciła do Taylor, ponownie była opanowana i spokojna.

- Niemądra jestem - wyznała skruszona.

- W takiej chwili nie powinnam myśleć o Jake'u. Po prostu zrobiło mi się smutno. Whitney miała kogoś, kto ją uwielbiał, a ja... - Zająknęła się i pośpiesznie wyszła z salonu.

Taylor postanowiła chwilowo zostawić ją w spokoju i zabrała się do przeszukiwania domu. Liczyła na to, że znajdzie jakieś papiery, notatki lub dokumenty, które pozwoliłyby jej zrozumieć, dlaczego Whitney wpadła w panikę.

- Quinn?! - zawołała. - Czy policjanci z miejsca wypadku przekazali ci jakieś osobiste drobiazgi siostry?

Quinn wróciła do kuchni.

- Nie. Muszę pojechać do kostnicy i sama wszystko odebrać. Podobno w samochodzie znajdowało się kilka rzeczy. Możemy tam pojechać razem.

Taylor obserwowała ją przez chwilę.

- Quinn, czy sądzisz, że ten wypadek może mieć coś wspólnego z Nathanem Chase'em? Quinn gwałtownie pobladła.

- Wielkie nieba, chyba nie uważasz, że ten człowiek... Myślisz, że udało mu się skontaktować z Whitney?

- Nie mam pojęcia. Czy wcześniej kontaktował się z tobą lub twoją siostrą?

Quinn zaczęła nerwowo się przechadzać, ściskając gardło wypielegnowaną dłonią.

Wyglądała tak, jakby lada moment miała się rozpaść na drobne kawałki i rozsypać po podłodze.

- Nie, nie zetknęłyśmy się już z nim. To było

jedno z postanowień sądu. Poza tym jestem absolutnie pewna, że nadal siedzi za kratkami. Sprawdzam to co pewien czas. Nie opuści więzienia jeszcze przez piętnaście lat, nawet warunkowo.

Taylor przez chwilę rozmyślała nad słowami Quinn. Chase'a skazano na trzydzieści lat. Za samo porwanie nie groziła aż tak wysoka kara. Postanowiła później sprawdzić, za co dokładnie go skazano, choć zapewne sprawa sprzed lat nie miała nic wspólnego z wypadkiem Whitney.

- No dobrze, Quinn. Przejrzę jeszcze rzeczy twojej siostry. Jeżeli natrafię na coś godnego uwagi, od razu cię zawiadomię.

- Dziękuję. Powiedz mi, kiedy będę mogła odebrać zwłoki? Muszę zająć się przygotowaniami do pogrzebu.

- Zadzwoń do biura patologa sądowego, na pewno uzyskasz tam odpowiednie informacje. Nie będą przeciągali sprawy, zobaczysz.

Obie ruszyły do wyjścia i nie usłyszały, że komputer Whitney zapiszczał, informując o nadejściu nowego e-maila.

### ***Rozdział trzydziesty***

Christina Louise Dale, wśród przyjaciół i członków rodziny znana jako Christy, nie miała łatwego życia. Brakowało jej pieniędzy na naukę w college'^ a zbyt słabe stopnie uniemożliwiały jej wystąpienie o stypendium, dlatego ciężko pracowała i kręciła się wśród studentów z Roanoke. Uważała się za samouka i czytała wszystko, co jej wpadło w ręce. Przedsiębiorstwo kierujące małym szpitalem komunalnym, w którym się zatrudniła, prowadziło program udzielania stypendiów biedniejszym pracownikom, gotowym kształcić się w dziedzinie medycyny. Christy była zainteresowana tą ofertą. W pracy sprawdzała się dobrze, ale poza nią wszystko w jej życiu się sypało. Za dużo piła, paliła jak lokomotywa i nie stroniła od narkotyków. Na dodatek naprawdę lubiła mężczyzn. Nie uważała, że robi coś złego. Nie traciła kontroli nad swoim ciałem, sama podejmowała decyzje. Nie widziała

problemu w tym, że od czasu do czasu prześpi się z chłopakiem, który rano nie poprosi jej o następne spotkanie.

Baldwin wiedział o tym wszystkim, kiedy patrzył na zwłoki Christy, porzucone przy drodze w Asheville w Karolinie Północnej. Zastanawiał się, czy ta biedna dziewczyna miała świadomość, na jak ogromne niebezpieczeństwo się naraża, uprawiając seks z przygodnymi mężczyznami, wsiadając do ich samochodów, a przede wszystkim zatrzymując się z nimi w motelu. Robiła tak zawsze, gdyż nie chciała, aby prawda o jej życiu towarzyskim dotarła do jej matki.

Gdy nadeszło zgłoszenie o znalezieniu zwłok, Baldwin nawet nie drgnął. Morderca działał szybko, bez zastanowienia. Teraz, gdy policja deptała mu po piętach, błyskawicznie wynajdywał, zabijał i porzucał ofiary. Od zaginięcia Christy do znalezienia jej ciała nie minęła nawet doba. Baldwin stał nad zmasakrowanymi zwłokami i patrzył na poranioną nożem klatkę piersiową i zakrwawione kikuty. Rozmyślał o tym, gdzie się znajdzie jej dłoń. Starannie wypielęgnowana ręka Marni Fischer leżała kilka metrów stąd. Gdzie się mogły podziewać dłonie pozostałych dziewczyn?

Uważny, metodyczny morderca przeobraził się w zajadłego maniaka. Ta zmiana budziła głębokie zdumienie Baldwina. Teraz zbrodniarz musiał być sfrustrowany, skoro coraz bardziej ryzykował i nie przejmował się konsekwencjami. Jego działalność wkroczyła w ostatnią fazę.



Technicy mieli sporo roboty w motelu. Od razu było jasne, że morderca wielokrotnie pchnął Christy nożem. Krew z tętnic i przegubów tryskała na wszystkie strony. Pokój rzadko bywał sprzątany, więc udało się zebrać mnóstwo odcisków palców, ale należało wątpić, czy któryś z nich należał do sprawcy. Baldwin zakładał, że morderca miał zwyczaj nosić gumowe rękawiczki, bo na miejscach zbrodni nie znaleziono dotąd ani jednego odcisku jego palca.

Po raz pierwszy jednak natrafiono na małą ilość nasienia wymieszanego z krwią na pościeli. W zwykłych okolicznościach byłby to powód do zadowolenia, gdyż dotąd policja dysponowała tylko jedną próbką DNA. Sprawa była jednak zbyt ponura, aby ktokolwiek się cieszył z połowicznego sukcesu.

Baldwin polecił technikom, aby wprowadzili kod DNA do systemu komputerowego. Być może morderca znajdował się w bazie danych, lecz Baldwin na to nie liczył. Ta sprawa od początku wydawała mu się zbyt świeża. Sprawca zachowywał się tak, jakby po raz pierwszy popełniał zbrodnię.

Zgodnie z sugestią Baldwina Grimes wysłał funkcjonariuszy do baru, w którym bywała Christy, aby sprawdzić, czy ktoś pamięta jakieś szczegóły z krytycznego wieczoru. Grimes poinformował potem Baldwina, że nikt nie zauważył nic nadzwyczajnego. Jeden z barmanów pozwolił sobie nawet na żart. Jego zdaniem, do sprawdzenia

mężczyzn, z którymi rozmawiała Christy, należałoby skierować wszystkich policjantów w czynnej służbie. Dowcip nie wzbudził jednak aprobaty, więc barman przeprosił i wyjaśnił, że tak naprawdę Christy mogła wyjść z kimkolwiek, bo nikt nie zwracał uwagi na stukniętą dziewczynę, która przez kilka godzin piła jeden drink po drugim i flirtowała na potęgę. Innymi słowy, znowu brakowało im punktu zaczepienia.

Baldwin westchnął i zdecydował, że pora wracać do hotelu. Miał ochotę wypić drinka, pograć się w rozmyślaniach i zatelefonować do Taylor. Rozmowa z nią zawsze rozjaśniała mu umysł, a teraz potrzebował tego jak nigdy wcześniej.

Wyszedł spod prysznic i włączył telewizor. W pokoju panował nieznośny upał, więc owinięty ręcznikiem przysiadł na brzegu łóżka i z uwagą obejrzał lokalne wiadomości. Program w dużej części poświęcono sprawie znalezienia zwłok Christiny Dale. Reporterka podała kilka niezbyt istotnych szczegółów ze śledztwa, Baldwin zadbał o to, aby kluczowe informacje pozostały utajnione. Dziennikarka zakończyła materiał apelem do kobiet z Asheville:

- Mieszkanki Asheville muszą pamiętać, żeby starannie zamykać wszystkie okna i drzwi. Wychodząc z domu, muszą panie koniecznie znaleźć osobę towarzyszącą. Nie należy rozmawiać z nie-

znajomymi i dobrze mieć przy sobie rozpylacz gazu pieprzowego. Trzeba zachować wzmożoną czujność. Telefony komórkowe powinny być naładowane i zawsze pod ręką. Nie wolno wsiadać do samochodu z obcymi. Proszę pamiętać: niebezpieczeństwo jest naprawdę poważne.

Ostrzeżenie zabrzmiało przejmująco. Baldwin pomyślał, że dzięki niemu przynajmniej część kobiet zachowa ostrożność. Wyłączył telewizor i sięgnął po akta. Rozłożył dokumenty na łóżku, w porządku chronologicznym, poczynawszy od Susan Palmer. Pod pewnymi względami ofiary były do siebie podobne. Każda miała ciemne włosy i oczy, liczyły sobie od osiemnastu do dwudziestu ośmiu lat, były silne i atletycznie zbudowane. Praca każdej z nich wiązała się w taki czy inny sposób z medycyną. Czyżby mordercą miał się okazać jakiś oszalały lekarz?

Baldwin czuł coraz większą bezsilność. Morderca był szybki i nie działał według prostego schematu. Nie dało się przewidzieć, gdzie zaatakuje ponownie. Baldwin pracował już nad sprawami, w których poszukiwany uprzedzał poczynania policji. Zwykle jednak sprawca zostawiał sobie więcej czasu przed popełnieniem następnej zbrodni. Wzorce zachowań powstawały na przestrzeni tygodni i miesięcy, ale nie dni. Tym razem faceta ogarnął szal mordowania, a upojeni własnymi zbrodniami ludzie są najniebezpieczniejsi. Niemal zawsze jednak powija im się noga i szybko trafiają za kratki.

Morderca, który zabija dużo i często, szybko popełnia błąd. Baldwin liczył na to, że pozostawienie DNA na miejscu zbrodni było pierwszą z serii wpadek.

Nagle zadzwonił jego telefon.

- Cześć, kochanie - odezwał się do aparatu, rzuciwszy okiem na wyświetlacz.

- Baldwin, jak się czujesz? Oglądam wiadomości w telewizji i jestem przerażona. Z pewnością padasz z nóg.

- Bandy ci nie śpią - westchnął. - Jest coraz gorzej, Taylor. Umyka nam za każdym razem, gdy mu siedzimy na karku. Nie mam zielonego pojęcia, dokąd się wybierze następnym razem.

- Chcesz ze mną o tym pogadać? Może przyda ci się opinia kogoś z zewnątrz.

- Chętnie, ale najpierw powiedz mi, czy u ciebie wszystko dobrze. Jak sprawa gwałtu?

- W porządku - odparła po chwili milczenia. - Oglądałeś wiadomości? Ogólnokrajowe stacje podchwyciły temat Słotnika. Ludzie uwielbiają seryjnych gwałcicieli. Na domiar wszystkiego jedna z ofiar uważa, że sprawcą jest policjant. Słyszałeś o Whitney Connolly?

- Słonko, zakopałem się w pracy po uszy. Whitney Connolly z Kanału Piątego? Co się stało?

- Wczoraj uczestniczyła w wypadku drogowym. Zginęła ona i jeszcze trzy osoby. Fatalna sprawa. Pojechałam na miejsce zdarzenia razem z Sam. Okropnie to wyglądało.

Rozmawiałam potem z siostrą Whitney, Quinn Buckley, aby

ustalić, czy sprawa nie ma drugiego dna. Whitney pędziła do domu siostry, żeby ją przed czymś ostrzec, ale nie mamy pojęcia, o co chodziło. Przez cały dzień przeglądałam jej rzeczy osobiste, najpierw w domu, a potem w kostnicy, bo miała w samochodzie kilka drobiazgów, i nic.

- Pamiętam obie te dziewczyny z czasów, gdy zostały porwane. Zawsze się zastanawiałem, co się tak naprawdę zdarzyło, gdy znikły.

- Trzeba przyznać, że sprawę porwania skutecznie utrzymywano w tajemnicy. Peter Connolly, ojciec bliźniaczek, był adwokatem i miał spore wpływy. Poza tym jako młodociane mogły liczyć na szczególną ochronę. Krążyły jednak jakieś pogłoski, prawda?

- Tak, ale nikt nie wiedział nic na pewno. Personel surowo karał wszystkich, którzy ośmielili się żartować z sióstr Connolly i ich porwania. W nowym otoczeniu chyba czuły się lepiej, choć i tak wiadomo, że przeżyły piekło na ziemi. Mówisz, że Whitney miała wypadek w drodze do Quinn? I nic nie znalazłaś?

- Nic, absolutnie. W jej samochodzie nie znajdowało się nic poza telefonem i torebką. Żadnych teczek, żadnych zapisków. Nic.

- Czy ktoś sprawdził funkcję dyktafonu w jej telefonie? Czasami sam z niej korzystam, kiedy prowadzę i nie chcę się zatrzymywać, aby zapisać coś, co mi przyszło do głowy. Taylor wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś niesamowity - oświadczyła po chwili.

- Sama się tym zajmę. Idę o zakład, że nikt nie skontrolował telefonu.

- Zrobisz to jutro, kochanie. Teraz pora spać. Musisz nabrać sił.

Zdumiał się, bo Taylor od razu przyznała mu rację. Obiecała, że zadzwoni do niego z rana, pożegnali się i rozłączyli.

Baldwin ponownie pochylił się nad aktami. Porozkładał na łóżku zdjęcia ofiar i przyjrzał się im uważnie. W myślach powtarzał wszystko, co wiedział. Zamordowane kobiety były powiązane z medycyną. Może zabójca doświadczył w dzieciństwie molestowania ze strony ładnej brunetki zatrudnionej jako pielęgniarka. Baldwin miał ochotę przewrócić oczami, ale się powstrzymał. W takich okolicznościach każde wyjaśnienie mogło się okazać trafne.

Postanowił zaprowadzić nowe porządki w aktach. Uznał, że łatwiej mu będzie dostrzec podobieństwa i różnice, jeśli wszystkie materiały zgromadzi w jednej teczce, którą podzieli na podgrupy. Interesowało go, gdzie ofiary lubiły jadać, gdzie trenowały, gdzie pracowały. Posegregował dokumenty i skupił uwagę na miejscach pracy zamordowanych kobiet. A może powinien się zainteresować ich szefami?

Susan Palmer właśnie otrzymała pracę w szpitalu komunalnym w Huntsville. Jeanette Lernier była stażystką w firmie marketingowej. Jessica Porter pracowała jako recepcjonistka w szpitalu w Jackson w stanie Missisipi. Shauna Davidson praco-

wała... Psiakrew, w aktach nie było o tym ani słowa. Wiedział tylko tyle, że uczęszczała na kurs przygotowawczy przed studiami na akademii medycznej. Marni Fischer była rezydentem stacjonarnym w szpitalu komunalnym w Noble. Christy pracowała na stanowisku recepcjonistki w szpitalu komunalnym w Roanoke.

Baldwin sięgnął po telefon i wybrał numer Grimesa. Po chwili odezwał się automat zgłoszeniowy poczty głosowej. Baldwin postanowił nagrać wiadomość.

- Grimes, mówi Baldwin - powiedział. - Czy zdobyłeś historię pracy Shauny Davidson? Nie ma jej w aktach. Zadzwoń, gdy tylko ją uzyskasz.

Rozłączył się i zaczął wędrować po pokoju. Jeanette Lernier nie pasowała do profilu zawodowego ofiar, pracowała w marketingu. Pozostałe kobiety były zatrudnione w szpitalu. Shauna szykowała się do studiów medycznych. Szpital komunalny. Szpital komunalny... Hm...

Ponownie wziął do ręki telefon. Wystukał numer infolinii i spytał telefonistkę o numer do szpitala w Jackson w stanie Missisipi. Zapadła cisza, a po chwili telefonistka oświadczyła, że dysponuje numerem do szpitala komunalnego w Jackson. Baldwin nagle się zorientował, że najprawdopodobniej chodzi o szpital prywatny, który funkcjonuje pod nazwą „komunalny”. Podziękował za pomoc, rozłączył się, otworzył laptop i wstukał do wyszukiwarki hasło „szpital komunalny w Jackson”. Po sekundzie wyświetlił się adres strony szpitala.

Przejrzał ją pobieżnie i zainteresował się linkiem opisanym jako „O przedsiębiorstwie Health Partners”. Gdy kliknął na podany link, zadzwonił telefon komórkowy. Na wyświetlaczu widniał numer Grimesa.

- Shauna Davidson uczestniczyła w kilku letnich kursach, głównie z dziedziny mikrobiologii oraz immunologii. Musiała przez kilka tygodni brać udział w praktykach. To tyle.

- Dokąd chodziła na praktyki?

- Do miej scowego szpitala komunalnego w Nashville. Baldwin, trafiłeś na coś ciekawego?

- Zaraz dam ci znać. - Rozłączył się i skupił uwagę na portalu internetowym.

Wkrótce zrozumiał, że Health Partners było matczyną spółką sieci szpitali komunalnych.

Przejrzał wszystkie informacje, zapamiętując nazwy i miejsca. Spółka dysponowała szpitalami w kilku stanach, na całym wschodnim wybrzeżu i na południowym wschodzie.

Baldwin z rezygnacją pokręcił głową. Jeśli morderca wziął na cel szpitale należące do sieci, należałoby ostrzec wszystkie stany od Florydy do Delaware.

Zamknął laptop. Z pewnością był na dobrym tropie, ale ani trochę nie przybliżył się do schwytania mordercy.

Wybrał numer Grimesa, potem jeszcze raz, i jeszcze, lecz ciągle włączała się poczta głosowa. Psiakrew, czyżby poszedł już spać? Przecież przed chwilą z nim rozmawiał, zapowiedział, że oddzwoni. Zerknął na zegarek. Minęła druga w nocy.



Surfowanie po Internecie zajęło mu dwie godziny. Grimes chyba faktycznie już spał. Teraz należało sprawdzić wszystkich pracowników szpitali komunalnych w miastach, w których zaatakował morderca. Baldwin miał nadzieję, że prędzej czy później coś zwróci jego uwagę.

Westchnął i postanowił się przespać. Liczył na to, że we śnie przyjdzie mu do głowy jakieś rozwiązanie.

### ***Rozdział trzydziesty pierwszy***

Noelle Pazia przestała pedałować, oparła stopę na żwirze i rozkaszała się na dobre. Uciążliwy kaszel doskwierał jej od tygodnia, lecz studencki ośrodek zdrowia dopiero teraz skierował ją na prześwietlenie klatki piersiowej. Cierpiała na astmę i używała inhalatora, ale kaszel nie mijał. Pojechała więc rowerem do szpitala komunalnego w Asheville, spędziła tam dwie godziny, a gdy w końcu zrobiono jej zdjęcie, ruszyła z powrotem do kampusu. Wcale nie miała ochoty jeździć rowerem, ale nie stać jej było na własny samochód, a nie chciała prosić kolegów o podwiezienie.

Kaszała, myśląc tylko o tym, że najbardziej na świecie pragnie wrócić do domu w Waszyngtonie, usiąść przy stole na zapleczu rodzinnej restauracji i patrzeć, jak jej ojciec, Giovanni, przyrządza specjalnie dla niej tradycyjną zupę z makaronem i fasolą. Do domu było jednak daleko. Stała na poboczu

drogi w Karolinie Północnej, a musiała się jak najszybciej dostać do biblioteki i dołączyć do swojej grupy. Zajęcia już się rozpoczęły, a wrodzone poczucie odpowiedzialności nie pozwalało jej zrobić sobie wolnego.

Rozmyślania o zupie ojca przywołały inne wspomnienia. Zawarła z ojcem umowę. Chciała jechać do Kolorado i studiować klimatologię, jeździć na nartach i rowerze po najwyższych górach w kraju. Giovanni uznał, że Kolorado leży zbyt daleko. Ostatecznie oboje poszli na kompromis. Noelle postanowiła kontynuować naukę na wydziale klimatologii Uniwersytetu Karoliny Północnej w Asheville. W ten sposób miała pod ręką góry, a Giovanni odetchnął z ulgą. Jego ukochana najmłodsza córka studiowała zaledwie kilka godzin jazdy od domu.

Dla cichej, poważnej Noelle studia w Asheville okazały się spełnieniem marzeń. Uwielbiała swoich pedagogów, zaprzyjaźniła się z wieloma studentami, na dodatek trafiła się jej świetna współlokatorka. Poza tym wstąpiła do klubu miłośników rowerów i wraz z grupą katolickich studentów odwiedzała kościół poza terenem kampusu. Na drugim roku studiów czuła się jak ryba w wodzie. Zgrabna, szczupła, wysportowana i ładna, cieszyła się powodzeniem wśród kolegów, ale nie chciała się z nimi spotykać, bo tego od niej oczekiwał ojciec. Nie zależało jej na chłopakach, miała mnóstwo pracy i wiedziała, że nauka jest teraz najważniejsza.

Biblioteka znajdowała się w samym centrum kampusu. Dotarła tam, odetchnęła kilka razy i weszła do środka. Wraz z grupą pracowała potem przez parę godzin, lecz pod koniec zajęć poczuła się naprawdę fatalnie. Podczas krótkiej przerwy zadzwonił jej telefon. Odebrała, ale wyszła z pomieszczenia, aby nie przeszkadzać innym. Zadzwoniła koleżanka z klubu rowerowego, aby spytać, czy Noelle miałyby ochotę wybrać się rano na przejażdżkę. Rzecz jasna, miała ochotę, ale z przykrością musiała odmówić. Forsowanie organizmu w trakcie kuracji antybiotykami nie byłoby rozsądne. Przez chwilę gawędziła, siedząc na schodach przed budynkiem. Robiło się już całkiem ciemno, a gdy kończyła rozmowę, wydało jej się, że widzi cień człowieka na ścianie gmachu. Odruchowo wzruszyła ramionami. Na terenie kampusu roiło się od ludzi. Niezależnie od tego uznała jednak, że powinna wrócić do środka. Słyszała, co spotkało jakąś biedną dziewczynę z Wirginii. Ruszyła z powrotem do biblioteki i nagle włosy zjeżyły się jej na karku. Odwróciła się gwałtownie. Cień zmienił się w mężczyznę. Przyjrzała mu się niepewnie i odetchnęła z ulgą. To tylko jeden ze studentów. Z całą pewnością był zbyt młody i zbyt przystojny jak na mordercę. Uśmiechnęła się do niego i przytrzymała mu drzwi. Odwzajemnił uśmiech. Potem straciła świadomość.

## ***Rozdział trzydziesty drugi***

Taylor obudziła się rześka i wypoczęta. Wzięła prysznic, zjadła śniadanie i zabrała sprzed drzwi świeże wydanie „Tennessean”, po czym zagłębiła się w lekturze. Lee May field, reporterka od spraw kryminalnych, jak zwykle pomyliła szczegóły w artykule o Slotniku. Taylor jej nie cierpiała, koledzy z branży zresztą też. Lee miała zwyczaj przychodzić na sam koniec konferencji prasowych, a następnie wypytywać wszystkich o szczegóły, których nawet nie chciało się jej zapamiętywać.

Taylor nie dokończyła artykułu. Zdegustowana, cisnęła gazetę na podłogę i skupiła się na pracy. Na początek sięgnęła po telefon Whitney Connolly. Przejrzała opcje na wyświetlaczu, odszukała dyktafon i wcisnęła przycisk odtwarzania. Z urządzenia popłynął głos Whitney, która wyliczała sprawy do załatwienia. Ostatni punkt okazał się intrygujący.

- Muszę powiedzieć Quinn o listach.

I już. Nic więcej. Whitney nawet nie wspomniała, czy to coś pilnego. Czy miała na myśli e-maile?

Taylor wzięła do ręki telefon i wybrała numer Quinn Buckley.

- Quinn? Mówi Taylor Jackson. Przeglądałam rzeczy osobiste Whitney, znalezione w samochodzie, i mam tutaj jej komórkę z dyktafonem, na którym jest nagranie. Chciałabym, żebyś posłuchała uważnie. Uwaga, puszczam.

Przysunęła komórkę do słuchawki i włączyła zapis głosowy. Po chwili ponownie przystawiła telefon do ucha. Usłyszała cichy płacz Quinn.

- Kurczę, Quinn, przepraszam. Powinnam była cię uprzedzić, że to jej głos.

- Już w porządku - chlipnęła Quinn. - Nie sądziłam, że ją usłyszę. Masz coś jeszcze? Taylor pokręciła głową i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Quinn jej przecież nie widzi.

- Nie, poza tym nie znalazłam nic godnego uwagi. Czy wiesz, o jakich listach mówiła twoja siostra?

- Nie mam pojęcia. Może chciała w naszym imieniu wysłać listy do rodziny i dlatego próbowała się ze mną skonsultować?

- Sama się nad tym zastanawiam. Wybacz, że zawracam ci głowę.

- Taylor, to twoja praca. Dziękuję ci za pomoc, naprawdę świetnie się spisujesz. Dzisiaj wydadzą mi zwłoki Whitney. Pogrzeb zaplanowałam na przyszły tydzień, gdy tylko skontaktuję się z mę-

zem i młodszym bratem, obaj wyjechali. Zapraszam także ciebie.

- Oczywiście, że przyjdę. Daj mi tylko znać, gdzie i kiedy mam się zjawić.

Pożegnały się i rozłączyły. Taylor czuła się okropnie. Siostra Quinn nie żyła, jej mąż przebywał poza miastem, a z młodszym bratem nawet nie mogła się skontaktować w sprawie przygotowań do pogrzebu. Jak na bogatą Amerykankę, Quinn wiodła bardzo samotne życie.

Taylor zdecydowała, że pora jechać do biura. Związała wilgotne włosy w koński ogon, wzięła do ręki klucze i w tej samej sekundzie zadzwonił telefon.

Odłożyła rzeczy i przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Cześć, kochanie - przywitała Baldwina. - Jak tam w Karolinie Północnej, wszystko gra?

- Dzisiaj rano jeszcze nikt nie zaginął, więc jest pewien postęp. Nie potrafię przewidzieć, co się stanie, i to mnie wkurza.

- Powinieneś się wyciszyć i napisać dla mnie wiersz miłosny - zażartowała. - Wówczas byś się odprężył, a twoje myśli zaczęłyby krążyć wokół właściwego tematu.

W słuchawce zapadła cisza. Taylor poczuła przykre ukłucie w sercu. Baldwin zwykle reagował na jej przyjazne zaczepki. Odezwał się, zanim zdążyła cokolwiek dodać.

- Taylor, dlaczego wspomniałaś o wierszu miłosnym?

- Wybacz, kochanie, po prostu żartowałam.

Myślę o poezji, odkąd zobaczyłam wiersze w domu Whitney Connolly. Miała chłopaka albo wielbiciela, który podsylał jej e-maile z wierszami miłosnymi. Przeczytałam je przy okazji przeglądania rzeczy osobistych Whitney. I tyle. - Zaniepokoiła się. Doskonale wyczuła napięcie w głosie Baldwina.

- Czy coś ci się rzuciło w oczy, gdy czytałaś te wiersze? Może zapamiętałaś jakiś fragment?

- Nie, nie zauważyłam nic istotnego. Baldwin, co jest grane?

- Posłuchaj uważnie. Nie ujawniliśmy tej informacji mediom, więc musisz ją zatrzymać wyłącznie dla siebie. Morderca zostawia ofiarom wiersze. Chodzi o klasyczną poezję miłosną, Wordswortha, Coleridge'a, Yeatsa. Musisz ściągnąć dla mnie te wiersze z komputera Whitney.

- Zabójca zostawia wiersze na miejscu zbrodni? - zdumiała się. - Nie przypominam sobie, aby w mieszkaniu Shauny Davidson coś takiego się znajdowało.

- Jeden z ludzi Grimesa znalazł wiersz w szufladzie jej biurka. Wyglądają całkiem niewinnie i łatwo je przeoczyć, jeśli się ich nie szuka.

- Na litość boską, Baldwin, gdybyś mi wcześniej powiedział, podesłałabym ci wszystko już wczoraj. Cholera.

Taylor kręciło się w głowie. Uwielbiała ten nagły przyływ adrenaliny, który czuła za każdym razem, gdy w śledztwie następował poważny przełom. Wszystko zaczęło się układać w spójną całość.



- Baldwin, pamiętasz, że Whitney usiłowała wczoraj za wszelką cenę skontaktować się z siostrą, prawda? Na dyktafonie w jej komórce natrafiłam na ciekawe nagranie. Whitney postanowiła koniecznie porozmawiać z Quinn o listach. Ani ja, ani Quinn nie mamy pojęcia, o co właściwie chodziło. Jak sądzisz, czy to coś ważnego?

- Wolę nie wyciągać pochopnych wniosków. Posłuchaj, koniecznie zdobądź kopie tych wierszy i przeczytaj mi je. Chcę sprawdzić, czy pasują do poezji pozostawianych na miejscu zbrodni. Morderca może być wielbicielem Whitney Connolly. Kto wie? Czy masz dostęp do tego komputera?

- Tak. Zatelefonuję tylko do Quinn Buckiey i poproszę ją o zgodę na ponowną wizytę w domu Whitney. Zadzwoń, gdy tylko będę miała przed sobą wiersze.

Baldwin przełączał programy informacyjne, aby się zorientować, jak opinia publiczna podchodzi do sprawy. Materiały o zabójstwach pojawiały się we wszystkich serwisach, dziennikarze obszernie komentowali fakt, że wszystkie ofiary miały taki czy inny związek z medycyną, a sprawca popełnia teraz jedną zbrodnię za drugą. W rezultacie wzrosła sprzedaż broni, a ślusarze zarabiali krocie na obszarze całego pasa południowo-wschodnich stanów Ameryki. Baldwin pomyślał, że w sumie dobrze się dzieje, bo śledztwo zawsze przebiega sprawniej i szybciej, kiedy ludzi ogarnia strach. Pytanie tylko, skąd dziennikarze

czerpali te wszystkie informacje? Zaledwie kilka osób wiedziało o medycznych powiązaniach ofiar, przeciek nastąpił zatem na wysokim szczeblu.

Przez chwilę Baldwin siedział na łóżku i intensywnie myślał. Nagle wpadł na pewien pomysł. Włączył komputer i wszedł na stronę Health Partners. Przed snem przejrzał ją dość starannie, ale dręczyła go pewna wątpliwość. Najechał kursorem na okienko oznaczone napisem „Skontaktuj się z nami” i kliknął. Otworzyła się strona głównego biura firmy w Nashville. Nie znalazł tam jednak nic godnego uwagi. Spółka z pewnością dysponowała listą wszystkich kierowników i dyrektorów, ale nie udostępniała jej za pośrednictwem sieci.

Wystukał numer Health Partners i po chwili w słuchawce rozległ się miły głos z południowym akcentem. Baldwin zorientował się, że to nagranie. Psiakość, miał nadzieję, że odbierze sekretarka. Głos oznajmił, że po naciśnięciu zera zgłosi się konsultant, więc Baldwin posłusznie wcisnął odpowiedni klawisz. Po kilku minutach muzyki usłyszał w głośniczku bez wątpienia ludzki głos.

- Health Partners. Czym mogę służyć? Odchrząknął i wyjaśnił zwięźle:

- Przy telefonie agent specjalny John Baldwin z FBI. Potrzebuję informacji na temat państwa firmy.

- Czy pojawił się jakiś problem, proszę pana? Skrzywił się. Było jasne, że trafił na telefonistkę,

z którą nie pójdzie mu łatwo.

- Nie, proszę pani, nie pojawił się. Po prostu

chciałbym wiedzieć więcej na temat państwa pracowników. Czy byłaby pani skłonna udostępnić mi kilka ogólnych informacji?

- Tak, ale dlaczego FBI się nami zainteresowało? Czy zostaliśmy objęci jakimś dochodzeniem? Chyba lepiej będzie, jeśli przełączę pana do Louisa Sherwooda. To dyrektor zarządzający, na pewno odpowie na wszystkie pańskie pytania. Proszę zaczekać.

- W słuchawce ponownie zabrzmiała muzyka. Po mniej więcej pięciu minutach w telefonie coś zachrząściło i dobiegł z niego męski głos.

- Mówi Louis Sherwood. Jak mógłbym panu pomóc, panie Baldwin?

- Witam. Potrzebuję informacji na temat zatrudnionych w pańskim przedsiębiorstwie podróżujących przedstawicieli. Prowadzę śledztwo, w trakcie którego padła nazwa pańskiej firmy. Czy mogę liczyć na współpracę z pana strony?

Sherwood nie wahał się ani przez moment.

- Chodzi o Dusiciela z Południa, prawda?

- Zgadza się. Rozumiem, że sprawa jest panu znana?

- Jak najbardziej. Cieszę się, że możemy porozmawiać. Jak rozumiem, trzy ofiary mordercy pracowały dla naszej firmy. Wydaje mi się, że powinniśmy się spotkać na dłuższą rozmowę.

Baldwin nie krył zadowolenia. Interesowało go wszystko, co mogło go przybliżyć do schwytania sprawcy.

- Bezwzględnie - potwierdził. - Kiedy jest pan osiągalny?

- Zapraszam pana o każdej porze. Czy jest pan w mieście?
  - Nie, aktualnie przebywam w Karolinie Północnej, ale jeszcze dzisiaj zamierzam wrócić do Nashville, o ile nic mnie nie zatrzyma. - Na przykład następne porwanie, dodał w myślach.
  - Wraca pan do Nashville? Czyżby znowu doszło tutaj do jakiegoś dramatycznego zdarzenia?
  - Och, nie. Mieszkam w Nashville, ale zajmuję się sprawami o zasięgu ogólnokrajowym. W każdym razie wracam późnym popołudniem. Czy znajdzie pan dla mnie chwilę?
  - Będę na pana czekał. Wie pan, gdzie mnie szukać?
- Baldwin zapisał wskazówki i podziękował za rozmowę. Teraz musiał jeszcze pogadać z Taylor o wierszach, potem zamierzał wrócić do Nashville. Przyszło mu do głowy, że mógłby zrezygnować z samolotu i dla odmiany pojechać wynajętym samochodem. Grimes musiał jeszcze pozostać w Asheville, między innymi czekał na wyniki sekcji zwłok Christiny Dale. Baldwin chciał w spokoju pomyśleć, a czterogodzinna przejażdżka do Nashville idealnie się do tego nadawała.
- Zadzzwonił do Grimesa i poinformował go o swoich planach. Przy okazji wyjaśnił, że zamierza się spotkać z Sherwoodem. Grimes odparł, że to doskonała myśl, i poprosił o informowanie go na bieżąco o postępach w śledztwie. Baldwin nie wspomniał o wierszach z e-maili Whitney Connolly. Wolał je najpierw sprawdzić.

Po zakończonej rozmowie zatelefonował do recepcji w hotelu i zamówił samochód. Powiedziano mu, że szybciej i prościej będzie, jeśli sam się uda do wypożyczalni aut, która znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Zwolnił pokój. Po dziesięciu minutach siedział za kierownicą i wracał do domu.

### ***Rozdział trzydziesty trzeci***

Taylor siedziała przed laptopem Whitney i przeglądała e-maile, które licznie spływały przez ostatnie dwa dni. Musiała przeszukać co najmniej dwieście listów, czasem nudnych, czasem ciekawych, w większości całkowicie nie na temat. W końcu wyłuskała sześć oryginalnych wiadomości z wierszami. Od razu je wydrukowała, aby przekazać Baldwinowi listy w ich pierwotnym brzmieniu.

Chciała zamknąć laptop, kiedy zauważyła, że nadeszła świeża wiadomość od nadawcy wierszy. Widniał na niej napis „Nieprzeczytane”, co oznaczało, że e-mail przyszedł po tym, jak razem z Quinn opuściła dom Whitney.

W liście znajdował się następny wiersz, który od razu wydrukowała, lecz postanowiła także przesłać e-maile na adres Baldwina, aby zapoznał się z nimi na ekranie komputera. W trakcie przesyłania postanowiła zabrać komputer Whitney. Gdyby - nie

daj Boże - morderca wysyłał następne wiersze, powinna od razu mieć do nich wgląd. Rozejrzała się i sięgnęła po torbę na laptop. Wydruki wsunęła do beżowej koperty. Na chwilę znieruchomiała przy ostatnim wierszu, wysłanym już po śmierci Whitney.

*Spójrz, pchła: ten widok opór twój pokona -To, czego pragnę, małe jest jak ona. Ssała krew z mego, teraz z twego ciała; Obie krwie nasze w sobie więc zmieszała.*

Taylor od razu rozpoznała ten wiersz. Autorem był John Donne, utwór nosił tytuł „Pchła”. Dobrze pamiętała go z liceum, bo wszyscy chłopcy chichotali, kiedy odczytywała go młoda i atrakcyjna nauczycielka literatury angielskiej. Baldwin wspomniał, że wiersze z miejsc zbrodni to klasyka poezji. Teraz należało sprawdzić, co oznaczały dla Whitney i dla nadawcy. Zadzwoiła do Baldwina. Od razu włączyła się poczta głosowa, więc zostawiła nagranie z prośbą o telefon. Zabrała komputer, klucz wsunęła pod wycieraczkę i poszła do samochodu.

- Muszę powiadomić Quinn, że pożyczyłam laptop - powiedziała na głos. Uznała, że zadzwoni do niej później, już po tym, jak wraz z Baldwinem przejrzy e-maile.

Baldwin wyjechał z Asheville wcześniej i utrzymywał dobre tempo na międzystanowej czterdziestce.

Gdy mijał Crossville, odezwał się telefon. Znajdował się zaledwie godzinę drogi od Nashville, lecz już kilka razy tracił zasięg, więc zjechał na pobocze i szybko sprawdził, kto dzwoni.

- Cześć, kochanie, jak tam? - odezwał się do Taylor.

- Baldwin, od dłuższego czasu próbuję się z tobą skontaktować. Gdzie jesteś?

- Nieopodal Nashville. Jadę wynajętym samochodem. Za godzinę powinienem być na miejscu. Coś się stało?

- Przyszedł nowy mejl do Whitney. Jeśli te wiersze faktycznie mają związek z morderstwami, to możemy mieć kłopoty.

Baldwin zacisnął zęby. Psiakrew. W każdej chwili należało się spodziewać doniesienia o zaginięciu następnej dziewczyny z Asheville.

- Co to za wiersz?

- Rozpoznałam go, to kilka pierwszych wersów z „Pchły” Johna Donne’a. Znasz?

- Pewnie. Wielokrotnie recytowałam ten utwór dziewczynom, które chciałam poderwać.

Zrobisz coś dla mnie? Czy masz przed sobą wszystkie wiersze?

- Tak, zabrałam komputer Whitney na wypadek następnych mejli.

- Dobrze. Teraz ruszę w dalszą drogę, a ty przeczytasz mi wszystkie, począwszy od najwcześniejszego. Jeśli urwie się połączenie, oddzwonię. Zgoda?

Usłyszał, jak Taylor szeleści kartkami. Wiedział



już, że wiersze będą się zgadzały, ale chciał się upewnić.

- Pierwszy jest sprzed miesiąca. Posłuchaj:

*Kobieta: z rąk jej ludzkich biorę Pocięgę, pomoc i podporę; A jednak - wciąż Duch, jak przed laty, Wciąż anioł jasny i skrzydlaty!*

- Och, wcześniej nie zauważyłam postscriptum. Po raz pierwszy widzę te listy w formie wydruku. „To znaleziono na miejscu przestępstwa”. - Na chwilę umilkła. - Baldwin, ona wiedziała. Wiedziała, ale do nas nie przysłała. Bezmyślna baba.

Baldwinowi serce waliło jak młotem.

- Ten sam cytat znaleźliśmy w torbie Susan Palmer. Rzecz jasna, bez dopisku - dodał cicho.

- Następny list pochodzi sprzed dwóch tygodni.

*Słodycz obietnic, o naturze Człowieczej, z miejscem na nieduże, Codzienne troski, proste chętki, Przelotne Izy i uśmiech prędkości.*

- Znowu jest dopisek. „To z LA”.

- Jeanette Lernier. Cholera jasna. Gość podsylał Whitney Connolly te same fragmenty wierszy, które pozostawiał na miejscach uprowadzenia ofiar. Drugie postscriptum świadczy o tym, że Whitney nie domyśliła się, o co chodzi z tymi

wierszami. Morderca podsuwał jej wskazówki. Taylor, jesteś rewelacyjna. Czytaj dalej.

- Następny mejl jest datowany na niedzielę, zaraz po tym, jak znaleźliśmy Jessicę.

*Spadł na nią nagłym ciosem: nad oszołomioną Trzepot ogromnych skrzydeł, kark w twardym*

*uchwycie*

*Dzioba, uda pieszczone łap czarniawą błoną, Pod jego piersią - serca jej spłoszone bicie.*

- I jeszcze dopisek: „Czy już rozumiesz?”. Baldwina ogarnęło podniecenie.

- Ten cytat znajdował się wśród rzeczy osobistych Jessiki. Świetnie. Co dalej?

Taylor odczytała następny e-mail.

*Jakże mają jej palce paniczne i błędne Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę? Jak ciało, przygwożdżone obcym serca tętnem, Umknąć ma przed naporem piersi śnieżnobiałej?*

- „PS Z twojego podwórka”.

- Chodzi o Shaunę Davidson, bez wątpienia. Co dalej?

- Następny fragment:

*Przebita tym dreszczem,*

*Pod dziką krwią powietrza uległa, bezwładna,*

*Czy razem z jego władzą przyjęła i wiedzę,*

*Zanim zobojeźniały dziób puścił ją wreszcie?*

Taylor się zamyśliła.

- Marni Fischer?

- Tak, zgadza się. Nie ma dopisku?

- Nie, tym razem morderca przysłał tylko cytat. Dlaczego?

- Trudno powiedzieć. Albo uznał, że wszystko jest jasne, albo się śpieszył. Masz tam jeszcze coś?

- Następny fragment jest sprzed dwóch dni. Posłuchaj:

*Wpół obejmuje mnie w ramiona, Uściskiem mnie pokornym darzy; I, głowę chyląc w tył,  
podnosi Wzrok wzwyż, ku mojej twarzy.*

*Miłością było to i lękiem, I sztuką też nieśmiałą, Bym raczej uczuł, niż zobaczył, Ze serce w  
niej wezbrało.*

Taylor usłyszała w słuchawce szelest, jakby ktoś przesuwiał papierem po telefonie.

Wyobraziła sobie, że to Baldwin przeczesuje włosy dłonią.

- Kartkę z tym samym fragmentem wiersza znaleźliśmy w pokoju motelowym, w którym zamordowano Christinę Dale. Wspomniałaś, że wczoraj wieczorem zabójca przysłał cytat z „Pchły”?

- Musiałabym jeszcze raz dokładnie sprawdzić

opis wiadomości, ale z pewnością nadeszła po tym, jak razem z Quinn opuściłam dom Whitney. Rozumiem, że gdy wyjeżdżałeś z Asheville, nie słyszałeś o kolejnym przypadku zaginięcia?

- Nie, na pewno nie było żadnego zgłoszenia. Ale możemy założyć, że sprawca ma już następną dziewczynę. Niech to szlag. Zadzwońię do Grime-sa. Taylor, po przyjeździe do miasta od razu idę na spotkanie z dyrektorem zarządzającym firmy, do której należy sieć szpitali. W kilku z nich pracowały ofiary mordercy. Spółka nosi nazwę Health Partners, zamierzam zapoznać się...

- Co takiego?

- Jadę na spotkanie z dyrektorem Health Partners - powtórzył.

Taylor odetchnęła głęboko.

- Mąż Quinn Buckley pracuje w Health Partners. Jest tam wielką szycią, wiceprezesem. To na pewno ma znaczenie, Whitney Connolly dowiedziała się o tym i dlatego pojechała do siostry.

- Wiceprezesem? To znaczy, że często podróżuje. Spotkajmy się, zanim pojedę do firmy. Mogę wpaść do ciebie do biura? Zjawię się za niespełna pół godziny.

- Przyjeżdżaj jak najszybciej, Baldwin.

### ***Rozdział trzydziesty czwarty***

Minał samochód z agentem FBI. Ciekawe. Jakiś człowiek bezowocnie przetrząsa cały południowy wschód, a tymczasem mógłby spojrzeć w lewo i od razu zobaczyćby sprawcę. Z uwagą obserwował wysokiego agenta FBI, który głęboko zamyślony długo stał nad zwłokami Christiny. Już wkrótce nie będzie musiał się zastanawiać.

Zmarszczył nos. Smród w samochodzie stawał się trudny do zniesienia. Nadeszła pora na gruntowne sprzątanie i mycie. Musiał oczyścić bagażnik, nabrać lodu do chłodziarki.

Dobrze, że miał przyciemniane szyby, jego twarz z pewnością przyciągnęłaby spojrzenia. Na podłodze przed tylną kanapą zawsze trzymał skórzaną, niepozorną torbę. Tylko jej zawartość była godna uwagi.

Uśmiechnął się. Szło mu jak po maśle. Jeszcze jeden raz i będzie mógł triumfalnie powrócić, aby obserwować widowisko z bezpiecznego azylu

własnego domu. Miał nadzieję, że ona wreszcie się zorientowała, o co chodzi. Przecież nie brakowało jej rozumu. Teraz wszystko będzie dobrze.

### ***Rozdział trzydziesty piąty***

Taylor siedziała za biurkiem, niecierpliwie bębniąc palcami o blat. Gdzie, do diabła, podziewał się Baldwin? Podczas rozmowy wyczuła jego entuzjazm i teraz nie mogła przestać rozmyślać o sprawie. Nie знаła jednak szczegółów, więc czuła się coraz bardziej sfrustrowana. Najchętniej wyruszyłaby w pościg za mordercą. Miała świadomość, że pomogła Baldwinowi, ale wołałaby uczestniczyć w polowaniu, z bronią w ręku.

Drgnęła, gdy Lincoln i Marcus weszli do gabinetu. Właśnie sobie wyobrażała, że posyła kulkę prosto między oczy sukinsyna. Uśmiechnęła się ze skruchą - od ponad godziny nie poświęciła ani jednej myśli sprawie Betsy Garrison i Słotnika.

- Cześć - odezwała się na powitanie. - Macie gwałciciela?
- Będziemy mieli - zapowiedział Lincoln.
- Czyli na razie muszę czekać?
- Na razie. Odcisk palca, który zdjęłaś, należy

do Briana Posta. Zatem nie tędy droga. Razem z Marcusem przejrzałem teczki osobowe policjantów, którzy mieszkają w pobliżu i mogliby chodzić do wskazanych sklepów i korzystać z siłowni. Pytaliśmy o nią naszych ludzi i wiemy, że kilka osób tam ćwiczy. Ale żadna z nich nie pasuje do opisu podanego przez ostatnią ofiarę. Betsy potwierdziła, że z całą pewnością nie był to żaden z wytypowanych policjantów. Zna ich na tyle dobrze, aby definitywnie wykluczyć ich z grona podejrzanych.

Taylor ruchem głowy wskazała im krzesła, sama rozparła się w fotelu.

- Marcus, co ty na to? Twoim zdaniem, szukamy gliniarza?

- Wątpię. Na pewno nie chodzi o człowieka z policji miejskiej. Nie wykluczam, że pomyliła mundury albo samochody. Może sprawca jest policjantem z okręgu Williamson. Na razie nie mamy zezwolenia na przejrzenie ich akt osobowych. Wiemy za to co nieco o ofierze. Trafiła za kratki za stawianie oporu podczas zatrzymania, ma na karku sprawę sądową z oskarżenia prywatnego. Wniósł je niejaki Edward Hunt. Chyba warto byłoby z nim pogadać, sprawdzić, czy nie kręci się po okolicy. Może dziewczynie się przywidziało. Gwałt to traumatyczne przeżycie, mówiłem przecież.

- No dobrze. Kontynuujcie, ja muszę się spotkać z Bałdwinem i będę z nim przez resztę dnia, ale w razie czego dzwońcie.

Spojrzeli na nią pytająco, ale nie skomentowali



tego ani słowem. Miała prawo spędzić popołudnie poza miejscem pracy, jeśli nie załatwiała przy tym prywatnych spraw. Pokiwali głowami i wyszli z gabinetu, a Taylor otworzyła laptop Whitney Connolly. Wyświetliła okienko z pocztą, lecz nie przyszedł żaden nowy list, więc zajęła się przeglądaniem plików. Jeden z nich przykuł jej uwagę. Nosił nazwę „Notatki” i był datowany na dzień wypadku. Whitney zapisywała coś rankiem, niedługo przed śmiercią.

Taylor otworzyła plik i ujrzała całkowicie niezrozumiałą mieszaninę uwag, komentarzy i spostrzeżeń. Whitney prowadziła zapiski osobiście opracowaną, indywidualną metodą stenograficzną. W rezultacie tekst wyglądał jak list napisany szyfrem przez nastolatkę do najlepszej przyjaciółki. Wiele słów było zapisanych w formie skrótów, lecz wśród nich znalazło się sześć pełnych fragmentów wierszy, wraz z dopiskami. W kilku miejscach przewinęła się litera Q, a także zbitka QJB, która zapewne odnosiła się do Quinn i Jake'a Buck-leyów. Z reszty notatek nic się nie dało wywnioskować. Taylor wiedziała, że dziennikarze czasami sporządzali notatki w niezrozumiałym dla niewtajemniczonych sposób, aby nikt nie ukraść im pracy. Whitney najwyraźniej stosowała tę metodę. Zamknęła plik i przejrzała pozostałe. Wszystkie miały formę nietypowych stenogramów. Taylor pomyślała, że może Baldwin albo koledzy Whitney z pracy coś z tego rozumieją. W tym samym momencie na progu gabinetu

stanął Baldwin. Jej serce mocniej zabiło, wstała zza biurka i zaprosiła go ruchem ręki. Zamknął za sobą drzwi, a wtedy Taylor objęła go, mocno przytuliła i pocałowała. Trwali w objęciach przez kilka długich chwil, aż w końcu Taylor oderwała usta od jego warg i uśmiechnęła się ciepło. Bez słowa obróciła komputer ekranem w jego stronę i wskazała dłonią krzesło.

Baldwin usiadł, odetchnął głęboko i całą uwagę skupił na pracy.

- To jest poczta Whitney Connolly? - spytał.

- Tak. Przeglądałam mejle i usiłowałam się rozeznać w notatkach, ale nic nie rozumiem z tych zapisków. Wiem za to na pewno, że mąż Quinn Buckley jest wiceprezesem Health Partners. Poza tym, jak wspomniałeś, trzy ofiary pracowały w szpitalach tej firmy, a Whitney otrzymuje mejle z fragmentami wierszy z miejsc zbrodni. Nikt nie wie o tych listach, zatem morderca musiał wybrać Whitney, aby za jej pośrednictwem skontaktować się z nami. Nie złożyłam prośby o drobiazgową kontrolę samochodu i sprawdzenie, czy nie doszło do sabotażu, wszystko wyglądało na zwykły wypadek. Mogę jednak zażądać wszczęcia śledztwa, jeśli sobie życzysz. Poza tym chyba powinniśmy zapoznać się z rozkładem wyjazdów Jake'a Buckieya, prawda?

Baldwin z uwagą stukał palcami w klawiaturę komputera.

- Zatem ostatni mejl przyszedł po wypadku Whitney, zgadza się?

- Tak. Możesz to sprawdzić, ale z całą pewnością ona już nie żyła. Co o tym myślisz?

- Moim zdaniem, morderca nie ma pojęcia o śmierci Whitney. To oznacza, że nie przebywa w Nashville, bo w mediach nie mówi się o niczym innym.
- Fakt. W telewizji mówią o tym bezustannie. Emitowane są programy wspominkowe, dziennikarze wypowiadają się na temat Whitney, znajomi mówią o jej życiu. Wiadomo. Nikt ani słowem się nie zająknął o porwaniu Whitney i Quinn. Powtarzane są tylko przesłodzone, pełne nabożnej czci opowiadki. Można by pomyśleć, że Whitney miała samych przyjaciół.
- Idę o zakład, że nic podobnego nie pojawiło się w stacjach ogólnokrajowych.
- Tego nie wiem na pewno, ale możemy zadzwonić do sieci i spytać. Czy to istotne?
- Właściwie nie. Po drodze tutaj rozmawiałem z Garrettem. Zgodnie z geograficznym profilem przestępcy Nashville stanowi jeden z trzech centralnych punktów jego działalności. Znajduje się niecały dzień drogi od każdego miejsca zbrodni. Jeśli profil jest trafny, a morderca pochodzi z Nashville i nie wie o śmierci Whitney, mogłoby to tłumaczyć, dlaczego nadal przysyła jej mejle. Musimy wyśledzić, skąd nadano list. Poza tym pojedę do siedziby Health Partners i zamienię słowo z Louisem Sherwoodem. Czy rozmawiałaś już z Quinn?
- Nie, wolałam najpierw zebrać jak najwięcej informacji.
- Chyba już pora z nią pogadać. Wpadnij do jej

domu i spróbuj ją pociągnąć za język. Nie mów, co wiesz, po prostu czekaj, aż sama zwierzy ci się z czegoś godnego uwagi. Spotkamy się później w domu. Zgoda? Pochylił się nad biurkiem i pocałował ją w usta. Następnie uśmiechnął się krzepiąco i ruszył w stronę drzwi. Zanim zdążył wyjść na korytarz, odezwała się jego komórka. Dzwonił Grimes.

- Baldwin, mamy doniesienie o znalezieniu zwłok w Louisville w stanie Kentucky.
- O ile wiem, nie otrzymaliśmy jeszcze żadnego zgłoszenia o zaginięciu człowieka w Asheville, prawda?
- Nie. Mam nadzieję, że te zwłoki nie mają nic wspólnego z naszą sprawą. Louisville to jedno z miast, w których znajduje się szpital należący do Health Partners, więc chyba powinniśmy się zainteresować.
- Pytanie tylko, czy morderca porwał następną ofiarę w Asheville i przewiózł do Louisville, czy też zabił kogoś w Louisville.
- Nie mam pojęcia. Sam będziesz musiał mi to wyjaśnić. Wybierasz się do Louisville? Mam się tam z tobą spotkać?
- Na razie muszę sprawdzić parę rzeczy w Nashville. Chciałbym zweryfikować kilka informacji, bo nie mogę się opierać na domysłach. Profil geograficzny wskazuje, że Nashville może być ośrodkiem wypadowym poszukiwanego. Moim zdaniem, tutaj ma dom. Mam powody sądzić, że kontaktował się z miejscową dziennikarką. Pod-

syłał jej mejle z fragmentami wierszy, które pozostawiał na miejscach zbrodni. Od tego miejsca historia jest nieco pogmatwana - ciągnął. - Dziennikarka, Whitney Connolly, zaczęła się bać o siostrę bliźniaczkę, więc postanowiła się z nią skontaktować, ale w drodze do jej domu zginęła w wypadku samochodowym. Odkryliśmy, że mąż tej siostry, Jake Buckley, jest wiceprezesem Health Partners. Ten fakt z pewnością ma istotne znaczenie w sprawie. Morderca przesłał Whitney następnego mejla z fragmentem wiersza, którego jeszcze nie znaleźliśmy na miejscu zbrodni. W Louisville natrafiono na zwłoki. Można zakładać, że cytat odnosi się do kolejnej ofiary.

- Nie mam pojęcia, co o tym myśleć, Baldwin. Nigdy w życiu nie pracowałem przy takiej sprawie. Czy wiadomo, kiedy zabójca wysłał listy? Czy robi to zaraz po porwaniu ofiary? A może po jej zamordowaniu? Czy ma laptop?

- Sam się nad tym zastanawiam, Grimes. Sprawdziłeś w szpitalu komunalnym w Asheville, czy nie brakuje im jakiegoś pracownika?

- Sprawdziłem. Wszyscy przyszli dzisiaj do pracy. Nie bardzo wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Na razie czekam na doniesienie o zaginięciu dziewczyny lub młodej kobiety.

- A co z college'em? Wiemy, że Shauna Davidson nie pracowała w szpitalu Health Partners, ale uczęszczała tam na zajęcia. Może są studenci, którzy chodzą tam na lekcje w laboratorium.

- Baldwin...

- Wiem, stary, po prostu robię, co mogę. Głośno myślę...
  - Zaraz, zaraz. Chyba coś mi przyszło do głowy. Istnieje coś takiego jak studenckie przychodnie, prawda? Podejrzewam, że nie można w nich przeprowadzać badań laboratoryjnych, więc studenci otrzymują skierowanie na badania w szpitalu.
  - Grimes, świetna myśl. Zacznij od Uniwersytetu Karoliny Północnej w Asheville, ta uczelnia znajduje się najbliżej szpitala. Sprawdź, czy na pewno nikogo tam nie brakuje, zadzwoń do innych szkół. Potem pojedź do Louisville. Mam kilka spraw do załatwienia w Nashville, więc jeszcze trochę tutaj zabawię.
- Grimes nawet nie próbował ukryć rozczarowania.
- Och, naprawdę? No dobrze. Czekam na wieści. Sprawdź tutaj wszystko, co zdołam. Dasz mi znać, jeżeli dowiesz się czegoś ciekawego?
  - Pewnie. Sprawdź college. Mam przeczucie, że to dobry trop.

### ***Rozdział trzydziesty szósty***

Grimes minął bramę Uniwersytetu Karoliny Północnej w Asheville i ze zdumieniem rozejrzał się dookoła. Nie sądził, że kampus będzie wyglądał aż tak atrakcyjnie. W tak miłej okolicy z pewnością przyjemnie było spędzić cztery lata życia. Podjechał do dużej tablicy z mapą, odszukał ośrodek zdrowia i ruszył prosto w jego stronę.

Wysiadł z samochodu przed budynkiem położonym w zacisznym miejscu. W recepcji spytał ładną blondynkę za biurkiem o możliwość spotkania z kierowniczką przychodni.

Dziewczyna poprosiła go, żeby poczekał, i weszła do sąsiedniego pokoju.

Kilka minut później z pomieszczenia za recepcją wyłoniła się kobieta w średnim wieku, o czarnych włosach przetykanych siwizną i głębokich zmarszczkach wokół warg.

- Przykro mi, ale wszedł pan na teren prywatnej przychodni studenckiej i musi pan natychmiast opuścić budynek.

Ostentacyjnie zademonstrował odznakę, aby kierowniczką wyraźnie zobaczyła duży, niebieski napis FBI. Legitymacja nie zrobiła na niej większego wrażenia.

- Zapewne ma pan pytania w związku z tą biedaczką, której zwłoki znaleziono w mieście. Nie była naszą studentką i nie mamy z nią nic wspólnego. Dlatego prosiłabym, aby pan sobie poszedł.

- Skończyła pani? Faktycznie, mam kilka pytań, więc proszę, aby mi pani udzieliła odpowiedzi.

Kierowniczką umilkła, zbulwersowana nie-uprzejmością agenta, a Grimes poszedł za ciosem.

- Muszę wiedzieć, czy przesyłają państwo materiały z pobrań lub cokolwiek innego do laboratorium w szpitalu komunalnym w Asheville.

Przez chwilę taksowała go wzrokiem.

- Jeżeli zachodzi taka potrzeba, po prostu kierujemy studenta do szpitala na badania. Jest to konieczne w nielicznych wypadkach. Bardzo nielicznych. Nasz ośrodek jest wszechstronnie wyposażony - pochwaliła się.

- Kiedy ostatnio odesłała pani studenta do przychodni szpitalnej?

- Wczoraj musieliśmy skierować tam studentkę na rentgen klatki piersiowej. Nasze urządzenie jest uszkodzone, a lekarz zdecydował, że trzeba wykluczyć zapalenie płuc.

Grimes popatrzył rozmówczyni w twarz.

- Jak się nazywa ta dziewczyna?

- Tego nie mogę powiedzieć. Informacja ma charakter prywatny.



- Jeżeli natychmiast nie zdradzi mi pani tożsamości tej studentki, będę zmuszony panią areztować. Nie mam czasu na wysłuchiwanie bzdetów o tajemnicy danych osobowych. Nazwisko tej dziewczyny?

Kierowniczka była wyraźnie zdenerwowana.

- Spokojnie - wymamrotała. - Nie musi pan tak krzyczeć. Nazywa się Noelle Pazia. I co, zadowolony pan?

- Nie. Teraz powie mi pani, jak się mogę z nią skontaktować.

- Zadzwoń do niej, skoro pan nalega. Wziął ją za łokieć i zaprowadził do maleńkiego gabinetu.

- Proszę zatelefonować natychmiast. Chcę ustalić, czy którejś ze studentek nie grozi niebezpieczeństwo.

Kierowniczka posłała mu spojrzenie, które skojarzyło mu się z królikiem jego córki.

Podniosła słuchawkę, wybrała numer wewnętrzny, poprosiła o połączenie z Noelle Pazia i uniosła palec na znak, że trzeba chwilę poczekać.

- Centrala uniwersytecka przełącza rozmowę

- wyjaśniła niepotrzebnie ściszym głosem.

- Czy jest tam Noelle? - spytała po paru sekundach.

- Mówi siostra Brooks z przychodni. Nie ma? Kiedy widziała ją pani po raz ostatni? Nie pojawiła się? Och... Tak, dziękuję bardzo. - Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Grimesa. Nie wiedział, czy widzi w jej oczach złość, czy zachwyt.

- Nie ma jej w pokoju. Jej współlokatorka

twierdzi, że Noelle nie wróciła na noc. Moim zdaniem, poszła do jakiegoś chłopaka. - Prychnęła z wyraźną dezaprobatą dla prowadzenia się studentek. - Mnóstwo studentek tak robi.

- Wie pani, że Noelle ma chłopaka?

- No, nie wiem, ale sądzę...

- Niech pani jeszcze raz zadzwoni pod ten numer, chcę porozmawiać ze współlokatorką Noelle. No już, proszę dzwonić. Potem zaprowadzi mnie pani do jej akademika.

Pielęgniarka wymamrotała coś pod nosem, ale podniosła słuchawkę. Skontaktowała się ze współlokatorką Noelle i poprosiła ją o spotkanie na parterze domu studenckiego. Gdy tylko się rozłączyła, Grimes wziął ją pod rękę i stanowczo zaprowadził do drzwi. Moment później oboje siedzieli w jego samochodzie i zmierzali do osiedla akademickiego. Grimes coraz silniej utwierdzał się w przekonaniu, że Noelle Pazia nie spędziła nocy z chłopakiem. I że jej zwłoki leżały na poboczu w Louisville.

Gdy wysiadł z samochodu, na schodach przed wejściem do budynku mieszkalnego czekała już bardzo ładna rudowłosa studentka, zakutana w wielobarwny, długi szal, który sięgał jej niemal do kolan. Wyglądała na zatroskaną.

- Gdzie jest Noelle? - spytała na widok agenta.

- Nie wiem. Miałem nadzieję, że pani mi pomoże to wyjaśnić.

- Poszłam na noc do chłopaka - oświadczyła, a siostra Brooks ponownie prychnęła z dezaprobatą.

Grimes ostrzegawczo uniósł palec, żeby ją uciszyć.

- Proszę mówić - zachęcił studentkę.

- On mieszka w mieście, jest artystą. Zjawiłam się dzisiaj koło ósmej, lecz jej nie zastałam. Miała posłane łóżko, ale ona zawsze dba o porządek, więc uznałam, że to normalne. Byłam pewna, że Noelle poszła na śniadanie, ale ona w ogóle nie wróciła na noc.

- Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

- Wczoraj rano. Ponownie wybierała się do przychodni po lekarstwa. W tym semestrze jest zavalona robotą, więc bezustannie wkuwa, w grupach i samodzielnie. Wiem, że szła na zajęcia grupowe w bibliotece, powinien pan porozmawiać z jej kolegami. To lista ich numerów telefonów, Noelle powiesiła ją na drzwiach lodówki. Żeby tylko nic jej się nie stało. Jej ojciec zwariuje, jeśli ktoś zrobił krzywdę Noelle. To dobra dziewczyna, nie pije, nawet nie umawia się na randki. Przyjechała tu tylko po to, żeby się uczyć.

Grimes wymownie popatrzył na pielęgniarkę. Postanowił się z nią pożegnać.

- Czy mogłaby pani sama wrócić do przychodni? Zadzwoń, jeśli znowu będę potrzebował pani pomocy.

- Chętnie - zgodziła się i odeszła.

Grimes wziął do ręki kartkę z listą nazwisk oraz numerów telefonów. Oparł się o samochód, wyjął telefon i popatrzył na studentkę, która domyślnie wskazała palcem ostatnią osobę w spisie.

Dwukrotnie połączył się z pocztą głosową, zanim w słuchawce odezwał się męski głos z hinduskim akcentem.

- Mówi Harish? - Student wypowiadał każde zdanie tak, jakby zadawał pytania.

- Z tej strony agent specjalny Grimes z FBI. Czy widział pan dzisiaj Noelle Pazia?

- Noelle? Nie, nie widziałem? Wczoraj wieczorem wyszła z zajęć w bibliotece? Nie widziałem jej po przerwie? Czy coś się stało? - Harish zakończył wypowiedź autentycznym pytaniem, z którego przebijała szczerza troska.

- O której godzinie grupa zrobiła sobie przerwę?

- Bo ja wiem? O wpół do dziesiątej? Noelle źle się czuła, marnie wyglądała? Mówiliśmy, żeby poszła do domu, ale chciała doczekać do końca zajęć? Zrobiliśmy przerwę, odebrała telefon i wyszła? Wtedy widziałem ją po raz ostatni?

- Zatem o wpół do dziesiątej. Ktoś do niej zadzwonił. Co wówczas zrobiła?

- Noelle zawsze zachowywała się bardzo grzecznie? Nie chciała odbierać telefonu w bibliotece, zwłaszcza podczas zajęć, więc wyszła na dwór? Powiedziała do słuchawki, żeby ktoś zaczekał, i wyszła bocznymi drzwiami? Zabrała plecak, więc gdy nie wróciła, uznaliśmy, że poszła spać? Wyglądała naprawdę źle, musiała odpocząć?

Grimes podziękował i rozłączył się. Noelle wyszła z biblioteki bocznymi drzwiami.

Psiakrew. Skierował wzrok na jej współlokatorkę.

- Czy ma pani aktualne zdjęcie Noelle? Przerwała rozmowę telefoniczną i pokiwała głową.

- Tak, jest w pokoju. Proszę zaczekać, zaraz przyniosę. Uważa pan, że Noelle już nie żyje, prawda?

- Nie wiem, ale zdjęcie naprawdę jest mi potrzebne. Dziękuję.

Dziewczyna pobiegła ku schodom, a Grimes wybrał numer Baldwina. Po chwili wyjaśnił mu, jak wygląda sytuacja. Gdy skończył, zjawiała się studentka ze zdjęciem.

Grimes wziął fotografię, podziękował za pomoc, zapisał numer telefonu współlokatorki Noelle i obiecał, że w ciągu godziny zadzwoni z informacjami o zaginionej. Wsiadł do samochodu i ruszył, gotowy opuścić kampus, ale z prawej strony zauważył bibliotekę, więc zwolnił.

Wiersz. Baldwin wspomniał, że morderca przesłał fragment wiersza dziennikarce z Nashville. Grimes zatrzymał się przed gmachem. Gdyby gdzieś w pobliżu znalazł kartkę z cytatem, zyskaliby potwierdzenie, że chodzi o tego faceta. Zaklął pod nosem. Powinien był pomyśleć o tym wcześniej.

Wyszedł z samochodu i minął główne wejście do budynku. Po chwili znalazł się przed bocznymi drzwiami, o których wspomniał Harish. Grimes obejrzał ziemię, drzwi, lecz nie dostrzegł nic nietypowego. Zauważył jednak, że obok wejścia znajduje się tablica ogłoszeniowa, osłonięta przezroczystym

plastikiem. Podeszedł bliżej i z uwagą przyjrzał się informacjom o wolnych miejscach pracy i przedmiotach na sprzedaż. Korepetycje... Nowa mata do ćwiczeń jogi... Jest. Pod dwoma kolorowymi ogłoszeniami zauważył białą kartkę, przypiętą pinezką do tablicy. Odsunął plastikową osłonę i długopisem odgarnął sąsiednie papiery. Tak, o to chodziło. Sukinsyn, przyczepił wiersz tak, aby wszyscy go widzieli.

Grimes głośno odczytał fragment.

*Spójrz, pchła: ten widok opór twój pokona -To, czego pragnę, małe jest jak ona. Ssała krew z mego, teraz z twego ciała; Obie krwie nasze w sobie więc zmieszała.*

Cholera. Jeszcze jedna. Rozejrzał się nerwowo, jakby liczył na to, że morderca siedzi w pobliżu i dobrze się bawi. Nie zauważył jednak żadnych niepokojących sygnałów.

Grimes doskonale wiedział, że Baldwin zostawił go na drugiej linii. On odwał czarną robotę, podczas gdy Baldwin spijał śmietankę. Dobrze, że udało mu się znaleźć wiersz.

Obok przeszła dziewczyna w ciepłej czapce i szeroko się uśmiechnęła na widok stukniętego faceta, który stał i coś mamrotał pod nosem. Grimes zasłonił twarz dłonią, a gdy nieznajoma studentka odeszła, wyciągnął z kieszeni foliową torebkę, delikatnie podważył pinezkę i wrzucił ją do środka tak, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów.

Kartkę przytrzymał za krawędzie i również wsunął do torebki.

Wrócił do samochodu, wyjechał z kampusu i ruszył do hotelu. Fotografię Noelle Pazia położył na fotelu pasażera. Dziewczyna na zdjęciu wpatrywała się w niego oskarżycielsko, smutno, lękliwie. Bał się o nią. Wiedział, że wkrótce pozna jej los.

Wyjął z kieszeni telefon i wystukał dobrze znany sobie numer. Po chwili w słuchawce odezwał się męski głos.

- To ja - przywitał się Grimes.

- Cześć, tato, co tam? Masz coś dla mnie?

- Owszem. Właśnie się dowiedziałem, że w Asheville zaginęła dziewczyna o nazwisku Noel-le Pazia. W Louisville w stanie Kentucky znaleziono niezidentyfikowane zwłoki. Moim zdaniem, to ona, resztą zajmij się sam.

- Dzięki, tato, jesteś nieoceniony. Biorę się do roboty. Od razu puszczam nowiny w eter. Na razie. - Rozłączył się.

Grimes pomyślał, że tak właśnie wygląda jego życie. Spieprzył sprawę, bo nie znalazł wierszy. Zona opuściła go cztery miesiące temu. Jego rozpuszczona córka odzywała się tylko wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy. Syn wykorzystywał go jako źródło poufnych wiadomości, dzięki którym robił karierę producenta w nowojorskiej telewizji informacyjnej. Grimes westchnął i pomyślał, że gdyby Baldwin wiedział, zabiłby go. Zajeżdżał na parking przed hotelem i zaparkował,

po czym zabrał zdjęcie Noelle i podszedł do lady recepcji. Liczył na to, że z biura w Louisville nadeszły informacje.

- Czy przyszedł do mnie faks? Grimes, FBI. Recepcjonista zmierzył go ponurym spojrzeniem.

- Owszem. Jestem zmuszony prosić pana o powstrzymanie się z korzystania z naszego faksu. Nie służy do przesyłania takich bulwersujących okropieństw. Nie zamierzam tego tolerować, podobnie jak dyrektor...

- Zamknij się, człowieku, i dawaj ten faks. - Grimes ostatecznie stracił cierpliwość. Miał ochotę trzasnąć tego gadatliwego bałwana w gębę. Może powinien umówić go z pielęgniarką z przychodni studenckiej, stanowiliby świetną parę.

Recepcjonista odszedł od lady i znikł na zapleczu. Moment później wyszedł z beżową kopertą w dłoni.

- Proszę - mruknął naburmuszonym tonem. Grimes tylko zdawkowo się uśmiechnął, wsunął

kopertę pod pachę i poszedł do baru, gdzie zamówił whisky. Po chwili wypił łyk dla uspokojenia nerwów. Wcale nie chciał sprawdzać, czy Noelle Pazia żyje. Nie miał ochoty wiedzieć, że z jej pięknych, brązowych oczu znikł blask. Co robić, taka praca. Przecież nie mógł poprosić barmana o porównanie fotografii.

Jednym haustem dopił resztę trunku, wyciągnął zdjęcia z koperty i nagle zrobiło mu się niedobrze.

Noelle Pazia nie żyła, bez cienia wątpliwości.



Oderwał wzrok od fotografii i dał znak barmanowi. Musiał się jeszcze napić.

Barman domyślnie podsunął mu butelkę, jakby wiedział, że nie ma sensu co chwila się fatygować z napełnianiem szklanki. Grimes skinął głową i nalał sobie po brzegi. Ręce mu się trzęsły, kiedy pił. Musiał zadzwonić do Baldwina, przekazać złe wieści. Zanim się zdecydował, telefon zapiszczał.

Rozmowa trwała krótko. Gdy Grimes się rozłączył, znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w aparat. Zapomniał, że powinien się porozumieć z Baldwinem. Odłożył telefon, wyciągnął portfel z odznaką i zapatrzył się w tarczę FBI. Pieprzone śledztwo. Pieprzone życie.

Miał ochotę się upić. Wszystko, byle nie czuć.

Pieprzony Dusiciel z Południa. Pieprzone FBI i Baldwin. Pieprzony morderca, złodziej dłoni. Po co mu one?

Zapatrzył się w łagodne, brązowe oczy Noelle.

- Jesteś pijany, Grimes - usłyszał w głowie jej głos. - Nie ma sprawy. Takie rzeczy się zdarzają, wiesz o tym. Uszy do góry. Nic z tym nie zrobisz. Postaraj się złapać człowieka, który mnie zabił. Zrób to dla mnie. Dla innych. Rozumiesz?

Z wielkich, brązowych oczu popłynęły łzy.

Cholera. Nie mógł już tego wytrzymać.

Co ten skurczybyk chciał osiągnąć? Zebrało mu się na wysyłanie dziennikarce poezji.

Chciał wystąpić w telewizji? A może się napalił na tę reporterkę? Postanowił zrobić na niej wrażenie? Teraz będzie mu ciężko. Ona nie żyje, facet. Koniec

marzeń. Zimny trup! Chodź, weź ją sobie teraz! Wszystkie te dziewczyny to zimne trupy, i już nic im nie zrobisz, sukinsynu.

Grimes krzyczał histerycznie, wymachiwał rękami. Z minuty na minutę coraz bardziej bełkotał. Wlał w siebie już ponad pół butelki whisky i wyglądało na to, że pilnie potrzebuje snu. Do tego samego wniosku doszedł barman. Zbliżył się, chciał uspokoić Grimesa, który płakał, mamrotał coś bez sensu, rozlewał alkohol na blat i sąsiedni stółek. Dłoń trzymał na pistolecie. Barman wyciągnął rękę, żeby go powstrzymać, lecz było już za późno. Grimes gwałtownie wyszarpnął broń z kabury, krzyknął, że przeprasza Baldwina za wszystko, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust.

### ***Rozdział trzydziesty siódmy***

Wczesnym wieczorem Baldwin wyjechał z miasta i skierował się na południe, w stronę Franklin. Mijał malownicze domki w pięknej okolicy, aż wreszcie zajechał przed siedzibę Health Partners.

Zaparkował i wszedł do środka budynku. Tuż za progiem owiało go przyjemnie chłodne powietrze z klimatyzacji. Przedstawił się recepcjonistce, która siedziała za biurkiem z przezroczystego szkła, prezentując młode, szczupłe nogi. Tak, dyrektor już na niego czekał. Uśmiechnęła się uroczo, odruchowo odwzajemnił uśmiech. Wstała, żeby go zaprowadzić, a gdy wychodziła zza biurka, otarła się o niego prowokacyjnie. Uśmiechnął się ponownie - dziewczyna nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat.

- Ma pan na coś ochotę? - spytała, a Baldwin pokręcił głową.

- Szkoda.

Dziewczyna wystukała kombinację cyfr na

klawiaturze przy klamce, a drzwi odblokowały się z głośnym kliknięciem. Z gabinetu wyszedł wysoki, czarnoskóry mężczyzna o kręconych, siwych włosach i ruszył prosto do Baldwina.

- Louis Sherwood - przedstawił się i wyciągnął rękę. - Czy mam przyjemność z agentem Baldwinem? Miło mi pana poznać. To wszystko, Darlene, dziękuję.

Dziewczyna spojrzała na szefa z nieskrywaną irytacją i odeszła.

Sherwood zaprosił Baldwina do przestronnego gabinetu z mahoniowymi wykończeniami.

Właśnie w takim pokoju powinien urzędować dyrektor zarządzający.

Baldwin usiadł na skórzanym fotelu, a Sherwood zajął miejsce naprzeciwko niego.

- Kawy, herbaty? - spytał uprzejmie.

- Nie, dziękuję. Darlene już mi proponowała.

- Zatem czym mogę służyć?

- Jak już wspomniałem przez telefon, interesują mnie pańscy pracownicy, którzy często podróżują.

Sherwood się pochylił i zaczął grabić mały ogródek zen, zdobiący biurko.

- Któryś w szczególności? Baldwin zmrużył oczy.

- Czy pańskim zdaniem powinienem się zainteresować którymś w szczególności?

- Skąd. Zastanawiałem się tylko, czy zawęził pan grono ewentualnych podejrzanych. Z pewnością wie pan, że wielu naszych pracowników wyjeżdża w podróże służbowe.

- Proponuję zawęzić grono do osób podróżujących do miast, w których zginęły pańskie pracownice.

- Mógłby pan przypomnieć mi nazwy tych miast?

Baldwin wbił w Sherwoda ciężki wzrok.

- Niech pan wreszcie przestanie się zgrywać i powie mi to, co mnie interesuje - wycedził powoli i wyraźnie.

Po chwili milczenia Sherwood uśmiechnął się szeroko.

- Spokojnie, przyjacielu, to była tylko próba. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Wracając do tematu, w podróże służbowe wysyłamy głównie kobiety. W dziale marketingu pracuje tylko jeden mężczyzna.

- Jake Buckley? Sherwood uniósł brwi.

- Tak jest. To jeden z najzacniejszych ludzi, jakich znam.

- Świetnie. Czy Jake Buckley jeździ służbowo do Alabamy, Luizjany, Missisipi, Georgii, Wirginii oraz Karoliny Północnej? Czy ostatnio przebywał w tych stanach? Wiem, że przez pewien czas pozostawał w Nashville. - Znieruchomiał w oczekiwaniu na odpowiedź. Sherwood zacisnął usta.

- To chyba nie jest dobry pomysł, żeby rzucać oskarżenia na przypadkowe osoby.

Niektórzy ludzie mają bardzo wpływowych przyjaciół...

- Panie Sherwood, pan chyba nie rozumie

powagi sytuacji. Kilka ofiar mordercy pracowało w pańskiej firmie. Media dotąd nie dostrzegły tego powiązania, lecz wkrótce tak się stanie, proszę mi wierzyć.

Sherwood wyraźnie się spiął i opuścił wzrok, gdy tylko zaczął mówić. Baldwin przygotował się na następne kłamstwa.

- Musi pan coś zrozumieć. Jesteśmy małą firmą, która próbuje zmienić świat. Pomagamy ludziom, którzy w innych okolicznościach nie mogliby liczyć na niczyje wsparcie. Serce mi się kraje z powodu śmierci trzech naszych pracowników, ale jak Jake Buckley miałby być w to zamieszany?

- Ściszył głos do poufnego szeptu. - Buckley nie wie, co robić z żywą kobietą. Nie wyobrażam sobie, że potrafiłby się zająć martwą. - Wyprostował się. - Poza tym jego żona ma pieniądze, on nie. Za mało płacę, aby mu wystarczyło na życie.

- Ile dokładnie pan mu płaci, panie Sherwood?

- spytał Baldwin z niesmakiem.

Po rozmowie telefonicznej niepotrzebnie założył, że spotka się z człowiekiem gotowym udzielić mu autentycznej pomocy. Tymczasem Sherwood okazał się zwykłym palantem.

- Przyjacielu, to nie ma nic do rzeczy. Paręset tysięcy, mniej więcej. Ile panu płacą w FBI? Idę o zakład, że potrafiłbym przebić ich ofertę. Może chciałby pan podjąć pracę u mnie, jako osobisty ochroniarz? Opłaci się panu.

Baldwin uznał, że traci czas i niczego się nie dowie od tego człowieka. Trafił na zwykłego dupka.

- To miło z pana strony, ale jestem całkowicie zadowolony ze swojej dotychczasowej pracy. Proponuję, żeby jak najszybciej podjął pan współpracę ze mną. W krótkim czasie mogę uzyskać nakaz, który zobliguje pana do wydania odpowiednich dokumentów. Sherwood zarechotał.

- No to proszę sobie uzyskiwać, a potem pogadamy.

- Do rychłego zobaczenia, panie Sherwood. - Baldwin stanowczym ruchem otworzył drzwi, wyszedł i skierował się do recepcji.

Darlene uśmiechnęła się do niego zza biurka, lecz widząc furię na jego twarzy, pokiwała domyślnie głową. Uświadomił sobie, że jest starsza, niż początkowo zakładał.

- Sherwood znowu pokazał, jakim jest palantem? - westchnęła.

- Nie wiem, jak pani z nim wytrzymuje.

- Wcale z nim nie wytrzymuję. Proszę, to dla pana. - Wręczyła mu beżową teczkę.

Otworzył ją i ujrzał kartkę z dużym napisem „Plan podróży służbowych - Jake Buckley”.

Wystarczył rzut oka, aby się przekonać, że Jake jeździł po całym południowym wschodzie.

Podejrzenia Baldwina się potwierdziły. Nie musiał już tracić czasu na występowanie o nakaz.

Podniósł wzrok. W oczach Darlene dostrzegł łzy, lecz jej głos brzmiał stanowczo.

- Niech go pan przyskrzyni, jeśli to jego robota. Niech pan to dla mnie zrobi.

Baldwin skinął głową. Nie wiedział, co powiedzieć. Odniósł wrażenie, że Jake Buckley mimo wszystko wiedział, co zrobić z żywą kobietą.

Delikatnie uściśnął dłoń Darlene i szczerze obiecał, że uczyni co w jego mocy, aby złapać mordercę.

Baldwin w końcu dotarł do domu. Wziął prysznic, rozmroził przygotowany przez Taylor obiad i usiadł w oczekiwaniu na jej powrót. Spodziewał się też telefonu od Grimesa.

Rozmawiał już z ludźmi, którzy widzieli zwłoki w Louisville i wyglądało na to, że chodzi o innego mordercę. Choć znaleziona dziewczyna była brunetką około dwudziestu lat, powód jej śmierci nie był oczywisty. Poza tym nadal miała obie dłonie. Policja w Louisville z uporem przeszukiwała bazy danych, ale jak dotąd nie natrafiła na zgłoszenie zaginięcia podobnej z wyglądu kobiety. Jeśli Buckley był mordercą, to chyba zrobił sobie przerwę.

Baldwin wybrał numer Grimesa, lecz w słuchawce usłyszał nieznajomy głos.

- Kto mówi? - spytał obcy mężczyzna.

- Agent specjalny John Baldwin z FBI. Mógłbym zadać to samo pytanie. Kto mówi?

- Jestem człowiekiem, który musi wytrzeć krew z tego cholernego telefonu, bo nie da się normalnie mówić. Zna pan Jerry'ego Grimesa?

Krew? Co jest grane, do ciężkiej cholery? Grimes miał wypadek?



- Pewnie, że znam. Razem prowadzimy dochodzenie. Mogę z nim rozmawiać?
- Przykro mi. Z tej strony inspektor Mike Moss z policji w Asheville. Pański przyjaciel Grimes miał lekki wypadek z własną bronią. Postrzelił się w głowę. Nie przeżył. Baldwin milczał. Wypadek. Krew. Broń. Głowa. Te słowa nie pasowały do siebie.
- Zaraz, zaraz. Grimes sam się postrzelił czy ktoś mu pomógł? - wykrztusił wstrząśnięty.
- Sam, postrzelił się sam. Jesteśmy w barze hotelu, w którym się zatrzymał. Zdaje się, że najpierw pił przez kilka godzin, a potem stracił panowanie nad sobą. Zaczął wrzeszczeć, wymachiwać rękami, a potem pistolet wypalił mu tuż obok prawej skroni. Idę o zakład, że patolog sądowy znajdzie sposób, aby to nazwać wypadkiem, ale moim zdaniem palnął sobie w łeb. Przyjedzie pan po zwłoki?
- Zaraz, spokojnie. Niech mi pan najpierw powie, czy Grimes miał przy sobie jakieś rzeczy, może teczkę albo aktówkę?
- Tak, na ladzie baru leży beżowa koperta, a w środku są zdjęcia, chyba z miejsca zbrodni. Poza tym widzę tu jeszcze fotografię cholernie ładnej dziewczyny. Och... - Umilkł na kilka sekund. - Dziewczyna i trup to ta sama osoba. Poza tym mam tu plastikową torebkę z kartką papieru i pinezką w środku.
- Czy mógłby pan przeczytać, co jest napisane na tej kartce?

Inspektor Moss odczytał fragment wiersza. „Pchła”. John Donne. Psiakrew, Grimes.

- Czy na zdjęciu dziewczyny jest jakiś podpis albo nazwa czegoś?

- To chyba oficjalna fotografia szkolna... Psia-kość, to studentka z naszego miasta.

Studiowała na uniwersytecie w Asheville. Na odwrocie widnieje ręcznie napisane imię i nazwisko... Noelle Pazia. I jeszcze rok 2004. Ciekawe, gdzie ją porzucił?

Baldwin zrozumiał, że Moss wziął Grimesa za mordercę, który odebrał sobie życie.

- Spokojnie, Grimes jej nie zabił. Zwłoki tej dziewczyny znaleziono w Louisville w stanie Kentucky. Grimes otrzymał policyjne fotografie z miejsca zbrodni. Zakładamy, że sprawcą jest Dusiciel z Południa. Musi pan jak najszybciej przesłać mi faksem materiały, które ma pan przed sobą. Podaję swój numer: 6155559897. Dokąd zabieracie Grimesa?

- Już został przewieziony do naszego patologa. Czy miał rodzinę, którą powinniśmy zawiadomić?

- Zadzwoń do szefa, nazywa się Garrett Woods. On do pana zatelefonuje i wszystko ustali. Cholera, Grimes był dobrym człowiekiem. Zajmijcie się nim jak należy.

- Nie ma sprawy.

Rozłączyli się, a Baldwin opadł na kanapę. Co się stało, do licha ciężkiego? Usłyszał dzwonek telefonu i pisk uruchamianego faksu. Przeszedł do gabinetu i wbił wzrok w drukujące się zdjęcie Noelle. Nie została uduszona, sprawca nie odciął

jej rąk. Jeśli to był Dusiciel, najwyraźniej ulitował się nad nią i jej nie okaleczył. Baldwin tego nie rozumiał, ale nie wykluczał takiej ewentualności.

Musiał wziąć się w garść. Przede wszystkim należało powiadomić przedstawicielstwo terenowe FBI w Louisville.

Słuchawkę podniosła kobieta.

- Chciałbym mówić z agentem specjalnym na stanowisku kierownika.

- Przy telefonie. Nazywam się Eleanor Walker. Czym mogę panu służyć?

Baldwin się przedstawił.

- Mam tożsamość waszej brunetki. To Noelle Pazia, studentka Uniwersytetu Karoliny Północnej w Asheville.

- Hm, miejsce pochodzenia dziewczyny wskazywałoby na Dusiciela, ale dziwi mnie brak obrażeń na jej ciele. Na podstawie wstępnych oględzin, dokonanych przez patologa, możemy uznać, że przyczyną śmierci jest samoistne uduszenie. W jej organizmie wykryto wysoki poziom histaminy, na skórze pojawiły się wybroczyny. Wszystko wskazuje na to, że doszło do nagłego, zamartwiczonego napadu duszności. Skompletowaliśmy już materiał dowodowy, wkrótce prześlemy go do Quantico.

Atak duszności. Astma. Ciekawe, pomyślał Baldwin. Czyżby Noelle zmarła, zanim morderca zdążył ją zabić? To by tłumaczyło brak okaleczeń.

- Dziękuję za informacje. Teraz wiem tyle, ile pani. Jestem w Nashville i właśnie powiadomiono mnie o śmierci agenta. Trochę mnie to przygnębiło.

- Czyba nie chodzi o Jerry'ego Grimesa?

- Znała go pani?

- Tak. Rozmawiałam z nim dzisiaj, przefak-sowałam mu zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok. Sprawiał wrażenie pijanego. Czy miał wypadek?

Baldwin nie miał ochoty rozwodzić się nad charakterem „wypadku” Grimesa.

- W pewnym sensie. Jeszcze nie wyjaśniono wszystkich okoliczności.

- Straszna szkoda. To był dobry agent. Baldwin westchnął. Wiedział, że śmierć Grimesa będzie go prześladowała.

- Ma pani rację. To naprawdę był dobry agent.

- Agencji Baldwin, muszę panu przekazać istotną informację. W naszym mieście zaginęła dziewczyna, i tym razem mamy zgłoszenie. Chodzi o Ivy Tanner Clark. Córka Tannera Clarka, właściciela licznych stadnin. To koński magnat, tak bym to ujęła. Narobił tyle hałasu, że o zaginięciu usłyszał już chyba cały kraj.

Baldwin zdrętwiał. Psiakrew.

- Powiem pani, co należy zrobić. Właśnie się zorientowaliśmy, że morderca pozostawia na miejscu porwania kartki z fragmentami wierszy. Musi pani przeszukać samochód Ivy Clark, a także jej rzeczy osobiste. Trzeba sprawdzić, czy i jej pozostawił jakiś cytat.

- Nie widziałam tej informacji w aktach - burknęła niezadowolona.

- Dopiero od paru dni wiemy o wierszach - wyjaśnił, żeby ją uspokoić. - Prosiłbym o telefon,

gdy tylko znajdzie pani ten fragment. - Wyrecytował swój numer i zakończył rozmowę. Następnie przyczesał włosy dłońmi i z głośno walącym sercem zadzwonił do szefa. Garrett odebrał po pierwszym sygnale.

- Już wiem - burknął. - Nie spodziewałeś się, że do tego dojdzie?

- Dostrzegałem pewne sygnały, ale nie miałem pojęcia, że posunie się tak daleko.

Głos Garretta złagodniał.

- Będziesz musiał się z tym pogodzić. Powinienem był wcześniej odsunąć go od śledztwa.

- Wcześniej?

- Rozmawiałem z nim parę godzin temu. Kazałem mu rzucić wszystko i natychmiast jechać do Waszyngtonu na przesłuchanie dyscyplinarne w jego sprawie.

- Dyscyplinarne?

- Niestety. Okazało się, że Grimes lubił dyskretne pogawędki z pewnym producentem telewizyjnym w Nowym Jorku. Ten producent to jego syn. Grimes był źródłem przecieków. Rozmawialiśmy z chłopakiem, ale zaprzeczył, że kontaktował się z ojcem. Odmówił ujawnienia źródła informacji, lecz wystarczyło przejrzeć numery telefoniczne, na które dzwonił Grimes, i wszystko stało się jasne. Przez cały czas trwania sprawy regularnie się porozumiewali.

- Nie traciłeś czasu.

- I z jakim skutkiem? Mam martwego agenta, cholera. Grimes i tak był już poza FBI. Sam jestem

sobie winien. Poza tym chodziło o coś więcej. Dla twojej wiadomości, Grimesowi całe życie się waliło na głowę, nie tylko w pracy źle mu szło. Nie musisz wiedzieć więcej.

Kontynuuj śledztwo, nie oglądaj się za siebie.

Baldwin wtajemniczył go w sprawę Jake'a Buckleya. Garrett oświadczył, że jak najszybciej trzeba porozmawiać z panem Buckleyem.

- Trzymaj się - mruknął na zakończenie rozmowy. - Jesteś coraz bliżej.

### ***Rozdział trzydziesty ósmy***

Taylor odłożyła słuchawkę po rozmowie z Quinn Buckley, kiedy na progu jej gabinetu stanęli Lincoln i Marcus.

- Co tam? - spytała.

Lincoln wszedł do środka i ciężko opadł na krzesło, Marcus znieruchomiał w drzwiach.

- Mamy dobre i złe wieści. Właśnie wracamy z Biura Śledczego w Tennessee. Próbka DNA pobrana po gwałcie na Lucy Johnson nie pasuje do innych próbek z miejsc, w których zaatakował Słotnik. DNA od Lucy Johnson nie pasuje także do żadnego innego kodu, znajdującego się w naszej bazie danych. - Lincoln zajrzał do notatek. - Rozmawialiśmy z człowiekiem, który na wniosek Lucy otrzymał nakaz ograniczający.

Nazywa się Edward Hunt. Kiedyś pracował w policji, ale w ubiegłym roku dał sobie z tym spokój i przeszedł do znanej firmy ochroniarskiej, gdzie zarabia krocie. Kiedyś on i Lucy byli parą, ale on z nią zerwał. Jego zdaniem, panna Lucy ma nierówno pod sufitem.

- Ich rozstanie nie przebiegło gładko - dodał Marcus. - On chciał koniecznie odejść, ona go zatrzymywała. Potem wrócili do siebie na krótko, Hunt znowu odszedł, a Lucy zaczęła go prześladować. Na jego wniosek dostała nakaz ograniczający, więc odwzajemniła mu się tym samym. Na koniec oświadczyła wszem wobec, że została zgwałcona. Betsy ją przesłuchała i dała się przekonać, że mogło chodzić o Słotnika. W wiadomościach mówili o nim bez przerwy, więc słowa Lucy brzmiały wiarygodnie.

Marcus w końcu wszedł do gabinetu i usiadł.

- Diabli wiedzą, czyje DNA znajdowało się w jej ciele. Hunt bez oporów udostępnił nam próbkę własnego DNA, przekazaliśmy ją do Biura Śledczego. W tej chwili jest badana. Ścigaliśmy ducha.

Lincoln podał Taylor akta sprawy.

- Moim zdaniem, powinnaś ją przyskrzynieć za składanie fałszywych zeznań. Hunt sprawia wrażenie przytomnego faceta, po prostu chce, aby Lucy dała mu święty spokój. Jesteśmy gotowi z nią porozmawiać, skonfrontować jej słowa z zeznaniami Hunta. Jeśli chcesz, zdobędziemy nakaz aresztowania.

- Zgadzam się, aresztujcie ją - oświadczyła Taylor z wściekłością. - Zmarnowała mnóstwo czasu wielu ludziom, bo wymyśliła sobie wendetę. Może w ten sposób media trochę przestaną się interesować „tajemniczą” ofiarą.

- Świetnie. - Lincoln zatarł ręce. - Jak tam sprawa Dusiciela?



Skrzywiła się.

- W toku - mruknęła wymijająco. - Właśnie jadę na spotkanie z agentem Baldwinem.

Marcus rozparł się w krzesło.

- Wiesz, Taylor, co do tego „agenta Baldwina”... Nie musisz się tak kryć. Nikomu to nie przeszkadza...

Umilkł, gdy posłała mu groźne spojrzenie. Uśmiechnął się, wstał i odchrząknął.

- Lincoln, idziemy po nakaz aresztowania Lucy Johnson.

Wyszli, wyraźnie odprężeni. Odwalili kawał dobrej roboty, demaskując oszustwo Lucy, i doskonale o tym wiedzieli.

Taylor powiodła za nimi wzrokiem. Agent Baldwin. No tak, wszyscy o tym wiedzieli.

Wstała, zebrała papiery i wyszła z budynku. Na schodach spotkała Fitzę.

- Dobrze, że cię widzę - oznajmił na wstępie.

- Co jest, Fitz? Mów szybko, jestem umówiona.

- Odprowadzę cię do samochodu. - Ruszyli razem w stronę parkingu. - Jestem świeżo po rozmowie z Julią Page. Na ulicy mówi się, że Terrence Norton przejmuje rynek narkotykowy na całym wschodzie, ale żeby się dowiedzieć czegoś więcej, musimy zorganizować dochodzenie na dużą skalę.

Stanęli przy samochodzie, Taylor oparła się o maskę.

- Fitz, przekażmy tę sprawę komu trzeba. Pogadaj z Julią, powiedz jej, że musimy oddać

dochodzenie do Biura Śledczego w Tennessee. Wydział zabójstw nie może prowadzić sprawy narkotykowej. Co ty na to?

- Dla mnie bomba. I tak wkrótce będziemy musieli się zająć Terrence'em Nortonem, niezależnie od wydziału narkotyków.

Poklepała go po ramieniu.

- Wracam do domu, muszę zająć się pracą nad Dusicielem. I jeszcze jedno, Marcus oraz Lincoln...

- Wiem, wiem. Brak związku z prawdziwym Słotnikiem. Czy nadal czekamy na wyniki badań DNA od Betsy?

- Niestety. Nic nie wiem o tym, czy pasuje do innych próbek czy nie.

- Jeżeli coś usłyszę, dam ci znać. Odpocznij, jutro znowu weźmiemy się do roboty. - Klepnął ją w pośladek, mrugnął i nieśpiesznie odszedł.

### ***Rozdział trzydziesty dziewiąty***

Baldwin kręcił się po domu niczym wirujący derwisz. Do jednego ucha przyciskał telefon komórkowy, do drugiego stacjonarny, zerkał do komputera na biurku, własnego laptopa na stole i laptopa Whitney na stoliku do kawy.

Na ekranie migiała informacja o nadejściu nowego e-maila wysłanego spod tego samego adresu, co pozostałe listy z wierszami.

Usłyszał, że Taylor wchodzi do domu, ale nawet nie spojrzał w jej kierunku.

- Cześć - przywitał się zdawkowo.

Podeszła sprawdzić, co go tak zafrapowało i odczytała głośno następny fragment wiersza.

*Wcale się wszakże nie obruszysz na to, Nie nazwiesz grzechem, hańbą, czci utratą; A jednak insekt, nim go kto rozgniecie, Krwią napęczniały, użył sobie przecie: Więcej dokonał niż my na tym świecie.*

Baldwin rozparł się na skórzanej kanapie i odgarnął włosy z czoła.

- Dopiero wróciłem. Miałem ciężkie popołudnie.

- Przyszykuję ci coś do jedzenia, potem wszystko mi opowiesz. Umieram z głodu, ty pewnie też.

- Jasne. Nastawiłem zupę z zamrażalnika, pewnie jest już prawie gotowa.

Cmoknęła go w czoło i poszła do kuchni. Baldwin przez chwilę słuchał, jak przestawia naczynia i szykuje kolację, lecz nagle rozległ się jej przeraźliwy, mrozący krew w żyłach wrzask oraz brzęk tłuczonego szkła. Zerwał się z kanapy i pognął do kuchni.

- Co jest, co jest?! - krzyknął.

Taylor stała wciśnięta w kąt między lodówką a ścianą, z prawą dłonią na pistolecie.

Rozejrzał się gwałtownie, usiłując zlokalizować intruza. Błada jak kreda Taylor wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Po kilku sekundach zrozumiał, że w kuchni nie ma nikogo.

- Ktoś na zewnątrz? - wyszeptał i również oparł dłoń na pistolecie.

- Wielki. Pająk. Zlew - syknęła Taylor przez zaciśnięte zęby.

Baldwin uniósł brwi i wybuchnął śmiechem.

- Zamierzałaś go zastrzelić?

- Zabij. Drania. - Taylor opuściła ręce i posłała mu groźne spojrzenie.

- A gdyby mnie tu nie było? - Podszedł do tylnych drzwi, gdzie w dużym koszu spoczywał tygodniowy przegląd gazet, gotowych do recyklin-

gu. Wziął do ręki jedną z nich, złożył na pół i wrócił do kuchni.

- Ewakuowałabym się.

Przygryzł wargę, aby powstrzymać rozbawienie.

- Ewakuowałabyś się?

- Tak. Sprowadziłabym Sam albo kogoś innego. Nie przepadam za pajakami.

- Zauważyłem. Jest w zlewie? Pokiwała głową.

- Spadł prosto z nieba, wylądował na talerzu, który wyciągałam z szafki, więc wrzuciłam talerz do zlewu. Może przestaniesz tyle gadać i zabijesz tego nieszczęsnego pajęczaka?

Uniósł rękę z gazetą.

- Już, już. W zlewie?

- Ta żałosna gazeta do niczego ci się nie przyda. Nie żartuję, to prawdziwy potwór.

Baldwin nachylił się nad zlewem.

- O, psiakrew.

- Przecież mówiłam.

Wśród okruchów po talerzu przycupnął największy pajak, jakiego Baldwin widział poza Karaibami. Cielsko monstrum miało rozmiary małej śliwki, jego nogi były grube i włochate.

- Chyba go ogłuszyłaś. Nie rusza się. Moim zdaniem to spełnienie marzeń niejednego arachno-loga. Nigdy w życiu nie spotkałem czegoś podobnego.

- Rozgnieć bestię i umyj zlew. Nie chcę widzieć żadnych śladów po tym bydlaku. Jak ja nie cierpię pajaków...

Baldwin odłożył cienką gazetę i z przedpokoju przyniósł tenisówkę w rozmiarze czterdzieści pięć.

- To powinno wystarczyć. - Zamachnął się i rąbnął butem w zlew. Pająk zginął na miejscu.

- Uch, ohyda. Alarm odwołany.

Odwrócił się do Taylor, wciśniętej w kąt i wystraszonej. Jego wzrok złagodniał.

- Słonko, zawsze będę w pobliżu, aby zabijać twoje pajaki. Obiecuję. Czy zechcesz...

Nieoczekiwanie zadzwonił telefon i oboje drgnęli. Taylor nie odrywała wzroku od Baldwina, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle. Czar chwili przysł.

Baldwin się uśmiechnął i poszedł do drugiego pokoju, z butem upačkanym szczątkami martwego pająka.

Taylor ledwie słyszała słowa Baldwina, kiedy wychodziła z kuchni i szła na tył domu.

Sięgnęła po pistolet i pogłaskała lufę. Odetchnęła głęboko. Jak to możliwe, że byle pająk tak bardzo wytrącił ją z równowagi? Co takiego mówił Baldwin, kiedy rozmawiali w kuchni? Kiedy mężczyzna pyta kobietę, czy zechce... A wcześniej użył słowa „zawsze”...

Ciekawe.

Weszła do gabinetu i wsunęła broń do sejfu, którego nigdy nie zamykała. Nie miała przed kim, w domu w zasadzie nie bywał nikt poza nią samą i Baldwinem. Po chwili usłyszała pisk rozłączanego telefonu i zajrzała do salonu.

- Co jest?

Baldwin opadł na kanapę.

- Doszłaś już do siebie po traumie? - spytał przyjaźnie.  
- Tak. Z samego rana dzwonię po dezynsekcję. Pewnie ostatnim razem zapomnieli coś opryskać. - Baldwin odwrócił wzrok, aby nie dostrzegła w nim rozbawienia. - No i dobra, raz w miesiącu przeprowadzam gruntowną dezynsekcję. Nie lubię robali. Poza tym musimy coś zamówić na kolację, bo nie wrócę do kuchni, dopóki ktoś tam nie posprząta.  
Co jest?

Podrapał się za uchem.

- Po pierwsze, Grimes popełnił samobójstwo.

- Żartujesz. Mało śmieszne.

- Niestety, nie żartuję. Kiepsko sobie radził podczas tego śledztwa, w dodatku okazało się, że to on był źródłem przecieku. Jego najstarszy syn pracuje w nowojorskiej telewizji. Teraz wiadomo, dlaczego media od razu o wszystkim wiedziały. Zostawiłem go w Karolinie Północnej, bo coraz bardziej spowalniał śledztwo. Teraz czuję się naprawdę okropnie.

- Wyobrażam sobie. Baldwin, nie możesz siebie winić. Dochodzenie jest wyjątkowo poważne, Grimes powinien był sam się postawić na nogi.

- Próbowałem. Nie pomogłem mu. Teraz pogadam z jego rodziną, spróbuję wyjaśnić... W każdym razie zanim targnął się na życie, ustalił, że dziewczyną z Louisville jest Noelle Pazia z Asheville. Po wstępnych oględzinach lekarz orzekł, że przyczyną śmierci jest zamartwiczny napad duszności. Idę o zakład, że umarła, zanim morderca zdążył ją

wykończyć. W rezultacie się wkurzył i poszukał innej ofiary. Chyba ją znalazł, bo mamy nową zaginioną, Ivy Clark z Louisville. Właśnie otrzymałem zawiadomienie, że w samochodzie Ivy znaleziono fragment wiersza.

- Wiadomo coś o Jake'u Buckleyu?

- Przesłuchałem jego szefa. Palant jakich mało. Utrzymuje, że Buckley na pewno nie ma związku z morderstwami. Nie dało się z nim rozmawiać, odmówił współpracy. Na szczęście jego recepcjonistka dyskretnie przekazała mi plan podróży służbowych Buckleya.

- Niech zgadnę. Pan Buckley odwiedził ostatnio Huntsville, Baton Rouge, Jackson, Nashville, Noble, Roanoke i Asheville.

Popatrzył na nią ze zdumieniem i podziwem. Uśmiechnęła się skromnie.

- Zamieniłam parę słów z Quinn Buckley. Powiedziałam jej, że potrzebujemy jego opinii w sprawie, bo ofiary mają związek z Health Partners. To nie koniec. Jake powinien być w Louisville, a jutro lub pojutrze wraca do Nashville. Quinn zdradziła mi, że jej mąż nie zawsze przestrzega harmonogramu. Chyba musisz jak najszybciej przesłuchać tego gościa. Moim zdaniem, Quinn go zabije. Bezskutecznie usiłowała się do niego dodzwonić i powiedzieć mu o Whitney. To logiczne, prawda? Jake nie wie, że Whitney zginęła. To może być nasz poszukiwany.

- Nie spytałaś może Quinn, jakim samochodem się porusza?



- Spytałam. Jeździ, co za niespodzianka, srebrnym bmw 740iL. Masz tutaj numer rejestracyjny. - Podsunęła Baldwinowi kartkę papieru.
- Dzięki. Powiadom jednostki specjalne, Ivy Clark może być z nim w samochodzie. Widziałaś nowy list na komputerze Whitney? To dalsza część „Pchły”. - Wyrecytował z pamięci:

*Wcale się wszakże nie obruszysz na to, Nie nazwiesz grzechem, hańbą, czci utratą; A jednak insekt, nim go kto rozgniecie, Krwią napęczniały, użył sobie przecie:*

*Więcej dokonał niż my na tym świecie.*

- Nie wiem, co dla niego oznacza ta symbolika. Poeci, zwłaszcza osiemnastowieczni romantycy, pisali bardzo niejednoznacznie. Osobiście uważam „Pchłę” za wiersz o uprawianiu miłości fizycznej, lecz kto inny uzna, że chodzi o eksterminację owada. Wiemy na pewno tylko tyle, że morderca chce, aby Whitney otrzymywała jego listy.
- Dzwonię do jednostek specjalnych, a ty się trochę odpręż.
- Pomożesz mi się zrelaksować?
- Niewykluczone.

### ***Rozdział czterdziesty***

Taylor szeroko otworzyła oczy, gwałtownie wyrwana ze snu przez natarczywy dzwonek telefonu. Jęknęła i przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Słucham? - wychrypiała. Wyciągnęła rękę do Baldwina, ale jego strona łóżka była pusta.  
- Witam, pani porucznik. Mówi dyspozytor policji miejskiej. Podległy pani funkcjonariusz Parks zażądał, żeby spotkała się z nim pani na miejscu włamania. Wspomniał, że w grę może wchodzić gwałt.

Usiadła na łóżku. Psiakrew. Bob Parks był doświadczonym policjantem i jeśli chciał się z nią widzieć, to znaczy, że zdarzyło się coś naprawdę poważnego. Słotnik.

Wyskoczyła z pościeli i brodą przycisnęła słuchawkę do ramienia, aby włożyć dzinsy.

- Gdzie?

- Przy Bulwarze Old Hickory, naprzeciwko pola golfowego Harpeth Hills. Znajduje się tam

ogrodzone osiedle Middleton. Zna pani tamte okolice?

- Wystarczająco. Proszę przekazać Parksowi, że już jadę. I jeszcze prosiłabym o wezwanie Lincolna Rossa oraz Marcusa Wade'a. Za dziesięć minut będę na miejscu.

Rozłączyła się, zapięła dzinsy, włożyła buty i koszulę. Z komody wyciągnęła kaburę i ze złowrogim uśmiechem przypięła ją do pasa. Nawet o drugiej w nocy była gotowa stawić czoło bandycie.

Baldwin siedział na kanapie i przysypiał nad porozrzucanymi papierami. Pocałowała go w czoło, wyjaśniła, dokąd jedzie, wyszła z domu i zakłęła pod nosem. Podjazd był mokry od przenikliwej mżawki. Pośpiesznie ruszyła i pięć minut później była już przy Old Hickory. Na widok samochodu patrolowego z uruchomionymi lampami alarmowymi zahamowała ostrożnie, aby nie wpaść w poślizg na wilgotnym asfalcie, szybko zawróciła i wjechała na teren osiedla. Zatrzymał ją policjant z patrolu. Otworzyła okno i pomachała ręką. Funkcjonariusz uśmiechnął się przychylnie.

- Witam, pani porucznik.

- Dobry wieczór. Gdzie miejsce przestępstwa?

- Proszę jechać do końca drogi i skrócić w prawo. Na pewno pani nie zabłądzi, tam jest mnóstwo naszych.

Skinęła głową i wcisnęła pedał gazu. Ceglane domy piętrzyły się niczym milczące olbrzymy, lampy na gankach oświetlały jezdnię. Z daleka

zobaczyła niebieskie i białe błyski, więc zaparkowała za policyjną furgonetką i przecisnęła się przez tłum ludzi. Bob Parks stał pod latarnią.

- Bob - wyszeptała mu do ucha.

Drgnął, odwrócił się i ponuro kiwnął głową.

- Dobrze, że tu jesteś - westchnął. - Chyba powinnaś coś zobaczyć. - Ruchem dłoni wskazał biały, piętrowy budynek.

- O co chodzi? Dyspozytor powiedział, że doszło do włamania i zachodzi podejrzenie gwałtu.

- Zgadza się. Dziecko z tego domu zadzwoniło na numer alarmowy i złożyło zawiadomienie. Chłopczyk usłyszał hałasy na parterze, zszedł i zobaczył, jak jego matka mocuje się z facetem w masce na twarzy. Włamywacz wdarł się przez drzwi balkonowe i rzucił na śpiącą kobietę. Bystry dzieciak pognął do swojego pokoju, zamknął drzwi na klucz i zadzwonił po policję. Patrol był na miejscu w kilka minut, ale napastnik zdążył zrobić swoje i zbiec.

- Zgwałcił tę kobietę?

- Tak. Jest roztrzęsiona, ale wykrztusiła, że przytknął jej nóż do gardła. Szybko załatwił sprawę.

- Twoim zdaniem to Słotnik?

- Deszcz pada, sposób działania przestępcy jest taki jak zawsze.

- Co z dzieckiem?

- W porządku. Chłopak jest trochę oszołomiony.

- Dzięki za informacje. Dobrze, że mnie wezwałeś. Lincoln i Marcus wkrótce dojadą. Porozmawiamy z ofiarą, może pamięta coś ważnego. Musimy ją zabrać do szpitala w celu zabezpieczenia materiału dowodowego i na oględziny. Ktoś już przeszukuje teren?

- Tak, mamy nawet psy. Facet uciekł tylnymi drzwiami. Spłoszyło go wycie syren. Uciekł do lasku graniczącego z parkingiem kościoła prez-biteriańskiego.

Taylor skierowała tam wzrok.

- Czy na ten parking pojechały radiowozy? Może tam się zatrzymał, a resztę drogi pokonał pieszo?

- Wpadliśmy na to. Są tam policjanci, ale na razie na nic nie natrafili. Po prostu uznałem, że chcesz wiedzieć, co się dzieje.

Taylor poklepała go po ramieniu.

- Postąpiłeś słusznie, Bob. Rób, co do ciebie należy, a ja zaczekam na Lincolna i Marcusa. Potem wejdę do domu.

Parks skinął głową i wszedł do budynku, a Taylor rozejrzała się z uwagą. Wokoło zgromadził się spory tłum gapiów, zupełnie jakby wszyscy sąsiedzi przyszli popatrzeć na darmowe widowisko. Pomyślała, że ludzie zawsze ciągnęli do tragedii jak ćmy do płomienia.

Machinalnie sprawdziła, czy w zbiegowisku nie ma nikogo podejrzanego, lecz wszyscy wydawali się odpowiednio zmęczeni, na wpół przytomni po nagłej pobudce w środku nocy i byle jak ubrani.

Pokręciła głową i spojrzała na następny samochód, który właśnie parkował przed domem. Ze środka służbowego pojazdu wyszedł Lincoln Ross, a zaraz za nim Marcus, uzbrojony w strzelbę. Taylor uśmiechnęła się na ich widok, ruszyła, by się przywitać, i w tej samej chwili kątem oka dostrzegła cień. Spojrzała w prawo. Mogłaby przysiąc, że zauważyła człowieka skradającego się przy ścianie budynku. Bez słowa nawiązała kontakt wzrokowy z Lincolnem i głową wskazała sąsiedni dom. Powoli zmierzała w tamtym kierunku. Nie chcąc zwracać na siebie niczyjej uwagi, udawała, że tylko zamierza sprawdzić jakiś drobiazg.

Lincoln i Marcus podążyli za nią, jeden z lewej, drugi z prawej strony. Powoli szli do pogrążonej w ciemnościach ściany budynku.

- Co zobaczyłaś? - szepnął Lincoln.

- Sama nie wiem - odparła również szeptem. - Chyba człowieka z boku domu.

Zauważyłam tylko cień, poruszał się. Może wyobraźnia płata mi figle.

- A może nie - mruknął Marcus i rozpiął kaburę.

Lincoln i Taylor poszli za jego przykładem.

Znajdowali się zaledwie trzy metry od domu, kiedy Taylor poczuła woń benzyny. Zerknęła na Lincolna.

- Czujesz?

- Nie. Nic a nic.

- Aleja czuję - odezwał się Marcus. - Cuchnie jak w garażu.

Popatrzyli na siebie przerażeni. Czyżby ktoś usiłował podpalić dom? Zaniepokojona Taylor puściła się biegiem przed siebie, po czym skręciła za rogiem i w ostatniej chwili dostrzegła nogę zwisającą z muru.

- Tam jest! - wrzasnęła i pognała do muru, lecz nie zdołała chwycić uciekiniera za kostkę.

- Psiakrew! Jest z drugiej strony. Parks! Dawaj tu psy! Jest po drugiej stronie!

Wzięła rozbieg i jak najmocniej odbiła się od ziemi. Dała susa na drugą stronę muru i ciężko upadła na ziemię. Zaraz po niej przeszkodę pokonali Lincoln i Marcus.

- Wszystko w porządku? - wydyszał Marcus i pomógł jej wstać.

- Tak, tak, gońcie go. Tędy pobiegł. - Wskazała ręką czarną ścianę lasku.

Lincoln i Marcus włączyli latarki i skierowali snopy światła w stronę miejsca, z którego dobiegał szelest krzaków. Taylor rzuciła się w gęstwiny.

Gałęzie chłostały ją po twarzy, lecz nie zwracała uwagi na ból. Czarna postać, którą ścigali, znajdowała się w odległości co najwyżej czterdziestu metrów. Marcus potknął się o wystający korzeń i zgubił latarkę. Nagle lasek się przerzedził i gnali przez szczere pole.

Taylor wyraźnie widziała obcego, który stopniowo zwalniał, wyraźnie opadał z sił.

Doganiała go, z prawej strony usłyszała szczekanie psa. Przeszło jej przez myśl, że zwierzę może ją pomylić z przestępcą, rozjuszonemu brytanowi jest przecież wszystko jedno, kogo kąsa.

Przyśpieszyła. Mężczyzna był już tylko na wyciągnięcie ręki, coraz bliżej i bliżej... Rzuciła mu się na plecy, otoczyła go rękami i powaliła od tyłu. Walczył, kopał, młócił rękami na lewo i prawo, wrzeszczał, ale Taylor nie puszczała. Lincoln chwycił go za nogę i przytrzymał, usiłował złapać go za rękę. W pewnej chwili mężczyzna lekko się obrócił i zamachnął, a Taylor gwiazdy zawirowały przed oczami. Siła uderzenia była tak duża, że Taylor niemal go puściła. Wtedy Marcus rzucił się na mężczyznę i wraz z Lincolnem ostatecznie go obezwładnili. Przetoczyli go na brzuch i sprawnie skuli kajdankami. Taylor odetchnęła głęboko. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że boli ją całe ciało. Owczarek niemiecki stał parę kroków dalej i z furią obszczekiwał podejrzanego. Krzyki i ujadanie niemal całkiem zagłuszyły wrzaski mężczyzny.

- Odwalcie się, świnię! Nic nie zrobiłem. Won ze mnie! - Wił się pod ciężarem Lincolna i Marcusa.

Pojawił się zadyszany opiekun psa i przywołał owczarka, który szczeknął jeszcze parę razy dla porządku i znieruchomiał. Podbiegło czterech policjantów. Lincoln się odtoczył na prawo, aby zrobić im miejsce, a Marcus wstał i pociągnął za sobą mężczyznę.

Funkcjonariusze wykrzykiwali polecenia, popychając podejrzanego. Taylor usiadła i odetchnęła.

- Przecież mówię, że nic nie zrobiłem! - wrzeszczał zatrzymany. - Złapaliście nie tego, co trzeba! Puszcząć!



- To on? - spytała Taylor i harmider przycichł.

- Dopadliśmy sukinsyna?

Policjanci gruntownie przeszukali mężczyznę.

- Maski narciarskie! - oświadczył pierwszy.

- Nóż - dodał drugi.

- W kieszeni miał sznur - podkreślił trzeci.

- Zamknij się, pieprzony draniu. Już po tobie. Taylor wstała. Podeszła do mężczyzny, który nadal szarpał się z policjantami. Na jej widok znieruchomiał i uśmiechnął się z satysfakcją. Czowała ból oka, łupało ją w głowie, jej nogi drżały z wysiłku. Mimo wszystko wyglądało na to, że dopadła poszukiwanego.

Obejrzała go w świetle kilku latarek. Miał na sobie czarne bojówki i czarny podkoszulek, a także czarne glany. Był chudy, z wyraźnie zarysowanymi mięśniami.

- Prawdziwy mały ninja z ciebie. Nazwisko?

- Wal się.

- Bardzo ładne. Ma przy sobie dokumenty? Policjanci ponownie go obmacali i po chwili wybuchnęli śmiechem.

- Patrzcie, co miał w kieszeni spodni. Skończony idiota, no nie? - Jeden z policjantów wręczył Lincolnowi brązowy skórzany portfel. W środku znajdowało się prawo jazdy.

- Bystrzak z ciebie, Norville. Koledzy, poznajcie Norville'a Turnera. Norville, poznaj ludzi, dzięki którym twoje życie zamieni się w piekło.

- Lincoln pokręcił głową z niedowierzaniem. - Zabrał ze sobą portfel. Nie do wiary.

- Nic nie zrobiłem. Nic na mnie nie macie, psy. - Turner znowu zaczął się szamotać, lecz policjanci natychmiast go unieruchomili.

Taylor popatrzyła mu w oczy i zmarszczyła nos. Cuchnął przepracowanym olejem.

- Zamknij się wreszcie, Norville. Masz rozpięty rozporek, tępy gamoniu.

Szarpnął się i zanim zdążyła odskoczyć, splunął.

- Pieprzona zdiro. Co ty sobie wyobrażasz? Nic nie zrobiłem.

Taylor z wściekłością otarła twarz. Policjanci ponownie musieli unieruchomić zatrzymanego, ale nie cofnęła się ani o krok. Gdy krzyki i szamotanina w końcu ustały, uśmiechnęła się do Turnera i z całej siły trzasnęła go w szczękę. Jego głowa odskoczyła do tyłu, kolana natychmiast się pod nim ugięły. Policjanci roześmieli się głośno, z nieskrywaną aprobatą.

- Kiedy się ocknie, wyjaśnijcie palantowi, że jest aresztowany. - Potrząsnęła ręką, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Taylor przedzierała się z powrotem przez lasek. Tuż za nią podążali Lincoln i Marcus.

Łupało ją w głowie, ledwie widziała na prawe oko. Czuła się cudownie.

Na miejscu przestępstwa panował kompletny chaos. Ulica była zastawiona samochodami policyjnymi, nieopodal zaparkowała karetka pogotowia. Dookoła wesoło migąły lampy, pojawiły się furgonetki telewizyjne. Taylor rzuciła okiem na

zegarek, dochodziła piąta. Pierwsze materiały pojawią się w porannych serwisach informacyjnych.

- Lincoln, Marcus, zadzwońcie do Price'a i opowiedzcie mu, co i jak. Idę do ofiary, zobaczę, jak się miewa. Poza tym musimy sprawdzić, czy poszkodowana rozpozna sprawcę.

- Już się robi, szefowo. Zaraz przygotuję zdjęcia różnych oprychów, podobnych do naszego, okażemy je ofierze. - Marcus zerknął na twarz Taylor. - Za parę godzin będziesz miała śliwę jak się patrzy.

Dotknęła twarzy, wzdrygnęła się i doszła do wniosku, że woli nie patrzeć do lustra.

- Ryzyko zawodowe, no nie? - westchnęła. Lincoln podsunął jej zawiniątko z lodem.

- Przyłóż. Mam tutaj zostać?

- Nie, obaj jedźcie do śródmieścia. Sama sobie poradzę. Ale dzięki za wszystko. - Skinęła głową i ruszyła w stronę domu. Bezustannie przyciskała lód do oka, usiłując ignorować ból głowy. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak oberwała.

Na progu omal nie zderzyła się z Brianem Postem.

- O, dobrze cię widzieć. Słyszałem, że całkiem sama dopadłaś tego sukinkota.

Taylor odsunęła lód od twarzy. Post gwizdnął przeciągle.

- A niech mnie, śliwa jak ta lala. Na pewno nic ci nie jest?

- Czuję się świetnie. Co u poszkodowanej?

- Może skołuję ci ręcznik? - spytał i z powątpiewaniem popatrzył na jej ociekające wodą włosy.

- Poradzę sobie.

- Jak wolisz. Zaprowadzę cię. - Oboje weszli do środka.

Postawi nie zamykały się usta, widać było, że również jest pobudzony.

- Kiedy otrzymaliśmy zgłoszenie, z trudem utrzymałem Betsy w łóżku. Chciała od razu tutaj jechać i samodzielnie zająć się ofiarą. Niewiele brakowało, a musiałbym ją skuć.

- Zuch dziewczyna. - Taylor uśmiechnęła się półgębkiem. - Zawsze można na nią liczyć.

Wnętrze domu było oświetlone jak choinka na Gwiazdkę. Taylor podeszła prosto do opatulonej białym prześcieradłem drobnej brunetki. Standardowa procedura nakazywała w wypadku gwałtu opatulienie ofiary płachtą materiału w celu uniknięcia zatarcia dowodów przestępstwa. Gdyby poszkodowana przebrała się lub umyła, w szpitalu nie udałoby się zebrać próbek i zabezpieczyć fizycznych śladów, pozostawionych przez sprawcę.

Kobieta popatrzyła na Taylor szklistym wzrokiem.

- Słucham panią? - spytała.

- Porucznik Taylor Jackson - przedstawiła się. - Chciałam z panią zamienić parę słów, zanim przewieziemy panią do szpitala. Jak się pani czuje?

- Nazywam się Nancy Oldman. Proszę mi mówić po imieniu. Nie czuję się dobrze, ale jakoś sobie poradzę. Podobno pani go złapała? Tego, kto mnie... zgwałcił? - Nancy uniosła spiczastą brodę.

- Doszło do szamotaniny z mężczyzną, który

znajdował się poza terenem posesji. Możesz mi cokolwiek powiedzieć na temat napastnika?

Nancy pociągnęła nosem, jej oczy zalśniły od łez, lecz szybko wzięła się w garść.

- Nie widziałam jego twarzy. Miał czarną maskę narciarską i śmierdział. Okropnie cuchnął benzyną albo czymś podobnym. Był zwinny i szybki, powalił mnie i robił swoje. Nie wiem, co więcej powiedzieć. Wydawało mi się, że to trwa wieczność, ale na pewno szybko skończył. - Odetchnęła głęboko. - Jest pani ranna. Wszystko w porządku?

Taylor się pochyliła.

- Nie przejmuj się mną, Nancy. Posłuchaj, będziesz musiała nam pomóc. Czy jesteś gotowa zeznawać przeciwko człowiekowi, którego oficjalnie zatrzymamy pod zarzutem napadu i gwałtu?

Nancy uniosła brodę jeszcze trochę wyżej.

- Tak. Złożę przeciwko niemu zeznania.

- Brawo. Inspektor Post odwiezie cię do szpitala. Świetnie się spisałaś, Nancy. Wkrótce się do ciebie odezwę, dobrze? - Taylor niezręcznie poklepała ją po kolanie, uśmiechnęła się do Posta i wyszła.

Miała ochotę na gorącą kąpiel oraz pastylkę przeciwbólową, lecz najpierw musiała stawić czoło dziennikarzom.

Reporterzy ustawili się na końcu podjazdu, a na widok Taylor rzucili się do zadawania pytań. Stała i uniosła ręce, oślepiona jaskrawym światłem. Jedna z kobiet głośno westchnęła. Taylor przebiegło przez myśl, że pewnie wygląda koszmarnie, ale nic nie mogła na to poradzić. Przyklepała dłońią

włosy, aby choć trochę doprowadzić je do porządku. Liść, który spadł jej z głowy, z niewiadomych powodów ją rozbawił. Pomyślała, że przypomina dziką kobietę z Borneo.

- Chcę wygłosić krótkie oświadczenie - zadeklarowała i tłumek ucichł.
- Aresztowaliśmy białego mężczyznę, który uciekał z miejsca przestępstwa. Podejrzewamy, że to sprawca. Jestem przekonana, że jeszcze przed południem uzyskają państwo więcej informacji od naszego rzecznika prasowego. Dziękuję za uwagę.
- Odwróciła się i ruszyła do samochodu.

Oniemiali dziennikarze dopiero po chwili odzyskali mowę.

- Pani porucznik, czy to sprawka Słotnika?
- Czy wreszcie udało się pojmać seryjnego gwałciciela?
- Czy to on panią uderzył?

Taylor postanowiła odpowiedzieć na ostatnie pytanie. Odwróciła się i spróbowała mrugnąć, ale powieka odmówiła współpracy.

- W najgorszym wypadku odpowie za napaść na policjanta.
- Uśmiechnęła się, wskoczyła za kierownicę i odjechała do domu. Należał się jej odpoczynek.

### ***Rozdział czterdziesty pierwszy***

- Wielkie nieba, Elle, daj już spokój. Na mnie pora, żona mnie obedrze ze skóry, jeśli wkrótce nie wrócę do domu.

Brunetka tylko się uśmiechnęła i opuściła głowę. Poczł ciepłó jej warg, na moment zapomniál o całym świecie. Dlaczego nie miałby jeszcze raz oderwać się od rzeczywistości? Nie przypominał sobie, kiedy jego żona robiła to, co w tej chwili Elle. Na myśl o klęczącej Quinn nie wytrzymał i poczuł, jak przekracza niewidzialną granicę. Elle się odsunęła i popatrzyła na niego z ukosa.

- Wybacz, Elle, zapomniałem się - powiedział do jej pleców, kiedy szła do łazienki wypłukać usta.

Zapiął spodnie, wstał i zerknął do lustra. Jego jasne włosy były zmierzwione, szybko przygładził je dłońmi. Już nie pamiętał, kiedy przypadkowe kontakty z praktycznie nieznanymi kobietami stały się normą w jego życiu.

Zakończył wyjazd służbowy, ale nie miał ochoty wracać do żony i dwójki dzieci. Kiedyś, po

zakończeniu jednej z prezentacji, machinalnie nawiązał rozmowę z przedstawicielką handlową, i tak się zaczęło.

Przez pewien czas nieźle się bawił. Było mu przyjemnie, kiedy jakaś kobieta starała się o jego względy. Co z tego, że był jej szefem i w gruncie rzeczy wiedział, jakie są jej oczekiwania? Czerpał satysfakcję z przelotnych znajomości, ale w końcu stało się nieuniknione. Quinn odkryła ślad szminki na jego bokserkach i diabli wzięli możliwość odbudowy dobrych relacji małżeńskich. Odtąd przebywali pod jednym dachem, zajmowali się dziećmi, ale właściwie przestali ze sobą rozmawiać.

Żałował, że co się stało, to się nie odstanie. Quinn wiedziała, co robił, i nic już nie mogło tego zmienić. Zaczęło się jego wygnanie, małżeństwo było skończone.

Elle wyszła z łazienki i włożyła obcisłą sukienkę. Zapięła zamek błyskawiczny na lewym boku, napuszyła włosy i znieruchomiała. Patrzyła na niego wyczekująco. Chciał coś powiedzieć, cokolwiek, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Był zmęczony, potwornie zmęczony. Od kilku tygodni jeździł po kraju, odwiedził wiele miast na południowym wschodzie, a teraz chciał jedynie wrócić do domu, do żony.

Elle stała jeszcze przez moment, aż w końcu dotarło do niej, że Jake nie zamierza paść na kolana, aby wyznać jej miłość. Najwyraźniej nie chciał nawet zabrać jej na przejażdżkę swoim srebrnym bmw. Odwróciła się i wymaszerowała z pokoju.



Odetchnął z ulgą, i tak niespecjalnie mu się podobała. Będą inne. W tej chwili miał ochotę wyłącznie na prysznic. Potem przeniesie bagaż do samochodu, strzeli sobie piwo albo dwa w hotelowym barze i wyruszy w drogę powrotną do Nashville.

Auto marki BMW stało w cieniu, z dala od latarni przed hotelem. Bez kluczyków było mu trudniej, ale dał sobie radę. Upewnił się, że nikt nie patrzy, otworzył drzwi od strony kierowcy i pociągnął dźwigienkę, która otwierała bagażnik. Obszedł samochód, cicho uniósł pokrywę. Uśmiechnął się. Miejsca nie brakowało.

Podniósł wykładzinę i zajrzał do wgłębienia na koło zapasowe. Koła brakowało, wyciągnął je kilka miesięcy temu, aby zrobić miejsce na to, co skrzętnie zbierał podczas wypraw. Nie wyobrażał sobie lepszego schowka. Z czułością położył torbę we wgłębieniu i z powrotem przykrył je wykładziną. Po raz ostatni rozejrzał się wokół i oddalił na obrzeże parkingu, tam gdzie zostawił dziewczynę. Pochylił się nad nią i jak zawsze zdumiał, że martwe kobiety robią się takie ciężkie. Takie lekkie, gdy trzyma je w objęciach... Gdy już się nie szamoczą, są niczym worek cementu.

Przerzucił zwłoki przez ramię i chwiejnym krokiem wrócił do samochodu. Z ulgą cisnął trupa na wykładzinę i z uśmiechem popatrzył, jak włosy dziewczyny rozsypują się wokół bladej twarzy. To było spektakularne.

I już. Mógł wracać do domu. Dzieło skończone.

## ***Rozdział czterdziesty drugi***

Baldwin podrapał się po głowie. Niemal przez całą noc nie zmrużył oka. Gdy raz czy dwa zdarzyło mu się zdrzemnąć, od razu ujrzał we śnie Grimesa, mordercę bez twarzy i martwe ciała. Przed trzecią nad ranem, gdy Taylor w pośpiechu opuściła dom, ostatecznie dał za wygraną i włączył laptop. Ponownie zaczął studiować notatki, aby uporządkować spostrzeżenia i przemyśleć szczegóły sprawy.

Nie dawał mu spokoju system transportu kobiet. Buckley miał napięty terminarz, niekiedy trudno byłoby cokolwiek w nim zmienić, a tymczasem musiał zrezygnować z paru lotów i przesiąść się do samochodu. To mogło o niczym nie świadczyć, to oczywiste, plany się zmieniają, niektóre loty są odwoływane. Baldwin zażądał wydania wszystkich wypożyczonych przez Buckleya samochodów, chciał je przekazać technikom do badań, ale nic nie musiało z tego wynikać.

Wziął prysznic i pomyślał, że chętnie przepro-

wadziłby się z Taylor do nowego domu, ale nie miał pojęcia, jak jej o tym powiedzieć. Doskonale wiedział, że bardzo sobie ceniła prywatność. Ten dom był jednak za mały dla dwóch osób - a gdyby wzięli ślub i pojawiłyby się dzieci? Pragnął spędzić z nią resztę życia i ofiarować jej wszystko, czego pragnie. Dzieci, dom, psy lub koty. Miał nadzieję, że Taylor czuje to samo.

Przede wszystkim musiał się jej oświadczyć. Kupił już nawet pierścionek, ale ta cholerna sprawa Dusiciela pokrzyżowała mu szyki.

Wczoraj wieczorem niemal doszło do oświadczyn, Taylor traktowała go potem jak tykającą bombę zegarową. Zaśmiał się i zdecydował, że gdy tylko schwytają sukinsyna, od razu poprosi ją o rękę.

Ubrał się szybko i przeszedł do gabinetu.

Jake Buckley wydawał się bardzo prawdopodobnym sprawcą morderstw. Wydano już nakaz zatrzymania jego samochodu, na lotniska przesłano faksy z jego zdjęciem, na dworcach kolejowych

i autobusowych kasjerzy dysponowali fotografią poszukiwanego. Mimo to nie napływały żadne informacje na jego temat. Nie udało się także zlokalizować Ivy Clark.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Siedem dziewczyn straciło życie, jedna zaginęła. Niekiedy sytuacja była trudna do zniesienia. Grimes nie wytrzymał i Baldwin szczerze tego żałował. Nadal uważał, że powinien był zapobiec tragedii.

Odetchnął głęboko. Miał za dużo na głowie,

żeby rozpamiętywać przeszłość. Ponownie skupił się na ustalaniu dokładnego terminarza Buckleya. Musiał wiedzieć, czy w czasie morderstw podejrzany znajdował się w pobliżu miejsc, w których zaginęły dziewczyny. Jako wiceprezes działu marketingu i rozwoju Health Partners, Jake Buckley spędzał mnóstwo czasu w rozjazdach, oglądał nowe budynki, kontrolował funkcjonowanie dotychczasowych placówek, korygował plany zatrudnienia. Na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za duży majątek i wielu pracowników.

Baldwin zaczął od porównania terminarza Buckleya z czasem i miejscami zgonów oraz uprowadzeń. Jake Buckley zawitał do wszystkich miast, w których ginęły kobiety, i przebywał w okolicach, gdzie morderca porzucał zwłoki. Zgadzał się także czas jego pobytu w określonych rejonach. Na wiele spotkań jeździł własnym samochodem, ale niekiedy latał samolotem. Z tego powodu Baldwin chciał zbadać wynajmowane przez niego samochody. Nie liczył na spektakularne odkrycia, ale też nie chciał nic zaniedbać. Zabrał się do porządkowania akt, gdy zadzwonił telefon. Sprawdził, kto dzwoni, i uśmiechnął się szeroko.

- Cześć, maleńka - powitał Taylor.

- Cześć. Jak tam postępy w śledztwie?

- Tak sobie. Właśnie skończyłem sprawdzać terminarz Buckley a, aby się przekonać, czy w kry-

tycznych dniach nasz podejrzany znajdował się w pobliżu miejsc przestępstw. Wszystko pasuje. Co u ciebie?

- Wreszcie nastąpił przełom w sprawie Słotnika. Telefon, który odebrałam w nocy, dotyczył włamania i gwałtu. Złapaliśmy drania - pochwaliła się z nieskrywaną dumą.

- Co się stało z ofiarą, którą przesłuchiwałaś?

- Och, zapomniałam powiedzieć ci, jak się zakończyła jej sprawa. Babka wymyśliła całą historię, aby zemścić się na byłym facecie. W gazetach znalazła dostatecznie dużo informacji, żeby udawać ofiarę Słotnika. Badanie DNA nie wykazało żadnego związku z poprzednimi napadami, więc aresztowaliśmy ją za składanie fałszywych zeznań.

Dopadliśmy Słotnika, kiedy uciekał.

- Dzielna dziewczynka.

- Ale właściwie nie po to dzwonię. W Fox News zaraz rozpocznie się wywiad z Tannerem Clarkiem i jedną z przyjaciółek Ivy. Pomyślałam, że chciałbyś to obejrzeć.

- Chciałbym - potwierdził. Wstał i rozejrzał się w poszukiwaniu pilota. - Gdzie ukryłaś pilota do telewizora w gabinecie?

Taylor zachichotała.

- Fakt, schowałam go. Nigdy nie oglądam telewizji w gabinecie. Wybacz.

- Nie ma sprawy. O której wrócisz?

- Chyba wkrótce. Taką mam nadzieję. Brian Post wziął gwałciciela w obroty, teraz trwa przesłuchanie. Zjawisz się?

- Zamierzam, chyba że wyniknie coś nieoczekiwanego. Przygotuję ci coś fajnego do jedzenia.
- Słodki jesteś. Co się stało z twardym gliniarzem, w którym się zakochałam?
- Ciii. Pogadamy, gdy wrócisz.
- Jasne. Czy mógłbyś zamrozić dla mnie trochę lodu? Skubaniec trochę pokiereszował mi twarz, kiedy go goniliśmy. Wyglądam jak szop.
- Czy to coś poważnego?
- Gdzie tam. Od wielu tygodni nie czułam się tak dobrze.
- Kocham cię, maleńka - wyznał Baldwin i zaczekał, aż Taylor pożegna się z nim równie wylewnie.

Gdy się rozłączyli, postanowił przyrządzić coś naprawdę smacznego. Taylor uwielbiała dobre jedzenie, ale miała doskonałą przemianę materii, więc mogła się bezkarnie opychać i nie przybierać na wadze.

Baldwin znalazł pilota za paprotką na szafce i zaśmiał się pogodnie. Mógłby przysiąc, że Taylor ukrywa urządzenie w różnych miejscach tylko po to, żeby doprowadzić go do szalu. Nacisnął czerwony guzik, a gdy pojawił się obraz, przełączył na kanał Fox News.

W samą porę. Prowadzący o jasnych włosach i w okrągłych okularach właśnie podawał najświeższe wiadomości dotyczące wywiadu.

- Uważa się, że Ivy Tanner Clark może być ósmą ofiarą bezwzględnego seryjnego mordercy, znanego jako Dusiciel z Południa. Minęła już doba

od zniknięcia Ivy. W tej chwili łączymy się satelitarnie z Louisville w stanie Kentucky, gdzie czeka na nas jej ojciec i najlepsza przyjaciółka. Mam nadzieję, że uzyskamy od nich więcej informacji. Panie Clark, czy dobrze mnie pan słyszy?

Ekran podzielił się na dwie części. Z jednej strony pojawił się atrakcyjny siwy mężczyzna w eleganckich okularach przeciwsłonecznych. Bardziej przypominał hollywoodzkiego gwiazdora niż załamanego ojca. Miał na sobie spłowiałe džinsy, trzymał nogę na kolanie i demonstrował drogie brązowe kowbojki z zamszu. Do tego włożył białą koszulę, która podkreślała jego intensywną opaleniznę. Tanner Clark ociekał seksapilem.

- Słyszę pana całkiem dobrze - odparł dudniącym, stanowczym głosem, a prowadzący się uśmiechnął. Zapowiadała się interesująca rozmowa.

- Uważa pan, że pańska córka została porwana przez Dusiciela z Południa. Czy posiada pan jakieś konkretne informacje, które kazałyby tak sądzić?

- Moja córeczka zaginęła i chcę prosić człowieka, który ją zabrał, o jej jak najszybsze uwolnienie. Jestem gotów zapłacić sto tysięcy dolarów nagrody za każdą informację, która przyczyni się do bezpiecznego powrotu mojej córki. Ona nigdy nikogo nie skrzywdziła, proszę jej zwrócić wolność... - Ukrył twarz w dłoniach, jego ramiona się zatrzęśły.

Z lewej strony ekranu wyłoniła się mała ręka. Obraz z kamery natychmiast przeniósł się na dzie-

wczyne, która pocieszała Clarka. Rzekoma najlepsza przyjaciółka zaginionej. Wyglądała na młodszą od dwudziestoletniej Ivy Clark, ale kamery mogły przekłamywać wiek. Zdaniem Baldwina, mogła sobie liczyć od dwunastu do trzydziestu lat. Dotknęła Tannera Clarka w taki sposób, jakby była kimś więcej niż tylko przyjaciółką jego córki. Na ekranie pojawiły się zdjęcia porwanej: Ivy w siodle, Ivy w sukni balowej, Ivy w dzinsach, kowbojkach i obcisłej, różowej koszulce, w towarzystwie mężczyzny, który podejrzenie przypominał księcia Williama.

Prowadzący musiał podtrzymać rozmowę, więc zwrócił się do dziewczyny.

- Pani Simone, prawda?

- Tak, nazywam się Serene Simone. - W jej głosie pobrzmiwał lekki obcy akcent. Baldwin zakładał, że to naleciałości francuskie, ale nie był tego całkiem pewien. - Jestem przyjaciółką od serca Ivy. Jest mi wyjątkowo droga i podpisuję się pod słowami pana Clarka. Chcemy, żeby Ivy wróciła do domu cała i zdrowa.

- Czy mogłaby pani powiedzieć nam coś więcej o Ivy?

Zacząła mówić, a na ekranie ponownie pojawiły się zmontowane zdjęcia zaginionej. Na wszystkich była uśmiechnięta i zadowolona. Baldwin zauważył, że w prawym nozdrzu nosiła mały brylant. Na jednej z fotografii wystąpiła w sukience z dekoltem na plecach, eksponując dwa tatuaże na ramieniu.



Na innym zdjęciu demonstrowała tatuaż w dolnej części pleców. Baldwin zajrzał do doniesienia o zaginionej i odczytał informacje o znakach szczególnych. Po wewnętrznej stronie prawej kostki miała tatuaż z chińskim symbolem. Na linii bikini znajdował się mały smok, na górze stopy sprawiła sobie różę, a na prawej łopatce małego motyla. Na krzyżu nosiła inne chińskie znaki. Nie powinno być problemu z jej identyfikacją, o ile tatuaże pozostały nietknięte.

Wyłączył dźwięk, aby nie słuchać przesłodzonych słów Serene Simone, i skupił się na twarzy Ivy. Wyglądała, jakby tryskała energią i nigdy nie zamierzała umrzeć. Mimo to zapewne już nie żyła, podobnie jak pozostałe dziewczyny.

Musieli pojmać Buckleya. Cholera, dlaczego nie napływały żadne informacje?

Czas przeznaczony na wywiad dobiegł końca, prowadzący pożegnał się z rozmówcą.

- Niestety, musimy już kończyć. Proszę o ponowne wyświetlenie numeru alarmowego.

Gdyby ktoś z państwa miał informacje dotyczące miejsca pobytu Ivy Tanner Clark, zaginionej z Louisville w stanie Kentucky, proszę dzwonić. Widzimy się po przerwie.

Na ekranie pojawił się numer infolinii FBI. Baldwin znał go na pamięć. Każdego dnia wydzwaniały na niego setki osób z kompletnie bezwartościowymi informacjami.

Sto tysięcy dolarów mogło pomóc w śledztwie. Rzecz jasna mogło również zaszkodzić, bo żądni

wielkich pieniędzy oszuści z pewnością rzucają się do wymyślania absurdalnych wiadomości.

Baldwin raz jeszcze przejrzał akta, opisujące podróże służbowe Jake'a Buckleya z ostatnich dwóch miesięcy. Tylko przez poprzedni miesiąc odwiedził trzydzieści miast, w tym wszystkie te, w których popełniono zbrodnie. Huntsville, Alabama. Baton Rouge, Luizjana. Jackson, Missisipi. Znowu Nashville i dalej Noble, Georgia. Roanoke, Wirginia. Asheville, Karolina Północna. Louisville i tygodniowa przerwa w Nashville. Może miał już dość zabijania, może nie. Na pewno wracał do domu i tam powinni go dopaść. Wczoraj wieczorem powinien był znaleźć się w Nashville. Nie dotarł do domu, więc rozesłano list gończy za jego samochodem. Mimo to nikt nie widział pojazdu. Nadszedł czas, aby Baldwin porozmawiał z Quinn Buckley.

### ***Rozdział czterdziesty trzeci***

Niczym beztroskie dziecko kopał dołki i cicho sobie podśpiewywał.

- Jeden mały Murzynek... dwóch małych Murzynków... trzech, czterech, pięciu małych Murzynków... sześciu małych Murzynków. Nie mam siódmego ani ósmego małego Murzynka, ale co mi tam...

Zasywał wgłębienia żyzną ziemią, otrzepał ręce i rozdarł torebkę z nasionami kwiatów, które kupił w pobliskim sklepie ogrodniczym. Rozsypał je po rozkopanym gruncie i wstał. Starł resztki ziemi z kolan i sięgnął po szlauch, którym zaczął zraszać nową grządkę. Jak zwykle spisał się na medal. Miał powody do zadowolenia.

### ***Rozdział czterdziesty czwarty***

Quinn Buckley zaczynała się martwić. Jake powinien był już wrócić do domu, a tymczasem nadal nie dawał znaku życia. Szukało go FBI, za jego samochodem rozesłano list gończy i właściwie nic nie było wiadomo. Siedziała sama w pustej kuchni i sączyła herbatę z kubka. Od kilku dni nie udawało jej się skontaktować z bratem, nie mogła zatem zaplanować pogrzebu siostry.

Dzieci poszły się pobawić do domu przyjaciółki. Zupełnie zapomniała, że się tam wybierają, ale znalazła krótką notatkę z wyjaśnieniem od Gabrielle. Wielki dom stał cichy i pusty, a ona czuła się tak, jakby traciła rozum.

Zastanawiała się, o co oskarżają jej męża. Wiedziała, że nie mógł popełnić żadnej zbrodni. Uważała go za niewiernego tchórze, kłamcę, idiotę, ale nie za mordercę. Gdy zadzwonił John Baldwin z FBI, bez oporu zgodziła się na spotkanie. Była gotowa odpowiedzieć na wszystkie jego pytania.

Może po prostu czuła się samotna i potrzebowała kogoś, kto przy niej posiedzi, potrzymana za rękę i zapewni, że rozumie...

Poszła do biblioteki, jedyne miejsce w domu, w którym czuła się naprawdę sobą. Miała nadzieję, że książka poprawi jej humor. Weszła do środka i wstrzymała oddech. Na środku pokoju stał Reese, jej młodszy brat. Krzyknęła cicho, a on popatrzył na nią ze smutkiem.

- Reese, mało nie umarłam ze strachu. Kiedy się tutaj wkradłeś? Nawet nie słyszałam, że ktoś dzwoni do drzwi. Och, jak dobrze cię znowu widzieć. Kiedy wróciłeś?

Podeszła bliżej i serdecznie go uścisnęła. Reese był wysoki, podobnie jak Jake. Miał czarne, kręcone włosy, łobuzerski uśmiech, ciemnoniebieskie oczy i dołek w brodzie.

Quinn mimowolnie popatrzyła na niego z podziwem. Był ogromnie przystojny, i jeszcze taki młody...

- Braciszku, od kilku dni bezskutecznie usiłuję się z tobą skontaktować.

- Przykro mi, Quinn. Powiedziałem, że przez pewien czas będę nieosiągalny. Przeżyłem wiele niezwykłych chwil, dużo się nauczyłem. Wróciłem wczoraj wieczorem i dopiero rano odsłuchałem twoją wiadomość na poczcie głosowej. Dlaczego chciałaś ze mną rozmawiać?

Nie wiedziała, od czego zacząć. Miała świadomość, że Whitney i Reese nie byli sobie bliscy, niemniej należeli do jednej rodziny. Wzięła go za rękę i poprowadziła do najbliższego fotela. Sama

usiadła na kanapie obok i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Kochanie, Whitney miała wypadek. Zginęła na miejscu. Jechała tutaj, do mnie. Nie wiem, czy ktoś już zawiadomił twoich kolegów. Chciałam sama powiedzieć ci o tej tragedii...

Reese nie zareagował, a Quinn zamarło serce. To chyba niemożliwe, aby aż tak jej nienawidził. Podniósł wzrok.

Quinn mocniej uścisnęła mu dłoń.

- Wiem, kochany, wiem. To koszmarne. Ale to nie wszystko. Policja zabrała laptop Whitney. Wiele wskazuje na to, że miała jakieś powiązania z tym okropnym człowiekiem, który morduje dziewczęta na całym południowym wschodzie. Nie wiem, czy słyszałeś o tej strasznej sprawie, jest bardzo głośna... Reese? Reese?

Był blady jak kreda. W kąciuku jego oka pojawiła się łza i spłynęła po policzku. Z niedowierzaniem pokręcił głową. Quinn mówiła dalej, aby za wszelką cenę zagłuszyć krępującą ciszę.

- Sama tego nie rozumiem. Czy Whitney mogłaby być powiązana z takim potworem? Policja nie udostępnia mi informacji. Jestem pewna, że zbierała materiały do pracy. Wcześniej usiłowała się ze mną skontaktować... - Umilkła, aby przełknąć łzy. - Przed śmiercią... Och, Reese, co teraz zrobimy?

Reese w końcu spojrzał jej w oczy i łagodnie cofnął rękę.

- Więc nie wiedziała?

- Czego nie wiedziała, kochany?

Wstał, podszedł do półki z książkami i powiódł smukłym palcem po grzbiecie misternie zdobionego tomu.

- Tyle pracy - mruknął półgłosem.

Jego słowa dotarły do Quinn, ale ich nie rozumiała.

- Co mówisz, kochany? Nie dosłyszałam. Dobrze się czujesz?

Odwrócił się do niej i uśmiechnął kącikiem ust.

- Tyle pracy. A ona nic nie rozumiała. - Wybuchnął śmiechem, a Quinn patrzyła na niego zdezorientowana.

Ból po stracie bliskiej osoby przybiera rozmaite formy. Choć Reese nie przepadał za siostrą, jego śmiech wydał się Quinn wysoce niestosowny.

- Reese, co się z tobą dzieje? - spytała chłodno. - Właśnie cię poinformowałam o śmierci siostry, a ty rechoczesz.

Zaśmiał się jeszcze głośniejszym, po policzkach ciekły mu łzy. Podszedł do Quinn, objął ją mocno i uścisnął, a na koniec wyszedł z biblioteki, wciąż rozchichotany. Po chwili Quinn usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych. Za oknem rozległ się warkot silnika, samochód odjechał.

Opadła na fotel, na którym siedział Reese. O co mu chodziło? Pokręciła głową. Kto by się w tym wszystkim rozeznał? Może wpadł w histerię?

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Odetchnęła głęboko, wstała i poszła otworzyć. Na progu ujrzała Taylor Jackson oraz mężczyznę, który z pewnością

był agentem FBI. Taylor miała podbite oko i uśmiechała się półgębkiem. Agent wydawał się przejęty.

- Zapraszam do środka. - Quinn pomyślała, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

Policja skonfiskowała komputer Whitney i poszukiwała Jake'a. Reese śmiał się na wieść o śmierci siostry. Życie Quinn trzęsło się w posadach i nie miała pojęcia, jak je ratować.

Taylor i Baldwin rozgościli się w bibliotece, a Quinn usiadła naprzeciwko nich.

- Proszę mi wyjaśnić, co się tutaj dzieje. Dlaczego FBI poszukuje mojego męża?

Baldwin się pochylił, ręce oparł na kolanach.

- Pani Buckley, mamy powody zakładać, że pani mąż ma związek z przestępstwami, które od kilku tygodni badamy.

Quinn odchyliła głowę i głośno się zaśmiała.

- Niech zgadnę. Państwa zdaniem, Jake jest Dusicielem z Południa. Panie Baldwin, zapewniam pana, że równie dobrze sama mogłabym być morderczynią. Coś takiego jest całkowicie wykluczone. Jake może mnie zdradzać na lewo i prawo, ale nigdy w życiu nikogo by nie zabił.

Baldwinowi nawet nie drgnęła powieka.

- Pani Buckley, pani chyba nie rozumie. Jake Buckley przebywał w tych samych miejscach, gdzie ginęły dziewczyny i gdzie natrafiano na ich zwłoki. Zgadza się również czas zdarzeń. To bardzo obciążający materiał dowodowy. Czy dzisiaj kontaktowała się pani z mężem?

- Nie, ale to o niczym nie świadczy. Zdarza się,



że Jake nie dzwoni do mnie całymi dniami. W większości wypadków nie mam pojęcia, gdzie go szukać. - Zawiesiła głos. - Naprawdę jest podejrzany? To dlatego skonfiskowaliście komputer Whitney? Uważacie, że Jake przesyłał jej wiersze. Tylko dlaczego miałby to robić? On nikomu nie posyła poezji, w każdym razie od bardzo dawna - dodała po zastanowieniu i nagle zrobiła wielkie oczy. - Sukinsyn... On z nią sypiał, prawda? To ma sens. Mój idealny mąż rznął moją równie idealną siostrę. Niewiarygodne. Baldwin postanowił powrócić do tematu.

- Pani Buckley, wiem, że to dla pani trudne chwile. Nie wiemy, gdzie jest pani mąż i co robi. Trudno powiedzieć, czym się zajmował przez ostatnie tygodnie. Czy mogę prosić panią o zgodę na przejrzenie jego rzeczy? Potrzebujemy kilku drobiazgów, które nadadzą się do badań laboratoryjnych.

Quinn nagle się wyprostowała i złowrogo popatrzyła na Baldwina.

- Czy pan postradał zmysły? Naprawdę sądzi pan, że pozwolę panu zabierać rzeczy mojego męża? Nie pomogę wam wsadzić go za kratki za coś, czego nie zrobił. Proszę przynieść nakaz.

Taylor uznała, że pora interweniować.

- Quinn, obie wiemy, że powinnaś pomóc nam w śledztwie. Jeśli będziesz współpracowała, szybciej uwolnimy Jake'a od zarzutów. Sama pomyśl. Ktoś zamordował siedem dziewczyn. Jedna zaginęła. Nie mamy kontaktu z twoim mężem. Twoja

siostra straciła życie, kiedy usiłowała cię ostrzec przed niebezpieczeństwem. Wszystko się zgadza. Pomóż nam, pomóż Jake'owi.

Quinn rozpaczliwie kręciła głową.

- Wykluczone. Nie. A teraz proszę już iść. Nalegam. - Wstała i skrzyżowała ręce na piersi. Baldwin i Taylor również wstali. Gdy szli do holu, usłyszeli dziwne płaczliwe dźwięki, dochodzące zza drzwi. Quinn podeszła bliżej i ujrzała Gabrielle, swoją włoską opiekunkę do dzieci, studentkę, która cicho popłakiwała z twarzą ukrytą w dłoniach. Quinn złagodniała.

- Gabrielle, wszystko dobrze. Nie martw się. *Sard tutto il di destra, cara. Non si preoccupi.* Gabrielle uniosła głowę i spojrzała na Quinn.

- Nie, nie będzie dobrze. Nie ma pani pojęcia. Nie ma. Signor Buckley nie zrobił tego na pewno. Wiem. - Wybuchnęła spazmatycznym płaczem. - *Sto facendo l'amore eon il Signor Buckley per parecchi mesi. Siamo nell'amore. Non significo danno a voi. E il mio amante. E il vostro difetto, Signora Buckley. Non e di destra voi non lo arna come.*

Wyprostowała się, a Taylor od razu rozpoznała tę pozę. Tak się zachowują zakochane kobiety. Ta młoda dziewczyna do szaleństwa kochała pracodawcę i postanowiła zakomunikować to jego żonie.

Taylor skierowała wzrok na Quinn, która wyraźnie się skuliła, jakby zrobiło jej się zimno.

- Quinn, co ona powiedziała? - W głosie Taylor pobrzmiwała troska. Chciała przemówić jak ko-

bieta do kobiety. Liczyła na to, że w ten sposób wpłynie na Quinn.

Ta ostatnia w końcu odetchnęła głęboko i zaczęła mówić, ani na moment nie odrywając wzroku od Gabrielle.

- Ona mówi, że ma romans z Jakiem. Podobno się kochają. Twierdzi, że to moja wina, bo nie kocham go dostatecznie mocno. Czy to prawda, Gabrielle? Niedostatecznie kocham męża, więc postanowiłaś interweniować i kochać go w moim zastępstwie? Wynocha z tego domu, *voi poco squaldrina. VOISORCA!*

Gabrielle zrobiła wielkie oczy. Krzyknęła, odwróciła się gwałtownie i wybiegła z pokoju. Wyczerpana Quinn opadła na krzesło. Wydawała się taka mała, krucha i bezradna, że Taylor odruchowo położyła jej dłoń na ramieniu. Quinn zeszywniała, a Taylor natychmiast cofnęła rękę.

- Przykro mi, Quinn. Wiem, że twoje życie jest teraz wyjątkowo trudne. Czy na pewno nie chcesz nam powiedzieć jeszcze czegoś, co pomogłoby nam w schwytaniu mordercy? - Mówiła cicho i spokojnie, jak do wystraszonego kota, który schował się pod kanapą i za nic nie chce wyjść.

Quinn przez moment siedziała nieruchomo, lecz w końcu westchnęła, jakby kompletnie straciła siły.

- Wróćmy do biblioteki. Pomogę wam. Zrobię, co w mojej mocy.

Cała trójka poszła z powrotem do biblioteki. Taylor i Baldwin ponownie usiedli na kanapie i wodzili wzrokiem za Quinn, która spacerowała od

ściany do ściany. Nie przerywali jej, gdy w końcu zaczęła mówić.

- Już od pewnego czasu nam się nie układa. Minęły dwa lata, odkąd sytuacja stała się nie do wytrzymania. Dwa miesiące temu, w niedzielny wieczór, okropnie się pokłóciliśmy. Jake szykował się do następnego wyjazdu w interesach, a ja chciałam, żeby został w domu. Pragnęłam choć raz być dla niego ważniejsza od Health Partners. Wtedy wyznał, że mnie zdradza. Poszedł do łóżka z jakąś stażystką z firmy marketingowej, z którą współpracował. Ich związek przetrwał zaledwie parę dni, ale Jake wtedy postanowił, że nie chce ze mną być. Nie miałam pojęcia, co robić. W końcu postąpiłam tak jak każda normalna kobieta. Przygotowałam wniosek o separację. Pokazałam mu to w ostatni poniedziałek wieczorem. Dlatego nie podnosiłam słuchawki, kiedy dzwoniła Whitney. Wyjaśniałam mężowi, że może się pożegnać ze mną, z dziećmi, z domem i z pieniędzmi. Wybiegł z domu i odtąd go nie widziałam.

Baldwin postukał palcami w poręcz kanapy.

- Miał romans ze stażystką? Nie wie pani, czy tutaj, na miejscu, czy też gdzieś podczas podróży służbowej?

- Chcę wierzyć, że Jake miał dość rozumu, aby zaspokajać swoje potrzeby z dala od domu.

- Zastanowiła się. - Co ja wygaduję. Przecież tuż pod moim nosem obsługiwał Gabrielle i Whitney. Dobry Boże, ależ ze mnie idiotka.

- Nieprawda, takie rzeczy się zdarzają - pocie-

szył ją. - Przykro mi, ale musimy do tego wrócić. Ten romans ze stażystką. Czy wie pani...

- Zdaje się, że w Nowym Orleanie, podczas festiwalu Mardi Gras.

- Czy wspomniał, jak się nazywała?

- Jakoś po francusku. Jej imię zaczynało się na J.

- Jeanette Lernier? - podpowiedział. Quinn machnęła ręką.

- Niewykluczone. Nie miałam ochoty wysłuchiwać pikantnych szczegółów. - Zastanowiła się. - Zaraz, zaraz. Znał pan jej nazwisko. Wiedzieliście, że z nią był. W jaki sposób...

Zresztą nie chcę wiedzieć. - Zasłoniła oczy dłonią.

Baldwin i Taylor wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Quinn powinna znać prawdę. Baldwin odetchnął głęboko.

- Jeanette Lernier była drugą ofiarą Dusiciela z Południa.

Quinn opuściła rękę i wytrzeszczyła oczy. W końcu zrozumiała.

- Wielkie nieba - wymamrotała. Gonił ich czas. Taylor odchrząknęła.

- Czy w tym tygodniu Jake ani razu nie dzwonił do domu? Nie odezwał się ani słowem?

- Ani słowem - potwierdziła i zaśmiała się smutno. - Może źle to rozegrałam. Powinnam była powiedzieć mu prawdę już pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy.

- Prawdę o czym, pani Buckley? - spytał Baldwin cicho.

Spojrzała na niego chłodno i odwróciła wzrok.

- O tym, co w dzieciństwie przytrafiło się mnie i Whitney. O tym, jaką farsą stało się nasze życie. - Skierowała spojrzenie na Taylor. - Pamiętasz. Poza tym jesteś gliną, więc musisz znać szczegóły.

Cała trójka drgnęła, gdy zadzwonił telefon Taylor. Nie miała ochoty odbierać, ale poczucie obowiązku wzięło górę nad ciekawością.

- Przepraszam - bąknęła. - Muszę odebrać. Quinn, nie znam szczegółów twojej historii. Raporty policyjne i protokół rozprawy sądowej zawierają tylko część prawdy. Chciałabym wysłuchać twojej wersji. Zaraz wracam.

Na wyświetlaczu pojawił się numer Fitz'a. Odebrała natychmiast.

- Mówi Jackson.

Gdy mówił, nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Rozłączyła się i wróciła do biblioteki. Baldwin i Quinn siedzieli w posepnym milczeniu. Taylor wiedziała, że jej nowiny nieodwracalnie odmienią życie Quinn.

- Mam nowe informacje na temat Jake'a. Quinn nie podniosła wzroku i tylko zacisnęła pięści.

- Słucham. Ten dzień nie może być gorszy.

- Aresztowano go. Patrol zauważył jego samochód na międzystanowej sześćdziesiątce piątce. Jechał na południe, z Kentucky do Nashville. Przewoził... - Na moment się zawahała. - Przewoził w bagażniku zwłoki. Uważamy, że to Ivy

Tanner Clark, dziewczyna, która wczoraj zaginęła w Louisville.

Baldwin wstał, gotów zasypać ją pytaniami, ale uniosła dłoń.

- Jake jedź na komendę główną policji w centrum miasta. Muszę jak najszybciej tam dotrzeć wraz z agentem specjalnym Baldwinem, aby przesłuchać zatrzymanego. Quinn, czy rozumiesz, co mówię?

Quinn z trudem rozchyliła zaciśnięte usta i skinęła głową.

- Czy powinnam znaleźć mu adwokata?

- Ma do tego prawo, z którego jednak może zrezygnować i złożyć zeznania. Mam myśl. Pojedź z nami na komendę i tam podejmiesz decyzję.

- Nie - przemówiła niespodziewanie mocnym głosem. - Nie. Niech zgnije w więzieniu.

Jeśli to zrobił, nie pomogę mu w żaden sposób. - Opuściła pokój i hałaśliwie tupiąc, poszła na piętro.

- Na nas pora - mruknęła Taylor. - Nie mogę się doczekać pogawędki z panem Buckleyem.

### ***Rozdział czterdziesty piąty***

Taylor i Baldwin przyjechali na komendę. Przepelniał ich entuzjazm. Nieuchwytny Dusiciel nareszcie wpadł im w ręce, dzięki ciężkiej pracy wielu policjantów oraz szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Poza tym wyglądało na to, że sprawa Słotnika także została rozwiązana. Taylor cieszyła się, że jej nazwisko będzie łączone z pojmaniem dwóch przestępców znanych na cały kraj. Nie chodziło o szybki awans, po prostu lubiła czerpać satysfakcję z pracy.

Szybko przeszli do biur wydziału zabójstw, gdzie zastali Fitza, Lincolna, Marcusa i kapitana Price'a. Żaden z nich nie promieniał radością.

- Co jest, chłopaki? - zdumiała się Taylor. - Wyglądacie, jakby impreza się skończyła, jeszcze zanim się zaczęła. Gdzie Buckley? - Spojrzała w kierunku pokojów przesłuchań. W jednym z nich paliło się światło. Za tymi drzwiami znajdował się Jake Buckley, Dusiciel z Południa.



- Zamknął się w sobie - mruknął Price, wyraźnie zasepiony. - Bezustannie powtarza tylko jedno słowo: adwokat, adwokat, adwokat. Domaga się telefonu i ma do niego prawo, ale niestety, pomimo gorączkowych poszukiwań nie znaleźliśmy jeszcze ani jednego sprawnego aparatu.

- Bardzo sprytnie - pochwaliła go Taylor z uśmiechem. - Ja i Baldwin pogadamy z zatrzymanym, może jednak zdecyduje się mówić. Rozmawialiśmy z jego żoną, więc wiemy o nim to i owo. Może ruszy go sumienie.

- Próbujcie, ale jeśli znowu poprosi o adwokata, będziemy musieli mu go podesłać. Wcale bym się nie dziwił, gdyby nieoczekiwanie wparował tu jakiś prawnik. Byliście u jego żony, tak? I co, nie zadzwoniła od razu po adwokata?

Baldwin pokręcił głową.

- Quinn raczej nie ruszy mężowi z odsieczą. Jest teraz bardzo wzburzona i ma powody go nie lubić.

- Jasne. Zwłoki przewieziono do patologa. Policjant, który dokonał zatrzymania, użył słów: „porozdzierana na strzępy”.

- Na strzępy? - zdumiała się Taylor i spojrzała pytająco na Price'a.

- Morderca ją zasztyletował, poderżnął jej gardło i w paru miejscach brutalnie połamał kości.

- Co z dłońmi?

- Nienaruszone. Wygląda na to, że morderca wpadł w szal zabijania. Może ktoś mu przerwał, zanim dokończył dzieła, więc pośpiesznie ukrył

ciało w bagażniku z zamiarem wyrzucenia go przy pierwszej nadarzającej się okazji. I jeszcze jedno. Zamiast koła zapasowego gość woził torbę z zestawem do mordowania: sznurem, taśmą samoprzylepną, wojskowym nożem, skalpelami... Technicy badają teraz te wszystkie akcesoria. Aha, rzućcie na to okiem.

Price wręczył Taylor zieloną teczkę. Baldwin spojrział z boku na zdjęcia, które wzięła do ręki. Na pierwszym znajdowały się zmasakrowane zwłoki Ivy Clark, upchnięte w bagażniku luksusowego samochodu. Na innym widniała niewinnie wyglądająca skórzana torba podróżna w kolorze czarnym, pełna śmiertelnych narzędzi.

Price uśmiechnął się ponuro.

- Wszystko tam znaleźliśmy. Ale najlepsze zobaczycie na zbliżeniu.

Taylor odsłoniła kolejną fotografię. Na skórze widniały pozłacane, wytłoczone inicjały JWB. Ze zdumieniem pokręciła głową.

- Zestaw do mordowania z monogramem zabójcy. Co za megalomania. Idę tam, zobaczmy, co z niego wyduszę. Baldwin, jesteś gotowy?

- Jak zawsze.

- No to do roboty.

Price wskazał dłonią drzwi do pokoju przesłuchań.

- W razie czego będziemy po drugiej stronie. Powodzenia.

Taylor nacisnęła klamkę i zdecydowanym krokiem weszła do środka. Pomieszczenie było dość

małe, mieścił się w nim tylko stół i cztery krzesła. Ściany pomalowano na chłodny niebieski kolor, jedną z nich zajmowało duże lustro. Baldwin usiadł na krześle naprzeciwko wyraźnie zaniepokojonego mężczyzny, mniej więcej w wieku Taylor, czyli po trzydziestce. Ogólnie wydawał się przystojny, lecz niechlujny wygląd postarzał go o dziesięć lat. Miał rozczochrane włosy, twarz pokrytą wyraźnym zarostem. W kącie ust Buckleya Taylor zauważyła kroplę krwi i uznała, że to dobry punkt wyjścia do przesłuchania. Popatrzyła na Baldwina, skinął głową. Mogła zaczynać. Wiedziała, że w razie potrzeby Baldwin ją wesprze.

Jake Buckley z nienawiścią wodził za nią oczami. Nie wydawał się już tak przybity, jak jeszcze przed chwilą. Taylor cicho cmoknęła, wyszła z pokoju i wróciła z pudełkiem chusteczek. Jedną podała Jake'owi, aby przyłożył sobie do ust.

- Zdaje się, że trochę pan ucierpiał podczas zatrzymania. Przykro mi z tego powodu. Mam nadzieję, że to nieporozumienie. Żaden z naszych ludzi z pewnością nie chciał panu zrobić krzywdy. Tak czy owak zachowali się nieprofesjonalnie. Osobiście porozmawiam z funkcjonariuszem, który dokonywał zatrzymania, i upewnię się, że informacja o tym zachowaniu została odnotowana w jego aktach osobowych. Czy to pana satysfakcjonuje? Podniósł wzrok. W jego oczach nagle dostrzegła pewność siebie, zupełnie jakby odzyskał panowanie nad sytuacją. Miał pieniądze i władzę, więc

oczekiwał od ludzi szacunku. Taylor doskonale to wyczuwała. Wiedziała, że udając posłuszeństwo, można czasem osiągnąć więcej, niż posuwając się do agresji. Oparła się o ścianę i uśmiechnęła.

- Panie Buckley, czy ma pan ochotę na kawę? A może trochę lodu na skaleczenie?

Buckley spojrzał na nią z uwagą.

- Kawę. Czarną, dwie kostki lodu. Lód nie będzie konieczny. Bardziej przydałby się pani. Taylor zignorowała tę aluzję do jej podbitego oka.

- Nie ma problemu, panie Buckley. Zaraz przyniosę. - Uśmiechnęła się raz jeszcze, łagodnie, jak koleżanka.

Wyszła na korytarz i od razu napotkała Lincolna, który wręczył jej kubek z kawą. Pomyślała, że to bystry facet. Mrugnęła porozumiewawczo i wróciła do pokoju przesłuchań.

Wręczyła Buckleyowi kawę i usiadła na krześle bliżej niego.

- Naprawdę przykro mi, że został pan tak potraktowany. Rozumiem, że nie ma pan ochoty ze mną rozmawiać, ale chętnie wysłucham pana wersji. Jak doszło do tego, że ma pan przeciętą wargę? Czy zrobił to jeden z policjantów?

Buckley prychnął.

- Niech pani sobie nie myśli, że nie wiem, co jest grane. Usiłuje pani skłonić mnie do przyznania się do czegoś, o czym nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że mnie zatrzymano, wyciągnięto z samochodu, ubezwłasnowolniono i sprowadzono tutaj.

Osobiście dopilnuję, abyście wszyscy stracili robotę. - Kipiał wściekłością, zachowywał się wrogo, a Taylor utwierdzała się w przekonaniu, że przed nią siedzi morderca.

Ugryzła się w język, aby nie wykrzyknąć sukinsynowi prosto w twarz, co o nim myśli.

- Rozumiem, panie Buckley. Przykro mi, że zawracamy panu głowę, ale proszę nas zrozumieć. Wyjaśnimy tylko jeden mały problem i odzyska pan wolność. Wróci pan do żony, pani Quinn Buckley, prawda? Pewnie siedzi teraz w domu i martwi się, że mówią o panu w wiadomościach. Ona nic nie rozumie. Czy chciałby pan do niej zadzwonić?

- Jestem w wiadomościach? Z jakiej racji? Taylor postanowiła go osaczyć.

- Pańska żona napomknęła, że lubi pan poezję.

- O czym pani mówi, do cholery?

- Och, z pewnością doskonale pan wie, o czym mówię. Wysyłał pan jej wiersze, kiedyś dawno. Czy może wrócił pan do tego zwyczaju?

- Co za różnica? Nawet jeśli wysyłałem żonie listy miłosne, to chyba nie ma w tym nic dziwnego?

- A czy było coś dziwnego w tym, że wysyłał je pan siostrze swojej żony?

- Whitney? O co mnie pani oskarża?

- Pytam, czy miał pan romans ze szwagierką, która jest już na tamtym świecie.

Jake Buckley otworzył i zamknął usta, odetchnął i przemówił złowrogo:

- Nic nie wiem o śmierci Whitney. Już wkrótce

wyleci pani z pracy, zapewniam panią. Nie jestem prawnikiem, ale wiem, że to się nazywa zniesławienie. Co takiego naopowiadała pani mojej żonie? Ze ją zdradzałem z Whitney? I o co chodzi z tym moim występowaniem w wiadomościach? Taylor uznała, że pora zaatakować.

- Z pewnością pan rozumie, że poszukiwaliśmy pana od kilku dni. Musi pan nam wyjaśnić pewien drobiazg natury technicznej. Jak pan wytłumaczy obecność dziewczyny w bagażniku swojego samochodu?

Buckley zrobił wielkie oczy i w jednej chwili stracił pewność siebie.

- Jakiej znowu dziewczyny? O czym pani mówi?

- A co pan powie o torbie z nożami, sznurem i taśmą samoprzylepną, którą również znaleźliśmy w pańskim samochodzie?

Buckley drgnął niespokojnie. Pot wystąpił mu na czoło.

- Nie wiem, o co pani chodzi. Taylor wstała.

- Niech zgadnę, nikt panu nie wspomniał o martwej dziewczynie w bagażniku pańskiego bmw? Dziewczyny o nazwisku Ivy Tanner Clark? Tej samej, którą poznał pan w Louisville? Dobrze wiem, jak to wyglądało. - Podeszła do Buckleya. - Poznaje pan dziewczynę, zaprzyjaźnia się pan z nią, potem szamotanina i barn! Dziewczyna nie żyje, a pan nie wie, co robić. Pakuje ją pan do bagażnika i rusza do domu, bo przecież po drodze

na pewno znajdzie się jakieś dobre miejsce, aby wyrzucić trupa. Dobrze mówię? Przecież robił pan to od kilku miesięcy. Poznawał pan dziewczynę, wdziękzył się pan do niej, aby z panem poszła, potem krótka zabawa i zimny trup. Tak to wyglądało? - Taylor stanęła pół metra od Buckleya, który się odchylił, jakby dostał w twarz.

- Nie. Nie, nie, nie. To się nie dzieje naprawdę. Nigdy nikogo nie zabiłem. Nie mam pojęcia...

- Ależ tak, tak, tak, panie Buckley - wysyczała Taylor zjadliwie. - Tak się pan zabawiał. A co pan robił z ich dłońmi? - Jej słowa przeszywały go niczym nóż. Miał przerażoną minę. - Gdzie są ich dłonie, Jake? Chyba mogę ci mówić po imieniu, co? Podobało ci się, jak te dziewczyny cierpiały? To takie przyjemne, kiedy się kogoś dusi, prawda? Potem można go okaleczyć, jedną dłoń zabrać na pamiątkę, a drugą zostawić obok następnej ofiary. Tak to sobie obmyśliłeś, no nie, Jake?

Mówiła głośno, prawie krzyczała, a Buckley kulił się coraz bardziej, kręcił głową.

- Nie, nie, nie, nie... - powtarzał jak mantrę. - Przysięgam, nic takiego nie zrobiłem. Może jestem palantem, ale nie mordercą. Nikogo nie zabiłem, uwierzcie mi, na Boga! Prawnik. Chcę adwokata. Adwokata, natychmiast! - ryknął w panice.

Taylor odwróciła się i wyszła, zaraz za nią podążył Baldwin. Zostawili Jake'a Buckleya samego, roztrzęsionego i bełkoczącego coś niezrozumiale.

- Świetna robota - pochwalił ją Price z szerokim uśmiechem. - Wystraszyłaś go na śmierć. Dopiero na koniec rozmowy przypomniał sobie, że przydałby mu się adwokat.
- Dzięki. Musimy jeszcze nad nim popracować, żeby powiedział coś więcej niż tylko: „Nie, nic nie zrobiłem”. Baldwin?
- Baldwin w milczeniu wpatrywał się w podłogę.
- Baldwin? Spojrzał jej w oczy.
- Coś z nim jest nie tak.
- Pewnie - zgodziła się. - Przeciętny facet raczej nie morduje dziewczyn, aby dodać pieprzyka randkom.
- Nie chodzi tylko o to. Kiedy dałaś mu do zrozumienia, że panuje nad sytuacją, zachowywał się buńczucznie, był pewny siebie. Gdy na niego naskoczyłaś, skulił się jak zbity pies. Dusiciel z Południa nie zachowałby się tak. Dotąd dbał o to, żeby o jego zbrodniach się mówiło. Moim zdaniem, byłby z siebie dumny, chwaliłby się wyczynami. Na pewno nie dałby się atakować. Nie zrozumcie mnie źle, ale nie mam pewności, czy Buckley na pewno jest Dusicielem. Trzeba sprawdzić jego DNA, zebrać informacje laboratoryjne, porównać wyniki badań z wcześniej pobranymi próbkami. Ten człowiek nie pasuje mi do wizerunku mordercy. Może był współsprawcą. Potrzebujemy dowodów.
- Fitz patrzył na Baldwina jak na kosmitę.
- Baldwin, ten facet wiozł w bagażniku zwłoki



Ivy Clark. Pędził do Nashville, żeby pozbyć się trupa. Miał przy sobie torbę z narzędziami do zabijania, torbę z własnymi inicjałami. Jakich dodatkowych dowodów potrzebujesz? - Uniósł mięsistą dłoń. - Nic nie mów. Wezmę od niego próbkę DNA i przekażę ją do badań. - Zniknął na korytarzu.

Baldwin odwrócił się do nieco przygnębionej Taylor.

- Dajmy Buckleyowi czas na przemyślenia. Chciałbym teraz przejrzeć akta Whitney i Quinn.

### ***Rozdział czterdziesty szósty***

Baldwin usiadł przy stole w pokoju konferencyjnym i rozłożył przed sobą akta sprawy porwania Quinn oraz Whitney. Przeglądał je uważnie, żeby przypomnieć sobie wszystkie najważniejsze informacje.

W chwili zaginięcia bliźniaczki miały ponad dwanaście lat, doskonale się uczyły, a ludzie cenili je za inteligencję. Tamtego dnia bawiły się po szkole, beztroskie i szczęśliwe. Na zdjęciach sprzed porwania widniały radosne, niebieskookie, ładne dziewczęta.

Fotografie wykonane po porwaniu przedstawiały zupełnie inne istoty. Dziewczyny miały wystraszone, puste spojrzenia, żadna się nie uśmiechała. Widać było, że zostały pobite, miały podkrążone oczy, na wardze Quinn widniała świeżo zasklepiona rana. Baldwin odróżniał je po małych, białych karteczkach, przyklejonych na dole fotografii. Na jednym ze zdjęć Whitney wyglądała na

dwa razy starszą niż w rzeczywistości, była zmoczona i otepiała, jakby przez całe życie doświadczała najgorszych okropieństw.

W dniu porwania wybrały się na przejażdżkę rowerową. Jeździły nieopodal bulwaru Belle Meade, kiedy Whitney złapała gumę. Postanowiły zawrócić do domu, idąc wzdłuż ulicy. Baldwin spojrzął na inną kartkę, ze zdjęciem porywacza. Ustalono, że czynu dopuścił się niejaki Nathan Chase, trzydziestosiedmioletni robotnik budowlany, zazwyczaj bezrobotny. Dzień był upalny, Chase zagadnął bliźniaczki, zaproponował im lody, a potem zasugerował, że chętnie podwiezie je do domu.

W tamtych czasach ludzie nie byli jeszcze tak czujni jak teraz, nie bali się, że każdy obcy może się okazać pedofilem lub mordercą. Poza tym dziewczęta szły szeroką ulicą.

Zgodziły się. Gdy rower Quinn znalazł się w bagażniku ciężarówki Nathana Chase'a, a ona sama wskoczyła do kabiny, porywacz chwycił Whitney, wciągnął ją do środka i ruszył z miejsca, pozostawiając jej rower przy jezdni. Bliźniaczki znikły bez śladu.

Dopiero trzy dni później pojawiły się na Charlotte Avenue, wymęczone, brudne, zakrwawione, ale żywe. Ktoś zauważył, że błąkają się po ulicy, i zawiadomił policję.

Tylko Whitney chciała mówić. Opowiedziała, że Chase się upił, zasnął, a one skorzystały z okazji i wymknęły się z jego domu. Whitney zidentyfikowała porywacza, ona także rozpoznała ciężarówkę,

opisała dom Chase'a, oddalony o niecałe dziesięć kilometrów od ich domu rodzinnego. Quinn tylko potakiwała, przez całe śledztwo nie wypowiedziała ani słowa. Lekarze orzekli, że to pourazowe zaburzenie emocjonalne. Dziewczynka odzyskała mowę dopiero po kilku tygodniach. Whitney okazała się mocniejszą z bliźniaczek.

Kierując się jej wskazówkami, policja odnalazła dom porywacza i aresztowała Chase'a, gdy siedział w dużym pokoju, pił piwo i oglądał film w telewizji. Skuwany kajdankami, tylko się uśmiechał. Odmówił składania zeznań.

Osądzono go i skazano na podstawie zeznań Whitney. Ławie przysięgłych wystarczyły dwie godziny, aby go uznać za winnego. Sąd wyznaczył mu karę trzydziestu lat więzienia, całkiem sporo, jak na standardy z początku lat osiemdziesiątych. Po 1989 roku przeniesiono go do świeżo otwartego zakładu o zaostrowym rygorze w Riverbend. Sprawował się dobrze, interesowała go telewizja, książki, najchętniej pracował w bibliotece. W aktach nie było ani jednej wzmianki o wykorzystywaniu seksualnym. Odnotowano, że porwane były bite i pozbawiane snu. Chase podobno rozmawiał z dziewczętami, opowiadał im historyjki, usiłował je zabawiać. Baldwin był absolutnie przekonany, że w grę wchodziła przemoc na tle seksualnym. W końcu poszedł do gabinetu Taylor, aby z nią o tym porozmawiać.

- Co słytać? - spytał łagodnie.

- Rozmawiałam z Lincolnem o Słotniku - od-

parła. - Podejrzany Noralle Turner pracuje w policyjnej stacji benzynowej i w warsztacie, zajmuje się naprawą radiowozów. To wielbiciel policji, któremu nie udało się wstąpić do służby. Cztery razy oblał egzaminy do akademii. Wymyślił sobie dziwaczny schemat przestępstw, aby zrobić na ludziach wrażenie. To zwykły gwałcień. Teraz musimy tylko dopasować DNA, znaleźć inne dowody, ale na pewno mamy już sprawcę pod kluczem.

- Gratuluje, kochanie, to świetne wieści.

- Też jestem zadowolona. A co u ciebie?

- Czytam akta Quinn i Whitney. Dziwi mnie, dlaczego nie ma w nich wzmianki o wykorzystywaniu seksualnym.

- Naprawdę? Ani słowa?

- Kompletnie nic.

- Dziwne. Chase poszedł siedzieć po tym, jak uznano go za winnego porwania i napaści seksualnej. Na pewno brakuje części akt. - Wstała i przejrzała własne archiwum, a potem dokumenty wydziału zabójstw z biurka Fitz'a. W końcu natrafiła na cieką teczkę. - Mam tu coś - oświadczyła, otworzyła teczkę i przejrzała dokumenty. - Z tych papierów wynika, że tylko jedna z dziewcząt została wykorzystana. Ciekawe... Nie wiadomo która. -

Podsunała teczkę Baldwinowi. - Dziwne, prawda? Osobisty lekarz bliźniaczek nie zapisał, czy porywacz zgwałcił Whitney czy Quinn.

Baldwin usiadł na krześle dla gości i położył nogi na stole.

- Co się mówiło, kiedy dziewczyny zostały przeniesione do Ojca Ryana?
- Słyszałam tylko niesprawdzone pogłoski. - Taylor potarła skroń. - Byłam wówczas w drugiej klasie i niewiele wiedziałam o tych dziewczynach. Wcześniej uczęszczały do Harpeth Hall i chyba ktoś mówił, że obie wzięły roczny urlop, a potem przeniosły się do Ryana. W tamtym czasie ich matka zaszła w ciążę i urodził się ich brat, Reese. Quinn wspomniała, że jest lekarzem i pracuje jako rezydent w szpitalu Vanderbilta. Baldwin uniósł brwi.
- Czas by się zgadzał - mruknął. - Robią sobie rok wolnego, a potem nagle rodzi im się brat. Taylor się wyprostowała.
- Uważasz, że to dziecko jednej z nich? Cholera, pokręcona sprawa. Rodzice musieli wszystko ukrywać, przecież dziewczyny były jeszcze bardzo młode. Ciekawe, która z nich mogła zajść w ciążę z porywaczem?
- Musimy się tego dowiedzieć. Tymczasem chciałbym sprawdzić, kto ostatnio odwiedzał Na-thana Chase'a. Pamiętasz, co mówiła Quinn? Żałowała, że na samym początku nie wyjawiała mężowi prawdy. A jeśli mu wyznała prawdę o dziecku, a on postanowił odejść?
- Na litość boską, Baldwin, na razie nie mamy żadnych dowodów na potwierdzenie twoich podejrzeń.
- Tak czy owak jutro z rana sprawdzimy listę osób odwiedzających Chase'a. Pora wracać do

domu. Jestem zbyt zmęczony, aby myśleć. Czy w komputerze Whitney pojawiły się nowe mejle?

Baldwin wcześniej zostawił laptop w biurze Taylor.

- Nic, odkąd aresztowaliśmy Jake'a Buckleya.

- Może to jakiś znak. Idziemy.

Taylor pokiwała głową. Oboje uporządkowali biurko i opuścili wydział zabójstw. Pięć minut po ich wyjściu w laptopie Whitney Connolly zamrugała informacja o nadejściu nowego listu.

### ***Rozdział czterdziesty siódmy***

Telefon Baldwina zadzwonił o szóstej rano, budząc go z głębokiego, mocnego snu.

- Słucham... - Ziewnął do słuchawki.

- Mówi Garrett. Dlaczego jeszcze śpisz?

- Garrett, jest dopiero szósta rano. Masz godzinę do przodu, zapomniałeś?

- Żartowałem. Musisz wstawać, pojawił się problem.

Baldwin jęknął i przekręcił się na bok. Dopiero teraz zauważył, że jest w łóżku sam.

- Jaki problem? - wymamrotał zaspany.

- Próbką DNA Jake'a Buckleya, którą przesłaliście do badań, nie pasuje do DNA Dusiciela.

Morderca jest nadal na wolności.

Baldwin szeroko otworzył oczy.

- Psiakrew, cholera - zaklął na tyle głośno, że usłyszała go Taylor i zaniepokojona wróciła do sypialni. - Przecież Buckley wiózł w bagażniku Ivy Clark. Twoim zdaniem, naprawdę nie wiedział, że ona tam jest?



- Nie mam pojęcia. Trzeba z nim jeszcze pogadać, ale bez zgodności DNA nie ma mowy o winie.

- Sam porozmawiam z Buckleyem. Od początku wiedziałem, że coś się nie zgadza.

- Intuicja cię nie zawiodła, jak zwykle. A teraz bierz się do roboty i znajdź prawdziwego mordercę, zanim ponownie zaatakuje.

Baldwin się rozłączył i opadł na łóżko.

- Co się stało? - spytała Taylor niepewnie.

- Nie uwierzysz. DNA Buckleya nie pasuje do DNA znalezione przy ofiarach Dusiciela. Jedziemy do twojego biura, musimy coś wymyślić.

Po ponownym przesłuchaniu Buckleya Taylor musiała go zwolnić do domu. Żałowała, że bycie palantem nie jest karalne, bo chętnie zatrzymałaby go za kratkami. Wyszedł z jej biura, odgrając się, że będzie sędownie dochodził swoich praw, ale Taylor tylko machnęła ręką. Nie wątpiła, że jego adwokat wkrótce przyśle oficjalną skargę.

Westchnęła, rozejrzała się po biurze i wtedy jej wzrok padł na komputer Whitney. W urządzeniu migotała lampka informująca o nadejściu e-maila. Taylor wstrzymała oddech. W poczcie znajdował się tylko jeden nowy list oznaczony czerwoną chorągiewką. Serce Taylor mocniej zabiło, kiedy ujrzała adres: [IM1855195C@yahoo.com](mailto:IM1855195C@yahoo.com). To on. Odezwał się Dusiciel. List przyszedł wczoraj wieczorem. Psiakrew, to oznaczało...

- Baldwin! - krzyknęła.

Stał tuż za drzwiami, od razu zajrzał do gabinetu.

- Co się stało?

Obróciła komputer ekranem w jego stronę. Od razu się zorientował, o co chodzi, wbiegł do pokoju i dwukrotnie kliknął nagłówek wiadomości. Morderca przysłał jeszcze jeden fragment wiersza. Baldwin odczytał go na głos.

*Och, a więc jednak, okrutnico miła,*

*Niewinna krew twój paznokcieć splamiła?*

*I w czymże wina nieszczęsnej istotki?*

*Ze ci upiła kropelkę krwi słodkiej?*

*Sama wszak widzisz, że nic to nie zmienia:*

*Nie widać po nas oznak osłabienia.*

*Więc porzuć trwogę, nie wzbraniaj mi ciała:*

*O tyle tylko mniej czci będziesz miała,*

*Ile ci życia śmierć tej pchły zabrała.*

- Ostatnie wersy „Pchły”. I jeszcze dopisek: „SKOŃCZYŁEM”. - Usiadł na krześle, blady i zdenerwowany.

Taylor podeszła bliżej.

- Nadal pozostaje na wolności. To nieważne, czy w swoim mniemaniu skończył. Ktoś taki nigdy nie kończy tego, w czym się rozsmakował. Musimy go znaleźć. - Położyła Baldwinowi dłoń na ramieniu, a on przytulił do niej policzek.

- Słusznie - potwierdził stanowczo. - Teraz wiemy na pewno, że ktoś wrabia Jake'a Buckleya. Ktoś, kto zna terminarz jego wyjazdów. Gdzie jest informacja na temat Nathana Chase'a? Poproszę dyrekcję więzienia o wypis z księgi gości. Poza tym

Lincoln musi wyśledzić źródło wysyłania mej li. Może tym razem coś znajdziemy. -  
Uśmiechnął się do niej i sięgnął po telefon.

Taylor odwzajemniła uśmiech i wyszła z gabinetu, żeby odszukać Lincolna.

Zastała go przed komputerem, zajętego zgłębianiem tajemnic cyberprzestrzeni. Gdy  
weszła, triumfalnie uniósł ręce do góry.

- Trafiony, zatopiony! - krzyknął.

- Znowu sobie grasz w godzinach pracy, Lincoln?

Odwrócił się z uśmiechem na ustach. Jego oczy lśniły.

- To nie jest zwykła gra - oznajmił z dumą. - Właśnie uzyskałem link do adresu Whitney  
Connolly i wpuściłem robaka do jej systemu, aby wytropić, skąd otrzymuje wiadomości.  
Mam go, Taylor. Wiem, skąd ten gość wysłał ostatniego mejla.

### ***Rozdział czterdziesty ósmy***

Taylor, Baldwin i Lincoln stanęli przed kawiarnią Bongo Java przy kampusie uniwersytetu Belmont. Lokal tętnił życiem, roiło się w nim od ludzi, zarówno studentów, jak i młodych biznesmenów. Miejsce było wyposażone w wygodny dostęp do Internetu, serwowano tam świetną kawę i ogólnie należało do najpopularniejszych w mieście.

Po wejściu do środka od razu podeszli do baru i zamówili napoje. Taylor i Lincoln machnęli odznakami i zażądali rozmowy z kierownikiem. Zamiast niego z zaplecza wyszedł właściciel, gotów na wszelkie sposoby pomóc policji w Nashville. Lincoln wkrótce usiadł przy komputerze i przystąpił do pracy. Od razu się zorientował, że znalazł właściwą maszynę. Problem polegał jednak na tym, że od wczorajszego wieczoru mnóstwo ludzi korzystało z komputera, skutecznie zacierając ślady Dusiciela. Nie dało się zdjąć odcisków palców, a inne sposoby nie wchodziły w grę. Od-

szukali miejsce, w którym przebywał morderca, lecz znowu utknęli w martwym punkcie. Taylor skierowała wzrok na właściciela pogrążonego w rozmowie z Baldwinem.

- Czy jest tutaj ktoś, kogo widział pan także wczoraj wieczorem? - spytała.

Baldwin skinął jej głową.

- Właśnie o tym dyskutowaliśmy. Wczoraj odbywało się spotkanie poetyckie i przyszło jakieś pół setki ludzi. Właściciel nie zauważył nic szczególnego.

- Aleja zauważyłam - zabrzmiał piskliwy głosik, tuż pod łokciem Baldwina. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku i ujrzeli drobną, ładną dziewczynę w długiej, powłóczystej sukience i tęczowym szalu. - Widziałam kogoś, kto pracował przy komputerze.

Przypatrywałam się ludziom, a on zwrócił moją uwagę. Jestem artystką, szukam ciekawych typów ludzkich. No, no, co się pani stało? - spytała na widok podbitego oka Taylor. - Fantastyczna barwa. Nie wiem, czy udałoby mi się wymieszać odpowiednie pigmenty, żeby uzyskać taki efekt. Boli?

Taylor się uśmiechnęła.

- Nie jest najgorzej. Musimy wiedzieć, co pani widziała wczoraj wieczorem.

Dziewczyna nieco się wyprostowała i odchrząknęła.

- Zwróciłam uwagę na mężczyznę przy komputerze, bo był cholernie przystojny. Miałam ochotę podejść do niego i przedstawić się, ale gdy

w końcu zebrałam się na odwagę, wstał i wyszedł. Rzadko się zdarzają tak piękni mężczyźni. Wiele bym dała za to, aby mi pozował. Serce Taylor mocniej zabiło.

- Jak on dokładnie wyglądał...? Zapomniałam, jak masz na imię.

- Isabella.

- Isabello, powiedz nam, jak wyglądał ten mężczyzna? - spytał Baldwin.

- Był wysoki, niemal tak wysoki jak pan. I umięśniony. Nosił podkoszulek z czarnego kaszmiru, tak obcisły, jakby ktoś mu go namalował na skórze. Po prostu Adonis. Czarne włosy, trochę długie, falujące. I niebieskie oczy, we wspaniałym odcieniu. Może jestem głupia, ale go naszkicowałam. - Otworzyła teczkę i wyciągnęła kartkę papieru. - Oto on. Niesamowity, prawda?

Taylor i Baldwin pochylili się nad rysunkiem. Przedstawiał mężczyznę o idealnej szczęce, prostym nosie, pełnych ustach, które nadawały całej twarzy niemal kobiecy wygląd.

Taylor nie wierzyła własnym oczom. Czy ten anioł naprawdę był mordercą?

- Isabello, czy możemy zatrzymać twój szkic?

- spytał Baldwin.

Dziewczyna na moment się zasmuciła, ale kiwnęła głową.

- Oczywiście, oczywiście. Weźcie go. Czy jest możliwość, abym go dostała z powrotem, kiedy przestanie być potrzebny? To najlepszy z serii.

- Zarumieniła się. - Narysowałam kilka - wyznała.

Taylor uścisnęła dłoń Isabelli.

- Obiecuję, że go zwrócimy. - Wręczyła jej wizytówkę. - Dziękujemy ci. Ogromnie nam pomogłaś.

- Mogę spytać, dlaczego tak bardzo się interesujecie tym mężczyzną? Czyżby wysyłał za-  
wiadomienia o podłożonych bombach? - Rozmarzyła się na myśl o portrecie  
niebezpiecznego mężczyzny.

Taylor tylko pokręciła głową.

- Zrób coś dla mnie - poprosiła. - Jeżeli jeszcze raz go spotkasz, uciekaj jak najdalej. A  
potem zadzwoń do mnie.

Isabella odprowadzała ich wzrokiem, gdy odchodzili. Była bardzo ciekawa, jakich  
okropnych przestępstw dopuścił się ten piękny chłopak. W końcu wzruszyła ramionami i  
sięgnęła po kawę.

### ***Rozdział czterdziesty dziewiąty***

Taylor i Baldwin zajechali przed dom Quinn Buckley i wyszli z samochodu. Quinn czekała na nich na szczycie schodów przed drzwiami wejściowymi.

- Powiedziałaś przez telefon, że to ważna sprawa, związana z Whitney - oświadczyła bez powitania. - O co chodzi? - Miała intensywnie podkrążone oczy, włosy związane w koński ogon i czerwony nos. Widać było, że niedawno płakała.

- Przyszliśmy w sprawie Whitney. Chcielibyśmy pokazać ci szkic. Świadek widział tego mężczyznę przy komputerze, z którego wysyłano mejle do Whitney. Możemy wejść do środka?

Quinn wzruszyła ramionami i wprowadziła ich do domu.

W holu stały walizki Jake'a Buckleya, a on sam kręcił się u podnóża schodów. Taylor skinęła mu głową, Baldwin całkowicie go zignorował. Quinn zaprowadziła ich do biblioteki, wskazała kanapę



i zamknęła drzwi. Sama usadowiła się na skórzanym fotelu i pokręciła głową.

- Dzisiaj rano złożyłam papiery rozwodowe. Postanowiłam wyrzucić tego idiotę z domu, a on nie chce odejść - wytłumaczyła.

Taylor zatarła ręce.

- Mogę się tym zająć, jeśli chcesz, Quinn.

- Jeszcze pomyślę, ale dziękuję za propozycję. Co takiego miałam zobaczyć? Jakiś szkic? Baldwin wyciągnął rysunek z aktówki i wręczył go Quinn.

- Czy poznaje pani tego mężczyznę? Sądzymy, że to on wysyłał pani siostrze fragmenty wierszy.

Quinn spokojnie wzięła kartkę do ręki, ale gdy spojrzała na portret, wzięła głęboki oddech i upuściła papier, jakby ją oparzył. Gwałtownie pobladła, zasłoniła dłonią usta.

- Co się stało? Rozpoznałaś tego człowieka? - Taylor podniosła rysunek, a Quinn wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Usiłowała coś powiedzieć, lecz nie dało się zrozumieć ani jednego słowa.

- Quinn, musisz się uspokoić. Weź głęboki oddech. O tak, doskonale - mówił Baldwin kojącym tonem. - Teraz spróbuj jeszcze raz. Kto to taki?

Quinn z trudem przełknęła ślinę.

- To Reese.

Taylor zerwała się z kanapy.

- Chcesz powiedzieć, że szkic przedstawia twojego młodszego brata, Reese'a Connolly'ego?

Dwa słowa, które wypowiedziała Quinn, postarzyły ją o dwadzieścia lat. Kilka razy otworzyła i zamknęła usta, jakby bezskutecznie pragnęła sformułować jakąś myśl. Taylor stała nieruchomo, nie chciała jej przeszkadzać.

- Nie rozumiem - wykrztusiła w końcu Quinn.

- Przecież opuścił kraj. To niemożliwe, Reese nie zrobiłby czegoś takiego...

Nagle przewróciła oczami i bez czucia osunęła się na podłogę.

- Psiakrew, Baldwin, ona zemdląca. Zrób coś. Bezradnie popatrzył na nieprzytomną kobietę.

- Niby co mam zrobić? Zemdląca i tyle.

- Ocuć ją. Jesteś lekarzem, lekarze robią takie rzeczy. Musi nam powiedzieć, gdzie szukać Reese<sup>^</sup>. Na pewno wie, przecież to jej brat.

- Cholera, jestem psychiatrą, nie internistą.

- Ukląkł, ale Quinn sama odzyskała świadomość. Zatrzepotała rękami i wyciągnęła rękę, jakby prosiła o pomoc. Baldwin pomógł jej wstać i położyć się na kanapie, a Taylor podała jej butelkę wody mineralnej, która stała na stole.

- Quinn, musimy wiedzieć, gdzie teraz przebywa Reese. Gdzie mieszka?

Quinn wydukała dokładny adres brata, a Taylor przeszła na drugi koniec pomieszczenia, wyjęła telefon i natychmiast zadzwoniła do biura. Odebrał Fitz.

- Fitz, mam adres Dusiciela. Nazywa się Reese Connolly... Tak, ich młodszy brat.

Pojedziesz tam niezwłocznie, a jeśli dopisze ci szczęście... Widzi-

my się na miejscu. Przygotuj się odpowiednio, gość jest niebezpieczny. - Rozłączyła się i wróciła do Baldwina oraz Quinn, która wylewała z siebie potoki słów.

- Teraz wszystko rozumiem - mówiła. - Reese wiedział o wierszach. Na początku naszej znajomości Jake podrzucał mi liściki z poezjami, przyczepiał je do lodówki, wsuwał do skrzynki pocztowej. Był niepoprawnym romantykiem. Reese o wszystkim wiedział, przecież mieszkał z nami aż do studiów. Wzięliśmy ślub, kiedy się wyprowadził do akademika. Taki błyskotliwy chłopak... Dostał się na uniwersytet, kiedy miał zaledwie piętnaście lat. Teraz ma dwadzieścia jeden, jest lekarzem. Nie mógłby nikogo zabić, zresztą wyjechał do Gwatemali.

- Quinn, czy potrafiłabyś to potwierdzić?

- Oczywiście. Zadzwońię do innego lekarza, który również tam pojechał. - Wyjęła brązowy notes z szuflady biurka, odszukała numer telefonu i sięgnęła po aparat. - Jim Ogelsby, jak się masz?

- odezwała się po chwili oczekiwania na połączenie. - Podróż do Ameryki Południowej przebiegła bez problemów? Naprawdę? To świetnie. Mam do ciebie krótkie pytanie. Jak sobie radził Reese? Co takiego? Nie pojechał? Na pewno? Och... Dziękuję, Jim. Na pewno wkrótce się spotkamy. Na razie.

- Rozłączyła się i podniosła na nich osłupiałe spojrzenie. - Jim twierdzi, że Reese nie pojechał na wyprawę. Okłamał kolegów, oświadczył, że ma alergię na obowiązkowe szczepienia. Mnie również okłamał. Jak on mógł to zrobić?

Taylor powoli pokiwała głową.

- Czy Reese mógł wiedzieć o służbowych wyjazdach Jake'a? Czy znał terminarz jego spotkań?

- Oczywiście. Kopię harmonogramu zawsze wysyłałam Whitney i Reese'owi. Sekretarka Jake'a sporządza rozpiskę raz w miesiącu, a ja automatycznie przysyłałam ją najbliższym członkom rodziny. - Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. - Czy to możliwe, że Reese usiłował zrobić Jake'a?

- Tak, to prawdopodobne - potwierdził Baldwin. - Czy Reese wiedział o problemach w twoim małżeństwie?

- Staram się zachowywać dyskretnie, ale od czasu do czasu mógł do niego dotrzeć jakiś sygnał.

- Czy Reese nie lubił Jake'a? Zastanowiła się.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Zawsze odnosił się do niego z szacunkiem. Nie byli sobie specjalnie bliscy.

Baldwin dostrzegł wymowne spojrzenie Taylor.

- Quinn, na nas pora - oznajmił. - Spróbujemy znaleźć Reese'a. Starannie zamknij za nami drzwi i nie obawiaj się, w domu nic ci nie grozi. Nigdzie nie wychodź, dopóki nie zadzwonimy.

Quinn siedziała nieruchomo, z dłońmi na kolanach.

- Nie róbcie mu krzywdy - poprosiła cicho. - On nie wie, z pewnością nie ma pojęcia.

- Czego nie wie...? - Taylor podeszła bliżej, uklękła przed Quinn i wzięła ją za rękę. Quinn wbiła wzrok w sufit i wyszeptała:
- Nie wie, że nie jest naszym bratem.

## ***Rozdział pięćdziesiąty***

- Jego dom jest pusty - oznajmił Fitz przez telefon, kiedy Taylor i Baldwin pędzili na złamanie karku do miejsca zamieszkania Reese'a. - Wszystko sprawdziliśmy, gość uciekł.
- Wyślij list gończy za nim i jego samochodem. Nadal jest groźny, pamiętaj. - Rozłączyła się i spojrzała na Baldwina, który właśnie kończył rozmowę telefoniczną i pośpiesznie coś zapisywał.
- Dziękuję, właśnie tej informacji potrzebowałem - mruknął i odłożył aparat. - Nathan Chase miał tylko jednego gościa. Prawie pięć lat temu przyszedł do niego nie kto inny, tylko Reese Connolly. Szkoda, że Quinn na początku nie wyjawiała nam, że Reese nie jest jej bratem. Ułatwiłaby nam zadanie.
- Przecież nawet nie miała pojęcia, że Reese zna prawdę. On o wszystkim wiedział, prawda?
- Bez wątplenia. Przecież odwiedził ojca w więzieniu. Zaraz, zaraz... Zawróć do biura. Muszę coś sprawdzić.

W pięć minut dotarli na miejsce. Taylor zaparkowała na ulicy i oboje ruszyli pośpiesznie do jej gabinetu. Baldwin wyświetlił nagłówek e-maila od Dusiciela, podszedł do tablicy i dużymi literami przepisał adres.

*IM1855195C*

Zastanowił się i przepisał go ponownie, rozdzielając litery i cyfry ukośnikami w różnych kombinacjach. Tablica szybko zapełniła się niezrozumiałymi szyframi, a Taylor coraz wyraźniej widziała, do czego zmierza Baldwin.

*1/M/1/8/5/5/1/9/5/C IM/18/5/5/19/5/C Fm 18 5 5 19 5 C 1'm REESE C*

*I'm Reese Connolly*

Baldwin triumfował, zupełnie jakby rozwikłał najtrudniejszą zagadkę na świecie.

- Jak na to wpadłeś? - spytała ostrożnie, świadoma, że Baldwin jest dumny jak paw.

- Z początku sądziłem, że to numer więzienny Nathana Chase'a, ale się myliłem. Kod jest prosty, odnosi się do kolejności liter w alfabecie. R jest osiemnastą literą, E piątą, S dziewiętnastą. Wszystko się zgadza.

Taylor zastanowiła się, podeszła do tablicy i dopisała:

*IAMREESE CHASE*

- Ojciec i syn. Chyba o to chodzi, prawda? - spytała.

Baldwin zapatrzył się na słowa na tablicy i pokiwał głową.

- Chyba tak.



### ***Rozdział pięćdziesiąty pierwszy***

Taylor i Baldwin weszli do domu Reese'a Con-nolly'ego, małego, dwupokojowego budynku na West Endzie. W jego schludnym wnętrzu nie natrafili na żadne ślady prawdziwej natury mordercy. Marcus zwrócił uwagę, że ziemia na podwórku była niedawno wzruszana. Podczas bliższych oględzin odkryto sześć małych, zgrabnych kopczyków, rozmieszczonych z nienaganną symetrią. Znaleziono w nich kobiece dłonie na różnych etapach rozkładu. Wszystkie szczątki zostały ekshumowane.

Taylor uczestniczyła w oględzinach, kiedy zadzwonił jej telefon. Przykładając aparat do ucha, nie spodziewała się, co za chwilę usłyszy.

Quinn Buckley wpadła w histerię, wrzeszczała bez opamiętania, całkowicie niezrozumiale. Taylor na próżno usiłowała ją uspokoić. Pojęła tylko strzępy informacji: dzieci Quinn zaginęły, Quinn kazano iść tam, gdzie bawiła się z siostrą w dniu

porwania. Taylor przypomniała sobie, że w aktach znajdowała się wzmianka o polance na tyłach starego domu rodziców bliźniaczek, nieopodal bulwaru Belle Meade.

Zespół od razu się rozdzielił. Taylor i Baldwin ruszyli samochodem do parku i już po dziesięciu minutach byli na miejscu. Zatrzymali się przed domem, który niegdyś należał do rodziny Connol-lych. Quinn wspomniała, że niedawno został sprzedany, ale nowi właściciele jeszcze się nie wprowadzili. Taylor zgasiła światła i cicho zjechała na bok bulwaru. Blask księżyca nadawał otoczeniu niezmierny wygląd. Wysiedli z samochodu, przeskoczyli przez parkan i ostrożnie ruszyli w kierunku domu. Na podjeździe stały dwa samochody.

Taylor rozpoznała ciemnozielonego, klasycznego jaguara, którego wcześniej widziała przed domem Quinn. Drugi pojazd, czarny jeep wrangler z brezentowym dachem, wyglądał obco. Taylor przez radiotelefon przedyktowała numer rejestracyjny pojazdu. Nie zdziwiło jej, gdy się okazało, że auto należy do Reese'a Connolly'ego.

Wiedzieli, że ich jedyną szansą jest zaskoczenie mordercy.

- Jak chcesz się do tego zabrać? - spytała Taylor cicho.

- Przejdziemy przez las i zobaczymy, co jest grane. Mam nadzieję, że Quinn przesadzała.

Taylor na wszelki wypadek odpięła kaburę pistoletu. Baldwin poszedł za jej przykładem i oboje ruszyli w kierunku mrocznych zarośli za domem.

- Tędy - szepnął Baldwin i wskazał ścieżkę rozdzielającą krzaki. - To na pewno dróżka do polanki.

Ruszyli tamtędy i po chwili dostrzegli łączkę. Jednocześnie usłyszeli przytłumiony męski głos i szlochanie kobiety.

- Przestań się mazać, Quinn, bo twarz ci zapuchnie. Przecież chcesz dobrze wypaść przed kamerami, prawda? Będiesz kochającą matką, przygnębioną po stracie dwójki ukochanych dzieci i brata. Och, co ja gadam. Przecież nie jestem twoim bratem, tylko biednym maleństwem, któremu nie wolno mówić bolesnej prawdy. - Rozległy się odgłosy szamotaniny i w ciemnościach zabrzmiał przenikliwy pisk dziecka, który urwał się równie nagle, jak rozpoczął.

Quinn mówiła powoli, z wyraźną trudnością.

- Reese, nic nie rozumiesz. Miałyśmy wtedy zaledwie po dwanaście lat. Moje dzieci nie mają z tą sprawą nic wspólnego. Pomogę ci, będziemy rozmawiać. Ułatwię ci wyjazd z kraju, żebyś uniknął procesu, ale puść moje dzieci. Nie wolno ich karać za grzechy matki. Taylor podkrađła się bliżej, z bronią gotową do strzału. Ostrożnie wyjrzała zza drzewa. Quinn była wyraźnie widoczna w świetle księżyca, stała w odległości kilkunastu metrów. Reese wraz z dziećmi znajdował się za krzakami, poza linią strzału. Taylor zakłęła w duchu.

Quinn nieprzerwanie mówiła i zapewne usiłowała podejść do Reese'a, bo nagle zabrzmiał jego ostry głos:

- Ani kroku dalej, Quinn. Nóż, który trzymam na gardle twojego ukochanego Jake'a juniora, może mi się omsknąć, i co wtedy?

Quinn natychmiast uniosła ręce do góry i cofnęła się o kilka kroków. Taylor popatrzyła na Baldwina, który uniósł dłoń z rozpostartymi palcami. Zrozumiała, że potrzebował pięciu minut na zajęcie dogodnej pozycji. Skinęła głową, a Baldwin odczołgał się cicho.

Tymczasem Quinn mówiła dalej:

- Reese, kochanie, powiedz mi, dlaczego to robisz? Dlaczego zabiłeś te wszystkie dziewczyny? Co cię doprowadziło do takiego szaleństwa?

- Nie jestem szalony! - ryknął, a jedno z dzieci rozplakało się głośno. - Zamknij się, bo ci poderżnę gardło! Quinn, jeszcze trochę i pozabijam twoje dzieci, ale najpierw odpowiem na pytanie. Zrobiłem to dla mojej matki.

- Reese, przecież nie wiesz...

- Nie mów mi, co wiem, a czego nie - warknął agresywnie. - Poznałem prawdę, gdy skończyłem czternaście lat. A wystarczyło, żebyście sami mi powiedzieli o gwałcie i niechcianej ciąży. Wstydziliście się tego. Wstydziliście się mnie. W dniu śmierci twoich rodziców przeczytałem pamiętnik Whitney. Wtedy wszystko stało się jasne. Była silna, chciała, aby cały świat poznał prawdę. Pamiętam, jak na mnie patrzyła. Potem dorastałem i trochę się ode mnie oddaliła. Nie chciała się przyznać do błędu. Ale ja bym jej wybaczył. Mojej mamie wybaczyłbym wszystko.

Taylor powoli obchodziła drzewa, musiała sta-

nać tak, żeby widzieć Reese'a. Po dwóch minutach znieruchomiała na wyciągnięcie ręki od Quinn. Pozostały jeszcze trzy minuty.

- Postanowiłem spotkać się z ojcem - ciągnął Reese. - Pamiętasz Nathana Chase'a? On z pewnością czule cię wspomina. Nie twierdzę, że dobrze postąpił. Ja też postąpiłem źle, ale tak należało. Musiałem pomóc mamie. - Podniósł głos. - Wpadłem na doskonały pomysł. Postanowiłem uczynić z niej gwiazdę. Chciała się przebić i potrzebowała jednego dobrego materiału, aby zyskać sławę. Ofiarowałem jej to, czego pragnęła.

- Zabiłeś osiem dziewczyn, aby Whitney miała dobry materiał telewizyjny? To jakiś dowcip?

- wykrztusiła Quinn z niedowierzaniem.

- Siedem. Jedna mała dziewczynka umarła, zanim zdążyłem ją wykończyć. Przyznasz, że świetnie opracowałem dramaturgię. Przewoziłem zwłoki ze stanu do stanu, obcinałem ręce. Z początku robiło mi się niedobrze, ale przywykłem.

Taylor przypomniała sobie, że na pierwszym miejscu zbrodni znaleźli wymioty, a na ręce Susan Palmer widniały niezdarne skaleczenia, jakby morderca się wahał.

- Polubiłem to zajęcie - pochwalił się Reese.

- I jeszcze wrobiłem twojego męża. Nieźle, co? Wiedziałem, że jeśli jej pomogę, znowu mnie pokocha, jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. A ona zginęła. Cała robota na nic. Na marne! - wykrzyknął.

Taylor skorzystała z okazji, wyszła z cienia

i stanęła za plecami Quinn, z pistoletem wycelowanym w Reese'a. Kątem oka dostrzegła Baldwina, który zaszedł go od lewej.

- Oddaj mi moje dzieci - zażądała Quinn ponownie. - Przykro mi, że musiałeś zabijać, aby zwrócić na siebie uwagę, ale wierz mi, teraz wszyscy o tobie mówią. Pomogę ci wyjść z tego bagna, w które się wpakowałeś. Puść bliźniaki, a będziesz mógł liczyć na moją pomoc.

Ruszyła w jego kierunku. Taylor zauważyła w jej dłoni jakiś przedmiot. Psiakrew, tylko tego brakowało. Quinn postanowiła zrobić z siebie bohaterkę. Zabrała ze sobą broń, żeby pokonać Reese'a. Taylor musiała ją powstrzymać, aby nie doszło do przelewu krwi.

Wychyliła się zza jej pleców. Reese ujrzał Taylor i wpadł w panikę.

- Quinn, co to ma być? - ryknął. - Ściągnęłaś tu gliny? Powiedziałem, że nie wolno ci tego robić. Chciałem z tobą porozmawiać, ale teraz nie mam wyboru.

W blasku księżyca błysnęło ostrze noża.

- Rzuć broń, Reese! - krzyknęła Taylor. - Nie ujdiesz z życiem, jeśli się nie poddasz.

Quinn, nie ruszaj się. Sami się tym zajmiemy.

Powoli skierowała się ku Reese'owi, który nagle usłyszał za plecami głos Baldwina.

- Reese, jesteś otoczony. Rzuć nóż, to przeżyjesz.

Pomimo ostrzeżeń Taylor Quinn nadal szła w kierunku Reese'a, zdecydowana za wszelką cenę uratować dzieci.

- Reese, zrozum - mówiła. - To twoja siostra i twój brat. Nie możesz przecież zabić rodzeństwa. - Po jej policzkach spływały łzy.

Reese drgnął, widać było, że traci kontrolę. Taylor zauważyła, że czubek noża wbił się w skórę Jake'a juniora, po szyi dziecka spłynęła strużka krwi.

Quinn straciła panowanie nad sobą. Rzuciła się biegiem i w parę sekund pokonała ostatnie metry. Taylor usiłowała ją schwytać i powalić, ale nie zdążyła. Quinn gnała niczym przestraszone zwierzę, z pistoletem wycelowanym w Reese'a.

- Quinn, nie! - wrzasnęła Taylor, ale było już za późno.

Quinn zatrzymała się metr przed Reese'em, wycelowała i nacisnęła spust. Reese padł na ziemię, zanim Taylor zdołała ponownie krzyknąć. Dzieci pobiegły do mamy i kurczowo przywarły do jej nóg.

Taylor podeszła do Reese'a. Leżał spokojnie, z raną postrzałową w górnej części klatki piersiowej. Krew obficie tryskała z rany, stało się jasne, że pozbawiony pomocy lada moment się wykrwawi. Taylor uruchomiła radiotelefon i wezwała karetkę do ciężko rannej ofiary strzelaniny.

Baldwin zrewidował Reese'a, wsunął do torebki jego nóż i skinął głową do Taylor na znak, że zatrzymany nie ma innej broni. Taylor odwróciła się do Quinn, która nadal celowała w pierś Reese'a.

- Oddaj mi broń, Quinn. Daj, wezmę ją. Ostrożnie, o tak, bardzo dobrze. - Quinn nie stawiała

żadnego oporu, kiedy Taylor powoli wyjmowała jej pistolet z ręki.

Sprawiała wrażenie zmęczonej, jakby całkiem opadła z sił. Objęła dzieci i je przytuliła. Z jej oczu popłynęły łzy. Taylor wstała, opróżniła magazynek, a pistolet wsunęła za pasek spodni, na plecach.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedziała Quinn cicho. - Dzieci, poczekajcie z panią policjantką.

Uklękła przy rannym.

- Reese, jestem twoją matką. Wybacz. Masz rację, powinniśmy byli powiedzieć ci prawdę. Reese z trudem wypowiadał słowa, w jego głosie wyczuwało się ból.

- Nieprawda. Whitney była moją mamą. - Rozkaszlał się, na jego ustach pojawiła się krwawa bańka powietrza.

Quinn tylko pokręciła głową.

- Wierz mi, to ja zaszłam w ciążę.

- Przecież Nathan... powiedział, że... zgwałcił Whitney... nie ciebie... - wyrzęził Reese.

- Och, przecież obie wyglądałyśmy tak samo. Nie miał pojęcia, którą z nas skrzywdził.

W oddali zabrzmiał dźwięk syren. Taylor półgłosem przykazała dzieciom, aby zostały na miejscu, a sama podeszła do rannego.

- Quinn, musisz się cofnąć. Zaraz podjedzie ambulans - uprzedziła.

Quinn głaskała Reese'a po włosach i przemawiała do niego cicho. Krew przez cały czas obficie wypływała z przebitego płuca. Reese słuchał i bez



przerwy powtarzał tylko jedno słowo: „Przepraszam”.

Karetka zatrzymała się gwałtownie na poboczu drogi, ze środka wybiegli sanitariusze i ruszyli przez polanę do ranego. Taylor delikatnie odciągnęła Quinn.

- Musimy im pozwolić ratować ranego - oznajmiła ze smutkiem.

Baldwin przywołał policjanta, który przyjechał za karetką.

- Proszę zabrać panią Buckley do radiowozu. Musi usiąść.

Policjant odprowadził Quinn do samochodu.

- Postawimy jej zarzuty? - zapytała Taylor.

- Postrzeliła człowieka. Zapewne każdy przyzna, że zrobiła to w obronie własnej, ale na pewno musi opuścić to miejsce.

Baldwin zawołał innego policjanta i przekazał mu dzieci. Żadne z nich nie zostało poważnie ranne, ale były w szoku, więc odprowadzono je do matki.

Sanitariusze przenieśli Reese'a na nosze, żeby zabrać go do szpitala.

- Wyjdzie z tego? - zapytała Taylor.

- Powinniśmy go bez problemu dowieźć na salę operacyjną. Parę centymetrów i byłoby po nim. Miał szczęście, sukinsyn.

- Wobec tego poczekajcie. - Z tylnej kieszeni wyciągnęła kajdanki i przykuła ranego do ramy noszy. - Jest aresztowany. Nie wolno wam zdejmować kajdanek. Rozumiecie?

Sanitariusz chciał zaprotestować, ale umilkł, napotkawszy surowe spojrzenie Taylor.

- Bez dyskusji - warknęła. - Dla bezpieczeństwa pojedzie z wami policjant. Spotkamy się jeszcze w szpitalu. W drogę.

Podeszła do Baldwina i uśmiechnęła się szeroko.

- Mamy go.

## ***Rozdział pięćdziesiąty drugi***

Tydzień minął Taylor i Baldwinowi jak z bicza strzelił. Reese dojechał do szpitala i po kilku godzinach walki o jego życie lekarze obwieścili sukces. Taylor odczuwała nieopisaną satysfakcję. Cieszyło ją, że jeszcze jeden łotr zapłaci za popełnione zbrodnie, stanie przed sądem i usłyszy surowy wyrok.

Quinn upierała się, że Reese padł ofiarą własnej nienawiści i źle pojętej lojalności, zatem nie był przy zdrowych zmysłach, kiedy popełniał te wszystkie potworne zbrodnie.

Prokurator postanowił nie stawiać jej zarzutów, więc mogła bez problemu zatrudnić najlepszego adwokata w Nashville, aby zapewnić synowi obrońcę z prawdziwego zdarzenia.

Reese również nie zasypiał gruszek w popiele. Usiłował przekonać wszystkich wokoło, że nie jest winien zarzucanych mu czynów. W szpitalu, po operacji, szczegółowo wyjaśnił, co zrobił.

Opowiedział, jak jeździł za Jakiem Buckleyem, kiedy ten wielokrotnie zdradzał żonę. W końcu uznał, że Jake będzie doskonałym kozłem ofiarnym. W trakcie realizacji morderczego planu Reese zorientował się, że zaczyna mu brakować czasu. Postanowił zabijać dziewczyny w drodze, darował sobie wożenie ofiar w okolice ich domów. Na jednym z postojów przy drodze na południe od Roanoke znaleziono dowody rzeczowe w postaci krwi. Okazało się, że należała do Marni Fischer. Baldwin miał słusność co do napadu astmy u Noelle Pazia. Umarła w bagażniku, co tak rozwścieczyło Reese'a, że sadystycznie wyładował złość na Ivy Clark.

W swoim mniemaniu Reese mordował z uzasadnionego powodu. Nie znał innego sposobu na to, aby wyrazić aprobatę dla domniemanej matki, uczucie do niej. Liczył na to, że Whitney odwdzięczy mu się tym samym. Nigdy nie docenił starań Quinn, która latami próbowała zapewnić mu dobre, spokojne życie. Jego prawnik, sprytny i doświadczony adwokat, tłumaczył wszystkim zainteresowanym, że Baldwin wyciągnął z jego klienta zeznania w czasie, gdy jeszcze działały narkotyczne środki podane rannemu podczas operacji. Adwokat wiedział, że jedyną szansą dla Reese'a jest oddalenie całej sprawy z powodów technicznych. Zapowiadał się wyjątkowo ciekawy proces, jakiego jeszcze nie widziano w Nashville.

Baldwin w milczeniu siedział w słońcu. Dni

stawały się coraz chłodniejsze, wieczory były zimne. Lato nieuchronnie się kończyło.

- Taylor - odezwał się cicho. Popatrzyła na niego pogodnie. - Dzisiaj rano rozmawiałem z Garrettem. Złożyłem rezygnację.

Taylor odwróciła się do niego i uniosła rękę, aby osłonić oczy przed słońcem.

- Żartujesz? - zdumiała się. Zdecydowanie pokręcił głową.

- Ani trochę. Chcę pracować na własny rachunek, dać sobie spokój ze służbą w FBI. Może założę własną firmę, będę udzielał konsultacji. Pracowałabyś ze mną. Co ty na to?

- Dobrze wiesz, że nie jestem jeszcze gotowa na to, aby porzucić policję.

- Zatem będziesz ze mną współpracowała przy okazji niektórych konsultacji. Tak czy owak to już postanowione. Rano prześlę odpowiednie dokumenty. Chcę być tutaj, Taylor. Z tobą.

Wstał i podszedł do niej, położył jej ręce na ramionach i pochylił głowę, aby zetknęli się czołami.

- Jestem zmęczony takim życiem. Nie mogę już patrzeć na kolejne zbrodnie, czekać, aż pojawi się następny morderca. Chcę czegoś więcej. Chcę ciebie. Pragnę być przy tobie dzisiaj, jutro. Zawsze. Zostań moją żoną. - Wziął ją za lewą rękę i poczuła, że wsuwa coś na jej serdeczny palec. Opuściła wzrok i zamrugła, oszołomiona urodą migotliwego brylantu.

Nie spodziewała się oświadczyn, nie miała

pojęcia, że tak dobrze się poczuje. Miała zostać żoną. To słowo było jej obce. Nigdy nie myślała poważnie o małżeństwie. Wiedziała, że Baldwin ją kocha, a ona kocha jego. Dotąd nie zastanawiała się jednak nad perspektywą wspólnego spędzenia życia.

Każdego dnia obojgu groziło niebezpieczeństwo. Stykali się ze złem, które atakowało podstępnie, niczym rak. Szczęście małżeńskie uznawali za luksus, na który zapewne nigdy nie będą mogli sobie pozwolić.

- Baldwin... Nie wiem, co powiedzieć. - Pod wpływem jego spojrzenia mocniej zabiło jej serce. - Posłuchaj, chętnie zostałąbym twoją żoną, ale przeraża mnie myśl, że mogłabym cię stracić.

- Taylor, takie rozumowanie nie ma sensu. Ono donikąd nie prowadzi. Sam zadbam o twoje bezpieczeństwo. Nic nam nie zagrozi.

Poczuła pieczenie łez pod powiekami. Baldwin stał metr od niej i patrzył na nią tak, jakby miała eksplodować. Była poruszona jego zachowaniem.

Po chwili uznał, że Taylor odrzuciła jego oświadczenia, więc postanowił odejść.

Westchnął, a wtedy złapała go za rękę i przycisnęła ją do ust. Łzy spływały jej po policzkach. Otarła je i uśmiechnęła się do niego. Przytuliła się do Baldwina i go pocałowała.

- Nie, nie odchodź - poprosiła, a on znieruchomiał w oczekiwaniu. Odetchnęła głęboko. - Tak, zgadzam się - odparła z uśmiechem i poczuła, że kamień spada jej z serca.